



PIOTR KRZYŃCICKI

ZABÓJCA ZNIKA W MROKU

MORDERCA STRZELA CELNIE I NIE ZOSTAWIA ŚLADÓW



NOVAE RES

PIOTR KRYNICKI

**ZABÓJCA
ZNIKA
W MROKU**



NOVAE RES

*My, ludzie, nie żyjemy w świecie rzeczywistym. Żyjemy
w świecie opowiedzianym. W świecie, o którym sami
sobie opowiedzieliśmy albo ktoś nam o nim opowiedział.*

Jan, rozdział 1, akapit drugi

*Ludzie, którzy twierdzą, że życie musi mieć
jakiś sens, często dochodzą do wniosku,
że ten sens jest ważniejszy od życia.*

Jan, rozdział 20, gdzieś w środku

*W umysłach wielu z nas rodzi się nowa
opowieść. Opowieść o tym fragmencie
rzeczywistości, o którym dotychczas milczeliśmy
albo opowiadaliśmy sobie, że on nie istnieje.*

Jan, rozdział 31, akapit przedostatni

PROLOG

MATEUSZ, PONIEDZIAŁEK WCZEŚNIE RANO

Mateusz nie lubił poniedziałków. Nic dziwnego, bo czy ktokolwiek je lubi? Mateusz uważał, że jeśli tacy ludzie istnieją, na pewno nie są normalni. Poniedziałki to samo zło. Dobrze, że chociaż weekend upłynął w przyjemnej atmosferze. W sobotni wieczór Mateusz umówił się z kolegami z osiedla. Na wstępie opróżnili solidarnie po dwie butelki piwa, a potem poszli na miasto w poszukiwaniu przygód. Było już grubo po północy, gdy w jednym z klubów Mateusz poznał bardzo sympatyczną Magdę. Dziewczyna po kilku drinkach dała się zaprosić do toalety, gdzie nastąpiło cielesne zbliżenie. Na koniec nocni kochankowie wymienili się numerami telefonów. Mateusz nie wiedział jeszcze, czy zrobi użytek z zapisanego w smartfonie ciągu dziewięciu cyfr. Nie miał czasu się nad tym zastanowić, bo całą niedzielę spożytkował na sen i leczenie bólu głowy, a teraz – w poniedziałek – październikowym błędym świtem przemierzał kilkusetmetrową odległość między przystankiem autobusowym a swoim zakładem pracy, czyli zlokalizowanym na warszawskiej Białołęce średniej wielkości supermarketem.

Mateusz miał dwadzieścia dwa lata i w przeciwieństwie do większości rówieśników niczego nie studiował. Jego rodzice twierdzili, że to przejaw braku ambicji. Zarzucali mu, że nie wierzy we własne możliwości. On utrzymywał jednak, że podjął racjonalną decyzję. Na osiedlu spotykał czasem starszych kolegów, którzy po uzyskaniu wyższego wykształcenia lądowali ostatecznie na kasie w sklepie spożywczym. Uznał więc, że pominie etap studiów i od razu zatrudnił się w supermarkecie. Lubił swoją pracę. W jego sklepie nie było nadmiernego ruchu, miał fajne koleżanki, z którymi można było pogadać, pożartować, a nawet poflirtować. Drażniło go tylko, że sklep tak wcześnie się otwierał. Gdy miał poranną zmianę, zaczynał pracę przed siódmą. A przecież na tę Białołękę musiał jeszcze dojechać z Bródna.

Nie narzekał na to, że od przystanku do sklepu miał spory kawałek do przejścia. Ten poranny spacer skutecznie go rozbudzał. Minąwszy kilka ulic, wkraczał na zielony teren, będący czymś pomiędzy parkiem a miniaturą lasu. Zamiast chodników były tam gruntowe ścieżki, wokół których rosła gęsta drzewiasta roślinność. Skręcił właśnie w jedno z takich wąskich przejść między drzewami i już z oddali dostrzegł, że na drodze leży coś dużego.

Gdy podszedł bliżej, zrozumiał, że jest to ciało człowieka. Na ścieżce leżał martwy mężczyzna. Na to, że nie żyje, wskazywały w szczególności krwawe ślady po kulach, z których dwa Mateusz dostrzegł na głowie, a do tego kilka kul utkwіło chyba w brzuchu, bo koszula i rozpięta kurtka były czerwone od krwi. Co dziwne, na piersi leżącego na wznak mężczyzny zauważył niewielki pistolet. Mateusz pomyślał, że gdyby był on własnością ofiary, tkwiłby zapewne w jego dłoni albo leżał gdzieś obok na ziemi. Staranny sposób ułożenia broni wskazywał raczej, że została pozostawiona na miejscu przez zabójcę.

W pierwszym odruchu Mateusz pomyślał, że musi uciekać. Przecież ten, kto to zrobił, może jeszcze tu być. Po chwili jednak uświadomił sobie, że tej osoby od dawna już tu nie ma. Krew była zakrzepnięta i ciemna, więc do morderstwa musiało dojść jakiś czas temu. Zapewne w nocy, kilka godzin wcześniej. Poza tym, skoro broń leży na martwym ciele, to należy przyjąć, że sprawca tej śmierci nie jest już uzbrojony. Dla pewności rozejrzył się wokół i wstrzymał oddech. Usłyszał tylko dochodzący z góry świergot jakiegoś zagubionego ptaka oraz lekki szum liści poruszanych przez łagodny wiatr. Wokół nie było nikogo i Mateusz na razie odepchnął od siebie myśl o ucieczce.

Drugim przeblyskiem, który przeszył jego umysł, było zaskoczenie własnym opanowaniem. Pamiętał z seriali kryminalnych, które czasem oglądał w telewizji, że ludzie różnie reagują na widok trupa. Niektórzy wymiotują, inni wpadają w panikę i krzyczą. Jemu nie zrobiło się niedobrze, nie stracił też panowania nad sobą. Był zadziwiająco spokojny. I dopiero ta świadomość go przestraszyła, bo taki spokój nie wydał mu się normalny.

Serce zabiło mu mocniej, a jego ciało przeszył dreszcz, bo przyszła mu do głowy trzecia myśl, będąca w gruncie rzeczy inną wersją myśli pierwszej. Może jednak najlepiej będzie uciec? Nie ze strachu przed zabójcą, ale z obawy przed kłopotami, jakie mogą go spotkać, jeśli wezwie policję. Będzie musiał zeznawać, opisywać, co robił, jak znalazł ciało. Kto wie, może policja zacznie go nawet podejrzewać. Z nimi przecież nigdy nic nie wiadomo.

Odwrócił się i ruszył przed siebie, ale po kilku krokach zatrzymał się nagle i wrócił do leżącego ciała. Przed ucieczką powstrzymała go bowiem czwarta myśl, która okazała się decydująca. Przecież ktoś mógł go już widzieć. Poza tym koleżanki ze sklepu wiedziały, że przechodzi tą trasą w drodze do pracy. Gdyby teraz odszedł, udając, że nie zauważył po drodze zamordowanego mężczyzny, byłoby to tym bardziej podejrzane i mogłoby go narazić na jeszcze większe nieprzyjemności. Prędzej czy później ktoś znajdzie te zwłoki i rozpocznie się dochodzenie.

Tak, z dwojga złego lepiej zawiadomić policję. To jedyne bezpieczne rozwiązanie. Przynajmniej będzie o czym opowiadać koleżankom w pracy i kumplom na osiedlu. Mateusz wyjął z kieszeni telefon. Nie zadzwonił od razu. Najpierw włączył tryb aparatu i zrobił kilka zdjęć. Teraz dopiero zrozumiał, że ta przykra sytuacja może mieć również swoje pozytywne konsekwencje. Zdjęcia na pewno zrobią wrażenie na znajomych, a może nawet uda się je sprzedać jakiemuś portalowi internetowemu? Będzie przy okazji szansa na dodatkową kasę. Mateusz zalogował się do swojej poczty elektronicznej na jednym z popularnych serwisów i dodał zdjęcia jako załączniki do nowej wiadomości, którą następnie zapisał jako kopię roboczą. Sieć komórkowa działała z całkiem niezłą prędkością, ale mimo to musiał odczekać dwie minuty, aż wszystko się załaduje. Skasował zdjęcia ze swojego telefonu, bo zakładał, że policjanci będą chcieli sprawdzić urządzenie, zanim pozwolą mu odejść. Rozejrzył się jeszcze raz, by się upewnić, że jest bezpieczny, ale wokół wciąż nikogo nie było. Tylko on i leżące na ziemi ciało. Mateusz na głównym ekranie telefonu odnalazł ikonkę przedstawiającą białą słuchawkę na zielonym tle i wybrał numer alarmowy.

ROZDZIAŁ 1

JAN, PONIEDZIAŁEK RANO

Jan lubił poniedziałki. Wiedział, że to dziwne, ale w ogóle się tym nie przejmował. Uważał bowiem, że poniedziałki nie są obiektywnie złe ani dobre. Są takie, jakimi je widzimy.

Przywykliśmy sądzić, że świat rzeczywisty, obiektywny – to świat widziany z góry przez niezależnego zewnętrznego obserwatora. Problem w tym, że żaden taki obserwator nie istnieje. My, ludzie, nie żyjemy w świecie rzeczywistym. Żyjemy w świecie opowiedzianym. W świecie, o którym sami sobie opowiedzieliśmy albo ktoś nam o nim opowiedział. Wsiadając do metra linii M1, którą to linię nazwano tak, aby w gęstej sieci kolei podziemnej podróżni nie pomylili jej z linią M2, Jan rozważał powyższe zależności między światem rzeczywistym a opowiedzianym i zastanawiał się, w jaki sposób poruszyć je i rozwinąć w ewentualnej dyskusji na tematy ogólne i filozoficzne, jeśli takowa w ciągu dnia się odbędzie, co było raczej mało prawdopodobne, ale mimo wszystko możliwe. W pracy przecież toczył czasem podobne rozmowy, których główną zaletą było to, że pozwalały zabić czas i przeczekać do szesnastej.

Jan lubił poniedziałki, chociaż wcale nie był miłośnikiem wczesnego wstawania, a porannej podróży do pracy w zatłoczonym metrze również nie uważał za szczególną przyjemność. Mimo to poniedziałek dawał mu zawsze nadzieję na to, że coś zacznie się dziać. Że rozpoczynający się tydzień będzie pełen interesujących wydarzeń. A ten tydzień rzeczywiście miał być szczególny. Jan realizował pewien plan, o którym nikt poza nim nie mógł wiedzieć, i choć był z natury człowiekiem spokojnym i działającym w sposób przemyślany, świadomość skrywanej tajemnicy w swoisty sposób go elektryzowała. Był podekscytowany, choć starał się tego nie okazywać. Przeciętny człowiek na jego miejscu zapewne nie mógłby zapanować nad sobą, drżałyby mu ręce, oczy miałyby rozbiegane, nie mógłby się skupić i zachowywałby się dziwnie. Jan nie wykazywał żadnych takich objawów. Zresztą ludzie, u których występują tego typu reakcje, nie nadawali się do realizacji podobnego planu. Jan chyba się nadawał, bo jedyną oznaką wewnętrznego poruszenia, jaką wprawny obserwator mógłby dostrzec, był lekki grymas na twarzy, coś w rodzaju delikatnego uśmiechu, pojawiającego się od czasu do czasu na moment i od razu znikającego, gdy tylko Jan się orientował, że uśmiecha się sam do siebie.

Kolejny etap swojego przedsięwzięcia Jan miał zrealizować w drugiej części dnia. Na razie jednak był wczesny poranek, a Jan po dziesięciominutowej podróży wysiadał ze środkowego wagonu podziemnego pociągu na centralnej stacji wspomnianej linii M1. Z pozoru odznaczał się więc przeciętnością, jawił się jako typowy obywatel zmierzający do pracy u progu nowego tygodnia. Gdyby w tłumie pasażerów poszukiwać osoby, która swoim wyglądem lub zachowaniem mogłaby wzbudzić podejrzenia o posiadanie jakichkolwiek niecnych planów, Jan z pewnością nie znalazłby się na czele listy rankingowej.

Nie zastanawiał się już, czy postępuje słusznie. Fazę moralnych rozterek i rozdzielania włosa na czworo miał dawno za sobą. Nie wierzył w istnienie dobra ani zła. Po prostu uznał, że to zrobi i tyle. Za jego postępowaniem nie stała żadna ideologia, żaden porządek moralny ani najwyższe wartości, które miałyby zatriumfować. Nie przewidywał zresztą żadnego publicznego triumfu i nie zamierzał się z niczym ujawniać. Wszystko musiało pozostać jego tajemnicą, bo przecież nie chciał trafić do więzienia. Oczywiście istniało pewne ryzyko, nigdy wszystkiego nie da się przewidzieć, ale ryzyko jest wliczone w każde działanie.

Teraz, gdy Jan był już w ścisłej fazie realizacyjnej, zrozumiał, że to właśnie samo działanie jest źródłem jego ekscytacji. Chodziło chyba o poczucie sprawczości, o kreowanie wydarzeń. O to, by nadać życiu bieg.

Tak – bieg, a nie sens. Jan wiedział bowiem, że życiu nie można nadać sensu. „Sens” to słowo bardzo przereklamowane. Podobnie jak inne tego typu wyrazy – na przykład „Bóg” albo „szczęście” – zostało wymyślone przez ludzi na określenie czegoś, czego nie ma, ale w zasadzie byłoby fajnie, gdyby jednak istniało. Dlatego powszechnie umawiamy się na używanie takich słów i udawanie, że wierzymy, że coś realnego za nimi się kryje, że niosą ze sobą jakąkolwiek treść. Jan wiedział, że nie ma na świecie Boga, sensu ani szczęścia, jest tylko teraźniejszość i życie, któremu musimy nadawać bieg, by było znośne, a czasem nawet przyjemne.

Niezależnie od nadzwyczajnych zadań, które sam sobie narzucił i skrzętnie realizował, Jan toczył oczywiście zwykłe codzienne życie, któremu nadawał bieg w sposób regularny i uporządkowany. Osią, wokół której obracało się jego życie, była – jak w przypadku większości ludzi – praca. Tutaj również wszystko zaczynało się od poniedziałku.

Nadprogramowa aktywność miała się więc rozpocząć później, a teraz była ósma rano, po wyjściu z metra przesiadka do tramwaju i parę przystanków przejechanych w milczeniu na końcu wagonu. Październikowe powietrze było rześkie, lekki wiatr ożywił Jana i budził z porannego zaspania. Ostatnie sto metrów od przystanku tramwajowego do biurowca, w którym pracował, pokonywał zawsze z dużym zadowoleniem. Brał głębokie oddechy, smakując zimne powietrze z mieszaniną zapachów i smrodów, których wachlarz zmieniał się co kilka kroków. Spaliny zmieszane z gnijącymi liśćmi, które spadały z drzew, realizując koncepcję złotej polskiej jesieni, aromat świeżych wypieków z mijanego właśnie sklepu z pieczywem, za chwilę przesadnie mocny powiew perfum mijanej kobiety, która szła w przeciwnym kierunku, smród papierosa ściskanego w ustach przez mężczyznę zamiatającego chodnik, za moment powrót do normalności, czyli spaliny i liście. Zapachy i hałas, ciągły szum miasta przerywany dźwiękowymi wystrzałami klaksonów i nagle ruszających na światłach motocykli. Miasto, które żyje, w którym życie ma swój bieg, choć nie ma sensu, miasto wielu bogów umęczonych gonitwą za nieosiągalnym szczęściem. Bieg życia i chód w kierunku biurowca doprowadziły Jana do celu. Otworzyć drzwi, wyjąć identyfikator, przyłożyć do bramki, bramka się otwiera, Jan przechodzi, winda, piąte piętro, sekretariat, podpisać listę obecności, wziąć klucz do pokoju, klucza nie ma, czyli Konrad już jest, przyszedł wcześniej, pójść do pokoju numer 532, podać rękę Konradowi, zdjęć kurtkę, plecak położyć obok biurka, włączyć komputer, usiąść. Nie, nie usiąść, Jan nie był wprawdzie rygorystycznym higienistą, ale nawyk kazał mu najpierw udać się do łazienki, umyć ręce, potem wrócić i dopiero wtedy usiąść, wpisać hasło do komputera, który zdążył się już uruchomić – i zacząć biurowy dzień.

Jan pracował w Centrum Ulepszania Działań. W skrócie – CUD. Ten z pozorów zabawny akronim w gruncie rzeczy trafnie definiował wartość, jaką ta państwowa instytucja stanowiła dla swoich pracowników. Było to bowiem niezwykle komfortowe miejsce do pracy. Wbrew pozorom tego typu

rządowych agencji istnieje bardzo wiele, choć większość ludzi w ogóle o nich nie wie. Przeciętny obywatel powiedziałby zapewne, że taka instytucja jak CUD z pewnością nie istnieje. Nie tylko dlatego, że o niej nie słyszał, ale także dlatego, że jej istnienie nie miałoby żadnego sensu. Dla twórców systemu administracji publicznej nie stanowiło to jednak problemu. Polityczni decydenci w swej zbiorowej mądrości już dawno temu doszli do wniosku – z którym, choć być może w nieco innym kontekście, zgadzał się także Jan – że słowo „sens” jest bardzo przereklamowane. Państwowe urzędy tworzy się nie tylko po to, by robiły coś sensownego. Niektóre powołuje się wyłącznie dla utrzymania pozoru, w celu wygenerowania sztucznego ruchu, służącego budowie wizerunku i autorytetu władzy. Takich publicznych instytucji, o których nie wie przeciętny obywatel i które nie robią nic pożytecznego, jest znacznie więcej, niż nam się wydaje. Centrum Ulepszania Działań to tylko drobny element systemu.

Za ideą stworzenia tej rządowej agencji, podlegającej bezpośrednio Kancelarii Prezesa Rady Ministrów, stało bardzo proste rozumowanie. Wszyscy wiedzą, że państwo działa źle. Nawet jeśli czasem coś uda się sprawnie zorganizować, to jest to tylko wyjątek od powszechnie obowiązującej zasady. Poza tym tego, co funkcjonuje poprawnie, nikt nie zauważa, a gdy tylko coś nie wyjdzie, trąbią o tym wszystkie media, wzniciając społeczny sprzeciw i wywołując oburzenie wśród obywateli. Dlatego rządzący doszli do oczywistego wniosku: skoro nie potrafimy dobrze zorganizować służby zdrowia, edukacji, policji i całej reszty, którą zajmuje się państwo, to przynajmniej stwórzmy wrażenie, że nie jest to nasza wina, że robimy wszystko, co w naszej mocy, że doglądamy, nadzorujemy, monitorujemy i identyfikujemy luki.

Opiszmy to na przykładzie. Urząd skrzywdził obywatela, niesłusznie odmawiając przyznania mu zasiłku. Centrum Ulepszania Działań natychmiast – czyli w terminie czternastu dni od momentu, gdy o sprawie napisano w prasie – przygotowuje pismo do ministra pracy i polityki społecznej, zawierające uprzejmą prośbę, by ulepszono działania państwowych urzędów i w przyszłości dokładniej weryfikowano wnioski o zasiłki, aby obywatele nie czuli się pokrzywdzeni. Po upływie kolejnych dwóch tygodni minister odpowiada, że oczywiście dołoży wszelkich starań, jak również jest zdeterminowany, by podjąć niezbędne kroki.

Jeśli nie wszystko jest jeszcze jasne, posłużmy się inną przykładową sytuacją. W telewizji oglądamy reportaż o ciężko chorym starszym panu, który musi czekać dwa lata na operację w szpitalu. Nie później niż w terminie dziesięciu dni roboczych Centrum Ulepszania Działań sporządza pismo do Ministerstwa Zdrowia, z wyraźnym żądaniem, aby terminy oczekiwania na operacje w szpitalach zostały znacząco skrócone. Po upływie około trzydziestu dni – gdyż w tym wypadku sprawa jest bardziej złożona – ministerstwo przekazuje odpowiedź, w której jednoznacznie podkreśla, że rozumie wagę problemu i dlatego niezwłocznie podejmie stosowne działania oraz dołoży starań, niemniej jednak kwestia ta wymaga szczegółowych analiz.

Celem tych wszystkich działań było stworzenie pisemnej korespondencji, której kopię następnie przekazywano do agencji prasowych. Czyniono to w sposób otwarty albo w formie kontrolowanego przecieku, przy czym zarządzanie wpływem informacji leżało, rzecz jasna, w gestii odrębnego departamentu. Co ważne, Centrum Ulepszania Działań nie wysyłało samodzielnie napisanych przez pracowników pism interwencyjnych. Projekt korespondencji był kierowany do Kancelarii Premiera i tam dopiero podpisywany przez odpowiedniego sekretarza stanu. Oficjalnie więc wymiana korespondencji następowała pomiędzy rządowymi oficjelami najwyższego szczebla. Aby zapewnić rządowi kompleksową obsługę, odrębny departament CUD przygotowywał projekty odpowiedzi dla poszczególnych ministerstw. Pracownicy tego departamentu mieli swoje gabinety na szóstym piętrze

biurowca, więc Jan na co dzień ich nie widywał. Uzasadniano to koniecznością zapewnienia im niezależności, choć Jan twierdził, że chodziło po prostu o znalezienie pretekstu, żeby na potrzeby urzędu wynająć dwa piętara, a nie jedno.

Nazwa Centrum Ulepszania Działań nie pojawiała się w oficjalnych pismach ani tym bardziej w powołujących się na nie mediach. Instytucja ta pozostawała w cieniu, dyskretnie realizując swoje zadanie, czyli inicjując i koordynując aktywność epistolarną, po której ostatecznie pozostawało to, co najważniejsze, czyli dobre wrażenie. Społeczeństwo czuło się uspokojone, a media z dumą informowały: „W odpowiedzi na nasze publikacje rządowa administracja podjęła interwencję”. Cytowano fragmenty pism i podkreślano, że ich stanowczy wydzźwięk na pewno zrobił wrażenie na odpowiedzialnych za sprawę urzędnikach. Wprawdzie skrzywdzony obywatel nadal pozostawał bez zasiłku, a rodzina starszego pana już po kilku miesiącach odbywała ponury spacer wśród drzew rosnących na cmentarzu Bródnowskim, oplakując jego odejście, ale te fakty umykały już uwadze opinii publicznej, usatysfakcjonowanej natychmiastową reakcją państwowych instytucji, która potwierdzała, że system administracji publicznej – mimo że wciąż dotknięty pewnymi niedociągnięciami – w gruncie rzeczy działa prawidłowo i błyskawicznie się aktywizuje, gdy tylko pojawi się problem.

W praktyce urzędnicy zatrudnieni w Centrum Ulepszania Działań nie mieli wiele pracy. Różne kontrowersje związane z działaniem państwowych instytucji pojawiały się wprawdzie codziennie, ale przez kilka lat istnienia ta niepozorna jednostka administracji rządowej zdążyła rozrosnąć się na tyle, że zatrudniała już prawie dwieście osób, podzielonych na różne departamenty i wydziały, dlatego liczba spraw przypadająca na jednego pracownika była stosunkowo niewielka. Oczywiście jak w każdej instytucji tego rodzaju właściwą pracą związaną z celem istnienia urzędu zajmowało się tylko około połowy zatrudnionych, a resztę stanowiły osoby zapewniające obsługę wewnętrzną – kadry, finanse, informatycy, statystycy, sekretarki. Ponadto obowiązywała ścisła specjalizacja – na przykład jeden wydział zajmował się przeglądem doniesień medialnych i typowaniem spraw, w których należy podjąć interwencję, a inny – i właśnie w takim pracował Jan – otrzymawszy informację o wytypowanych tematach, był odpowiedzialny za sporządzanie pism interwencyjnych.

Po uwzględnieniu liczby zatrudnionych oraz wskazanych powyżej zasad organizacyjnych na takiego pracownika jak Jan przypadła zwykle obowiązek napisania od dwóch do trzech pism tygodniowo. Typowe pismo tworzone na schemacie, w który wpisywano dane adresata oraz jednozdaniowe odniesienie do jakiegoś problemu opisanego w mediach. Schemat w ostatnim akapicie zawierał standardowe żądanie podjęcia kroków w celu ulepszenia działań państwa w omawianym zakresie. Cały proces tworzenia takiego pisma, wliczając w to zapoznanie się ze źródłowymi materiałami prasowymi, zajmował około dwudziestu minut. Łatwo policzyć, że w trakcie przeciętnego tygodnia pracy czynności służbowe zajmowały Janowi mniej więcej jedną godzinę. Całą resztę musiał sobie sam zorganizować, co wbrew pozorom nie było wcale łatwe.

Zwykle gdy ludzie mówią o swojej pracy, narzekają na to, że mają jej za dużo. Muszą siedzieć po godzinach, bo się nie wyrabiają. Natłok obowiązków przygniata ich i męczy nie tylko fizycznie, ale również psychicznie. Jan wiedział jednak, że konieczność siedzenia w pracy, w której w zasadzie nie ma nic do roboty, może być podobnie męcząca. To zapewne problem, który nie jest powszechnie znany, a psychologowie nie zbadali go jeszcze dogłębnie, ale nuda w pracy jest naprawdę trudna do zniesienia. Trzeba sporej wytrzymałości i samozaparcia, by nie zwariować. Pracownicy mieli różne sposoby na radzenie sobie z tym problemem. Początkowo wystarczały standardowe rozrywki – śniadanie, obiad, internet, rozmowy z kolegami i koleżankami. Jak długo jednak można jeść? Jak długo można

przeglądać te same nudne i powtarzalne informacje w internecie? Byli tacy, którzy grali w gry na komputerze, układali internetowe puzzle albo pasjansy, ale to też działało na krótką metę. Nieco łatwiej było osobom posiadającym jakieś hobby, które mogli uprawiać w pracy, ale nawet czytanie książek czy słuchanie muzyki non stop przez pięć dni w tygodniu nie rozwiązywało problemu nużącej monotonii i rutyny.

Dlatego Jan i Konrad wypracowali sobie pewien rytuał. Cykl zajęć, które wypełniały dzień pracy, wprowadzając pozór urozmaicenia. Codziennie były to te same aktywności, ale było ich wiele, dzięki czemu mimo wszystko mieli poczucie, że coś się dzieje, coś robią, nie pozostają bierni. Ranek spędzali zwykle na śniadaniu, pogaduszkach na nieistotne tematy i wstępnym przeglądzie informacji w internecie. Potem Jan, jeśli czuł, że jest w dobrym nastroju, robił sobie wycieczkę po pokojach kolegów i koleżanek, odbywając kolejne rozmowy o niczym, które mimo wszystko zmierzały zawsze w kierunku rozluźnienia atmosfery i rozruszania szarych komórek. Konrad w tym czasie najczęściej wolał pozostać u siebie i kontynuować aktywność w sieci. A to kupił coś w sklepie internetowym, a to przeczytał, jak naprawić samodzielnie jakiś sprzęt, który popsuł mu się w domu. Przed dwunastą – jeżeli akurat w danym dniu trzeba było napisać jakieś pismo – poświęcali kilkanaście, w porywach do kilkudziesięciu minut na wykonanie swoich pracowniczych obowiązków. A potem już było z górki. Około południa wychodzili na obiad, dzięki czemu mogli odetchnąć świeżym powietrzem. Teoretycznie przerwa obiadowa powinna trwać około piętnastu minut, oni jednak wracali po dwóch godzinach, odwiedzwszy nie tylko stołówkę znajdującą się w sąsiednim budynku, ale także park i sklep spożywczy, w którym nabywali – i tu następował kolejny element wprowadzający urozmaicenie – piwo albo wino, w zależności od nastroju. I to nie wszystko – bo czasem postanawiali zaszaleć, odkryć nowe smaki. Wtedy wracali do biura z butelką porto, whisky, sherry albo innego wynalazku, na który w danym dniu poczuli ochotę. Na spożywaniu tego, co kupili, upływała im reszta dnia pracy.

Ten poniedziałek zaczął się tak jak każdy inny. Jan zjadł śniadanie, które przyniósł sobie z domu, wypił herbatę, którą zrobił sobie w pracowniczej kuchni, przejrzał kilka zupełnie nieistotnych wiadomości na portalach internetowych, po czym zainicjował tradycyjną poranną konwersację.

– Jak minął weekend, Konradzie? Poznałeś jakąś nową studentkę historii?

Konrad uśmiechnął się pod nosem.

– Taaak... – powiedział przeciągle tonem oznaczającym mieszanie obojętności, dumy i zadowolenia. – Nawet była niezła, ale bywało już znacznie lepiej. A ty?

– Ja jak zwykle nikogo nie poznałem, ale przynajmniej nie miałem wydatków – odparł Jan, przeciągając się i ziewając. – Trochę poczytałem, obejrzałem mecz, przeszedłem się na spacer. Nic szczególnego. Większość czasu jak zwykle spędziłem przed komputerem.

– Ciągłe rozwijasz swoje informatyczno-internetowe hobby i eksplorujesz ciemną sieć? – roześmiał się Konrad. – Mówię ci, Janek, uważaj, żebyś się całkowicie w tych ciemnościach nie zatopił. Ale doceniam to oryginalne połączenie: oficjalnie przykładowy urzędnik, prywatnie haker samouk. – Konrad był wyraźnie zadowolony ze swojej kpiącej uwagi.

– Żaden tam ze mnie haker – odparł Jan. – Ale nie bój się, zachowuję zdrowe proporcje. Poświęcam na to tylko weekendy. W tygodniu prawie w ogóle nie dotykam komputera w domu.

– To trochę mnie uspokoiłeś. A na strzelnicę nadal chodzisz? Może kiedyś przeszlibyśmy się razem, spróbowałbym tego sportu.

– Już od paru tygodni nie byłem. Chyba mi się znudziło. Nieskromnie przyznam, że szło mi bardzo dobrze i strzelanie do tarczy przestało być dla mnie wyzwaniem.

– No tak, ty jesteś opanowany i spokojny, masz predyspozycje. Ja bym się chyba nie nadawał – zakończył Konrad i przymknął oczy, wysyłając jasny sygnał, że wchodzi w fazę samotnej zadumy.

Jan nie był zaskoczony tym nagłym zakończeniem dialogu. Na takiej jak powyższa krótkiej wymianie uprzejmości zwykle kończyła się poranna rozmowa tej osobliwej urzędniczej pary. Konrad wylewniejszy stawał się po południu, gdy wracali ze sklepu. Rano nie mówił wiele, ale Janowi to odpowiadało. Poranek urzędnika nie miał być przecież czasem intelektualnych eksplozji. Miał być ciepłym przedśmionkiem dla całego leniwego dnia, który dopiero nadchodził.

Janowi dobrze siedziało się z Konradem. W państwowych urzędach panował jeszcze stary dobry zwyczaj lokowania pracowników w małych pokojach. Większość z nich była dwuosobowa. Nie praktykowano otwartych przestrzeni, tak charakterystycznych dla dużych korporacji. Była to być może jedna z zalet tej pracy, rekompensująca średni poziom zarobków. Bo w rządowych agencjach nie zarabiano się źle, ale nie zarabiano się również bardzo dobrze. Średnia krajowa – tylko tyle i aż tyle. Tym, którym to wystarczało, pasował taki układ. Nic zresztą dziwnego, jeśli wziąć pod uwagę inne instytucje z tak zwanej sfery budżetowej. Pielęgniarki albo nauczyciele, wykonujący znacznie trudniejszą i naprawdę pożyteczną pracę, nie mogli liczyć na podobne zarobki.

Konrad był rówieśnikiem Jana. Miał trzydzieści trzy lata i zdążył już ożenić się z koleżanką ze studiów, zrobić jej dwójkę dzieci, a następnie się z nią rozwieść. Rozwód nastąpił oczywiście z jego winy, bo Konrad notorycznie lekceważył ten zupełnie niezrozumiały z jego punktu widzenia przesąd, wedle którego mężczyzna ożeniony nie powinien uprawiać seksu z kobietami innymi niż jego małżonka. Żona Konrada przez pewien czas tolerowała jego wybujałe potrzeby, ale gdy urodziła dwójkę upragnionych dzieci, przekonała się, że są zdrowe i spokojnie da radę wychować je sama, wniosła pozew o rozwód i alimenty. Było to całkowicie zrozumiałe i Konrad w zasadzie przyjął jej wnioszek z ulgą. Alimenty nie stanowiły dla niego problemu, gdyż stałym źródłem finansowania jego potrzeb życiowych byli kochający i jednocześnie ponadprzeciętnie zamożni rodzice. Jedynym warunkiem, jaki stawiali, było posiadanie przez Konrada stałej pracy. Zależało im, aby syn nie wyrósł na zblazowanego obiboka, żądali więc, aby jak każdy uczciwy człowiek pracował na etacie. W ten sposób Konrad wylądował w Centrum Ulepszania Działań. Rodzice byli zadowoleni, a nawet dumni, że ich syn wykonuje społecznie pożyteczną pracę w szanowanym urzędzie, i z przyjemnością przelewali co miesiąc pięciocyfrowe kwoty na jego rachunek bankowy, nie zauważając, że pomimo tak szlachetnego zatrudnienia Konrad w istocie przeobraził się w zblazowanego obiboka, co jednak starał się skryć przed nimi ukrywać.

Po rozwodzie Konrad spotykał się z kobietami jeszcze częściej i w znacznie bardziej otwarty sposób, niż czynił to w trakcie trwania małżeństwa, jednak wraz z upływem czasu zaczął zauważać, że trzydziestoletnie koleżanki mają zupełnie inny stosunek do randek niż dawne partnerki z lat studenckich. Gdy Konrad miał dwadzieścia lat, jego ówczesne rówieśniczki podchodziły do wszystkiego na luzie, nikt na nikogo nie wywierał presji, a przygodne spotkania i flirty wiązały się z zabawą i przyjemnością, nie pociągając za sobą długoterminowych zobowiązań. Konrad trzydziestoletni zaczął się jednak spotykać z zupełnie innym traktowaniem. Przedstawicielki płci pięknej, które zapraszał do knajpy, do klubu albo po prostu do siebie do domu – owszem, chętnie wskakiwały z nim do szerokiego łóżka w jednej z sypialni jego pięciopokojowego apartamentu, ale gdy już było po wszystkim, zaczynały robić jakieś dziwne miny, czyniły mu uwagi oraz posyłały w jego

kierunku znaczące i wiele mówiące spojrzenia. Krótko mówiąc – oczekiwały, że skoro już uprawiały z nim seks, to naturalnym następstwem będzie przejście do kolejnych etapów tworzenia tak zwanego związku. Tymczasem Konrad potrzebował wyłącznie seksu i jednocześnie bronił się rękoma i nogami przed jakimkolwiek emocjonalnym zaangażowaniem. Dość szybko zwykle randki przestały go bawić, bo całą przyjemność z namiętnych zbliżeń zabierało mu wszystko to, co działo się potem, a co sprowadzało się do pretensji, wyzwisk i rozstania w gniewie. Dlatego ostatecznie po przekroczeniu trzydziestki Konrad postanowił zmienić sposób postępowania. Skoro potrzebował zaspokojenia swoich potrzeb seksualnych i niczego poza tym, zaczął korzystać z usług pań, które te potrzeby zaspokajały zawodowo, nie oczekując emocjonalnego zaangażowania z jego strony.

Nie lubił mówić o nich jako o prostytutkach. Trzeba zresztą przyznać, że nie były to pierwsze lepsze kobiety łąjące klientów na ulicy. Konrad w każdy piątek i sobotę udawał się do jednego ze znanych mu klubów, spotykał tam znajomych, spożywał alkohol, a potem w pewnym momencie nie wiadomo skąd pojawiały się młode dziewczyny, najczęściej dorabiające do stypendium lub jego braku studentki, które umilały czas gościom – najpierw na miejscu, a potem już w parach, podczas zajęć indywidualnych. Konrad zwykle zabierał je do swojego mieszkania, bo tam czuł się najlepiej – po wszystkim mógł od razu zapłacić i odprawić studentkę, po czym kładł się spać w poczuciu dobrze wykorzystanego czasu.

Nazywał je studentkami historii, bo – jak mawiał – potrafiły bezbłędnie ocenić wartość dziejowej spuścizny, jaką pozostawili po sobie poszczególni władcy Polski. Każda z nich kategorycznie odrzucała dorobek Mieszka I oraz Bolesława Chrobrego, a na Kazimierza Wielkiego patrzyła z grymasem zażenowania. Jedynymi akceptowanymi królami byli Władysław Jagiełło i Zygmunt Stary, przy czym dopiero wielokrotność ich wizerunków w pełni odpowiadała aspiracjom studentek. Dlatego Konrad przed każdym weekendem zaopatrywał się w bankomacie w portrety królów uwidocznione na biletach NBP i w ten sposób zapewniał sobie przychylność wieczornych towarzyszek.

Jan był rówieśnikiem Konrada, ale jego życie osobiste ułożyło się w zupełnie inny sposób. Jan spotykał się w przeszłości z kilkoma dziewczynami, ale za każdym razem próba miłosnego podboju kończyła się niepowodzeniem i rozczarowaniem. Jan szukał idealnego związku, chciał odnaleźć tę jedyną wybraną, która pokocha go bezgranicznie, a on odda jej się bez końca. Miał stały sposób działania – wypatrywał swój cel wśród koleżanek z klasy, ze studiów albo z pracy, obserwował ją, marzył o niej, planował, myślał o tym, jak zacząć, jak podejść do niej, jak podjąć rozmowę, gdzie ją zaprosić, o czym rozmawiać. Idealizował ją sobie we własnej wyobraźni. Ten etap trwał kilka tygodni, czasem kilka miesięcy. Aż wreszcie podejmował działania. Zapraszał ją na randkę, do kina, do knajpy, na spacer.

Ten sposób postępowania nie przyniósł jak dotąd sukcesu. Raz kończyły się już po pierwszym spotkaniu, innym razem po kilku dniach albo tygodniach. Nigdy nie trwało to długo. Takich wybrank Jan miał może pięć albo sześć – niewiele, bo wielotygodniowe rozmyślanie i planowanie oraz następujące po szybkim rozstaniu wielomiesięczne okresy zniechęcenia skonsumowały większość czasu, który zwykle nazywamy młodością. Mimo to, będąc już po trzydziestce, Jan nie wyciągnął wniosków z poprzednich lat i w życiu uczuciowym postępował cały czas tak samo. Tym razem skoncentrował się na koleżance z pracy – Joannie. Adorował ją coraz odważniej, próbował nawet zaprosić na randkę. Ona jednak pozostawała nieugięta. Mówiła jasno, że nie łączy pracy z życiem osobistym. Owszem, lubi Jana, przyjemnie jej się z nim pracuje i rozmawia, ale nie zamierza wchodzić w bliskie znajomości, bo praca to praca, a życie to życie. W ogóle Joanna zachowywała się dziwnie. Pociągała Jana w niezrozumiały dla niego sposób, ale generalnie była chłodna, nieprzystępna i bardzo

zamknięta w sobie, tak jakby obawiała się zbliżyć do kogokolwiek. Pojawiały się tylko chwile, pojedyncze momenty, w których nagle się otwierała, tak jakby na jej pancerzu pojawiła się mała rysa, przez którą próbował się prześlizgnąć strumień światła wychodzący ze środka. Te momenty budowały w nim przekonanie, że Joanna tak naprawdę jest w głębi duszy inna, że jedynie pozuje na zamkniętą i zimną, ale z jakichś powodów czeka tylko na odkrycie, na ośmielenie, na obudzenie tego wewnętrznego żaru. Wciąż wmawiał sobie, że to właśnie on dokona tego, co na pozór wydawało się niemożliwe.

Gdyby w swoim postępowaniu wobec Joanny kierował się racjonalnością, tak jak zwykł to czynić we wszystkich innych dziedzinach swojego życia, powinien był już dawno dać sobie spokój. On jednak odczytywał postawę koleżanki niejako na opak. Wzmagała ona jego ekscytację, wmawiał sobie, że wprawdzie odmawia mu wejścia w bliższą relację, ale przecież motywuje to tylko tym, że razem pracują, więc w zasadzie nie przekreśla to jego szans, wystarczy jeszcze trochę się postarać, a być może przebije się przez ten mur profesjonalizmu i chłodu. Jan widział, że Joanna wysyła sprzeczne sygnały. Wprawdzie zazwyczaj była zamknięta w sobie i niedostępna, ale zdarzały się również dni, w których chętnie z nim rozmawiała, uśmiechała się do niego, a czasem nawet sama przychodziła do jego pokoju, aby poplotkować i pośmiać się wspólnie. Zdarzało się to jednak rzadko, a wszelkie próby spotkania się z nią poza biurem jak dotąd spęły na niczym.

Przez to, że Joanna tak broniła swojej prywatności, Jan popadł nawet w lekką paranoję. Jak każdy zakazany owoc jej życie poza biurem stało się dla niego czymś atrakcyjnym, ciekawym. Kiedyś podejrzwał na jej biurku jakieś pismo, które napisała w swojej prywatnej sprawie do urzędu skarbowego. Rzucił okiem na nagłówek i znalazł tam jej adres. Sam pomyślał kiedyś, że to chore, ale przejeżdżając pewnego dnia samochodem przez Grochów, specjalnie pojechał okrężną drogą, żeby zobaczyć budynek, w którym mieszkała. Ta jej tajemniczość go pociągała. Mimo to był cały czas ostrożny, nie chciał jej się narzucać. Wyszedł z założenia, że trzeba utrzymywać z nią stały kontakt do czasu, aż sama się przełamie i bardziej przed nim otworzy.

Tym bardziej że teraz życie osobiste Jan odsunął na drugi plan. Był w trakcie realizacji swojego tajemnego przedsięwzięcia. Gdy sfinalizuje wszystko, tak jak sobie zaplanował, wtedy może również w sprawie Joanny coś się wreszcie zmieni. A na razie spokojnie, bez napinania się, bez presji. Normalne koleżeńskie stosunki.

Jan wstał i już miał wyjść z pokoju, by udać się w odwiedziny do Joanny i siedzącej z nią w pokoju Klaudii, gdy Konrad, który tymczasem zdążył się już wybudzić z zamyślenia, otworzyć oczy i przejść do kolejnej fazy przeglądania internetu, zapytał:

– Czytałeś o tym seryjnym mordercy? W ciągu ostatnich trzech dni w Warszawie znaleziono trzy trupy. Każdej nocy po jednym morderstwie. I piszą tutaj, że policja oczywiście niczego nie potwierdza, ale nieoficjalnie wiadomo, że na razie nie mają żadnych świadków ani śladów, dzięki którym mogliby zidentyfikować sprawcę, mimo że ten na każdym miejscu zbrodni pozostawia swój podpis. To znaczy pistolet. Zabija nim ofiarę, władowuje cały magazynek, a potem porzuca broń i odchodzi. I zawsze jest to ten sam rodzaj broni. Niezły psychol. O, i najlepsze, posłuchaj. – Tu Konrad zaczął czytać na głos tekst internetowego artykułu: – „Z nieoficjalnych informacji, które zweryfikowaliśmy w dwóch niezależnych źródłach, wynika, że morderca używa unikalnego modelu broni pochodzącego z kradzieży dokonanej kilka miesięcy wcześniej w policyjnym magazynie Komendy Stołecznej. Nasi informatorzy potwierdzają, że na początku lata tego roku odkryto, że z partii zakupionych przez polską policję nowoczesnych, małych i bardzo skutecznych pistoletów zaopatrzonych w tłumiki, z magazynkami na

sześć naboii, przeznaczonych do specjalistycznych zadań operacyjnych, zniknęło dwadzieścia sztuk wraz z amunicją. Policja nie ujawniała informacji o tej kradzieży aż do teraz, kiedy wyszła ona na jaw w związku z serią zabójstw popełnionych w ostatnich dniach w różnych dzielnicach Warszawy”. Rozumiesz to, Janek? Nie dość, że ktoś zabija ludzi, to na dodatek strzela z broni, którą zwinął policjantom! Nie do pomyslenia. – Konrad pokręcił głową z niedowierzaniem.

Jan wzruszył ramionami.

– Czytałem o tym. Ale w tym kraju nic mnie już nie zdziwi.

To była ulubiona formułka Jana, którą wypowiadał przy każdej możliwej okazji. Była w zasadzie prawdziwa. Jana rzeczywiście nic nie dziwiło. Zdziwienie jest charakterystyczne dla osób, które sądzą, że istnieje jakiś idealny model świata, do którego powinniśmy zmierzać, w związku z czym fakt, że do niego nie zmierzamy, jest tak niezrozumiały i zaskakujący. Jan wiedział, że idealny model świata nie istnieje, że świat po prostu jest taki, jaki jest. Dlatego nie dodał nic więcej, tylko wyszedł z pokoju.

Joanna i Klaudia siedziały w ciszy, wpatrzone w ekrany swoich komputerów. Joanna spojrzała krótko na Jana, powiedziała szybkie „hej” i znów zajęła się monitorem. Klaudia postąpiła zupełnie inaczej – uśmiechnęła się szeroko, powiedziała gromkie „cześć, Janek!” i spojrzała na niego wzrokiem, który jak zwykle trochę go zawstydził. On ciągle interesował się Joanną, która notorycznie odmawiała mu dostępu do swojej prywatności, tymczasem Janem bardzo interesowała się Klaudia. Jan wiedział, że od razu zgodziłaby się, gdyby zaproponował jej randkę. Ba, czasem miał wrażenie, że oczy Klaudii wpatrzone w niego mówią wręcz: „Janek, zróbmy to tu i teraz, weź mnie i kochaj się ze mną na biurku”. Czasem wyobrażał sobie, że robi to z Klaudią. Nawet go pociągała. Była atrakcyjną ciemną blondynką z klasyczną fryzurą dosięgającą ramion, miała szczupłą figurę i całkiem ładne piersi. Swoje fizyczne atuty chętnie eksponowała za pomocą obcisłej odzieży, w której bez skrupowania przychodziła do pracy. W gruncie rzeczy była fajna, ładna i wyluzowana. Ale niestety nie była Joanną. A to Joanna pociągała Jana, to na jej widok serce zaczynało bić mu mocniej. Nie wiedział dlaczego. Joanna była z pozoru przeciętną brunetką, miała długie włosy, które jednak upinała, by pozostawały pod kontrolą, ubierała się skromnie w długie spodnie albo spódnice i wyciągnięte swetry, na szyi nosiła zwykle jakąś apaszkę albo podobny element ubioru, generalnie nie była pięknoscią, a tych detali urody, które można byłoby uznać za atut, wcale nie starała się uwypuklać – przeciwnie, zasłaniała wszystko, co można było zasłonić. Jan nie wiedział, co go w niej najbardziej pociągało, być może był to uśmiech, który pojawiał się na jej twarzy rzadko, ale gdy już się objawił, zmieniał ją całkowicie. Joanna pociągała Jana również tym, czym chciała go od siebie odepchnąć – tajemniczością, skrytością. Dotyczyło to zarówno jej życia, jak i wyglądu – wydawało jej się, że jeśli ukryje swoje piersi pod szerokim swetrem, to nie będą one zwracać niczyjej uwagi, tymczasem dla Jana był to tylko przyczynek do uruchomienia wyobraźni, w której stawały się one prawdopodobnie jeszcze okazalsze, niż były w rzeczywistości. Jeśli nie mówiła nic o swoim życiu prywatnym, Jan wyobrażał sobie, że jest ono w gruncie rzeczy wypełnione – wbrew jej chłodnej postawie – marzeniami o wielkiej miłości i oczekiwaniem na upragnionego mężczyznę jej życia, którym oczywiście w domyśle Jan prędzej czy później miał się okazać. Jan sam już zaczynał rozumieć, że jego wyobrażenia są najprawdopodobniej dalekie od rzeczywistości, że zauroczenie Joanną jest głupie i absurdalne, że z powodu tego zauroczenia traci cenny czas, który mógłby poświęcić bardziej przychylniej sobie dziewczynie, choćby Klaudii. Ale wtedy na siłę znajdował jakąś wymówkę, na przykład że Klaudia tak strasznie dużo gada, ciągle trajkocze bez sensu i gdyby spędzał z nią więcej czasu, to pewnie by zwariował od tego ciągłego gadania. A Joanna jest taka cicha, spokojna, no i ma to coś, co go pociąga. Zawsze na końcu Jan wracał do punktu wyjścia.

– Jak wam minął weekend? – rozpoczął standardowo.

– Przecież wiesz, że ja nic ci nie powiem – odpowiedziała szybko Joanna, nie odrywając wzroku od komputera. – Ale jeśli chcesz, to możesz coś opowiedzieć o sobie.

Jan zbył tę całkowicie przewidywalną odpowiedź rutynowym uśmiechem, za którym mimo wszystko kryła się delikatna nuta rozczarowania, po czym popatrzył na wciąż roześmianą Klaudię.

– A ja się strasznie wynudziłam w weekend – powiedziała Klaudia, zmieniając nagle wyraz twarzy na udawane zasmucenie. – Znow nie miał mnie kto przytulić albo pójść ze mną na spacer. – Spojrzała znacząco na Jana, aby po chwili znow szeroko się uśmiechnąć. – Ale mimo to jakoś przeżyłam, w zasadzie to nawet miałam sporo zajęć, byłam w sobotę na zawodach, był znow jakiś bieg na dziesięć kilometrów, wiecie, że zawsze zapisuję się na te różne biegi, w sumie to wyciąganie pieniędzy, bo wpisowe trzeba zapłacić, a i tak wygrywają zawsze jacyś Kenijczycy, mogłabym po prostu pobiegać sobie po parku, ale jakoś tak już się przyzwyczałam, że jak jest bieg w Warszawie, to się zapisuję i biegnę, no więc machnęłam tę dychę, a wieczorem poszłam z kumpelą do kina na ten nowy amerykański film, czekajcie, jak on się nazywa, no ten o takim bohaterze, co znow ratuje świat, Aśka, pamiętasz, jaki to tytuł, bo ja byłam dwa dni temu, a już zapomniałam, taka ze mnie kinomanka – roześmiała się gromko – nieważne, film słaby, ale przynajmniej objadłyśmy się popcornu, potem poszłyśmy na piwo, ponarzekałyśmy sobie jak zwykle, więc było całkiem przyjemnie. A w niedzielę rano leczyłam kaca, a potem to już mi się nie chciało wychodzić, w telewizji coś oglądałam, ale tam same głupoty są, zresztą sami wiecie, a ty, Janek, co w weekend robiłeś?

Jan odpowiedział paroma ogólnikami podobnymi do tych, które wcześniej zaprezentował Konradowi. Widział, że Joanna nie ma ochoty na rozmowę, a Klaudia – choć ładna i aż nadto otwarta – rozpoczynała swoje trajkotanie, więc postanowił, że się wycofa i odwiedzi kogoś innego. Pomyślał, że może Joanna wydaje mu się tak atrakcyjna właśnie dlatego, że nic nie mówi. Człowiek milczący zwykle wychodzi na najmądrzejszego. Klaudia potrafiła mówić bez przerwy, ale Janowi wydawało się to odpychające i budziło jego zażenowanie. W sumie w tym, co mówiła, nie było nic złego, opowiadała o swoim zwykłym życiu, on wolny czas spędzał w podobnie błahy sposób, bo przecież życie nie jest niczym więcej, jak tylko trwaniem. Ludzie, którzy dorabiają do swojego życia wzniosłą ideologię, chcąc nadać mu znaczenie i wagę, okazują się zwykle przemądrzałymi bufonami. Można wręcz powiedzieć, że życie Klaudii z punktu widzenia światopoglądu Jana było modelowym przykładem udanej i pozbawionej trosk egzystencji. A mimo wszystko irytowało go, gdy szczegółowo relacjonowała swoją zwyczajną codzienność. Nasze życie jest puste, myślał Jan, bo takie być musi, ale czy trzeba o tym aż tyle opowiadać? Zadawał sobie to pytanie, zastanawiając się jednocześnie, czy aby przypadkiem nie szuka na siłę wytłumaczenia dla zachowywania wobec Klaudii podobnego dystansu, jaki Joanna budowała w stosunku do niego.

Wiedział, że jest niesprawiedliwy. Ulegał czemuś, co było swego rodzaju społecznym konsensusem. Częste mówienie o błahostkach było źle widziane i traktowane jako przejaw niskiego poziomu kultury i miałości intelektualnej. Z drugiej strony jednak Jan zdawał sobie sprawę, że właśnie wokół błahostek koncentruje się nasze życie. Udawanie, że tak nie jest, świadczy o hipokryzji. Być może zatem sytuacja przedstawia się inaczej, niż powszechnie sądzimy. Skoro pustka naszego życia jest czymś nieuniknionym, dlaczego nie mielibyśmy jej wypełniać mówieniem jako celem samym w sobie? Rozmowa jest przecież formą komunikacji, a komunikacja – nawet w prymitywnej formie – jest elementem łączącym ludzi. Może więc lepiej mówić o niczym niż nie mówić nic? Jan czasem rozważał takie kwestie, ale traktował to jako czystą teorię i toczył te rozważania wyłącznie po to, by zapewnić

krótki odcinek czasu, na przykład ten potrzebny do przemieszczenia się między pokojem Joanny i Klaudii a biurem zajmowanym przez Tomka i Marcina. Z nimi porozmawia nie o tym, jak kto spędził weekend, bo oni mieli żony i dzieci, a Jana opowieści o rodzinnym życiu nudziły jeszcze bardziej niż trajkotanie Klaudii. Z nimi porozmawia o sobotnim meczu. Temat tak samo trywialny jak wyjście do kina na amerykański film o ratowaniu świata, a mimo to Jan wolał takie rozmowy. W nich czuł się dobrze, mimo że tak naprawdę było mu obojętne, czy warszawski klub wygrał, przegrał czy zremisował.

ROZDZIAŁ 2

MARYSIA, PONIEDZIAŁEK OKOŁO POŁUDNIA

Marysia wyszła ze szkoły po piątej lekcji. Widziała, że większość dzieci w jej klasie jest odbierana przez rodziców, ale po nią mama już nie przychodziła. Była kilka razy w pierwszych dniach września, bo to przecież pierwsza klasa, początek szkoły, duże wydarzenie, ale potem powiedziała, że Marysia jest już duża, ma siedem lat i może spokojnie wracać sama do domu. Mama podpisała jakiś papierowy dokument i Marysia była wypuszczana przez panią bez opieki. Marysi to się nawet podobało, odległość ze szkoły do domu była niewielka, droga prowadziła przez zielone osiedle. Marysia rozumiała, że mama ma dużo zajęć, musi zrobić zakupy, ugotować obiad, odebrać dwa lata młodszą Majkę z przedszkola, a w międzyczasie jeszcze idzie na kilka godzin do pracy. Marysia zapytała ją kiedyś, gdzie pracuje, i mama odpowiedziała, że robi porządki w mieszkaniach różnych pań i panów, którzy mają tyle pracy, że sami nie dają rady wysprzątać swojego domu, więc ona musi im pomagać. Mama musiała pracować i zarabiać pieniądze, bo tata niestety nigdzie nie pracował, choć całymi dniami przebywał poza domem. Wracał zazwyczaj wieczorem i często był wtedy bardzo zdenerwowany.

Dziewczynka wracała więc ze szkoły sama. Dobrze sobie radziła, była samodzielna i podobało jej się, że mogła decydować, jak szybko wróci do domu – czy zważym, czy powolnym krokiem, czy przemknie błyskawicznie, nie oglądając się na nic, czy też przystanie trochę przy osiedlowym jeziorku albo popatrzy na ptaki latające od drzewa do drzewa. Lubiła te swoje powroty ze szkoły i zazwyczaj wcale nie spieszyło jej się do domu.

Ale dziś nie była w stanie skupić się na październikowym parku zapelnianym się kolorowymi liśćmi ani na pięknym słońcu zapewniającym ciepłe jak na tę porę roku popołudnie. Jej myśli zaprzętało to, co wydarzyło się w szkole.

Dziś na jednej z lekcji pojawiła się miła pani w mundurze. Powiedziała, że jest policjantką, i opowiadała różne ciekawe rzeczy. Mówiła o tym, że trzeba uważać, przechodząc przez ulicę, że jeśli na podwórku zaczepia nas jakiś nieznajomy pan albo pani, to trzeba być ostrożnym, nie powinno się brać od tej osoby żadnych cukierków ani innych rzeczy do jedzenia, bo mogą nie być bezpieczne, a już na pewno nie można z kimś takim nigdzie iść. Ale Marysię najbardziej zaciekawilo i jednocześnie zdziwiło to, że według policjantki dzieci nie mogą być bite przez dorosłych, a zwłaszcza przez rodziców. Marysia nie bardzo rozumiała, o co chodzi. Wprawdzie już kiedyś rozmawiała z jedną z koleżanek, która opowiadała Marysi o swoim tacie. Wtedy bardzo ją zaskoczyło, że podobno tata tamtej dziewczynki zabierał ją czasem na wycieczki, zdarzało się, że kupował jej lody albo jakąś zabawkę, grał czasem w różne gry, a do tego rozmawiał z nią o tym, co działo się w szkole. Tata Marysi nigdy nic takiego nie robił. Co najwyżej – jeśli był akurat w domu w ciągu dnia – wydawał jej polecenia. Mówił, co ma mu przynieść albo po co pójść do osiedlowego sklepu. Marysia spytała wtedy

koleżankę, czy to znaczy, że ona nie boi się swojego taty, bo przecież tata zawsze może nakrzyczeć albo ją uderzyć. Koleżanka odparła zdumiona, że jej tata nigdy nie bije ani jej, ani nikogo innego, bo przecież wiadomo, że nie można nikogo bić, a zwłaszcza słabszych od siebie, więc o czym Marysia w ogóle opowiada. I Marysia wtedy już poczuła, że czegoś tu nie rozumie. A teraz ta pani policjantka mówiła coś podobnego i jeszcze dodawała, że jeśli ktoś z dzieci zobaczy, że dorosły bije dziecko albo na przykład tata bije mamę, to trzeba wtedy wezwać policję. Marysia pomyślała, że niby jak miałyby wezwać, skoro nie ma dostępu do żadnego telefonu, a jak tata bije mamę, to zwykle jest już późno, więc ona i siostra muszą leżeć w łóżkach ubrane w piżamy, więc nie mogłyby nigdzie wyjść i tej policji zawołać. Zresztą nawet gdyby spróbowała, tata od razu by ją zauważył, złapał i spuścił niezłe lanie. Ale Marysi przyszło też do głowy inne pytanie, znacznie ważniejsze i bardziej ją nurtujące. Była zbyt nieśmiała, by je zadać, więc nadal huczało ono w jej głowie, gdy wracała ścieżką wśród drzew rosnących na Sadach Żoliborskich ze swojej szkoły podstawowej do bloku, w którym mieszkała. Zadawała sobie pytanie, po co pani policjantka kazała w takich sytuacjach wzywać policję. Przecież już kilka razy, kiedy tata bił mamę i mama bardzo głośno krzyczała i płakała, do ich mieszkania przyjeżdżała policja. Zdarzało się nawet, że panowie policjanci zabrali tatę ze sobą. Ale tata szybko wracał, zwykle tej samej nocy, i nie wyglądało na to, żeby jakoś go ukarali. Marysia doszła do wniosku, że pewnie policjanci przyjeżdżali wtedy nie ze względu na krzyczącą mamę, tylko dlatego, że chcieli się spotkać z tatą i pogadać. Przecież tata do jednego z tych policjantów mówił po imieniu i było widać, że dobrze się znają. Marysia myślała więc, że tata robi coś całkiem normalnego, zwłaszcza że mama nigdy nie narzekała. To znaczy oczywiście nie lubiła dostawać lania od taty, zdarzało się, że wiała się, jęczała i płakała z bólu, ale gdy już było po wszystkim, nic złego nie mówiła, a tata powtarzał, że jej się należało. Skoro tata tak twierdził, to Marysia dochodziła do wniosku, że widocznie rzeczywiście się należało. Że taty trzeba słuchać, wykonywać szybko wszystkie polecenia, a wtedy być może tata nie będzie bił. Wprawdzie mamę bił prawie codziennie, nawet kiedy robiła wszystko, co jej kazał, ale Marysia myślała, że tak widocznie musi być. Marysię i małą Maję tata bił tylko wtedy, kiedy naprawdę były niegrzeczne. To znaczy, jeśli na przykład Marysia nie przyniosła tacie piwa z lodówki od razu, bo akurat była w łazience, kiedy ją zawołał. Wtedy przywalił jej w buzię tak, że potem bolało przez tydzień. Ale Marysia uznała, że najwyraźniej zrobiła coś złego, i zdecydowała, że następnym razem postara się zadziałać od razu, kiedy tata zawoła, bolało ją tylko to, że mama wtedy przez kolejne kilka dni nie wysyłała jej do przedszkola, a Marysia lubiła swoje przedszkole. Było tam fajnie i spokojnie, miała dwie koleżanki, z którymi się trzymała. Teraz już się z nimi nie spotyka, bo chodzi od ponad miesiąca do szkoły – do pierwszej klasy. Nowe dzieci, nowe doświadczenia. Marysia wiedziała, że szkoła jest po to, żeby się uczyć różnych rzeczy, ale tego, co słyszała dzisiaj w szkole, ciągle nie mogła zrozumieć. Pomyślała, że może zapyta mamę, ale podejrzewała, że od mamy niewiele się dowie. Mama bardzo boi się taty i jednocześnie bardzo go kocha. Przecież mówi zawsze do niego „Józiu”, „Józienku”, mówi to takim strachliwym, trzęsącym się głosem, ale zawsze takim głosem mówiła, więc pewnie tak zwykle mówią mamusi do tatusiów. Nie, mama też raczej nie będzie rozumieć, o co chodziło pani policjantce.

ROZDZIAŁ 3

JAN, PONIEDZIAŁEK OKOŁO POŁUDNIA I PO POŁUDNIU

Reszta dnia pracy minęła bez żadnych niespodzianek. Przed południem Jan sprawdził pocztę elektroniczną i znalazł tam wiadomość od Agaty, naczelniczki jego wydziału, z poleceniem napisania jednego pisma. Prasa donosiła, że w środę w ubiegłym tygodniu pod Warszawą odbyły się ćwiczenia wojsk lotniczych i lądowych. Wśród wielu zadań przewidzianych do realizacji był desant powietrzny jednej grupy żołnierzy na teren zajmowany przez drugą z grup. Młodzi oficerowie mieli wyskoczyć z kilku samolotów ze spadochronami, wylądować i w ten sposób zaskoczyć przeciwnika, który zgodnie ze scenariuszem przygotowanym przez dowódców zupełnie nie spodziewał się takiego manewru. Wszystko przebiegało zgodnie z planem do momentu, aż jeden z żołnierzy, który wyskoczył z ostatniego samolotu, mimo usilnych prób otwarcia spadochronu nie osiągnął pożądanego rezultatu, w wyniku czego spadł na ziemię z ogromną prędkością i poniósł śmierć na miejscu. Manewry przerwano, wojsko zapewniało, że wyjaśnia okoliczności wypadku, ale nieoficjalne doniesienia medialne wskazywały, że żołnierze używali starych spadochronów, które już dawno miały zostać wycofane z użytku, a mimo to polecono im z nimi skakać. Prasa grzmiła, że po raz kolejny minimalizowanie kosztów i łamanie procedur doprowadziło do tragedii oraz śmierci człowieka. W radiu i telewizji rodzice żołnierza wylewali łzy i oskarżali dowódców. Dowódcy milczeli albo zaprzeczali, twierdząc, że śledztwo wykaże, co było przyczyną wypadku, ale na pewno wszelkie zasady bezpieczeństwa zostały zachowane. W sumie cały ten szum medialny niczym nie różnił się od tego, co zwykle działo się w podobnych sytuacjach. Jan sporządził więc szybko standardowe pismo, w którym kategorycznie apelował do ministra obrony o ulepszenie działań wojska w zakresie bezpieczeństwa oraz o dopilnowanie, aby wszelkie procedury były bezwzględnie przestrzegane. Za dwa albo trzy tygodnie nadejście odpowiedź ministra, w której ten zapewni, że niezwłocznie podjął kroki oraz dołożył starań, ale to Jana już w ogóle nie interesowało.

Sporządził pismo i mógł je od razu wydrukować i przekazać do naczelniczki Agaty, nadając mu standardową ścieżkę służbową. Nie zrobił tego jednak. Był doświadczonym urzędnikiem, toteż wiedział, że napisanie pisma i nadanie mu biegu w ciągu pół godziny wyglądałoby fatalnie. Nikt rozsądny czegoś takiego nie robił. Byłby to jawny znak, że Jan nie ma kompletnie nic do roboty. Oczywiście nie miał nic do roboty, tak jak cała reszta pracowników, ale w dobrym tonie było udawanie, że każdy mimo wszystko jest zavalony pracą i pochłonięty obowiązkami. Był to swoisty *savoir-vivre* urzędniczej społeczności. Nie wypadało wychodzić przed szereg i wykonywać pracy zbyt szybko. Napisanie prostego pisma powinno zajmować co najmniej od dwóch do trzech dni. Dlatego Jan sporządził pismo, ale wiedział, że jeśli napisał je w poniedziałek, to jego wydrukowanie i przekazanie

dalej powinien zaplanować najwcześniej na środę, a najlepiej na czwartek. W ten sposób uzyskiwał idealną harmonię pomiędzy sprzecznymi żywiołami rządzącymi administracyjnym porządkiem – pilnością spraw i ich natłokiem. W rzeczywistości sprawy, jakimi zajmowali się pracownicy, nie były pilne ani nie było ich wiele, a nade wszystko – nie były wcale ważne, skoro prowadziły jedynie do działań pozorowanych. Ale oficjalna wersja, której wszyscy zawsze się trzymali, była taka, że wszystko jest pilne, niezwyklej wagi i jest tego bardzo dużo. Uruchomienie pisma po trzech dniach od momentu otrzymania polecenia jego sporządzenia w doskonały sposób wpasowywało się w tę niepisaną zasadę, że pracę trzeba wykonać na tyle szybko, aby można było się pochwalić sprawnością działania, ale jednocześnie z odpowiednim poślizgiem, aby stworzyć wrażenie, że sprawy jednak nie dało się załatwić od ręki i musiała ona poczekać kilka dni na swoją kolej.

W południe Jan i Konrad wyszli na obiad, a potem poszli na spacer do parku. Był październik, całkiem ładny i słoneczny dzień. Można było jeszcze spacerować bez kurtki, ale gdyby zechcieli usiąść na ławce, mogliby już zmarznąć. Ruch powodował, że było im ciepło, jednak nie spieszyli się nadto, nie mieli do czego się spieszyć. Trochę rozmawiali o byle czym, trochę spacerowali w milczeniu, snując się leniwie po otoczonych zielenią chodnikach. Na koniec odwiedzili sklep spożywczy i kupili dwa zimne piwa.

Jan rozważał początkowo, czy nie zdecydować się tego dnia na wino. Wino byłoby dobre, jeśli chcieliby zaprosić jakieś towarzystwo. W zasadzie wtedy trzeba by było kupić dwa wina. Jednak Joanna jak zwykle nie była w dobrym humorze i na pewno odrzuciłaby zaproszenie.

Klaudia – to co innego. Zgodziłaby się chętnie. Jan znajdował przyjemność w patrzeniu na nią i ta przyjemność często rekompensowała dyskomfort związany ze słuchaniem jej trajkotania, do którego zresztą można się było przyzwyczaić i po jakimś czasie ten irytujący ton w jej głosie zagłuszały inne – odkrywane dopiero po dłuższym kontakcie z Klaudią – akordy dziwnej bliskości, zażyłości, którą Jan odczuwał w jej głosie, choć nie wiedział, z czego to wynika. Było to coś nieuchwytnego, ale miał wrażenie, że on i Klaudia mają ze sobą coś wspólnego, że coś ich łączy, odczuwał to i jednocześnie odpychał tę myśl od siebie, bo wywoływała w nim zażenowanie. Klaudia zbyt często plotła trzy po trzy, wypowiadała mnóstwo banalnych tekstów zawierających mało odkrywcze treści. A nawet jeśli było tam coś odkrywczego czy oryginalnego, ginęło w natłoku słów, gestów i wybuchów śmiechu. Tak, Jan czuł pewną ambiwalencję w kontaktach z Klaudią, ale przynajmniej nie była dla niego obojętna – w przeciwieństwie do większości innych ludzi, którzy go otaczali.

Tak czy inaczej, tego dnia zaproszenie Klaudii na wspólną alkoholową ucztę nie byłoby dobrym pomysłem. Przy braku Joanny oraz małym prawdopodobieństwie zwerbowania innych uczestników Klaudia przyszlaby zapewne sama. Jan by to spokojnie zaakceptował, ale wiedział, że Konradowi zepsułoby to całe popołudnie. Konrad twierdził, że Klaudia w większym gronie jest nawet całkiem w porządku, natomiast Klaudia pojedyncza i w konsekwencji dominująca w rozmowie to już dla niego zdecydowanie za wiele. Czasami zdarzało się, że Klaudia samodzielnie odwiedzała ich pokój pod pretekstem załatwiania jakiejś sprawy albo po prostu w czysto towarzyskich zamiarach. Konrad zwykle już po minucie wychodził, niby to do kuchni albo do łazienki, i długo nie wracał. Konrad był krytyczny w ocenie Klaudii. W ogóle był krytyczny w ocenie wszystkich ludzi. Każdy go w jakiś sposób denerwował, irytował, do każdego miał jakieś zastrzeżenia. W sumie nic dziwnego, że wybrał ostatecznie samotne życie bez rodziny. Chyba tylko jego własne dzieci, które odwiedzał w domu byłej żony dwa razy w tygodniu, budziły w nim jednoznacznie pozytywne emocje. Również na Jana Konrad niejednokrotnie narzekał, ale mimo wszystko rzadziej niż na innych. W ciągu kilku lat ułożyli sobie

wspólne biurowe życie w sposób dla obu akceptowalny. Dlatego najczęściej spędzali popołudnia bez dodatkowych gości, bo każdy kolejny uczestnik spotkania był zarówno ciekawym urozmaiceniem, jak i czynnikiem ryzyka. Konrad bywał bowiem nerwowy i gdy tylko się czymś zirytował, o co nie było trudno, zamykał się w sobie, stawał się mrukiwy i mało mówny, a to z kolei stwarzało nieprzyjemną atmosferę i psuło humory wszystkim pozostałym. Najczęściej więc postanawiali nie ryzykować i nie zapraszać do siebie dodatkowego towarzystwa.

Ostatecznie więc zdecydowali, że wypiją po piwie i to będzie w porządku. Konrad sugerował, żeby kupić po dwa, ale Jan wiedział, że po powrocie z pracy będzie musiał prowadzić samochód, więc tym razem postanowili rozpocząć tydzień wyjątkowo delikatnym akcentem.

Zaczęli biesiadę o czternastej dwadzieścia i mimo że starali się przeciągać spożycie jak najdłużej, za kwadrans trzecia butelki były już puste. Włożyli je do plecaków, aby wyrzucić do kosza po wyjściu z budynku. Pozostały czas spędzili na lekturze internetowych informacji, plotek i artykułów prasowych. Jan przeczytał jakiś tekst o tematyce gospodarczej i popadł w stan zamyślenia, w którym przetrwał do końca dnia pracy. Był z wykształcenia ekonomistą i nadal hobbystycznie interesował się zagadnieniami z tej dziedziny, choć w jego pracy nie były mu do niczego potrzebne. Często, gdy czytał coś o planach rządu, o polityce gospodarczej albo o stopach procentowych, puszczał wodze własnej wyobraźni i układał w głowie różne opinie, które chętnie wypowiedziałyby na temat polityki fiskalnej albo pieniężnej, gdyby tylko ktoś go o to zapytał. Oczywiście nikt nigdy nie pytał, a te wszystkie opinie, niekiedy całkiem zgrabnie sklecone i niepozbawione logiki, pozostawały w jego umyśle i szybko stamtąd zniknęły, zapomniane po kwadransie. Tym niemniej co jakiś czas popadał w takie zadumy, zamyślenia, rozważał to albo tamto, imaginował sobie, jak by to wyglądało, gdyby wypowiedział się na antenie radia albo telewizji w zamian za tych, którzy w rzeczywistości tam się wypowiadają. Jan z pewnością mówiłby zupełnie inaczej. W przeciwieństwie do tych, którzy nawet jeśli zamierzali wyrazić swój krytycyzm, mówili, że jakaś decyzja rządu „jest niezrozumiała”, „budzi wątpliwości” albo „wymagałaby dodatkowych wyjaśnień”, on nie owijałby w bawełnę. Waliłby prosto z mostu, że to jest skandal i dowód ekonomicznej ignorancji rządowych decydentów. Jednocześnie Jan bardzo dobrze rozumiał, że popularni eksperci i komentatorzy z premedytacją używają okrągłych sformułowań, bo dzięki temu nikomu się nie narażają. Wiedzą, że przy kolejnej okazji znów będą mogli się wypowiedzieć i zostaną zacytowani jako niezależne autorytety. Ktoś, kto otwarcie powiedziałby to, co myśli, czyli w gruncie rzeczy wykazałby rzeczywistą niezależność, zostałby od razu okrzyknięty zwolennikiem tej czy innej opcji i na zawsze straciłby pozycję „obiektywnego komentatora”. To ciekawe, myślał Jan, że ludziom cały czas się wydaje, że istnieje coś takiego jak obiektywizm. Co więcej, żądają, aby komentarze i opinie były obiektywne. A przecież komentarz z zasady musi być subiektywny, skoro jest komentarzem konkretnej osoby. Subiektywizm jest postrzegany jako coś złego, tymczasem nie może on być ani zły, ani dobry, skoro jest nieunikniony.

Jan tak głęboko zanurzył się we mgłę własnych rozmyślań, że nawet nie spostrzegł, że czas już wraca do domu. O szesnastej Konrad wstał, powiedział „na razie” i wyszedł. Wytrącony z zadumy Jan szybko poszedł w jego ślady. Wyłączył komputer, wziął plecak, opuścił pokój i zamknął go na klucz, który oddał w sekretariacie. Wyszedł na zewnątrz i głośno odetchnął wczesnojesiennym powietrzem.

ROZDZIAŁ 4

JAN, PONIEDZIAŁEK PO PRACY

Jan mieszkał na Sadach Żoliborskich, w tej części osiedla, w której dominowały dziesięciopiętrowe bloki. Były to wysokie klocki z oknami i miniaturowymi balkonami, kryjące pod betonową powłoką lokale mieszkalne występujące w dwóch wariantach – dwa albo trzy pokoje. Do tego oczywiście mała kuchnia, łazienka, przedpokój. Jan dysponował mniejszą z tych opcji, która jednak całkowicie mu wystarczała. W wieku trzydziestu trzech lat posiadanie takiego lokum – i to całkowicie spłaconego, już bez hipoteki – było całkiem niezłym osiągnięciem. Wielu jego rówieśników mieszkało na obrzeżach miasta, spłacając trzydziestoletnie kredyty. Jan miał oczywiście łatwiej, nie musiał utrzymywać żony ani dzieci, nie uważał więc, że osiągnął jakiś ogromny sukces. Po prostu sensownie zarządzał finansami, a do tego, gdy zdecydował się na rozpoczęcie samodzielnego dorosłego życia, matka wspomogła go pokaźną porcją gotówki pochodzącej ze spadku po jego ojcu, dzięki czemu kredyt zaciągnięty na zakup mieszkania był nieduży i Jan spłacił go już po kilku latach. Teraz mógł sobie pozwolić na w miarę wygodne życie – bez fajerwerków, ale i bez niedoborów. Miał po prostu tyle, ile potrzebował.

Mieszkanie znajdowało się na czwartym piętrze, więc Jan rzadko korzystał z windy. Tym razem również, przeskakując po dwa stopnie, wbiegł na górę po schodach. Wszedł do mieszkania tylko na chwilę – po to, by wziąć kluczyki od samochodu. Zaraz potem zamknął drzwi i zbiegł na dół. Samochód stał na parkingu pod blokiem. Wsiadł i na siedzeniu pasażera położył swój plecak. Poprawił okulary, wyjął kluczyk z kieszeni i włożył go do stacyjki. Spojrzał na kontrolkę paliwa. Skrzywił się, zawiedziony tym, co zobaczył. Bak nie był wprawdzie pełny, ale nie wyglądało na to, że jest w nim wiele wolnego miejsca. Jan przypomniał sobie, że tankował ponad tydzień temu, ale od tego czasu odbył tylko trzy krótkie przejazdy. Trudno, trzeba będzie zrobić sobie jakąś dodatkową wycieczkę i spalić jeszcze trochę paliwa, żeby można było zatankować za okrągłe pięćdziesiąt złotych. Janowi zależało, żeby wszystko wyglądało naturalnie i zwyczajnie. Zawsze tankował za okrągłą kwotę – pięćdziesiąt albo sto. Teraz też miało być tak samo.

W sumie to nie ma się czym przejmować, pomyślał Jan. Lubił przecież jeździć samochodem – tak dla samego jeżdżenia. Nawet jeśli nie ma dziś określonego celu, może go sobie dowolnie wymyślić. Może na przykład pojechać na Grochów. Wiedział, że to strasznie głupie, ale sama myśl o tym, że przejedzie po ulicy, na której mieszka Joanna, sprawiała mu idiotyczną przyjemność. Uznawał to za niegroźne odchylenie od normy. Większość ludzi robi znacznie gorsze i dziwniejsze rzeczy. Zboczeńców ani innych wariatów nie brakuje. A on zorganizuje sobie tylko małą wycieczkę. Nic poza tym – dotrze na miejsce, przejedzie obok bez zatrzymywania się, a potem zrobi kółko, wróci do ronda Wiatraczna i ruszy ponownie w kierunku Żoliborza. A dokładniej – na Bielany, bo tam znajduje się stacja benzynowa, na której musi ostatecznie się pojawić. Jan oszacował, że razem to będzie około

czterdziestu kilometrów, biorąc pod uwagę korki, spali trzy albo nawet cztery litry benzyny. Powinno wystarczyć.

Uruchomił silnik i wyjechał na ulicę. Jego kilkunastoletni trzydrzwiowy bolid – szary renault megane – idealnie wtapiał się w tłum podobnie nijakich samochodów. Nie wyróżniał się niczym specjalnym. Był w sam raz dla kogoś, kto chciał pozostać niezauważony.

Podróż na Pragę zajęła prawie godzinę. O tej porze korki były czymś naturalnym, więc Jan spokojnie sunął od świateł do świateł, nie przejmując się upływającym czasem. Radio było włączone, ale nie słuchał go zbyt uważnie, kolejne piosenki przelatywały przez jego świadomość, nie pozostawiając śladu. Rozglądał się wokół i obserwował zirytowanych kierowców, których większość codziennie pokonywała tę samą żmudną trasę przez zatłoczone centrum, miotając te same przekleństwa i złorzecząc na wszystkich pozostałych uczestników ruchu, którzy bezczelnie i bezmyślnie wladowują się w korek, choć przecież każdy z narzekających tak samo wypychał się w ten beznadziejny wir bezsilności, każdy sam dla siebie wybierał los zmęczonego podróżnika zamkniętego w klatce na czterech kołach i nie mogącego się ruszyć, przyspieszyć, skazanego na wolne posuwanie się naprzód, na trąbienie i ciągłe nerwy, bo co chwilę ktoś zbyt późno ruszał na światłach albo wypychał się na drugi pas, hamując innych i powodując konieczność odstania minuty na kolejnym czerwonym. Jan nie jeździł tedy codziennie, w zasadzie prawie w ogóle tedy nie jeździł samochodem, dlatego uważał ten widok za zabawny, choć rozumiał, że gdyby on sam mieszkał gdzieś pod miastem, gdzie nie ma pociągu, a autobusy jeżdżą raz na dwie godziny albo w ogóle nie jeżdżą, gdyby nie miał wyboru tak jak większość tych złorzeczących i znerwicowanych automobilistów, zapewne również trafiałby go szlag. Ale z drugiej strony – znając samego siebie – stwierdził, że szybko by się przyzwyczaił, bo Jan zawsze akceptował to, co nieuniknione. Nie denerwował się na to, co i tak musiało się wydarzyć. A codzienny korek w godzinach szczytu jest czymś, co po prostu się wydarza, i nie możemy temu zapobiec.

Przejeżdżając przez centrum, na jednej ze ścian mijanych budynków przeczytał wypisany sprayem wielki napis: „Śmierć wrogom ojczyzny”. Wydało mu się to szczególnie pocieszne. Wyobraził sobie dwudziestoletnich bohaterów, którzy zapewne pod osłoną nocy z bijącymi z podniecenia sercami tworzyli ten bezsensowny tekst, uważając, że wykonują właśnie gest wysoce patriotyczny. Jan sądził, że takie napisy są nie tylko głupie – bo tak się składało, że ojczyzna aktualnie nie miała żadnych wrogów, którzy chcieliby ją zniszczyć w jakikolwiek sposób – ale obrazują również głęboki problem psychologiczno-społeczny, są objawem nigdy nie zdiagnozowanego i nieleczonego problemu narodowego zakompleksienia. Polski patriota potrzebował wroga, z którym mógłby walczyć, gdyż Polska sama w sobie nie stanowiła nigdy żadnej niezależnej wartości. Była zawsze obiektem, który trzeba było bronić przed zagrożeniem, i teraz, gdy zagrożenia właściwie zniknęły i po tysiącu lat ludzie uzyskali wreszcie możliwość prowadzenia normalnego życia, bez walki i ciągłego strachu, we względnym spokoju, zakłócanym oczywiście różnymi wahaniem o charakterze głównie ekonomicznym, ale właściwymi dla świata ludzi korzystających z życia, a nie walczących o przetrwanie, tak więc, gdy nareszcie zapanowała zwyczajna codzienna normalność, po tysiącu lat, po dziesięciu wiekach historii, wtedy wielu doszło do wniosku, że ich życie stało się puste i bezwartościowe, że nie potrafią po prostu normalnie żyć, bo byli wychowywani z dziada pradziada w pogardzie dla normalnego życia, w ich mniemaniu prawdziwie wartościowe życie polega wyłącznie na walce, a najlepiej na oddaniu tego życia, na polegnięciu w imieniu i na rzecz. Zwyczajne codzienne życie, coś, co Jan uważał za kwintesencję ludzkiego istnienia, dla wielu jego rodaków było godne wzgardy i potępienia. Dlatego musieli oni poszukiwać wrogów, ukrytych wicherzycieli, a następnie

bezwzględnie i bezkompromisowo – poprzez anonimowe internetowe wpisy albo napisy tworzone nocą na murach – żądać dla nich natychmiastowej śmierci.

Jan pomyślał, że w gruncie rzeczy to, co uznawane jest za bohaterstwo, jest – wręcz przeciwnie – pójściem na łatwiznę. Mówienie i wypisywanie hasel jest banalnie proste. Żądanie śmierci dla nieokreślonego i w rzeczywistości nieistniejącego wroga nie wymaga żadnej odwagi. Zabicie konkretnego człowieka, a wcześniej określenie go jako kogoś, kto jest zły – cokolwiek to znaczy – i zasługuje na śmierć, a następnie wykonanie takiego wyroku – to niewątpliwie wymaga odwagi. Puste gadanie o nieokreślonych wrogach i cychającej na nich zagładzie to symptom tchórzostwa.

Tocząc w głowie powyższe rozważania, a po alei Waszyngtona koła swego benzynowego rumaka, Jan dotarł do ronda Wiatraczna, zrobił na nim niepełne kółko i wjechał w ulicę Wiatraczną. Przed jego samochodem wlekły się jakieś dwa auta i tym razem Jan nieco się zirytował, bo gdzie jak gdzie, ale tutaj nie było potrzeby jechania dwadzieścia na godzinę, nie było już zatoru i sznura samochodów. Były za to przejścia dla pieszych. Zamiast przyspieszyć, Jan zahamował, bo jadący przed nim kierowcy zatrzymali się przed pasami. Kilka osób przechodziło przez ulicę.

I wtedy ją zobaczył. Zmroziło go, bo wprawdzie specjalnie przyjechał w tę okolicę, ale nie spodziewał się, że ją tutaj spotka. Przeszła na drugą stronę drogi i z torebką przewieszoną przez ramię szła szybkim krokiem w stronę ronda. Za chwilę przejdzie obok mojego samochodu, pomyślał Jan i stwierdził, że będzie mu bardzo głupio, jeśli Joanna go zauważy i rozpozna. Jak wytłumaczy swoją obecność tutaj? Ona może pomyśleć, że Jan jest niebezpiecznym wariatem, który nie tylko coś sobie ubzdurał na jej temat, ale nawet zaczął ją śledzić po godzinach pracy. Na szczęście nie rozglądała się wokół, szła szybkim, zdecydowanym krokiem, a głowę miała skierowaną w dół, tak jakby interesowała ją wyłącznie ta część podłoża, na którą miała za chwilę postawić stopę, a cały świat wokół był pozbawiony znaczenia. Szybko zniknęła Janowi ze wstecznego lusterka, w którym jeszcze przez kilka sekund obserwował ją po tym, jak ruszył. Sytuacja jednak bardzo go rozstroiła, serce – zupełnie bez sensu – zaczęło mu walić tak mocno, że czuł kołatanie w klatce piersiowej. Uznał, że musi się zatrzymać, skręcił w prawo w Szaserów, za szpitalem znów w prawo, po czym stanął przy chodniku na skraju parku. Wysiadł i przeszedł się kawałek wśród drzew, zrobił duże kółko, myśląc o tym, co się z nim dzieje.

Do kroćset, pomyślał Jan, przy czym oczywiście wcale nie użył tych słów, tak naprawdę, zachowując wierność faktom, musimy wstydliwie przyznać, że Jan wypowiedział się w duchu zupełnie innymi słowami, pomyślał mianowicie: kurwa mać, ja pierdołę, co to w ogóle ma znaczyć, co jest ze mną nie tak, co ja w niej takiego widzę, dlaczego ona tak na mnie działa? Przecież ona w ogóle nie zwraca na mnie uwagi, a tak mówiąc serio, to całkowicie mnie olewa, a mnie serce wali przy każdej okazji jak jakimś nastolatkiem. Jan rozumiał, że musi coś z tym zrobić, ale chwilowo nie wiedział co.

Na razie musiał zająć się czymś innym, nadać życiu bieg, pomyśleć o zadaniu, które sam przed sobą postawił, albo o czymkolwiek innym. Mógłby się upić, mógłby też robić mnóstwo innych rzeczy, na przykład zagrać z kumplami w piłkę, w karty albo cokolwiek innego, tyle że nie miał kumpli grających w piłkę albo w karty, Jan tak naprawdę w ogóle nie miał kumpli, nawet takich, którzy w nic nie grali. No, może Konrad, ale to tylko w pracy, a tak poza tym to nie miał, bo nie umiał mieć, ludzie go nudzili, zawsze kiedy próbował się z kimś zaprzyjaźnić, kończyło się to szybko, wypalało się i gasło, miał oczywiście kolegów i znajomych z różnych okresów swojego życia, spotykał się z nimi od czasu do czasu, ale byli to raczej ludzie, z którymi trzeba było się umawiać z co najmniej tygodniowym

wyprzedzeniem, a nie kumple z prawdziwego zdarzenia, do których byłoby można w każdej chwili zadzwonić i od razu stawaliby na posterunku, czekając z butelką wódki oraz dobrym słowem.

Jan usiadł na chwilę na ławce, wziął kilka głębokich oddechów i stwierdził z zadowoleniem, że już się uspokoił. Potarł ręką czoło, rozejrzał się wokół, popatrzył na kolorowe liście, których połowa była już na ziemi, a druga połowa właśnie szykowała się na upadek. Dopiero teraz dotarły do niego pokrzykiwania chłopaków, którzy grali w piłkę na pobliskiej parkowej łące. Wrócił na ziemię, znów miał kontakt z rzeczywistością. Musiał się opanować, bo całe jego życie oparte było na opanowaniu i spokoju. Jan wstał i wrócił do samochodu. Zapalił silnik i ruszył, wjechał w Grochowską i dalej skierował się w stronę Wisły. Zapadał zmrok. Jan postanowił, że bez zatrzymywania się pojedzie do miejsca docelowego, czyli na umówioną stację benzynową na Bielanach.

Gdy dotarł na miejsce, zapadła już październikowa ciemność, a wskaźnik paliwa opadł do poziomu, który Jan uznał za akceptowalny. Po drodze zdążył już zapomnieć o wcześniejszym incydencie i na powrót był skoncentrowany i opanowany. Stacja benzynowa oznaczona czerwonym logotypem była bardzo popularna wśród okolicznych kierowców i przewijały się przez nią setki osób każdego dnia. Jan był zadowolony ze swojego pomysłu, a dostawca przesyłki, początkowo podejrzliwy i zaskoczony żądaniem Jana dotyczącym nietypowej formy jej przekazania, po zapewnieniu, że otrzyma z tytułu tej lekkiej niedogodności dodatkową gratyfikację, jak również sam będzie mógł dowolnie wybrać stację benzynową, dzięki czemu nie musiał się obawiać, że Jan zastawia na niego jakąś pułapkę, zgodził się bez dalszych oporów, bo istotnie koncepcja wymyślona przez Jana zapewniała bezpieczeństwo i anonimowość obu stronom transakcji. Na miejsce umieszczenia pakunku Jan wybrał publicznie dostępną toaletę na stacji paliw. Do dostawcy należał wybór konkretnej lokalizacji oraz dostosowanie do warunków sposobu umieszczenia niewielkiego pakunku. Nadawca miał przekazać Janowi informację o możliwości odebrania paczki dopiero kilka albo kilkanaście dni po jej umieszczeniu, a Jan miał pełną swobodę w wyborze dnia, w którym ją podejmie.

Jan wjechał na stację, odczekał, aż zwolni się miejsce przy dystrybutorze, i zatankował za pięćdziesiąt złotych i trzy grosze, bo przecież rzadko udaje się wcelować w idealnie okrągłą kwotę. Wszedł do budynku stacji, ustawił się jako trzeci w kolejce, zapłacił kartą, bo z góry założył, że wszystko musi wyglądać naturalnie, a skoro na stacji jest monitoring, ukrywanie się za płatnością gotówkową i tak nie miałoby sensu, następnie zaś spokojnym krokiem poszedł do toalety. Z części damskiej wychodziła właśnie pani z kilkuletnią dziewczynką. Jan wszedł do męskiej ubikacji i w drzwiach minął się z jakimś mężczyzną. W środku z ulgą stwierdził, że zajęta jest tylko pierwsza z trzech kabin. Środkowa, do której miał wejść, była wolna. Gdy znalazł się w niej, zamknął drzwi na zasuwkę i rozejrzał się instynktownie, choć wiedział, że jest tu całkowicie bezpieczny. Żaden monitoring nie mógł przecież obejmować kabin w toalecie. Nawet jeśli jakimś cudem ktoś kiedyś dowiedziałby się o tym, że w konkretnej toalecie zostawiono jakąś paczkę, oglądając zapisy monitoringu, nie mogłyby dojść, kto ją zostawił i kto potem odebrał. Przez stację przewijały się tłumy ludzi, co chwila ktoś wchodził do toalety i z niej wychodził. Jeśli tylko obaj umówieni osobnicy zachowywali się normalnie, nie sposób byłoby nawet wytypować podejrzanych o bycie dostawcą albo odbiorcą. Poza tym nawet Jan nie wiedział, kiedy dokładnie przesyłka została tu umieszczona, a nadawca nie mógł w żaden sposób przewidzieć, którego dnia Jan zdecyduje się po nią przyjechać.

Środki ostrożności były oczywiście na wyrost, bo Jan był przekonany, że nikt o niczym nie wie i nigdy się nie dowie. Rozważanie, co mogło pójść nie tak, było czysto teoretyczne, zabezpieczenia znacznie przerastały zagrożenie. Dostawca i odbiorca wzajemnie się nie znali, skontaktowali się ze sobą

przez internet, korzystając z dobrodziejstw tak zwanej ciemnej sieci. Stosowali wszelkie dostępne środki uniemożliwiające w praktyce namierzenie ich komputerów. Dostawca był nie do ustalenia, a Jan mógłby być zagrożony tylko wtedy, gdyby sam nadawca przesyłki wystawił go policji. Jednak Jan uważał taki wariant wydarzeń za bardzo mało prawdopodobny. Dostawca nie miał w tym żadnego interesu, chyba że okazałby się policyjnym prowokatorem, ale to ryzyko Jan również oceniał jako niewielkie. Jeśli policja dokonywała prowokacji, to nie zajmowała się takimi drobnostkami. Przecież sam fakt odebrania paczki przez Jana nie stanowił jeszcze żadnej wielkiej zbrodni. Kodeks karny przewidywał zapewne jakieś konsekwencje, lecz nie był to duży kaliber. Poza tym Jan mógłby się zarzekać, że odbierał pakunek w czymś imieniu, nie mając pojęcia, co jest w środku. Tak naprawdę poważnym przestępstwem mogło stać się dopiero niewłaściwe wykorzystanie zawartości tej małej przesyłki. Jednak koncepcję tak daleko posuniętej policyjnej prowokacji Jan całkowicie wykluczał. Funkcjonariusze mogliby wprawdzie umieścić w paczce nie to, co on zamawiał, jednak wtedy ryzykowałiby fiaskiem całej akcji. Z kolei umieszczenie właściwej zawartości i pozwolenie Janowi na dalsze działania oznaczałoby narażanie ludzkiego życia. Koniec końców Jan, racjonalnie analizując sytuację, musiał uznać, że nie grozi mu żadne istotne niebezpieczeństwo. Najprawdopodobniej dostawca po prostu przywiózł przesyłkę kilka albo kilkanaście dni temu i w ten sposób zakończył swój udział w transakcji, o której do dzisiaj być może zdążył już nawet zapomnieć.

Nie tracąc więc czasu na zbędne dywagacje, Jan wyjął z kieszeni kurtki cienkie rękawiczki i założył je na dłonie. Drgnął, usłyszawszy hałas spuszczonej wody, dochodzący z sąsiedniej kabiny. Mimo teoretycznego braku zagrożeń był najwyraźniej trochę spięty, jeśli tak reagował na zwyczajne skądinąd odgłosy. Mężczyzna z toalety obok otworzył drzwi i wyszedł do pomieszczenia z umywalkami. Jan przeszedł do dalszych działań. Włożył dłoń za spłuczkę. Szczelina pomiędzy tym elementem ubikacji a ścianą była bardzo wąska i Jan nie miał wątpliwości, że nawet osoby odpowiadające za sprzątanie toalet nie są na tyle gorliwe w wypełnianiu swoich zadań, aby tam zaglądać. Wymacał płaski zafoliowany pakunek przyklejony taśmą. Wyjął z kieszeni scyzoryk i szybko przeciął nim taśmę klejącą po obu stronach. Cienki pakunek włożył do wewnętrznej kieszeni kurtki. Schował rękawiczki i scyzoryk. Następnie spuścił wodę. Poczekał, aż kolejna osoba, która weszła do toalety, zamknie się w kabinie obok, po czym wyszedł, umył ręce, wysuszył je – słowem przeprowadził wszystkie typowe czynności. Był zadowolony, że wszystko poszło tak łatwo. Jeśli przed chwilą czuł jeszcze lekkie zdenerwowanie, teraz był już całkowicie spokojny. Pewnym krokiem opuścił budynek. Za jego samochodem czekał już następny kierowca pragnący zatankować paliwo, ale Jan nie dostrzegł w jego oczach zniecierpliwienia ani złości. Wsiadł do auta i ruszył w kierunku własnego mieszkania. Kątem oka obserwował jeszcze w lusterku, czy nikt inny nie opuszcza stacji tuż za nim, ale nikogo nie dostrzegł.

ROZDZIAŁ 5

SARA, PONIEDZIAŁEK WIECZOREM

Około godziny dziewiętnastej trzydzieści komisarz Sara Heinz dopijała ostatnią tego dnia kawę i szykowała się na powrót do domu. Nie zamierzała dłużej przesiadywać na komendzie. Wprawdzie została dziś szefową zespołu powołanego do badania sprawy powtarzających się morderstw, które nabrały już cech typowej serii, ale cała reszta jej ekipy już sobie poszła, więc uznała, że sama i tak nic więcej dzisiaj nie zdziała. Policja funkcjonowała całą dobę, pozostawiali oczywiście ci, którzy mieli dziś dyżury albo jakieś zaplanowane działania operacyjne. Ale ona czuła bezsilność i rezygnację. Trzy noce, trzy trupy, żadnych śladów, żadnych podejrzanych. Co więcej, całkiem możliwe, że kolejny ranek przyniesie następną ofiarę. Morderca ewidentnie dopiero się rozkręcał, a przynajmniej tak wynikało z podejrzeń Sary.

W ogóle ta sprawa ją irytowała. Nie tylko dlatego, że na razie nic nie zdziałali. Także przez tę cholerną broń.

Ciała znajdowano w miejscach publicznych, ale nocą mało uczęszczanych. Nic dziwnego, że nie było żadnych świadków, którzy widzieliby coś podejrzanego. W pobliżu żadnego miejsca zbrodni nie było też kamer miejskiego monitoringu. Sprawca nie pozostawiał żadnych śladów biologicznych. Nawet na porzucanej przez niego broni nie było nic, co mogłoby pomóc śledczym. Żadnych odcisków, żadnego włosa, naskórka, żadnego śladu krwi, śliny czy innej substancji. Był październik, w nocy chłodno i wietrznie, więc także zapachy, jeśli jakiegokolwiek mogłyby gdzieś doprowadzić, mieszały się ze sobą i ginęły. Nawet przy ostatnim ciele znalezionym na gruntowej ścieżce nie było żadnych śladów butów. Pogoda obecnie się poprawiała i synoptycy zapowiadali ocieplenie, ale kilka poprzednich nocy było bardzo zimnych, z lekkimi przymrozkami, więc ziemia była zbita i twarda. Tak twarda, że nie potrafiliby nawet zidentyfikować śladów pozostawionych przez tego młodego faceta, który znalazł ciało z samego rana. Swoją drogą to on pewnie odpowiadał za zdjęcia miejsca zbrodni, które pojawiły się w internecie.

A do tego ta broń. Ten aspekt sprawy również rozniósł się już po mediach, ale Sary nie dziwiło, że ktoś wreszcie puścił farbę. Przeciwnie, była zaskoczona, że dopiero teraz to wypłynęło. Sama myślała, żeby dać cynk do jakiejś gazety albo telewizji, bo historia z tą bronią idealnie obrazowała całokształt sytuacji w policji, a może nawet w całym państwie. Tak, pomyślała Sara, to jest typowy przykład obowiązującego u nas sposobu myślenia. Na komendzie brakuje pieniędzy na wszystko. Na papier – zarówno do drukowania, jak i ten toaletowy. Na herbatę albo kawę. Na przeprowadzanie badań kryminalistycznych i laboratoryjnych. Na podwyżki dla ciężko pracujących i zarabiających żenująco mało policjantów. Na zakupienie dla wszystkich porządných komputerów. Na wszystkim się oszczędza. A jednocześnie wywalono kilkanaście milionów złotych na zakup dużej partii supernowoczesnej broni.

Nie ujawniono nawet, jakie dokładnie to były modele i rodzaje, szczegóły zamówienia oraz dostawca były objęte tajemnicą, wiadomo było jedynie, że broń jest szybka, skuteczna i przeznaczona do najtrudniejszych akcji operacyjnych. Miliony wydano, broń została dostarczona, a komendant i minister urządzili huczną konferencję prasową. Zamówili nawet tak dobry catering, że Sara nie pamiętała, kiedy jadła tak porządny i smaczny obiad. Ogłosili, że oto przychodzi nowa era dla polskiej policji, wreszcie nasi funkcjonariusze uzyskują najnowocześniejsze uzbrojenie, które pozwoli im efektywnie zwalczać przestępczość.

Podobno była to broń naprawdę wysokiej klasy. Zwłaszcza te pistolety. Niewielkich rozmiarów, świetnie wytłumione i przede wszystkim – jeśli ktoś umiał dobrze strzelać – bardzo precyzyjne. Sara słyszała, że takie opinie wygłaszali ponoć policjanci testujący tę broń przed zakupem, choć nigdy żadnego z nich nie spotkała. W ogóle nie знаła nikogo, kto kiedykolwiek trzymałby w ręce chociaż jeden egzemplarz. Broń była przecież cenna i specjalistyczna, więc nie wydawano jej każdemu policjantowi. Wręcz przeciwnie, dotychczas nie wydano jej jeszcze nikomu, ponieważ cały ten arsenał miał być docelowo rozdysponowany na różne komendy w całym kraju, a wielomiesięczne narady specjalnie powołanego zespołu nie przyniosły rezultatów. Każde województwo chciało dla siebie wywalczyć jak najwięcej i nadal nie osiągnięto porozumienia. Tymczasem nowo zakupiona broń od roku leżała nieużywana w magazynie policyjnym. Tak to właśnie u nas wygląda, myślała sobie Sara. Nic dziwnego, że po paru miesiącach w ogóle o tej broni zapomniano. Gdy pewnego dnia jeden z pracowników magazynu zorientował się, że dwudziestu pistoletów brakuje, nie dało się nawet stwierdzić, czy kradzież nastąpiła poprzedniego dnia, czy może kilka miesięcy wcześniej. A teraz ktoś z tej broni zabija. Skutecznie i bez pozostawiania śladów. Może minister i komendant powinni zrobić kolejną konferencję, skoro wreszcie ta broń komuś się przydała, pomyślała z przekąsem Sara, wypijając ostatni łyk kawy.

Podsumowała sobie to, co na razie mają. Trzy ofiary w różnych częściach Warszawy. Każdy denat miał wcześniej kontakt z policją. Nie byli karani, ale pojawiały się jakieś doniesienia albo podejrzenia. Ten ostatni trup, niejaki Jerzy Kolman, czterdzieści pięć lat, miał na koncie dwie skargi żony, która twierdziła, że stosuje przemoc wobec niej i ich córki, ale po założeniu Niebieskiej Karty sprawa nie miała ciągu dalszego. Kobieta zamordowana w nocy z soboty na niedzielę, Julia Matelska, lat dwadzieścia siedem, niezamężna, jako samotna matka wychowywała trójkę dzieci w wieku od pięciu do ośmiu lat. Rok temu były jakieś podejrzenia, że urządziła sobie w domu nietypowy burdel i za pieniądze udostępniała własne dzieci pedofilom. Anonimowe doniesienie znajdowało się w aktach, ale chyba nikt tego nie potraktował poważnie, bo kobietę tylko przesłuchano, ona oczywiście wszystkiemu zaprzeczyła, po czym sprawę zamknęto. Przecież matka nie robiłaby czegoś takiego swoim własnym dzieciom. Co ciekawe, mężczyzna zamordowany w nocy z piątku na sobotę, Ryszard Matelski, pięćdziesiąt pięć lat, wdowiec – był jej ojcem. On z kolei pozostawił po sobie ślad w policyjnych rejestrach dwadzieścia trzy lata wcześniej, gdy żona zarzuciła mu gwałt na półtorarocznej córeczce. Nie chodziło o Julię, która miała już wtedy cztery lata, ale o jej młodszą siostrę Karolinę. Sara zdziwiła się, że tak stara sprawa była w elektronicznym rejestrze, ale najwyraźniej digitalizacja postępuje i akurat tę sprawę już przeniesiono do nowego systemu. W tamtych czasach o takich rzeczach jak gwałty na małych dzieciach w ogóle się jeszcze nie słyszało, więc nic dziwnego, że nie wzięto tego poważnie, zwłaszcza że żona Matelskiego po miesiącu umarła w szpitalu, podobno z przyczyn naturalnych, chyba jakaś wada serca, a poza nią nikt nie był chętny do kontynuowania sprawy. Sara poleciła jednemu ze swoich podwładnych odszukanie młodszej córki Matelskiego, która rzekomo miała być zgwałcona

dwadzieścia trzy lata temu, ale okazało się, że od ośmiu lat nie żyje. Jako szesnastolatka popełniła samobójstwo, wyskakując z okna mieszkania Matelskich na ósmym piętrze.

Po dwóch pierwszych morderstwach zakładano, że chodzi o sprawę związaną z rodziną Matelskich. Trzecie morderstwo jednak w ogóle nie pasowało. Najświeższy denat nie miał żadnego związku z poprzednimi ofiarami. Było jednocześnie jasne, że za zabójstwami stoi ten sam sprawca. Albo grupa sprawców, ale to Sara uważała za mało prawdopodobne. W poniedziałek w południe powołano specjalną grupę, której celem miało być schwytanie mordercy. Sara przewodziła temu zespołowi. Miała do dyspozycji komisarza Kamińskiego, podkomisarza Janiaka, aspiranta Bubla i jeszcze paru kolegów z innych wydziałów, specjalizujących się w różnych dziedzinach policyjnej pracy. Była też w stałym kontakcie z prokuratorem, ten jednak nie zamierzał istotnie angażować się w śledztwo, dopóki nie pojawią się jakieś konkretne wątki, które przybliżą ich do rozwiązania sprawy.

Obecnie głównym elementem łączącym ofiary wydawały się niewyjaśnione sprawy z przeszłości, których ślady znaleziono w policyjnych kartotekach. Niestety był to trop bardzo wąty i pozwalał jedynie na ogólne sformułowanie profilu sprawcy.

Sara uważała, że nie ma sensu koncentrować się na kwestii samej broni. Niezależnie od tego, kto ją ukradł – czy był to policjant, czy ktoś z zewnątrz – ostatecznie mogła trafić wszędzie. Mogły ją przejąć jakieś grupy przestępcze, ale równie dobrze mogła zostać sprzedana komukolwiek, chociażby jakiemś pojedynczemu psycholowi, który obecnie na własną rękę postanowił wymierzać sprawiedliwość. Kiedyś było trudniej – aby nabyć taki sprzęt, trzeba było wejść w osobiste kontakty ze środowiskiem przestępczym. W ten sposób zawsze pozostawiało się jakiś ślad. Teraz, co wyjaśnił już na pierwszym zebraniu zespołu Sary młody człowiek przysłany przez informatyków, oprócz normalnego internetu, jaki znamy wszyscy, istnieje także tak zwana ciemna sieć, w której w praktyce łatwo zachować anonimowość. O ile nie planujesz ataku terrorystycznego w USA i nie narażasz się najlepszym amerykańskim służbom specjalnym, nikt nie będzie w stanie zaangażować takich środków, żeby cię namierzyć. Zwłaszcza jeśli po prostu chcesz sprzedać albo kupić parę sztuk jakiejś niewielkiej broni palnej. W ciemnej sieci handluje się wszystkim: bronią, narkotykami, trudno dostępnymi lekami, nielegalnymi środkami chemicznymi, towarami z przemytu, ludźmi, pornografią. Ludzie zlecają i przyjmują zlecenia dokonania kradzieży, zabójstwa albo jakiegokolwiek innego przestępstwa. Płatności dokonuje się przy użyciu kryptowalut. Osoba, która ukradła broń z policyjnego magazynu, mogła ją upłynnić w łatwy sposób, zwłaszcza że chodziło tylko o dwadzieścia sztuk. Te pistolety mogły trafić wszędzie.

Sara przyjęła więc, że pominię na razie to, jak zabójca uzyskał broń. Skupiła się na tym, co było widoczne i jasne. Sprawca jest dokładny i sprytny, nie pozostawia śladów. Zabija ofiarę już pierwszym strzałem, ale mimo to w nieżywe już ciało wyladowuje cały magazynek. Każda ofiara otrzymała po sześć strzałów – jeden lub dwa w głowę, a resztę w brzuch albo okolice serca. Sara uznała, że świadczy to o furii i złości, która tkwiła w sprawcy pomimo precyzji, z jaką przeprowadzał dotychczas swoje mordercze akcje. Broń pozostawianą na miejscu zbrodni potraktowała jako typowy podpis seryjnego zabójcy. W ten sposób mówił wyraźnie – oto moje dzieło. Nie przypisujcie go nikomu innemu.

Pozostało pytanie dotyczące motywu. Ze strzępków niewyjaśnionych spraw opisanych w policyjnym rejestrze, dotyczących dotychczasowych ofiar, Sara wywnioskowała, że szukają kogoś, kto prawdopodobnie pochodził z patologicznej rodziny. Być może był w dzieciństwie maltretowany albo wykorzystywany seksualnie. Ale niewiele jej to dawało. Takich osób jest wiele, a o większości z nich w ogóle nie wiemy, że mają za sobą taką przeszłość. Gdy dzisiejsi dorośli byli dziećmi, nie

zwracano szczególnej uwagi na przemoc w rodzinie. Nawet teraz w wielu środowiskach jest to temat tabu. Nasza tradycja nakazuje nie wsadzać nosa w cudze sprawy, zwłaszcza jeśli dotyczą rodziny. Sara nie była zwolenniczką rozwiązań stosowanych w krajach skandynawskich, w których podobno odbierano dzieci rodzicom z byle powodu. Ale uważała, że w Polsce cały czas wahadło jest wychylone w drugą stronę. Wychylone zdecydowanie zbyt mocno. W teorii niby jest postęp. W samej policji Sara miała już kilka szkoleń na temat przemocy domowej albo przemocy wobec dzieci. W praktyce wielu policjantów nadal bagatelizowało ten problem.

W ogóle Sara uważała, że sporo winy jest w tak zwanej presji społecznej. Panuje przekonanie, że każdy powinien założyć rodzinę, bo rodzina to wyznacznik wartości człowieka i jego życiowego sukcesu. Sara się z tym nie zgadzała. Twierdziła, że nie każdy nadaje się do roli małżonka albo rodzica. Na przykład ona sama. Nie wspominała swojego dzieciństwa najlepiej i rodzina nie kojarzyła jej się zbyt dobrze. Sądziła, że nie potrafiłaby nikogo uczciwie pokochać. Uważała się za zimną i niewrażliwą, co praca w policji chyba jeszcze pogłębiła. Ale są też inne osoby, które nie powinny zakładać rodziny. Na przykład takie, dla których rodzina jest przede wszystkim źródłem poczucia własnej władzy. Które rodzinę wykorzystują dla zalecenia swoich kompleksów i wyładowania frustracji. Chociaż z drugiej strony, pomyślała z charakterystycznym dla siebie przekąsem, gdy opuszczała budynek Komendy Stołecznej, czasem, jeśli taki człowiek nie założy rodziny, kończy się to jeszcze gorzej. Na przykład te wszystkie swoje kompleksy, frustracje i potrzebę panowania nad innymi zaczyna leczyć i zaspokajać na poziomie całego państwa. Wtedy ofiarami stają się nie żona i dzieci, ale całe społeczeństwo. Ale to już temat na zupełnie inną historię, pomyślała Sara. Teraz musiała coś zjeść. Dopiero po wyjściu z komendy poczuła, jak bardzo jest głodna.

ROZDZIAŁ 6

JAN, PONIEDZIAŁEK WIECZOREM

Jan przygotował sobie kolację, przeszedł do pokoju i usiadł z nią do stołu. Włączył telewizor. Trafił akurat na wywiad z popularnym artystą scen muzycznych. Dziennikarz zapytał go o czasy młodości i wspomnienia ze szkoły. Uwielbiałem szkołę, opowiadał piosenkarz, miałem wspaniałych nauczycieli. To właśnie w szkole zaraziłem się miłością do muzyki i sztuki. W liceum pochłaniałem książki jak wygłodniały wilk. Czytałem wszystko, co wpadło mi w ręce. Tylko z matematyką miałem problemy. Nigdy nie miałem do niej talentu. W ogóle nie rozumiałem matematyki. O, całkowicie cię rozumiem, ja też z matematyki byłem głęb, odparł dziennikarz, po czym obaj parsknęli śmiechem znamionującym wzajemne zrozumienie połączone z wysokim poczuciem własnej wartości.

Jana intrygowało, że ludzie znajdują taką przyjemność w przechwalaniu się swoją matematyczną indolencją. Nie tylko dlatego, że lubił matematykę. Po prostu nie rozumiał, dlaczego brak pewnych zdolności może być uznawany za powód do chwały. Sam w szkole miewał problemy z różnymi przedmiotami, na przykład z biologią albo plastyką, ale nigdy nie przyszło mu do głowy, żeby się tym chwalić. Tymczasem z jakichś przyczyn matematyka była uznawana w kręgach artystycznych za przedmiot wiedzy niegodny prawdziwego humanisty.

Z drugiej strony każdy szanujący się artysta deklarował – zdaniem Jana zazwyczaj całkowicie nieszczerze – miłość do literatury i sztuki oraz sugerował, że posiada na ten temat szeroko zakrojoną wiedzę. Co ciekawe, ta marketingowa strategia, stosowana zresztą nie tylko przez ludzi kultury, ale także przez tak zwane osoby publiczne wykazujące aktywność w rozmaitych dziedzinach życia, okazywała się zwykle bezpieczna i efektywna. Weźmy na przykład takiego Joyce’a. Każdy artysta, polityk, prezes albo inny działacz wiedział, że aby sprawiać wrażenie osoby „na poziomie”, trzeba posiadać ogólną wiedzę o literaturze. Każdy wiedział więc, że był taki pisarz Joyce i że napisał *Uliksesa*. Oczywiście od dawna już nikt tej książki nie czytał – poza być może paroma entuzjastami oraz historykami literatury, zajmującymi się tym zawodowo. Nikt tego nie czytał, bo – powiedzmy sobie otwarcie – były to straszne nudy – trudne, zawiłe i niezrozumiałe. Ale wypadło wiedzieć, że coś takiego było. I właśnie dzięki temu, że nikt już tego nie czytał, nie trzeba było się bać, że ktoś zapyta o szczegóły. Tak zwana osoba publiczna nie ryzykowała wiele, jeśli – ot tak, niby przypadkiem – w trakcie wywiadu telewizyjnego wspomniała, że w wolnych chwilach lubi czytać sobie fragmenty Joyce’a, gdyż dzieło jego jest wybitne oraz budzi zachwyt. Prawdopodobieństwo, że prowadzący rozmowę dziennikarz kiedykolwiek widział książkę irlandzkiego pisarza, było praktycznie zerowe. Zadający pytania redaktor z reguły nie dopytywał więc o szczegóły, tylko z podziwem kiwał głową i przechodził do kolejnych tematów. Zresztą to, czy ktoś miał za sobą lekturę dzieła Joyce’a, nie miało wielkiego znaczenia. Jan kiedyś nawet tę książkę przeczytał. Postanowił, że to zrobi, był wtedy młody,

studiował, ludzie w tym wieku mają jeszcze dość czasu i zapału, by podejmować takie absurdalne wyzwania. Ale teraz już nic z tej książki nie pamiętał. W ogóle nie rozumiał, po co została napisana i co autor miał na myśli. Ale nigdy też nie przyszło mu do głowy, aby się chwalić, że tę książkę przeczytał, ani udawać, że coś ona wniosła do jego życia. Z drugiej strony nigdy nie pomyślał o tym, aby chwalić się jej niezrozumieniem, bo mimo wszystko czuł, że raczej jest to powód do wstydu, a nie do dumy.

I faktycznie – gdyby ktoś publicznie przyznał się do tego, że książka Joyce'a jest dla niego intelektualnie niedostępna, odbiór społeczny tej deklaracji byłby z pewnością negatywny. Mimo że nikt tego nie czytał, a ten, kto to robił, niewiele rozumiał, powszechne było przekonanie, że należy czytać i rozumieć, gdyż świadczy to o szerokich horyzontach. Tymczasem z matematyką było odwrotnie. Niezdolność do zrozumienia podstawowych zasad matematyki była uważana za coś absolutnie normalnego, by nie powiedzieć – pożądanego. Ale chyba nie ma się co dziwić, pomyślał Jan. Odbicie podobnego mechanizmu mógł dostrzec chociażby we własnej pracy. Racja bytu instytucji, w której był zatrudniony, podobnie jak w przypadku wielu innych państwowych urzędów, nie opierała się na rachunku matematycznym. Z punktu widzenia społeczeństwa był to fatalny interes. Wysokie koszty finansowane z podatków i zero wymiernych efektów. Zyskiwał tylko rząd, który umacniał swój wizerunek. Robił to za publiczne pieniądze i za pomocą tak samo banalnego chwytu, jakim było przechwalanie się znajomością grubej książki, z której nic się nie rozumie.

Zaczął skakać po kanałach. Ominął programy informacyjne, powtórkę jakiegoś meczu i łzawy dokument o katastrofie lotniczej sprzed ośmiu lat. Swoją drogą to ciekawe, pomyślał, dlaczego tak wielu ludzi znajduje przyjemność w zamartwianiu się i wspomnianiu smutnych wydarzeń. Zatrzymał się dopiero na filmie, który okazał się kryminałem. Jan lubił kryminały. Niby tak jak w przypadku katastrof były tam śmierć i nieszczęście – ale nie stanowiły one sedna, w zasadzie były gdzieś obok, na drugim planie. Najważniejsza była zagadka. Zagadka jest znacznie fajniejsza niż nieszczęście. Jan uważał, że kryminały to dobry przykład dla całej ludzkości, jak z czegoś, co z pozoru jest tragiczne i straszne, wydobyć to, co przyjemne i intrygujące. Gdyby wszyscy patrzyli na świat w taki sposób, w jaki ogląda się kryminał, żyłoby się nam znacznie lepiej.

Jan podchodził do kryminałów w sposób nieco przewrotny. Ostateczne rozwiązanie logicznej kryminalnej łamigłówki, które twórcy odkrywali przed widzem na samym końcu, sprawiało mu satysfakcję wyłącznie wtedy, gdy sam wcześniej nie odgadł zakończenia. Zdarzało się coraz częściej, że już w połowie filmu wiedział, kto jest mordercą, i gdy okazywało się, że miał rację, zamiast dumy z własnej przenikliwości odczuwał zniechęcenie banalnością intrygi. Tak czy inaczej, o większości obejrzanych albo przeczytanych kryminałów szybko potem zapominał, bo po odkryciu tajemnicy nie były już warte wspomnienia.

Często wyobrażał sobie siebie jako bohatera kryminału i bynajmniej nie zawsze obsadzał się w roli dobrego policjanta ścigającego złoczyńców. Zdarzało się, że utożsamiał się bardziej z winowajcą, zwłaszcza jeśli widział w jego działaniu logikę i moralną słuszność. Jan oczywiście nie wierzył w istnienie żadnej obiektywnej moralności. Sądził, że po prostu w określonych okolicznościach człowiek powinien podjąć określoną decyzję i taka decyzja mogła być moralnie słuszna z jego punktu widzenia, a niesłuszna z punktu widzenia innych osób. Rzeczy zmieniają wygląd, gdy spoglądamy na nie pod różnymi kątami. Dlatego Jana irytowało, że kryminały bywają tak banalne. Że zbrodniarz jest zawsze zły, choć jego zbrodnia czasem uwalnia inne osoby od cierpienia. Jan szczególnie cenił sobie tę twórczość, która po rozwiązaniu zagadki ściśle kryminalnej pozostawiała w umyśle odbiorcy

nierozwiklaną zagadkę etyczną. Niestety na takie przypadki trafiał stosunkowo rzadko. Ludzie chyba wciąż tkwili w przekonaniu, że zadawanie trudnych pytań natury moralno-społecznej jest niewłaściwe, szkodliwe, a może wręcz niebezpieczne.

W większości kryminałów Jan dostrzegał nie tylko płytkość aksjologiczną, ale również szereg dziwnych schematów i chwytów fabularnych. Na przykład to, że zabójca musi zawsze pogawędzić z ofiarą, zanim ją ostatecznie zabije. Jana bawiły te sceny w amerykańskich filmach, w których negatywny bohater mierzył z broni do pozytywnego bohatera, ale nie strzelał, tylko rozpoczął dyskusję, opowiadał swoją historię i robił to tak długo, aby pozytywnemu bohaterowi umożliwić ratunek lub doczekać się interwencji jakiejś osoby trzeciej, która oczywiście nie zdążyłaby pomóc pozytywnemu bohaterowi, gdyby ten negatywny od razu wykonał swoją robotę, czyli po prostu strzelił bez gadania i oddalił się naprędce z miejsca zdarzenia. Takie sceny w kryminałach albo filmach sensacyjnych pojawiają się na tyle często, że stały się przewidywalne. Nie budują napięcia, a przecież taka jest w założeniu ich rola. A poza tym są niewiarygodne. Dla Jana sprawa była oczywista: gdy chcesz kogoś zabić, po prostu podchodzisz, strzelasz i odchodzisz. Bez żadnego gadania. Po co rozmawiać z człowiekiem, który za chwilę zginie? Po co narażać się na dodatkowe ryzyko? Dla Jana było to kompletnie niezrozumiałe.

Podobnie niewiarygodne wydawały mu się postaci policjantów i innych dobrych ludzi, którzy ścigają przestępców. W najwybitniejszych kryminałach pozytywny bohater był zwykle alkoholikiem po co najmniej jednym rozwodzie, z kompletnie rozbitym psychiką i niezdolnością do tworzenia trwałych związków emocjonalnych. Generalnie pozytywny bohater musiał być pozytywny tylko w zakresie chwytania zabójców, co zawsze wychodziło mu idealnie, ale w obszarze życia osobistego był łąją, łąchudrą i beznadziejnym draniem, co nie przeszkadzało wszystkim innym bohaterkom lub bohaterom kochać się w nim, a najlepiej od razu wskakiwać do łóżka. W gruncie rzeczy zarówno policjant, jak i złoczyńca to musieli być dranie, tylko policjant był draniem pociągającym, a złoczyńca – odrażającym i szpetnym. Jan uważał, że w rzeczywistości większość policjantów, niezależnie od kraju, w którym żyją, toczy normalne życie, posiada rodziny i zajmuje się głównie tym, czym każdy przeciętny pracownik publicznej instytucji, czyli chce zarobić i zbytnio się przy tym nie narobić. Jan wiedział też, że bardzo rzadko w życiu zdarza się taka sytuacja, że piękne i zaurczone mężczyzną kobiety same wskakują mu do łóżka. W ogóle z jego obserwacji wynikało, że w filmach i książkach jest zwykle dużo seksu, z którego w ogóle nie ma dzieci, tymczasem w realnym życiu jest zazwyczaj odwrotnie. Sam może nie miał w tej dziedzinie jeszcze dużego doświadczenia, ale zauważył, że po przekroczeniu trzydziestki jego ożenieni znajomi, których obecnie spotykał już coraz rzadziej, bardzo dziwaczeli, smutnieli, zaczęli rozmawiać o chorobach swoich dzieci, o ich nocnym płaczu, ciągłych nerwach i niepokojach, a po kilku piwach wypitych w knajpie – jeśli w ogóle małżonka pozwalała im jeszcze wychodzić do knajpy – dodawali, że żona daje im jasno do zrozumienia, iż spółdzenie dwójki albo trójki dzieci oznacza, że wykonali swoją powinność i dalsze uprawianie seksu w ich małżeństwie stało się bezzasadne.

W wielu kryminałach występował jednak pewien element, który Janowi wydawał się bliski. Był to często pojawiający się motyw związany ze źródłem zbrodni lub różnego rodzaju wypaczeń osobowości. Co ciekawe, problem ten mógł dotyczyć nie tylko negatywnych, ale także pozytywnych bohaterów. Chodziło mianowicie o krzywdy doznane w dzieciństwie – skomplikowane relacje rodzinne i dorastanie w patologicznym środowisku rodzinnej przemocy, odrzucenia, osamotnienia. Jan wiedział coś na ten temat i być może czuł nawet satysfakcję, że on – w przeciwieństwie do większości ludzi mających

podobne doświadczenia – mimo wszystko wyrósł na w miarę normalnego człowieka. W miarę, bo przecież nie ma czegoś takiego jak norma, a gdyby się bliżej przyjrzeć, w każdym człowieku znajduje się jakieś zaburzenie, odchylenie, dziwactwo. Ale choć to sformułowanie nie ma tak naprawdę sensu, mówimy zwykle, że ktoś jest w miarę normalny, i wszyscy wiedzą, o co chodzi.

Jan był w miarę normalny z tym jednym zastrzeżeniem, że z okresu dzieciństwa pozostała w jego wnętrzu emocjonalna zadra, której nie potrafił się pozbyć. Był już wprawdzie dorosłym człowiekiem i dawno wymazał z pamięci, na tyle, na ile to możliwe, koszmar pierwszych czternastu lat życia. Mimo to pozostał w nim niedosyt, o którym wiedział, że prędzej czy później będzie musiał zostać zaspokojony. Jan wciąż bowiem nie mógł sobie wybaczyć, że nie zabił swojego ojca.

Nie zdążył go zabić. Owszem, rozmyślał o tym, wielokrotnie we własnej wyobraźni dokonywał tej rozkosznej zbrodni, ale był przecież czternastoletnim chłopakiem i trudno się dziwić, że ostatecznie nie zdobył się na odwagę, by zrealizować swój zamiar. Nie zdążył, bo któregoś dnia ojciec – jak zwykle pijany i wściekły na cały otaczający go świat – zginął śmiercią banalną i głupią, spadając ze schodów na klatce w bloku, w którym wtedy mieszkali. Uderzył głową o beton w sposób tak niefortunny – choć Jan powiedziałaby raczej, że był to uśmiech losu niczym wygrana w totolotka – że jego mózg został zalany krwią, która unicestwiła go jako żyjącego człowieka i przemieniła w martwe zwłoki, które już nigdy nie miały się przyczynić do niczyjej krzywdy.

Jana z jednej strony ucieszył ten absurdalnie prostacki wypadek, bo śmierć ojca zapowiadała koniec rodzinnej udręki. W oczach Jana było to coś niemożliwie wspaniałego. Przecież takie wypadki są absolutną rzadkością, a jeśli już się zdarzają, dotyczą zwykle porządnym ludzi. Ciągłe słyszał od wszystkich to stare powiedzenie, że złego diabli nie biorą. Wszyscy tak mówili, gdy wypowiadali się na temat jego ojca. Bo wszyscy wiedzieli, jak ojciec Jana traktuje swoją rodzinę, mimo że poza domem był do rany przyłóż, uprzejmy, sympatyczny, uczynny, dowcipny, ale ludzie słyszeli przecież hałasy, krzyki i płacz dochodzący z ich mieszkania, widzieli ślady przemocy pojawiające się cyklicznie na odsłoniętych częściach ciała, a mimo to jedynym komentarzem, na jaki byli w stanie się zdobyć, było właśnie to idiotyczne przysłowie, ta stara ludowa mądrość, że złego diabli nie biorą. Ta sentencja niejako usprawiedliwiała bezradność całej ludzkości wobec chodzących po świecie sukinsynów. Tego złego diabla jednak wzięli, i Jan nie zamierzał karcić samego siebie za satysfakcję, którą z tego tytułu odczuwał. Z drugiej strony jednak Jan był zły na siebie, bo uważał, że pozbawienie życia tego potwornego człowieka było jego powinnością, której nie sprostał. Był wówczas czternastoletnim Jankiem, ale teraz, jako dorosły Jan, wciąż miał wewnętrzne przeświadczenie o swoim zaniechaniu, mimo że uważał przecież, że ludzie nie mają żadnej powinności, a ich życie nie ma określonego celu ani sensu. Mimo to Jan wciąż czuł się winny. Było to poczucie nieracjonalne, ale przecież nawet tacy racjoniści jak Jan wiedzieli, że człowiek to istota emocjonalnie skomplikowana i nie jest w stanie żyć wyłącznie racjonalnych poglądów ani zawsze postępować logicznie. Tak więc Jan czuł się winny. Wówczas, gdy zginął jego ojciec, zrozumiał, że jest na świecie absolutnie samotny, a jego matka na zawsze pozostanie dla niego osobą z innego świata, z odmiennej rzeczywistości.

Jan uważał, że mama powinna skakać z radości nad trupem potwornego faceta, który zniszczył jej życie. Tymczasem ona ryczała jak jakaś wariatka, zawodziła, wyla z rozpacz. Patrzył na nią wtedy i nie mógł powstrzymać pogardy wypełniającej jego czternastoletnie serce. Pogardę tę kierował dotąd wyłącznie w stronę ojca – brutalnego tyra, bezwzględnego króla rodzinnej przemocy, jakże typowego, bo na zewnątrz uśmiechniętego i uprzejmego w stosunku do sąsiadów i znajomych, a wewnątrz domostwa wyżywającego się na żonie, a gdy Jan wyrósł z niemowlęctwa, także na chłopcu

wzrastającym w atmosferze wiecznego lęku i bezradności. Patrząc na truchło swego rodziciela i jęczącą z bólu matkę, również wobec niej poczuł dziwny wstręt i odpychające uczucie niechęci. Pozostało mu to do dzisiaj. Kochał ją, bo była jego matką, a gdy był już dorosły i bogatszy o życiowe doświadczenie, był nawet w stanie ją zrozumieć. Ale chyba już na zawsze matka miała dla niego pozostać osobą trochę obcą, emocjonalnie i intelektualnie zamieszkującą zupełnie inne przestrzenie niż te, w których przebywał jej syn. Dawała mu w dzieciństwie ciepło i bliskość, temu nie mógł zaprzeczyć. Natomiast jej naiwność, słabość i nieumiejętność samodzielnego myślenia o świecie, jej potrzeba bycia podporządkowaną komuś lub czemuś z jednoczesnym przeświadczeniem o powinności podporządkowania syna samej sobie i organizowania mu życia w każdym możliwym aspekcie – to bezrefleksyjnie hierarchiczne spojrzenie na rzeczywistość wpędzało Jana w stan bezradnej irytacji. Dla jego matki było naturalne, że powinna być posłuszna mężowi bez względu na wszystko, a gdy męża zabrakło – kierować się wskazówkami księdza proboszcza Henryka, ponieważ ksiądz proboszcz w jej świecie wartości zajmował drugie miejsce w rankingu. Z kolei Jan ze względu na fakt bycia jej synem był w jej mniemaniu zobowiązany słuchać jej porad i zaleceń nawet wtedy, gdy był już dorosłym mężczyzną. Matka była ofiarą ojca tak samo jak on, ale po śmierci oprawcy nie zdołała się uwolnić z mentalnego więzienia, w jakim tkwiła przez całe małżeństwo. Przeobraziła się w ofiarę w sposób totalny i wszechogarniający i nigdy później nie była już w stanie prowadzić normalnego, samodzielnego życia. Nie potrafiła żyć bez podporządkowania i nadzoru, bez kogoś, kto mówił jej, jak ma żyć i co powinna myśleć. Nie mogła także zaakceptować dążenia Jana do samodzielności i niezależności, odbierając jego postawę jako swego rodzaju synowską zdradę. Bycie ofiarą, myślał Jan, gdy wracał pamięcią do dawnych wydarzeń, jest straszne, ale może stać się również wygodne. I ta wygoda często przekształca się później w nieuleczalne uzależnienie.

Jan – choć wiedział, że to absurdalne – wciąż obwiniał samego siebie za to, że nie zabił ojca kilka lat wcześniej. Już jako dziesięciolatek poważnie rozważał taką opcję, jednak przez kolejne cztery lata mordercze koncepcje pozostawały jedynie w sferze teoretycznych rozważań. Gdyby wówczas był odważniejszy – mówił sobie potem – gdyby w wieku lat dziesięciu albo jedenastu zakończył życie potwornego Macieja Libertowskiego, męża Marianny i ojca Jana, być może Marianna zdołałaby potem odzyskać równowagę, być może Jan byłby później w stanie traktować ją jak prawdziwą matkę, zamiast odganiać ją od siebie jak natrętną muchę. Ale ojciec zginął dopiero cztery lata później, gdy matka była już psychicznym wrakiem. Oczywiście Jan wiedział, że te cztery lata niewiele by zmieniły, że nie ponosił za nic winy, bo jak w ogóle można winić za cokolwiek dziesięcioletniego chłopca, a zwłaszcza za to, że nie zamordował własnego ojca, ale z drugiej strony ludzkich emocji nie sposób opanować, tym bardziej jeśli zostały spaczony dorastaniem w rodzinie brutalnego alkoholika.

Jan na kilka chwil wrócił myślami do swojej tajemnicy, którą skrywał pod racjonalną i opanowaną powierzchownością. Plan, który realizował, był poniekąd skutkiem dawnych wypadków. Nie ulegało to wątpliwości. Czuł jednak, że postępuje słusznie, i mimo świadomości, że przeszłość może wypaczać jego ocenę, dawno pozbył się jakiegokolwiek wahania. Skoro nie ma czegoś takiego jak obiektywna słuszność, wszelkie wahanie i tak byłoby jałowe. Musiał zaufać własnemu osądowi i życiowemu doświadczeniu.

Szybko odpędził od siebie myśli o tym, co miało nastąpić. Do realizacji kolejnego etapu planu pozostało jeszcze trochę czasu.

Jan spojrzął na zegarek. Była dwudziesta. Lubił wieczorem obejrzeć sobie jakiś serial kryminalny, nawet jeśli odnajdywał w nim zgrane schematy i wiedział, że zwykle zabójcą okazuje się bohater, który

na początku historii pojawia się tylko na chwilę albo nawet w ogóle go nie widzimy, bo jest wspomniany pośrednio z imienia albo nazwiska, wobec czego nie wzbudza początkowo żadnych podejrzeń, ale na końcu wychodzą na jaw nowe fakty, które przewracają cały tok myślenia do góry nogami.

Jan zjadł to, co miał do zjedzenia, obejrzał do końca dwa odcinki kryminalnego serialu, po czym wstał z kanapy i wyszedł na swój miniaturowy balkon o wymiarach metr na metr. Odetchnął rześkim powietrzem październikowego wieczoru. Zbliżała się dwudziesta druga, ale Jan stwierdził, że pogoda jest zaskakująco przyjemna. Wprawdzie za chwilę zakręciło go w nosie i kichnął, po czym musiał wytrzeć nos chusteczką i poprawić okulary, które wskutek kichnięcia zsunęły się nieco, ale mimo to optymistycznie skonstatował, że wychodząc z domu, może z powodzeniem założyć tę samą lekką jesienną kurtkę, którą miał na sobie w ciągu dnia.

ROZDZIAŁ 7

JOACHIM, PONIEDZIAŁEK PRZED PÓLNOCĄ

Joachim był człowiekiem sukcesu. Do wszystkiego doszedł sam i był dumny ze swoich osiągnięć. Prawie do wszystkiego, bo duży dom na Starym Bemowie zostawili mu rodzice, którzy od kilku lat spędzali dość wcześnie rozpoczętą emeryturę, opalając się na słonecznej Florydzie. Ale poza tym samodzielnie doszedł tam, gdzie obecnie się znajdował. W wieku trzydziestu pięciu lat był członkiem zarządu i jednym z głównych akcjonariuszy dobrze prosperującej firmy z branży reklamy i marketingu. Nie był to może wielki gracz na rynku, ale spółka prowadzona przez Joachima i trzech jego wspólników radziła sobie bardzo dobrze. Stworzyli ją od zera i doprowadzili do stanu, w którym jej pozycję rynkową można było uznać za silną i ugruntowaną.

Joachimowi powiodło się także w życiu osobistym. Miał żonę i sześciolatniego syna, który za rok miał pójść do pierwszej klasy. Żona od czasu urodzenia małego Krzysia nigdzie nie pracowała, bo nie musiała. Joachim zarabiał wystarczająco dużo, by utrzymać rodzinę i zapewnić jej życie na wysokim poziomie.

Joachim miał bardzo dobry wzrok i nie musiał specjalnie skupiać uwagi na wypatrywaniu odpowiedniej drogi. Było już po dwudziestej trzeciej, a las był ciemny i gęsty, ale nieliczne odbłaski docierające z przebijającego się przez chmury księżyca oraz widocznej w oddali poświaty miejskich latarni pozwalały Joachimowi bez trudu utrzymać odpowiedni kierunek marszu.

W co drugi poniedziałek Joachim odwiedzał dawnego kolegę ze szkoły, z którym do dzisiaj utrzymywał bliskie kontakty. Wiedział, że starą znajomość, jeśli nie chcemy jej stracić, najlepiej jest ugruntować jakimś rytuałem. Dlatego od lat spotykali się co dwa tygodnie na partię szachów, która była pretekstem do wspólnej rozmowy, wspomnień, dyskusji na tematy bieżące oraz niewątpliwie przyjemnej konsumpcji trunków i potraw przygotowanych przez małżonkę kolegi. Po wszystkim Joachim wracał do domu okrężną drogą przez las, bo lubił samotne spacerować, a o tej porze w ciemności spotkanie kogokolwiek po drodze było absolutną rzadkością. Joachim nie obawiał się wcale, że może mu się coś stać. Znał te tereny od dzieciństwa, poza tym był silnym i wysportowanym mężczyzną. Na pewno poradziłby sobie w każdej sytuacji. Nie bał się nikogo, przeciwnie, to inni się go bali. W młodości widział strach i słabość w oczach szkolnych kolegów i nauczycieli, a teraz z przyjemnością obserwował lęk podległych mu pracowników i trwogę, jaką budził w domu w żonie i małym Krzysiu. Strach to uczucie tak silne jak miłość i dlatego jego zdaniem uczucia te powinny iść ze sobą w parze. Strach budzi respekt, szacunek, poważanie. Joachim był dumny, że ma taki dar, że ma tę charyzmę, wobec której ludzie stają się bezbroni i podlegli.

Wracał właśnie z kolejnego poniedziałkowego spotkania, przemierzając znane mu ścieżki i drogi w lesie okalającym jego rodzinne osiedle. Wiedział, że za jakieś dziesięć minut dotrze do ulicy i pętli tramwajowej, za którą w odległości kilkuset metrów, w prestiżowej lokalizacji, znajduje się jego okazałe domostwo. Lubił te nocne spacerunki, bo miał wtedy czas na rozmyślenia, a rześkie nocne powietrze ożywiało go mimo późnej pory.

Był w dobrym humorze. Od jakiegoś czasu niepokoił się z powodu pewnych niefortunnnych wydarzeń, ale teraz nabrał pewności, że wszystko będzie w porządku. Minęły już przecież trzy miesiące i nic się nie stało, więc mógł spokojnie uznać, że jego wcześniejsze obawy nie były uzasadnione.

Tak naprawdę wszystko zaczęło się jakieś pół roku temu. Był chyba kwiecień, pierwsze ciepłe dni. W sobotnie popołudnie Joachim pozwolił Krzysiovi wyjść do ogrodu. Ogród Joachima był bardzo uporządkowany. Joachim w ogóle bardzo cenił sobie porządek. Jego żona nie pracowała, więc miała sporo czasu w ciągu dnia. Joachim wyznaczał jej konkretne zadania, które miała zrealizować. Ogrodnictwo było jednym z jego hobby. Planował nasadzenia i koordynował prace małżonki na ćwierćhektarowej działce, którą dysponował. Posesje na Starym Bemowie były spore, jak na warszawskie warunki. Dawały wiele możliwości. Joachimowi podobał się jego ogród i dlatego nie lubił, gdy syn chciał wychodzić na dwór. Tym razem uległ, bo Krzysio bardzo prosił, stęskniony za ciepłem i słońcem. Wybiegł z mamą, trochę poganił się po trawniku, ale szybko mu się znudziło. Joachim nawet się nie zorientował, jak Krzysio wyciągnął z domu piłkę i zaczął ją podrzucać i kopać na wszystkie strony. To nie mogło się dobrze skończyć. Po jednym z soczystych uderzeń piłka wpadła w grządkę niedawno posadzonych kwiatów. To jeszcze nie byłoby takie straszne, gdyby nie Krzysio, który za chwilę również znalazł się na tym obszarze, deptając i tratując cenne, piękne rośliny. Joachim nie wytrzymał. Podbiegł do syna, chwycił go wpół i wyniósł z powrotem na trawnik. Rzucił Krzysia na ziemię i zaczął go okładać pięściami, krzycząc i przeklinając. Potem wykonał jeszcze kilka kopnięć w brzuch i w nogi. Syn płakał i krzyczał, a Joachim bił bez opamiętania, pomstując na obrzydliwego bachora, który nie umie uszanować pracy matki. Żona Joachima podbiegła do niego i próbowała go powstrzymać. Przecież to tylko dziecko, on nie chciał, on nie rozumie. Próbowała coś powiedzieć, ale Joachim błyskawicznie ją uciszył celnym ciosem w splot słoneczny. Skuliła się i upadła na ziemię. Joachim dopiero wtedy ochłonął. Wrócił do domu, w salonie otworzył barek i nalał sobie do szklanki okazałą porcję whisky. Tymczasem zobaczył, jak jego żona, niosąc na rękach płaczącego syna, wchodzi na schody prowadzące na piętro. Pieprzona suka i rozbawiony dzieciak, pomyślał Joachim, może wreszcie czegoś się nauczy. Wrócił do ogrodu, usiadł na tarasie i wziął spory łyk bursztynowego płynu. Poczul głęboką ulgę i uspokojenie. Dalsza część dnia upłynęła całkiem przyjemnie i zapewne szybko zapomnieliby o tym incydencie. Nie było to wszak nic wyjątkowego. Joachim dbał o dyscyplinę i porządek, a kary cielesne stosował regularnie. Uważał to za coś oczywistego. Problemy zaczęły się dopiero w poniedziałek i wówczas Joachim uświadomił sobie, że popełnił błąd. Dotychczas rodzinne sprawy porządkował wewnątrz domu. Pierwszy raz zdarzyło się, że nerwy puściły mu na terenie otwartym. Ponownie naszła go refleksja, że jest to ewidentna wina jego przeklętego synalca.

W poniedziałek w pracy na służbowej skrzynce elektronicznej odebrał dziwną wiadomość. Treść była krótka i zawierała prośbę o kontakt w ciągu dwudziestu czterech godzin. Kluczowy był jednak załącznik. Był to plik filmowy, po którego otwarciu Joachim zobaczył samego siebie. Filmowano z pewnej odległości, ale nie było wątpliwości, że to właśnie Joachim bije i kopie sześciolatek Krzysia, a następnie wymierza silny cios swojej żonie. Początkowo Joachim się zdenerwował. Wstał i zaczął chodzić po gabinecie. Potrzebował wyładowania emocji, jednak znajdował się w biurze, a tu

musiał się kontrolować. Spojrzał przez okno i zobaczył panoramę Warszawy. Jego firma miała siedzibę na dwudziestym piętrze prestiżowego biurowca. Ten widok zawsze go uspokajał. Po krótkim namyśle zdecydował, że po prostu zignoruje tę wiadomość. Nadawca liczy z pewnością na to, że Joachim się przestraszy. Dlatego trzeba działać na przekór. Joachim nie uczyni nic. Zlekceważy sprawę, da do zrozumienia, że niczego się nie boi. Bo Joachim przecież niczego i nikogo się nie bał.

Niestety już w czwartek wieczorem odwiedziło go dwóch policjantów. Wyższy rangą funkcjonariusz był znany Joachimowi – ich ojcowie znali się od lat. Dlatego policjant był nieco zażenowany i poprosił Joachima, aby stawił się następnego dnia na komendzie w takiej nieprzyjemnej i delikatnej sprawie, bo wpłynęło jakieś zawiadomienie, oczywiście to na pewno całkowita bzdura i wszystko się jakoś wyjaśni, ale formalności i procedury są nieublagane, na pewno Joachim rozumie, a zatem niech się stawi w piątek rano i wszystko będzie dobrze.

Joachim przyszedł nazajutrz na komisariat i z lekkim niepokojem oczekiwał przesłuchania. Przyjął go ten sam znajomy funkcjonariusz. Okazało się, że sąsiad Joachima zgłosił doniesienie o rzekomej przemoc domowej. Nie poparł go jednak żadnymi dowodami. Słowo przeciwko słowu, sam Joachim rozumie, takich sąsiedzkich donosów mamy tutaj mnóstwo, opowiadał policjant. Joachim wyraził zrozumienie i rzecz jasna wszystkiemu zaprzeczył. Jest przykładowym ojcem, a jego rodzina jest oazą szczęścia i miłości. Funkcjonariusz podziękował za stawiennictwo, podpisali jakieś papiery i sprawa została uznana za zamkniętą. Jednak Joachim dobrze rozumiał, o co tak naprawdę chodzi. Już wcześniej, obejrawszy film, łatwo zidentyfikował operatora kamery. To musiał być ten sąsiad, który dwa lata temu kupił dom obok niego. Kierunek, z którego filmowano, nie pozostawiał wątpliwości. Skoro Joachim zignorował otrzymaną wiadomość, sąsiad zgłosił sprawę na policję. Nie przekazał jednak nagrania. Ograniczył się do osobistych zeznań, zawierających niejasne podejrzenia. Joachim wściekł się i zamiast pojechać do pracy, wrócił na Stare Bemowo. Zaparkował trochę dalej, żeby żona go nie zobaczyła, i stanął przy furtce przed posesją sąsiada. Bezczelny cham i debil, pomyślał Joachim. Sąsiad zdalnie otworzył furtkę i wpuścił go bez słowa do domu.

– Spodziewałem się ciebie – zaczął od razu – i z góry uprzedzam, że jeśli stanie mi się jakaś krzywda, film trafi od razu na policję. Łatwo odgadłeś, że ja jestem jego autorem, ale e-mail dotarł do ciebie skądinąd. Mam znajomego, który zna się na tych dziwnych informatycznych sztuczkach. Wysłał ci go tak, żeby zidentyfikowanie nadawcy nie było możliwe. To, że jestem autorem filmu, można stwierdzić bez trudu, ale samo nagranie filmu nie jest niczym złym. Szantaż to już co innego. Takie e-maile lepiej wysyłać w bezpieczny sposób. Ten mój kolega jest w posiadaniu tego pliku, więc jeśli przyszedłeś tutaj, aby zrobić mi jakąś krzywdę, to zastanów się jeszcze raz. Ale zakładam, że przybyłeś raczej po to, aby ponegocjować. – Sąsiad uśmiechnął się szeroko, siadając na krześle w kuchni i pokazując Joachimowi miejsce przeznaczone dla niego.

Joachim stłumił w sobie wściekłość, gdy zorientował się, w jakiej jest sytuacji. Nie zdołał jednak całkowicie się opanować i wyszczał:

– Ale dlaczego wysłałeś mi to na skrzynkę w pracy? Pojechało cię?

– Niestety nie miałem twojego prywatnego adresu. Mam tylko służbową wizytówkę. Pamiętasz, że kiedyś wymieniliśmy się kontaktami na wypadek, gdybyśmy potrzebowali sąsiedzkiej pomocy. Chyba właśnie taka okoliczność ma miejsce. – Sąsiad ponownie zademonstrował wesoly uśmiech.

– Czego chcesz? – Joachim przeszedł do rzeczy.

– Świetnie – ucieszył się sąsiad – ja też lubię konkretne rozmowy. Moje oczekiwania są skromne i jak sądzę uczciwe. Będziesz płacił mi dwa tysiące euro co miesiąc. To nie jest dużo. Jak na twoje

możliwości, to nawet całkiem niewiele. Nasz kontrakt będzie obowiązywał przez pięć lat. Potem obaj zapomnimy o sprawie. Kasę będziesz przekazywać w gotówce. Kopertę z pieniędzmi wkładaj na początku każdego miesiąca do mojej skrzynki pocztowej na ogrodzeniu. I jeszcze jedno: przez te pięć lat musisz dbać o moje zdrowie oraz modlić się, o ile jesteś religijny, aby nic mi się nie stało. Moim dodatkowym zabezpieczeniem jest e-mail z załączonym filmem, który przygotowałem na jednej ze skrzynek pocztowych. Czas wysłania jest ustawiony na tydzień do przodu. Jeśli będę w dobrej formie, co tydzień będę przesuwiał termin wysyłki o kolejne siedem dni. Ale jeśli coś mi się stanie, to niestety nikt inny tego za mnie nie uczyni. Oczywiście po wygaśnięciu naszej umowy ten e-mail również zostanie skasowany. Aha, i nie próbuj negocjować. Kwoty nie obniżę, powinieneś się cieszyć, że jest taka skromna.

– Jaką mam gwarancję, że mnie nie oszukasz? Będę ci płacił przez lata, a potem i tak wyślesz film.

– Musisz mi zaufać. Nie mogę dać ci gwarancji. Ale zastanów się, po co miałbym to robić? Proponuję ci uczciwy układ. Jeśli się z niego wywiążesz, nie będę miał interesu w pogrążaniu ciebie. Gdybym ujawnił film, prędzej czy później wyszłoby na jaw, że ja go nakręciłem. Po latach mogłoby to wzbudzić podejrzenia i pytania o to, dlaczego tak długo zwlekałem. Oczywiście jakoś bym się wytłumaczył, ale naprawdę nie potrzebuję takich kłopotów.

Dla Joachima brzmiało to logicznie. Miało ręce i nogi. Zgodził się i od tego czasu co miesiąc wrzucał kopertę z gotówką do skrzynki pocztowej sąsiada. Po kilku miesiącach stało się to dla niego zwykłym rytuałem, na który przestał zwracać uwagę. Zaczął naturalnie bardziej się pilnować. Dyscyplinę i porządek egzekwował tylko wewnątrz murów rodzinnego domostwa. Nie miał poczucia, że robi coś złego, bo co złego może być w ojcowskiej trosce o ład we własnej rodzinie. Ale zdawał sobie sprawę, że większość ludzi tego nie rozumie i na zewnątrz mogłoby to źle wyglądać i przysporzyć mu kłopotów, dlatego dbał o dyskrecję. Sprawy rodzinne powinny pozostać w rodzinie.

Wracając ciemnym lasem i rozsmakowując się w zapachach październikowej nocy, Joachim przypominał sobie wydarzenia sprzed półroczna z rozbawieniem i satysfakcją. Po raz kolejny pokonał przeciwności losu. Niestety w lipcu pojawiła się kolejna obawa. Szef działu informatycznego poinformował członków zarządu, że w trakcie weekendu miał miejsce atak hakerski na sieć komputerową firmy. Co ciekawe, nieznanemu sprawcy po wejściu do wewnętrznej sieci skopiował zawartość komputerów wszystkich członków zarządu. Początkowo planowano zgłosić sprawę na policję, ale Joachim ostro zaoponował. Zdołał przekonać współników, że na razie lepiej poczekać i nie robić wokół firmy zbędnego szumu, który mógłby zagrozić interesom spółki. Być może nic wielkiego się nie stało, a tak naprawdę komputery prezesa i jego zastępców nie zawierały szczególnie poufnych danych, które byłyby wrażliwe dla przedsiębiorstwa. Większość tego, co naprawdę miało znaczenie, było lepiej zabezpieczone i znajdowało się na serwerach zarządzanych przez dział informatyki. Te dane pozostały nietknięte. Wszyscy w końcu zgodzili się z Joachimem, co przyjął z wielką ulgą, bo tak naprawdę chodziło mu o uniknięcie sytuacji, w której policja zaczęłaby grzebać w jego komputerze. Plik filmowy z nieszczęsną sceną z ogrodu wciąż znajdował się przecież na dysku, bo Joachim z nieznanym sobie powodów wcale go nie usunął. Przeciwnie, co jakiś czas wracał do niego i oglądał z niekłamana satysfakcją obraz własnej siły i władzy. Dopiero po włamaniu hakera zrozumiał, że popełnił błąd.

To wszystko stało się jednak trzy miesiące temu i od tego czasu nie wydarzyło się nic. Nikt nie zgłosił się do Joachima z żadnymi żądaniem, co wskazywało na to, że film pozostał niezauważony, a haker prawdopodobnie działał na oślep albo szukał czegoś zupełnie niezwiązanego z Joachimem.

Chyba znów wszystko będzie dobrze, pomyślał Joachim, skręcając w asfaltową drogę, na końcu której w oddali migotały już światła latarni na ulicy obok kościoła i pętli tramwajowej. Do tego miejsca Joachim miał jeszcze prawie kilometr, ale poczuł przypływ energii i przyspieszył kroku.

Po paru chwilach zorientował się, że na tej nieuczęszczanej zwykle o tej porze ścieżce ktoś jest. W jego kierunku zmierzała jakaś postać, która co kilkanaście sekund włączała na moment latarkę w smartfonie, aby oświetlić otaczające ją ciemności i upewnić się, że idzie w dobrą stronę. Joachim znów odczuł ukłucie satysfakcji. On znał teren i miał sokoli wzrok. Nie potrzebował sztucznego światła, żeby sobie poradzić. Za minutę, może półtorej obaj spotkają się i miną na mrocznej trasie. Ciekawe, czy ten człowiek w ogóle go zauważy. Obserwując kontury zbliżającej się postaci, Joachim doszedł do wniosku, że jest to mężczyzna, prawdopodobnie krótko ostrzyżony i noszący okulary. Miał na sobie kurtkę, a w lewej dłoni trzymał telefon, który służył mu jako źródło światła.

Joachim szybko znudził się obserwowaniem nocnego przechodnia. Gdy mężczyzna zbliżał się do niego, Joachim był już myślami gdzie indziej. Wtedy jednak stało się coś niespodziewanego. Gdy dzieliła ich już odległość zaledwie kilku metrów, mężczyzna włączył latarkę w smartfonie i skierował światło wprost na twarz Joachima. Ten odruchowo się zatrzymał i zasłonił oczy ręką.

– Co jest, do cholery?! – zdążył jeszcze krzyknąć. Była to ostatnia myśl, jaką wypowiedział i jaka w ogóle pojawiła się w jego głowie. Chwilę później jego mózg przeszły kula wystrzelona z pistoletu.

Mężczyzna, który teraz oprócz świecącego telefonu w lewej ręce dzierżył także mały pistolet w prawej dłoni, oświetlił leżące na ziemi ciało. Ponownie skierował broń w jego stronę i wystrzelił pięciokrotnie. Jedna z kul utkwiała w policzku, deformując szlachetne rysy twarzy, a pozostałe cztery pociski wbiły się w brzuch Joachima. Mężczyzna podszedł na odległość dwóch kroków i delikatnie rzucił opróżniony już z naboju pistolet na czerwoną plamę krwi na ciele ofiary. Broń osunęła się nieco, ale nie spadła na ziemię. Mężczyzna nie zamierzał długo przyglądać się efektowi swoich działań. Zgasił światło latarki i schował smartfon do kieszeni. Umieścił w niej także cienkie rękawiczki, które podczas całej operacji znajdowały się na jego dłoniach. Szybko oddalił się zgodnie z opracowanym planem. Zbadał wcześniej teren i wiedział, jak bezpiecznie opuścić las, nie pozostawiając śladów i nie narażając się na ryzyko spotkania kogokolwiek po drodze.

ROZDZIAŁ 8

JAN, WTOREK RANO

Jeśli Jan uważał, że w gruncie rzeczy warto przychodzić do pracy, to wyłącznie dlatego, że od czasu do czasu przydarzała się tam jakaś zabawna konwersacja, w której mógł wziąć udział, a niekiedy był wręcz jej moderatorem. Zabawna, a nie mądra czy pouczająca, bo Jan w ogóle nie wierzył w treść. Twierdził, że sednem dyskusji jest forma. Treść jest zwykle drugorzędna, oczywiście dobrze, jeśli ma ręce i nogi, bo przyjemniej się konwersuje, gdy wypowiedź dyskutanta utrzymuje rygor logiczny, ale koniec końców każda dyskusja, jaką toczą ze sobą ludzie współcześni, jest raczej serią monologów, a nie dialogiem polegającym na wzajemnej wymianie myśli. Dlatego zawsze ostatecznym wynikiem jest remis, każdy pozostaje przy swoim zdaniu i nie następuje przyznanie racji żadnej ze stron. Oczywiście ktoś może wypaść lepiej, zrobić korzystniejsze wrażenie, ale nawet wówczas odniesie jedynie zwycięstwo wizerunkowe, a więc mieszczące się w obszarze formy. W zakresie treści nie przekona tych, którzy mają odmienne poglądy. A to wszystko, rzecz jasna, przy założeniu, że dyskutanci różnią się w opiniach, co nawiasem mówiąc, wcale nie zdarza się często. Ludzie generalnie lubią rozmawiać z tymi, którzy podzielają ich przekonania i z entuzjazmem pokiwiają głową, przytakną, poklepią po ramieniu. Ale dajmy na to, że rozmawiają treściowi adwersarze. Żaden z nich przecież nie liczy na to, że przekona drugiego, obaj wiedzą, że pozostaną przy swoich zdaniach, więc ich dysputa ma charakter czysto formalny, jest zabawą językową, grą o to, kto odpali większy fajerwerk, kto użyje trafnej metafory albo ciętej riposty. Kto wprawnie zmiesza język wzniosły z pospolitym wulgaryzmem, osiągając efekt komiczny i rozweselając towarzystwo.

Jan lubił każdy rodzaj dysputy – zarówno taki, który osobom o podobnych zapatrywaniach pomagał się utwierdzić w słuszności własnego dobrego samopoczucia, jak i taki, który polegał na sporze, konflikcie, zderzeniu idei i wartości. Dużą przyjemność sprawiały mu na przykład dyskusje z Jagną, zaciekle patriotką, szaloną i absurdalnie pociągającą pięknnością o kasztanowych włosach, której tak zwane katolicko-narodowe poglądy – tak bardzo odległe od zapatrywań Jana – budziły w nim nieodpartą potrzebę dokonywania ciągłych prowokacji. Wiedział, że dyskutowanie z Jagną jest bezcelowe w zakresie treściowym. Nie był w stanie przekonać jej do zmiany światopoglądu, jak również nie istniała najmniejsza nawet szansa, aby ona skłoniła go do modyfikacji jego spojrzenia na rzeczywistość. Oboje funkcjonowali w różnych światach wartości i używając tych samych wyrazów, nadawali im odmienne znaczenia. Nie było zatem żadnej możliwości, aby doszło między nimi do porozumienia. Mimo to uwielbiał się z nią spierać, rozmawiać z nią, prowokować. Uważał, że w jej patriotycznych uniesieniach połączonych nieodmiennie z kasztanowym erotyzmem, którym emanowała jej fizyczność, jest jakiś czysto zwierzęcy element, który go ekscytował. W wyniku tej ekscytacji wielokrotnie posuwał się do otwartych kpín z narodu, Boga albo tradycji, które to pojęcia były w jego

opinii niczym więcej jak tylko słowami wymyślonymi przez ludzi w bardzo prozaicznych celach, a które według Jagny – w co ku zdumieniu Jana wierzyła głęboko i zupełnie na serio – określały całkiem realne i obiektywnie istniejące byty. Kpiny te oczywiście wywoływały zamierzony skutek, czyli rozjuszały Jagnę i nakreślały ją emocjonalnie, a Jan wtedy jeszcze lepiej bawił się tą rozmową, tą interakcją dwóch ciał na odległość słowa, bo pozornie ich dyskusja – której kolejna odsłona, jak się okaże, miała nastąpić również w tym tygodniu – jawić się mogła jako wymiana myśli, ale jak wspomnieliśmy powyżej, były to dwa monologi, dwie wypowiedzi w zupełnie odmiennych językach. Jana pociągała w tych konwersacjach energia, która się między nimi wytwarzała, bawiły go liczne powiedzonka i aluzje lepszej lub gorszej jakości, jakie wymyślał na poczekaniu, aby jeszcze intensywniej rozszerzyć rozmówczynię.

Treść była zatem narzędziem wspomagającym formę. Dzięki treści forma dyskusji zyskiwała obfity i naładowany emocjami kształt. Treść sama w sobie nie miała jednak zdaniem Jana samodzielnej mocy, która byłaby oderwana od formy. Jan twierdził bowiem, że – jeśli tylko wnosimy się ponad suche fakty i pragniemy osiągnąć do świata wartości i tak zwanych wyższych idei – nie ma żadnej obiektywnej prawdy, nie istnieje jedyna absolutnie słuszna treść lepsza od innych treści. Wszelkie retoryczne wywody zmierzające do przekonania słuchaczy do określonych poglądów mogą okazać się wartościowe jedynie w zakresie formy, w swym językowym kunszcie, bo co do treści pozostaną zawsze kruche i nieoparte na zwartym fundamencie, a co za tym idzie podatne na zabicie i podważenie.

Konrad, choć zapewne nie dokonywał w tej kwestii tak dalekosiężnych przemyśleń, intuicyjnie zgadzał się chyba z Janem, bo również nie przywiązywał istotnej wagi do tego, co twierdził. Z reguły był raczej mrukliwy i małowówny, ale jeśli już zaczynał mówić, czy to używając kilku żołnierskich słów, czy – przeciwnie – rozwijając wachlarz retoryczny znacznie przerośnięty w stosunku do tego, co miał do powiedzenia, często w celu wywarcia na słuchaczach odpowiednio mocnego wrażenia wygłaszał poglądy dziwne, niemądre, a niekiedy wręcz idiotyczne. Sam zdawał sobie wówczas sprawę, że opowiada banialuki, sam nie wierzył w swoje kategoryczne sądy, ale wygłaszał je, jeśli służyły one formie, a zwłaszcza jeśli budowały efekt komiczny, na którym Konradowi zawsze zależało najbardziej.

We wtorek rano Konrad wrócił do pokoju z herbatą i z wesołą miną oznajmił, że koleżanki, które przed chwilą widział w kuchni, po raz kolejny śmiertelnie się na niego obraziły.

– Wchodzę do kuchni – powiedział Konrad – żeby zrobić sobie herbatę, a tam psiapsiółki jak zwykle szczebiocą sobie w najlepsze. Wszystkie, jak wiesz, Janie drogi, nie mają może figur modelek, nie mogłyby zapewne wejść w szranki ze studentkami historii, z którymi ostatnio regularnie się spotykam, ale umówmy się, studentki muszą dbać o siebie zawodowo, a nasze koleżanki robią to w wolnym czasie, tak od niechcienia, i w zasadzie nawet nie muszą tego robić, a mimo wszystko wychodzi im to całkiem nieźle i być może nie wszystkie, może nawet nie połowa, ale istotna ich część posiada powab niewieści, którym wcale byśmy nie pogardzili, choć ja chyba w praktyce trochę pogardzam, bo widzę, że niektóre z nich czasem łypią na mnie tak trochę seksualnie, mimo że notorycznie czymś je obrażam, ale mniejsza z tym, bo wracając do sedna, wyobraź sobie, Janek, że one tam sobie przy obfitych śniadankach gaworzyły o odchudzaniu, oczywiście Agatka – naczelniczka naszego wydziału – wiodła prym w tej dyskusji, bo ona zawsze wiezie prym, a w sprawach odchudzania to już bezapelacyjnie, w końcu jest nieco korpulentna i akurat w jej przypadku jakiś czynnik odchudzający mógłby się nawet przydać, no więc ona opowiada, że znowu stosowała przez miesiąc jakiś kolejny cudowny specyfik, co to go reklamują, że odchudza o kilogram dziennie i że ma super efekty, a ona opowiada, że stosowała przepisowo, tak jak zalecał producent, zażywała sumiennie,

nie opuściła żadnej dawki, a mimo to zero efektów, nic nie schudła, no może z pół kilo, ale w zasadzie co to jest pół kilo, po zrobieniu kupy i siku można ważyć o pół kilo mniej, no i ja sobie zalewam tę moją ulubioną herbatkę, a koleżanki jak nie zaczną jej przytakiwać, że te reklamy to oszustwo i karygodny przekręt, że nikomu już dzisiaj nie można ufać, że tylko pieniądze od ludzi wyciągają, robią nadzieje, a potem nadchodzi rozczarowanie. I tak wzięłem do ręki tę moją herbatkę – tu Konrad nachylił się nieco w stronę Jana, co zwiastowało niechybnie wybuchowy finał opowieści – i przed wyjściem stanąłem przy ich stoliku, i mówię im, że może spróbowałyby jeszcze jednej metody na odchudzanie, która moim skromnym zdaniem jest najskuteczniejsza, one wszystkie na mnie patrzą i pytają, jakaż to, Konradzie, metoda, a ja na nie patrzę i mówię: bardzo prosta, trzeba mniej wpierdalać!

Jan i Konrad roześmiali się gromko, Jan w zasadzie roześmiał się rutynowo, bo spodziewał się tego typu puenty; długa opowieść zakończona pojedynczym wulgaryzmem to była metoda retoryczna, którą Konrad stosował tyleż konsekwentnie, co przewidywalnie, a jak wiadomo, istotą dobrego żartu jest element zaskoczenia, tym niemniej Jan i tak szczerze rozbawił się usłyszaną historią, była w niej bowiem ta prostacka głębia albo głęboka prostackość, którą Jan w Konradzie cenił, bo była mu bliska, choć z drugiej strony budziła czasem zażenowanie, zwłaszcza gdy udział prostackości zaczynał znacznie przewyższać poziom intelektualnej głębi, ale przecież wpadki każdemu się czasem zdarzają, nikt nie jest doskonały, a błędów nie popełnia ten, kto nic nie czyni – że użyjemy kilku najbardziej banalnych i prostackich powiedzeń, którym trudno odmówić słuszności.

Gdy obaj uspokoili już swoje organizmy po napadzie nagłego śmiechu, Jan przejął pałeczkę, by kontynuując temat, płynnie przejść do zagadnień bardziej ogólnych.

– Swoją drogą – rozpoczął – to ciekawe, w jakim rozdwojeniu jaźni żyjemy. Wszyscy w teorii zdajemy sobie sprawę, że naturalne różnice nie powinny wpływać na to, jak się wzajemnie postrzegamy. Ludzie są chudzi, grubi, ładni, brzydki, bardziej lub mniej atrakcyjni, ale każdy z nas zgodzi się przecież, że tego typu cechy, które w dużej mierze są od nas niezależne, nie powinny wpływać istotnie na nasze życie. Tak twierdzimy, bo tak byłoby sprawiedliwie, a wszyscy żyjemy w błędnym przekonaniu, że po pierwsze istnieje coś takiego jak obiektywna sprawiedliwość, a po drugie, że ta sprawiedliwość może mieć zastosowanie do świata, w którym żyjemy. Tyle mówi teoria. A w praktyce rządzi nami biologia. Faceci zawsze będą pożądliwie spoglądać na zgrabne i atrakcyjne kobiety, a one z kolei będą wdychały do męskiej muskulatury. I na końcu wszyscy się dostosowują. Kobiety niezależnie od wszystkiego koniecznie chcą się odchudzać, a faceci ganiają na siłownię. A najsmieszniejsze jest to, że w rezultacie nie sprawdza się ani teoria, ani podejście praktyczne. Atrakcyjność fizyczna wcale nie musi się przekładać na nasze życie i jednocześnie nie ma to nic wspólnego ze sprawiedliwością ani żadnymi innymi abstrakcyjnymi kategoriami. Po prostu pewne rzeczy się wydarzają, i nigdy nie wiemy, dlaczego się wydarzyły. To, że jesteśmy obiektami pożądliwych spojrzeń albo głębokich westchnień, wcale nie musi się przekładać na udane życie. Ale jeśli się nie przekłada, to nie dlatego, że zadziałał jakiś sprawiedliwy mechanizm, ale dlatego, że przebieg ludzkiego życia jest spletem wielu różnych czynników. Popatrz choćby na nasze biuro. W naszym wydziale Agata jest raczej najmniej atrakcyjna fizycznie. A to ona ma najlepiej ułożone życie. Ma męża, dzieci, wygląda na zadowoloną i pozytywnie nastawioną do świata. Domyślam się, że jej koleżanki oburzyły się twoim porannym żartem, a ona jedyna po prostu się roześmiała, bo mimo swojej tuszy nie ma wcale kompleksu na tym punkcie. Generalnie wszyscy ją lubią i szanują, bo podchodzi do ludzi z życzliwością i nawet jeśli ma czasem o coś pretensje, stara się uwypuklać to, co pozytywne.

– No widzisz – Konrad uśmiechnął się blado, ale widać było, że nagle posmutniał – to całkiem odwrotnie niż ja. Moja atrakcyjność fizyczna chyba nie budzi zastrzeżeń. Na siłkę chodzę przepisowo i osiągam najwyraźniej dobre efekty, bo co druga laska patrzy na mnie z nieskrywaną nadzieją, że zaraz ją złapię tu i ówdzie, a najlepiej od razu wychędożę. A mnie się już, kurwa mać, dawno odechciało. Nie seksu oczywiście. Do tego mam studentki historii. Odechciało mi się związków z kobietami. Na siłę je od siebie odpycham, bo musiałbym znowu angażować się emocjonalnie, wchodzić w głębsze relacje i tego typu bzdury. Uleciały ze mnie naturalne ludzkie potrzeby. Moje życie nie ma celu ani sensu. Wszystko mnie nudzi i mierz. Przestałem czymkolwiek się cieszyć. Mam rozjebane życie, Janek. Pustka. Czuję kompletną pustkę.

Jan milczał, nie wiedząc, jak odpowiedzieć na tak nagłą zmianę nastroju. Niewygodną ciszę przerwał więc Konrad:

– No dobra, przepraszam za to smędenie. Lubię te twoje pseudofilozoficzne wywody, zazwyczaj nie wiem nawet, czy się z nimi zgadzam, czy nie, ale dobrze się tego słucha. Ale czasem niby tak tylko teoretyzując, dochodzisz do czegoś, co nagle uświadamia mi pewne rzeczy związane z moim osobistym życiem. I wtedy na chwilę tracę dystans między ogólnym pieprzeniem o chaosie świata a konkretnym stanem mojego nędznego bytu. Ale spokojnie, już ten dystans odzyskałem.

Słowa Konrada miały na celu przywrócenie dobrej atmosfery, ale jednocześnie zakończyły rozmowę, bo obaj stracili zapal do jej kontynuowania. Konrad zapadł w swój charakterystyczny letarg, w którym wydawało się, że czyta coś na monitorze komputera, ale równie dobrze mógł w tym czasie spać, bo nie do końca było jasne, czy jego oczy są tylko przymrużone, czy całkowicie zamknięte.

A Jan przeciągnął się na swoim obrotowym krześle, bo niewyspanie było jego chroniczną przypadłością, po czym popadł w wewnętrzną zadumę i już nie głośno, ale w myślach, w głębi swojej zdeprawowanej duszy pomyślał z rozbawieniem, że na świecie jest znacznie więcej niesprawiedliwości niż tylko ta, która wynika z różnic w fizycznej aparycji albo osobistym szczęściu. Na przykład głęboko niesprawiedliwe jest to, że on, Konrad, Joanna, Klaudia, Jagna albo Agata przesiadują sobie w Centrum Ulepszania Działań, nikomu prawie nieznaną instytucji państwowej, w której bezceremonialnie zbijają baki, pobierając co miesiąc całkiem przyzwoitą średnią krajową powiększoną o kwartalną premie, czyli krótko mówiąc: są zatrudnieni w urzędzie do niczego nikomu niepotrzebnym, a czas w pracy spędzają na rozmowach o odchudzaniu, sprawiedliwości albo życiowej pustce, podczas gdy tak zwani zwykli obywatele wykonują mnóstwo innych zajęć, trudnych i potrzebnych, zapracowując się, tracąc zdrowie i dostając za to znacznie niższe pieniądze.

To wszystko jest bardzo niesprawiedliwe. Tylko że Jan po pierwsze nie wierzył w żadną sprawiedliwość, a po drugie wiedział, że sam niczego nie zmieni. Bo przyjmijmy nawet, że Jan uniósłby się honorem – o ile istnieje w ogóle coś takiego jak honor – załóżmy, że rzuciłby pracę, ogłaszając światu, że instytucja, w której pracował, jest nikomu do niczego niepotrzebna. Po pierwsze, na jego miejsce od razu zatrudniona zostałaby nowa osoba, a tak naprawdę to dwie, bo przecież za doświadczonego pracownika, jakim był Jan, jeden niedoświadczony mógłby nie wystarczyć. Właśnie w ten sposób państwowe instytucje cały czas się rozrastały. Po drugie, nikt na serio nie przejąłby się opinią Jana na temat jego pracodawcy. Z punktu widzenia przeciętnego obywatela byłaby ona niewiarygodna. Mimo zazwyczaj krytycznego podejścia do funkcjonowania państwowych urzędów ludzie generalnie wierzą, że demokratycznie wybrana władza nie przekracza pewnych granic przyzwoitości. Dzięki temu właśnie przedstawiciele władzy mogą te granice z powodzeniem przekraczać, nie obawiając się jednocześnie spadku poparcia społecznego.

Czy to wszystko jest dobre, sprawiedliwe, moralne? Jan wiedział, że nie, choć uważał, że nie ma żadnej sprawiedliwości, dobra, zła ani moralności. Ale i tak ludzie są i będą źli i niesprawiedliwi. Są – dlatego że mogą. Będą – dopóki będą mogli. Jan mógł wieść spokojne życie dobrze sytuowanego urzędnika w nikomu niepotrzebnym urzędzie. I wiódł takie życie, bo niby dlaczego miałyby je oddawać komu innemu? Nie miał zresztą powodu, żeby czuć wyrzuty sumienia. Wiedział, że parę osób dostało tu pracę po znajomości, ale on, tak jak większość pracowników, znalazł się tu w wyniku otwartego naboru. Wbrew powszechnej opinii do takich instytucji publicznych nie było trudno się dostać. Liczba miejsc znacznie przewyższała bowiem potrzeby krewnych i znajomych działaczy politycznych. Zresztą naprawdę ustosunkowani ludzie oczekiwali pracy w spółkach Skarbu Państwa, bo dopiero tam mogli liczyć na sówite wynagrodzenie. Takie instytucje jak Centrum Ulepszania Działań nie zdołałyby zapłacić nawet jednej dziesiątej etatów osobami przysłanymi z czyjegós polecenia.

Jan nie miał zatem powodu, aby rezygnować z pracy. Po krótkim zamyśleniu powrócił do rzeczywistości. Już niedługo nadejdzie czas wyjścia na obiad, po którym niechybnie nastąpi spożycie alkoholu. Tymczasem Jan przeszedł się jeszcze po sąsiednich pokojach, ale nic specjalnego się nie wydarzyło. Osobiste wyznanie Konrada podczas porannej dyskusji trochę jednak Jana poruszyło, więc po odbyciu paru błahych pogawędek dość szybko wrócił na swoje miejsce przy biurku. W poczcie elektronicznej nie znalazł żadnej nowej pracy do wykonania. Przejrzał z nudów portale informacyjne, ale tam również było niewiele atrakcji. Pisano między innymi o kolejnej ofercie seryjnego zabójcy w Warszawie, ale Jan w ogóle nie miał ochoty zagłębiać się w treść artykułów na ten temat.

Po południu Konrad był już w znacznie lepszym humorze, a po obiedzie nastrój melancholii należał już do przeszłości. Mimo wszystko, nawiązując do porannej dyskusji, obaj zgodnie stwierdzili, że do pseudofilozoficznej atmosfery, która odznaczyła swoje piętno na całym ich biurowym dniu, idealnie pasuje wino. Starożytni filozofowie właśnie ten trunek spożywali najchętniej. Pewien myśliciel, przez niektórych do dziś uważany za Boga, podobno zamienił kiedyś wodę w wino, chociaż mógł przecież wybrać jakiś inny napój. Historia świata wskazywała jednoznacznie, jaki trunek miłują mędrcy.

ROZDZIAŁ 9

JOANNA, WTOREK PO POŁUDNIU

Joanna była pracowita. Nie miało dla niej znaczenia, czy praca ma sens, czy jest niepotrzebna. Dostawała określone zadanie i je wykonywała. Wiedziała, że tak trzeba. W pracy niestety miała problem, bo otrzymywanych zadań było jak na lekarstwo. Ale również z tym sobie radziła. Z własnej inicjatywy brała na siebie dodatkowe obowiązki albo wymyślała zagadnienia, którymi mogłaby się zająć. Prowadziła na przykład różne zestawienia związane z działalnością wydziału kierowanego przez Agatę. Zdawała sobie sprawę, że jest to zbędne, bo w instytucji istniał odrębny departament parający się prowadzeniem statystyk i rejestrów. Ale Agata, świadoma pracowitości Joanny i deficytu pomysłów na jakąkolwiek aktywność, jaki doskwierał wszystkim wokół, chętnie przystała na to, aby Joanna sporządzała oddzielne wewnętrzne zestawienia wyłącznie na potrzeby ich wydziału. Tak przynajmniej brzmiała oficjalna wersja, bo wszyscy wiedzieli, że wydział nie potrzebował żadnych zestawień. Ale Joanna miała zajęcie, którym mogła zagospodarować trochę czasu. Nie spędzała nad tabelkami wielu godzin i podobnie jak wszyscy buszowała po internecie w celu zabicia nudy, ale mimo wszystko te dodatkowe tabelki, które w sumie nawet lubiła, bo w przeciwieństwie do realnego świata były klarowne i uporządkowane, pozwalały jej zapełnić kilka godzin tygodniowo czymś, co nadal mogła nazywać pracą.

Kolegom dziwiącym się, że bierze na siebie dodatkowe czynności, mówiła, że robi tak z czysto przyziemnego powodu, to znaczy liczy na wyższą kwartalną premię. Ale tak naprawdę nie zależało jej na pieniądzach. Chodziło właśnie o tę pracowitość. Joanna widziała, że wszyscy wokół pozorują pracę, a mimo to nie mogła się pozbyć wyrzutów sumienia. Potrzebowała poczucia, że chociaż się stara, próbuje być lepsza niż inni. Cieszyło ją także to, że naczelniczka Agata co jakiś czas jasno dawała jej do zrozumienia, że docenia jej aktywność. Joanna bardzo potrzebowała docenienia. Była nauczona, że człowiek musi być pracowity i posłuszny, a wtedy spotka go nagroda i dobre słowo. I przeciwnie – jeśli jest leniem albo buntownikiem, powinien oczekiwać kary. Dziecko wykonuje polecenia rodzica, pracownik realizuje żądania przełożonego. Tak funkcjonuje świat. Takie są zasady.

Joannie nie przeszkadzało to, że jej praca jest bezcelowa i pozbawiona sensu. Gdyby Agata przyszła do niej z zeszytem w kratkę i kazała w co drugiej kratce postawić krzyżyk, a pozostałe zamalować na czerwono, Joanna z zapalem zabrałaby się do roboty. Z zadowoleniem skonstatowałaby, że dzień pracy mija jej zaskakująco szybko, a po zakończeniu zadania z dumą przyniosłaby zeszyt Agacie. I była pewna, że Agata z uśmiechem pochwaliłaby staranne wykonanie i obiecała, że na pewno będzie o tym pamiętać przy rozdziale kwartalnych nagród. Joanna poczułaby przyjemną satysfakcję i z podniesioną głową wróciłaby do swojego pokoju. Agacie rzecz jasna nigdy nic takiego nie przyszło do głowy, ale gdyby tak się stało, Joanna nie miałaby pretensji.

Nie podobało jej się, że niektórzy pracownicy otwarcie wyśmiewali wykonywaną przez siebie pracę. Wiedziała, że mieli rację, ale jej zdaniem nie powinni tego głośno mówić. Na przykład taki Janek. On w ogóle ze wszystkiego kpił. Joannę szczególnie denerwowało to, że żartował sobie z Boga i powtarzał, że Bóg nie istnieje. Ona nie dopuszczała do siebie takiej myśli. Bóg musiał istnieć, bo inaczej to wszystko nie miałyby sensu. Wprawdzie nie chodziła do kościoła, ale wierzyła w istnienie zasad moralnych i w jakiegoś nieokreślonego Stwórcę, którego nie łączyła z żadną konkretną religią, ale który jej zdaniem istnieje i ostatecznie na pewno okaże się miłosierny i sprawiedliwy. Sądziła, że na świecie musi być jakiś porządek. Jeśli za życia jest nagroda i kara, po śmierci powinny obowiązywać podobne zasady. Bo Joanna nie dopuszczała do siebie myśli, że po śmierci nic już nie będzie. A Janek właśnie tak twierdził. Zresztą Janek wymądrzał się na każdy możliwy temat. Ale lubiła go, bo czasem potrafił ją rozbawić, co nie było łatwe, ponieważ Joanna była nauczona, że nie wolno okazywać publicznie swoich uczuć, a w szczególności nie należy zbyt głośno demonstrować dobrego humoru. Klaudia, Janek, Agata – to były jedyne osoby, które potrafiły Joannę otworzyć, spowodować, że się roześmieje albo nawet opowie coś o sobie. Joannie w dziwny sposób podobały się te momenty i dlatego pozwalała sobie niekiedy na odrobinę swobody, ale nawet wtedy było to kontrolowane, trzymane w ryzach, monitorowane, i gdy tylko dochodziła do wniosku, że już wystarczy, że posunęła się za daleko, od razu się wycofywała i na powrót zamykała się w sobie. Kilka razy zdarzyło się, że ją poniosło, na przykład roześmiała się znacznie głośniej niż zwykle albo opowiedziała jakąś historię ze swojej przeszłości i potem tego żałowała. Wtedy musiała to odreagować i przez parę dni nie odzywała się do nikogo. Klaudia po paru takich przypadkach nauczyła się, że nie ma co wypytywać Joannę, co się stało, tylko trzeba przeczekać. Któregoś dnia Joanna po prostu wracała do swojego standardowego zachowania, czyli wciąż była pełna rezerwy, ale znów można było z nią w miarę normalnie rozmawiać.

Klaudia, Janek i Agata mieli w sobie pozytywną energię. Byli wyluzowani i Joanna z jednej strony lubiła tę ich swobodę, z drugiej strony obawiała się ich bez troski. Miała wrażenie, że oni są tak życzliwie nastawieni do świata, bo po prostu niewiele o nim wiedzą. Agata jest trochę starsza, ale Klaudia i Janek? Co oni mogą wiedzieć? Mimo że byli w podobnym wieku co ona, Joanna uważała, że wie o życiu znacznie więcej niż oni.

Gdy Klaudia była w pokoju, Joanna zwykle koncentrowała się na monitorze komputera. Niezależnie od tego, czy faktycznie pracowała, czy przeglądała internet, chciała robić wrażenie bardzo zajętej. Tak dla porządku. Bo porządek musi być zachowany. Powtarzała, że są pewne zasady, że praca to praca i trzeba zachowywać w niej określone formy. Ale teraz Klaudia wyszła na jakiś czas i Joanna się zamyśliła. Ostatnio coraz częściej jej się to zdarzało. Zorientowała się właśnie, że znów machinalnie masuje prawą dłońią przedramię lewej ręki. Drgnęła i od razu naciągnęła z powrotem rękaw bluzki, aby przepisowo zakrywał nadgarstek. Poprawiła apaszkę ozdabiającą jej szyję. Wszystko było w porządku. Dotknęła jeszcze twarzy. Pokażna warstwa różnych specyfików do makijażu, które co dzień rano nakładała na siebie, trzymała się bez zarzutu. Wszystko było na swoim miejscu.

Klaudia pewnie zaraz wróci. Joanna pomyślała jeszcze przez chwilę o Janie. Był dziś u nich przed południem, ale tylko przez parę minut. Kiedyś był dłużej, ale po tym, jak parę razy Joanna dała mu do zrozumienia, że traktuje go wyłącznie jak kolegę z pracy i nie zamierza się z nim bliżej spoufalać, jego zapal wyraźnie opadł.

Joanna znów pomyślała o tym, co miało nastąpić. Niby była już przekonana, ale wciąż po jej głowie błąkała się wątpliwość, czy na pewno podjęła właściwą decyzję. Za parę dni wszystko miało się zmienić...

Klaudia weszła do pokoju, wołając jeszcze za siebie wesołym głosem do kogoś, kto pozostał na korytarzu. Joanna wyprostowała się na krześle i porzuciła osobiste dywagacje. Otworzyła jedną z tabelk, które miała do wypełnienia, i skoncentrowała całą uwagę na uporządkowanej strukturze wierszy i kolumn.

ROZDZIAŁ 10

JAN, WTOREK PO PRACY

Jan wracał do domu swobodnym krokiem i sam się dziwił, że ciągle jest taki spokojny i w ogóle nie stresuje go to, że cały czas jest w trakcie realizacji swojego sekretnego planu.

Aktualna bez troska mogła być spowodowana winem, które wypił w pracy, ale po pierwsze Jan uznał to za mało prawdopodobne, bo przecież codziennie pił w pracy, więc działanie alkoholu, zwłaszcza spożytego w tak małej ilości jak jedna butelka na dwóch, było w jego przypadku bardzo ograniczone, a po drugie zdał sobie sprawę, że ten jego spokój jest stanem permanentnym. Być może oswoił się już ze swoim planem na tyle, że uważał go za coś naturalnego, a może odwrotnie – odrealnił sobie tę sytuację i traktował ją jak grę, która nie dzieje się naprawdę.

Jego spokój mógł być również pochodną charakteru. Jan, ogólnie rzecz biorąc, był nadzwyczaj spokojnym człowiekiem. Czasem zastanawiał się nawet, czy to on jest w jakiś sposób zaburzony, czy może raczej większość ludzi ma problemy ze swoją psychiką, a on należy do tej garstki szczęśliwców, którzy potrafią nie dręczyć samych siebie niepokojącymi myślami, obawami czy wspomnieniami. Snując te rozważania w drodze do domu, przypominał sobie wczorajsze zupełnie absurdalne rozedrganie, które dopadło go na Grochowie, gdy przejeżdżał obok mieszkania Joanny i spostrzegł ją na ulicy. Jan chyba jednak nie był zupełnie spokojnym człowiekiem. Po prostu niektóre sytuacje i sprawy działały na niego mocniej, a w innych był bardziej opanowany. I tak jak w przypadku wielu osób, dobór tych sytuacji był dziwny i niezrozumiały. Jan uznał jednak, że nie warto się nad tym dłużej zastanawiać, bo wychodził z założenia, że niezależnie od okoliczności spokój jest stanem pożądanym. Nawet jeśli w porównaniu do odczuć, które byłyby udziałem przeciętnego obywatela, opanowanie Jana było anomalią, stanowiło mimo wszystko jego atut. A jeśli ktoś ma w ręce same asy i atuty, nie zastanawia się, dlaczego otrzymał takie rozdanie, tylko prowadzi rozgrywkę do zwycięskiego końca.

Jan szybko więc porzucił jałowe rozważania i skoncentrował się na tym, co przed nim. Był wtorek, więc miał za chwilę odbyć rutynową pogawędkę z panem Józefem z drugiego piętra.

Zamiast wrócić tradycyjną drogą wzdłuż ulicy, nadłożył trochę drogi i przeszedł przez osiedle, okrążając budynek i dochodząc do wejścia na klatkę schodową od drugiej strony. Czynił tak w każdy wtorek od wielu tygodni. Przechodząc tą trasą, spotykał pana Józefa, który siedział na ławce i uśmiechał się nie tylko żółtymi zębami, ale całą zniszczoną przez alkohol i papierosy twarzą, ciesząc się już na darmowe piwo, które co tydzień fundował mu Jan.

Pan Józef miał lat czterdzieści dwa, a wyglądał, jakby już dawno przekroczył pięćdziesiąt. Miał żonę Jadwigę, którą regularnie bił i dręczył psychicznie, jak również dwie kilkuletnie córki – Maję i Marysię, których także nie oszczędzał, i zdarzało mu się od czasu do czasu uderzyć którąś z nich z byle powodu, a że rękę miał ciężką, ślady na dziecinnej twarzy albo innej trafionej jego ciosem części

ciała pozostawały widoczne przez wiele dni. Pan Józef regularnie i konsekwentnie urządzał seanse przemocy w swoim mieszkaniu, a jeżeli któregoś wieczora tego jeszcze nie zrobił – żona i córki drżały załęknie, wiedząc, że w każdej chwili może zacząć. Ale to działo się wieczorami, ewentualnie w nocy, jeśli zdarzyło mu się wrócić późno do domu. W ciągu dnia pan Józef był bardzo zajęty. Miał wielu kompanów, z którymi kultywował swoje alkoholowe hobby. Oddanie honorów każdemu z nich, połączone ze wspólną konsumpcją i konwersacją pochłaniało większość czasu w jego rozkładzie dnia. Od kilku miesięcy, a zaczęło się to chyba wiosną, obowiązkowym punktem tygodniowego programu stały się jego pogawędki z Janem, które toczył zawsze we wtorki około godziny siedemnastej, czyli wtedy, gdy Jan wracał z pracy. Panowie spożywali przy tym po jednym piwie, które zwyczajowo nabywał Jan. Tak się jakoś utarło. Jan wiedział, że mieszkańcy osiedla nieprzychylnie patrzą na to, że taki niby porządny chłopak jak on, wykształcony, dobrze wychowany i na stanowisku, wchodzi w konszachty z tak obrzydliwym łajdakiem, za jakiego powszechnie uważano pana Józefa. Jan jednak w ogóle się tym nie przejmował. Jan generalnie miał w zwyczaju nie przejmować się tym, co myśla o nim inni.

Minął pana Józefa, zapewniając, że oczywiście pamięta i za chwilę przyjdzie, tylko zostawi plecak w mieszkaniu i wyjmie piwo z lodówki. Wszedł na górę i po kilku minutach siadał już na ławce obok pana Józefa.

Miał ze sobą dwa piwa. Dla niego przeznaczone było piwo Żywe, dla pana Józefa – Żywiec. Jan z rozbawieniem myślał o tym, jak niewielka różnica w nazwie może oznaczać tak duży rozdźwięk smakowy. Co ciekawe, piwa Żywego, które lubił Jan, pan Józef absolutnie nie považał. Jego zdaniem dobre piwa były w zasadzie trzy – Żywiec, Tyskie i Lech. Pan Józef sądził bowiem, że miarą jakości piwa jest wielkość firmy, która je produkuje. Było to i tak dość oryginalne podejście, bo zwykle osoby jego pokroju oceniały piwo po zawartości alkoholu. Pan Józef na tym tle wychodził wręcz na konesera. Tak czy inaczej, Jan podchodził do sprawy bez zbędnych emocji, bo przecież o gustach się nie dyskutuje. Wyjąwszy szwajcarski szczyroryk, odgiął tę jego część, która służyła do otwierania butelek, i naruszył kapsel własnego piwa. Usłyszał typowy syk uwalnianego gazu. Gdyby pan Józef słuchał uważnie, zapewne zorientowałby się, że otwarty następnie żywiec, który po chwili trafił w jego ręce, nie wydał tak donośnego syknięcia. Pan Józef nie zwracał jednak uwagi na takie detale. W sumie nic dziwnego, nawet gdyby to zauważył, trudno byłoby mu przypisać tej dźwiękowej różnicy jakiegokolwiek znaczenie. Tak samo na przykład słuchając śpiewu ptaków, które tak licznie zasiedlały żoliborskie drzewa, usłyszeć można było bardzo różne odgłosy i tonacje, ale przecież nikt, kto nie był specjalistą, nie odróżniał, który dźwięk pochodzi od jednego, a który od drugiego gatunku ptaka, nie mówiąc już o nazwaniu tych latających istot w sposób zgodny z tym, co zapisane było w podręcznikach ornitologii. Dźwięki mogą mówić wiele, ale tylko jeśli potrafimy je zinterpretować, nadać im jakieś znaczenie. W przeciwnym razie są tylko dźwiękami. Tak właśnie pomyślał Jan, podając panu Józefowi butelkę żywca i biorąc pierwszy łyk swojego piwa.

– I co tam ciekawego, panie Józefie? – zagał Jan najogólniej, jak potrafił.

– A co ma być, panie Janku, ciężko jest, sam pan wie, jak jest ciężko. I jeszcze ta cholera w domu, ta moja stara, tak mnie wkurwia normalnie... – Pan Józef łatwo się denerwował, gdy wspominał małżonkę, zaciskał wtedy w pięść tę dłoń, którą miał akurat wolną, i symbolicznie wygrażał zarówno jej, jak i wszystkim innym sprawcom jego nieszczęść. – Wredne babsko, wredna jest taka, mówię ci, Janek!

Pan Józef nigdy nie precyzował, w czym dokładnie uchybia mu jego żona Jadwiga, więc Jan zakładał, że całokształt polegający na samym fakcie jej egzystencji był dla pana Józefa tak bolesny i skłaniał go do wyzywania jej od najgorszych w ciągu dnia oraz – o czym przy piwie pan Józef również czasem wspominał – do skanalizowania swojej złości w sposób bardziej fizyczny w porze wieczornej.

– Powiem ci Janek, ty to mądry chłopak jesteś, żeś się nie ożenił. – Pan Józef wchodził w melodię, którą odgrywał praktycznie w każdej rozmowie z Janem. Jan zastanawiał się, czy pan Józef ma tak poważne zaniki pamięci, że nie zdaje sobie sprawy, iż powtarzał to już wiele razy, czy też uznaje po prostu tę kwestię za niezwykle istotną i godną uwypuklenia, a konsekwentne powtarzanie określonej tezy powoduje, jak wiadomo, że nabiera ona wagi i znaczenia. – Bardzo dobrze zrobiłeś. Ja to mam skaranganie boskie z tą jędzą. I jeszcze te bachory cholerne. Żeby chociaż chłopaka mi urodziła, to nie, kurwa, dwie dziewuchy, i to jeszcze brzydkie i głupie. Nic ich wychować się nie da, ani tej żony, ani córek. Leję po mordzie, dupę od czasu do czasu pasem złoję, ale to chuja daje, Janek, chyba ciągle za mało! – Pan Józef się roześmiał.

– A może nie za mało, tylko metoda niewłaściwa? – zapytał prowokująco Jan, wiedząc, jaki będzie efekt.

– Metoda bardzo dobra – zapalił się pan Józef – i ty mi tu nie pierdol, Janek, bo ja to już setki razy słyszałem. Wiem, że te mendy z osiedla tutaj wszystkie są przeciwko mnie. Wszyscy na mnie krzywo patrzą, jebani zdrajcy i wszarze. Ty, Janek, no, przypomnij mi, jak ty masz na nazwisko?

– Libertowski. Jan Libertowski.

– No właśnie – triumfował pan Józef. – Kończy się na „ski”. I Jan, czyli też polskie imię, tradycyjne, tak samo zresztą jak Józef. Zupełnie tak, jak tradycja nakazuje. A cała reszta tych tutaj, kurwa ich mać, mieszkańców, to mówię ci, Janek, same Żydy, Niemce albo ruskie świnię. I gadają po kątach na pana Józefa! A co oni tam wiedzą o tradycji, wychowaniu i kurwa mać rodzinie? Baby u nas trzyma się krótko, Janek, albo tak jak ty się robi, czyli nie trzyma się wcale. – Tutaj ponownie pan Józef zaśmiał się z własnej złotej myśli. – I chodzą tu, proszę cię, gadają, dupę obrabiają. Za plecami oczywiście, ale ja wszystko wiem, wszystko słyszę. Że niby ja pijak jestem, że zły, bo babę leję. Policję nawet na mnie nasyłali, wyobrażasz to sobie? Na prawdziwego Polaka! A to jest wszystko nieprawda, to co opowiadają. Kłamcy i złodzieje, mówię ci, Janek. Bo prawda jest taka, że ja jestem dobrym człowiekiem. Jest we mnie czyste dobro i ono powoduje, że jestem taki wrażliwy. Jestem taki, kurwa, wrażliwy, że każdy przejaw zła działa mi na nerwy. A ta moja stara to zła kobieta jest, Janek. Ale Pan Bóg patrzy i sprawiedliwie osądza. Widzi, że jak baba zasłuży, jak dobremu człowiekowi za skórę zalezie, to jej przyłożyć trzeba. Taka jest prawda, Janek. I nie próbuj mówić inaczej!

– Prawda to pojęcie względne. – Jan postanowił pchnąć dyskusję w bardziej abstrakcyjne rejony. – Nie ma, panie Józefie, prawdy o tym, co dobre, a co złe. Prawdziwe mogą być co najwyżej zdarzenia. Że na przykład ja i pan siedzimy sobie teraz na ławce, piwko popijamy i gawędzimy. To jest prawdziwa okoliczność, czyli tak zwany fakt. Ale taka goła prawda nikogo nie interesuje. Dla ludzi istotna jest interpretacja faktów. Ważne jest to, jak te fakty opiszą. I teraz pana prawda, taka już zinterpretowana, może wyglądać tak, że siedzimy tu i toczymy bardzo sympatyczną rozmowę, popijając smakowite napoje, które poprawiają nam nastrój. A z kolei ten sam fakt widziany na przykład przez jednego z mieszkańców, może wyglądać zupełnie inaczej. Na przykład tak, że dwóch pijaków pieprzy coś bez sensu, wali browary i upadła się w miejscu publicznym. Z filozoficznego punktu widzenia żadnej z tych interpretacji nie można uznać za fałszywą. Każda jest subiektywnie słuszna.

– Kurwa mać, Janek – zaśmiał się pan Józef – ni chuja nie rozumiem tych twoich wywodów! I za to cię lubię, brachu, masz takie gadane, że aż miło słuchać. Ja chyba za krótko do tych szkół chodziłem albo może teraz uczą bardziej tej mądrej nawijki, z której nic nie można zrozumieć. Ale powiem ci w takim razie tylko tyle, że ja ich wszystkich pierdolę i jeśli mówisz tak o tej prawdzie, to moja prawda jest taka, że nikomu nic do tego, jak ja żyję w moim domu. Rodzina to rzecz święta, Janek, tak było i będzie. Jak chcę przypierdolić starej, to jej przypierdolię i żaden bęcwał nie będzie mi tutaj brudził.

To rzekłszy, pan Józef wypił ostatni łyk swojego piwa metodą „na hejnał” i otarł usta rozciągnięte w dumnym uśmiechu ojca rodziny. Podziękował Janowi, oddał mu butelkę, po czym rzucił szybkie „Na razie, Janek”, wstał i poszedł na kolejne umówione spotkanie. Być może na osiedlu, być może w okolicznym parku, tego Jan nie wiedział, ale w zasadzie nie miało to istotnego znaczenia. Tak czy inaczej, pan Józef powróci wieczorem do domu.

Jan posiedział jeszcze chwilę na ławce, dopijając do końca własne piwo, po czym wstał i udał się do altany śmietnikowej, stojącej obok parkingu przed blokiem. Mieszkańców obowiązywała segregacja odpadów, więc Jan posłusznie wrzucił obie butelki do pojemnika na szkło. Rozejrzał się. Wokół nikogo nie było. Spojrzał w okno mieszkania pana Józefa, ale tam także nikogo nie dostrzegł. Czasem zdarzało się, że pani Jadwiga obserwowała teren, tak jakby próbowała wypatrzeć naciągające niebezpieczeństwo lub upewniała się, że jeszcze się ono nie zbliża. W poprzednich tygodniach Jan napotykał niekiedy jej pełne wyrzutu spojrzenie. Nie dziwiło go to. Miała mu z pewnością za złe, że jest w tak dobrych stosunkach z jej mężem, wiedząc przecież, jakim człowiekiem jest pan Józef, jak traktuje swoją rodzinę i jak bezradna jest pani Jadwiga w obliczu tej sytuacji. Sama nigdy nie zgłosiła się na policję, bo mimo wszystko żywiła przekonanie, że to wstyd donosić na własnego małżonka. Poza tym wiedziała, że i tak niewiele by to pomogło, a może wręcz pogorszyłoby sprawę. Sąsiedzi kilka razy dzwoniли na 112, ale szybko zrozumieli, że nic to nie da, i zrezygnowali z dalszych prób angażowania się w relacje rodzinne na drugim piętrze. Policja albo nie mogła, albo nie chciała nic zrobić. A może i nie chciała, i nie mogła jednocześnie. Zapewne mieli mnóstwo ważniejszych spraw, którymi musieli się zajmować. Tak czy inaczej, nawet gdy policjanci zabierali pana Józefa ze sobą, on powracał jeszcze bardziej rozjuszony i wściekły. Ponoć jego dawny kolega z wojska pracował obecnie w tutejszym komisariacie. Opowiadano, że pewnego wieczora po kolejnej interwencji funkcjonariuszy pan Józef wrócił do domu jeszcze bardziej pijany, bo zaprzyjaźniony członek patrolu nie tylko wydobyl go z opresji związanej z otrzymanym przez policję zgłoszeniem, ale przy okazji postawił mu jeszcze pół litra. Koniec końców żona pana Józefa zaadaptowała się do sytuacji. Zaciskała zęby i jakoś znosiła brutalność swojego małżonka. Bała się go, ale przywykła do codziennego lęku i cierpienia. W końcu tworzyli rodzinę, a pan Józef był jej mężem i ojcem jej córek. On tymczasem stawał się coraz bardziej pewny siebie. Uważał swoją rację do bicia i tłamszenia żony za coś oczywistego i naturalnego w relacji małżeńskiej, a w stosunku do dzieci – za oczywistą metodę wychowawczą. Nie widział więc powodu, by coś zmieniać w swoim zachowaniu.

Niektórzy sąsiedzi, z którymi Jan zamieniał czasem parę słów, dziwili się, że pani Jadwiga jeszcze nie odeszła od męża. Widać było, że mają niewielkie pojęcie na temat zjawiska rodzinnej przemocy. Jan wiedział, że dręczone kobiety z zasady nie odchodzą. Nie jest ważne, dlaczego tak się dzieje. Po prostu tak jest. Dlatego Jana wcale nie dziwił ten stan rzeczy. W ogóle Jan uważał, że ludzie zdecydowanie za dużo się dziwią, a za mało działają. Być może dlatego, że dziwienie się jest łatwiejsze od działania.

Gdy zbliżała się godzina osiemnasta, Jan kończył już przygotowywać sobie kolację. Wypite piwo wzmogło jego apetyt. Błyskawicznie uporał się ze spożyciem tradycyjnego polskiego posiłku, czyli

kotleta schabowego z gotowanymi ziemniakami, po czym otworzył kolejne piwo i resztę wieczoru spędził na kanapie, wpatrując się w ekran telewizora.

Uruchomił jeden z kanałów informacyjnych, na którym politycy toczyli kolejną jałową dyskusję. Jana intrygowało, że mimo absolutnej przewidywalności tego typu rytualnych rozmów, w trakcie których z góry wiadomo, kto jakie zajmie stanowisko i jakimi argumentami się posłuży, tak wielu ludzi codziennie emocjonuje się ich przebiegiem. Jeden z dyskutantów mówił właśnie, że należy chronić polską rodzinę przed ideologiami niezgodnymi z naszą tradycją. Jan pomyślał, że rodzina jest często postrzegana jako kategoria czysto abstrakcyjna, odrębny byt, wartość sama w sobie, symboliczna oaza szczęśliwości, której zagrażają zewnętrzne siły dążące do jej zniszczenia. Tymczasem realnie istniejące rodziny to zbiory bardzo konkretnych ludzi. Ich problemy, jeśli już się pojawiają, wynikają zazwyczaj z tego, co dzieje się wewnątrz. Ten, kto chce nieść rzeczywistą pomoc, musi najczęściej chronić rodzinę przede wszystkim przed nią samą.

Po kilku minutach przełączył na inny kanał. Tym razem trafił na film dokumentalny, na którego oglądaniu próbował się skupić. Myślami był jednak gdzieś indziej. Film się skończył, zaraz potem zaczął się następny, ale Jan w ogóle tego nie zauważył. Chyba zaczynały targać nim emocje, przed którymi dotychczas skutecznie się bronił. Uznał, że musi je jak najszybciej opanować. Po raz kolejny sięgnął po pilota, aby poszukać czegoś, co skutecznie przykuje jego uwagę. Ostatecznie obejrzał odcinek serialu kryminalnego, po którego zakończeniu skonstatował, że ponownie odzyskał spokój. Zerknął na zegarek. Zbliżyła się godzina dwudziesta pierwsza. Właściwy moment, by wyłączyć telewizor, podnieść się i wyjść na powietrze.

ROZDZIAŁ 11

MAREK, WTOREK PÓŻNYM WIECZOREM

Marek z pewnością nie nazwałby siebie człowiekiem sukcesu. Ukończył filologię polską, czyli kierunek nieszczególnie praktyczny, ale mury uczelni opuszczał u progu rodzącej się wolności i kiełkującego kapitalizmu. Wielu jego kolegów polonistów zrobiło karierę w marketingu, reklamie i biznesie. On uznał wówczas, że ważniejsze są dla niego ideały i powołanie, poświęcił się więc nauczaniu młodzieży. Dziś wiedział już, że popełnił błąd i przegapił swój moment. W efekcie teraz, w wieku pięćdziesięciu dwóch lat, mieszkał z żoną w starym bloku na Ursynowie i pracował jako nauczyciel języka polskiego w pobliskim liceum ogólnokształcącym. Nie był to żaden Batory ani Cervantes, do którego zjeżdżaliby najbardziej ambitni uczniowie z całego województwa. Większość uczniów i nauczycieli mieszkała na pobliskich osiedlach, ale mimo swej lokalności szkoła trzymała poziom. Marek nie miał się czego wstydić. Lubił swoich szkolnych podopiecznych i w gruncie rzeczy czuł satysfakcję z wykonywanej pracy. Czy mógł to jednak nazwać sukcesem? Pochodził ze złotego pokolenia, które miało przed sobą otwartą przyszłość, a skończył jako przeciętny obywatel jeżdżący średniej klasy dziesięcioletnim samochodem i zasiedlający blok z wielkiej płyty.

Brak sukcesu specjalnie mu jednak nie przeszkadzał. Nie miał żalu do losu ani do świata. Dawno porzucił złudzenia, a ideały wyznawane w młodości dziś wydawały mu się śmieszne. Myślał, że będzie robił coś pożytecznego, ważnego dla innych, że edukując młodzież, będzie czynił świat lepszym. Tak zwane życiowe doświadczenie nauczyło go, że jego praca nikogo nie obchodzi. Nie porzucił jej, bo mimo wszystko sprawiała mu przyjemność. Zrozumiał, że właśnie ta przyjemność jest jedynym, co się liczy. Znaczenie ma tylko to, czy sam siebie lubisz, czy sam jesteś zadowolony ze swojego życia. To, czy inni doceniają twoje osiągnięcia, nie ma żadnego znaczenia. Ludzie doceniają zwykle zupełnie inne rzeczy niż te, które powinni doceniać.

Życie pozbawiło Marka złudzeń i z czasem wymyślił własną teorię socjologiczną. Nie była być może szczególnie odkrywcza, ale przynajmniej nadał jej chwytliwą nazwę. Była to teoria dupy społecznej. Sprowadzała się do ogólnej tezy, że w gruncie rzeczy wszyscy ludzie mają dupę w dupie. Społeczne relacje opierają się na tworzeniu pozorów, ale za tymi pozorami jest wyłącznie pustka. Teoretycznie, jeśli idziesz do lekarza, powinien on zająć się dokładnie twoim problemem, zbadać cię, zdiagnozować, doradzić kolejne kroki. W praktyce lekarz ma cię w dupie i bez badania diagnozuje to, co jako pierwsze przychodzi mu do głowy, kierując się statystyczną zasadą, że w dziewięćdziesięciu procentach przypadków będzie miał rację, a jeśli niefortunnie znajdziesz się w tych pechowych dziesięciu procentach, w których przyczyna dolegliwości jest inna, to trudno, twoja strata, lekarz jest przecież kryty, bo jego diagnoza była zgodna ze sztuką i miała walor najwyższego prawdopodobieństwa, a zalecić szczegółowych badań nie mógł, bo te badania kosztują, a lekarze

unikający zlecenia badań na koniec roku dostają finansowe premie z tytułu własnej zaradności i dbałości o budżet systemu ochrony zdrowia. Jeśli udajesz się do urzędu, funkcjonariusz publiczny w teorii powinien rozpatrzyć twoją sprawę w sposób dogłębny i z poszanowaniem prawa. W praktyce najczęściej od razu odradzi ci składanie jakichkolwiek pisemnych wniosków, bo po pierwsze skończyły się formularze, a po drugie i tak wniosek zostałby rozpatrzony negatywnie, co przekładając z urzędniczego na nasze, oznacza po prostu, że urzędnik chce mieć święty spokój i wszelakie problemy obywateli ma głęboko w dupie. Nic zresztą dziwnego, bo urzędnik codziennie w ramach regularnych obowiązków musi wykonywać mnóstwo bezsensownych czynności, a prywatnie ma przecież własną rodzinę, nastoletnie dzieci przeżywające okres buntu oraz nadmiernie wymagającą żonę, która ciągle na coś narzeka, więc przynajmniej w pracy chciałby mieć odrobinę wytchnienia. Zresztą tacy urzędnicy to i tak nic w porównaniu z politykami. W teorii to politycy powinni z najwyższą troską pochylać się nad problemami zwykłych ludzi. W praktyce to właśnie oni – bardziej niż wszyscy inni – mają wszystko w dupie najgłębszej i najbardziej czarnej, bo obywatel jest dla nich mrówką, komarem, irytująco bzyzczącą muchą, która domaga się uwagi, choć jest przecież kompletnie nieistotna, bo istotna jest tylko masa ludzka, społeczeństwo, ogół, ważne są wielkie liczby, statystyki i przepływy elektoratów, zatem człowiekiem pojedynczym w ogóle nie warto się zajmować, jest to strata czasu i cennej energii. Wreszcie, jeśli uczeń idzie do nauczyciela i zwierza mu się ze swoich osobistych problemów, nauczyciel teoretycznie powinien się zainteresować, wyrazić zrozumienie, posłużyć poradą, wskazówką, a może nawet podjąć konkretne działania. A jak jest w praktyce? O tym za chwilę opowiemy, najpierw jednak, podsumowując sformułowaną przez Marka teorię dupy społecznej, doprowadźmy ją do ostatecznej konkluzji, że w relacjach międzyludzkich w gruncie rzeczy wszyscy mają wszystko w dupie. Co więcej, ta wspólna dupa, do której wkładamy problemy otaczających nas osób, ma charakter społeczny, ogólny, wszechogarniający, jest dupą zaakceptowaną, ugruntowaną i zaklepaną przez niepisaną tradycję i powszechny nawyk. Nie tylko wszyscy mają wszystko w dupie, ale wszyscy ten stan rzeczy jednocześnie akceptują, uważają go za naturalny, być może nie za dobry ani pożądanym, ale mimo wszystko za całkowicie zrozumiałym. W konsekwencji nie mamy wcale pretensji do lekarza, urzędnika, polityka czy nauczyciela, że potraktował nas lekceważąco. Rozumiemy, że tak nas potraktował, bo sami na jego miejscu zachowalibyśmy się podobnie.

Marek w pewnym sensie zazdrościł ludziom pogodzonych z ogólną beznadzieją, którą jednocześnie sami współtworzyli. Być może w ten sposób dostosowywali się do tego, co nieuniknione. Marek emocjonalnie nie potrafił się dostosować, choć po latach skonstatował, że sam również się do tej beznadziei przyczynił. On też wkładał przez całe życie problemy otaczających go ludzi do wspólnej społecznej dupy, nawet jeśli tego na co dzień nie zauważał. Dopiero w zeszłym roku stało się coś, co nim wstrząsnęło. Zaczęły nim targać wyrzuty sumienia, a potem, gdy było już oczywiście za późno, wściekłość na własną bezradność i bezsilność.

A zaczęło się tak, że Grzesiek, szesnastoletni uczeń klasy, której Marek był wychowawcą, poprosił go o rozmowę w cztery oczy. Grzesiek wyznał, że już jakiś czas wcześniej odkrył w sobie skłonności homoseksualne. Krótko mówiąc, był gejem i dla Marka nie było to żadne zaskoczenie. Koledzy i koleżanki Grzeška z klasy dobrze o tym wiedzieli i nie robili z tego tajemnicy. Co więcej, traktowali go bardzo dobrze, być może nawet bywali niekiedy nadmiernie ostrożni, dbając o to, aby nie urazić go jakimś żartem albo głupią uwagą. Problem Grzeška leżał gdzieś indziej. Wyznał Markowi, że jego rodzice nie akceptują go takiego, jaki jest. Gdyby tylko nie akceptowali, nie byłoby to wielkim problemem. Odkąd wyjawiał im własne skłonności, matka i ojciec zaczęli go traktować nie jak własnego

syna, ale jak kogoś obcego, kto perfidnym podstępem wdarł się do rodziny i podszywa się pod ich potomka. Wyzywali go od pedałów, powtarzali, że powinien się leczyć, że dla takich ludzi jak on nie ma miejsca w społeczeństwie, że ten cały homoseksualizm jest sprzeczny z naturą, a tak w ogóle to nie do pomyslenia, żeby w tak porządnej rodzinie zdarzyła się taka tragedia. Matka stwierdziła w pewnym momencie – i wcale nie był to żart, mówiła całkiem poważnie – że podejmie kroki prawne w stosunku do szpitala, w którym Grzesiek się urodził, bo najwyraźniej ktoś podmienił im syna, a dziecko, które faktycznie wyszło z jej łona, trafiło prawdopodobnie do innej rodziny. Grzesiek twierdził, że rodzice są bardzo religijni, aktywnie uczestniczą w spotkaniach koła parafialnego i duży wpływ na nich ma to, co mówią księża, ale przecież powinni chyba mieć jakieś rodzicielskie uczucia, a on we własnym domu jest traktowany jak wysłannik diabła i nie wie, jak długo będzie w stanie to znosić. Rodzice wpędzili go w poczucie winy, z którym nie potrafił sobie poradzić. W teorii rozumiał, że postępują źle, w praktyce czuł, że ich zawiódł, że jest dla nich obciążeniem, że przynosi im wstyd i cierpienie. Grzesiek przyznał Markowi wprost, że dręczą go myśli samobójcze. Marek naprawdę się przejął opowieścią ucznia. Powiedział mu, że bardzo go wspiera, że w szkole zawsze znajdzie akceptację i zrozumienie, bo to, że niektóre osoby są inne niż większość, nie jest niczym złym ani dziwnym. Ale powiedział również coś, czego nigdy potem nie mógł sobie darować – że jako nauczyciel nie może niestety nic zrobić, że ma związane ręce, bo szkoła nie może się wtrącać w relacje rodzinne. Gdyby Grzesiek był obiektem fizycznej przemocy, to wtedy można byłoby zawiadomić policję, choć także wówczas potrzebne byłyby jakieś dowody. Ale presja słowna i psychiczna jest trudna do udowodnienia. Z kolei gdyby Marek zaczął nachodzić rodziców i narzucać im swój tolerancyjny światopogląd, najpewniej złożyliby skargę, a dyrektor szkoły i kuratorium dopilnowaliby, aby Marek został surowo ukarany. Wytyczne ministerstwa edukacji były przecież jednoznaczne. Rodzice mają wyłączne prawo wychowywania dzieci w dziedzinie światopoglądu. Ostatecznie więc Marek wyraził werbalne wsparcie, dając jednocześnie Grześkowi do zrozumienia, że nie jest w stanie w żaden sposób mu pomóc.

Wtedy wydawało mu się, że postąpił prawidłowo, a na pewno zgodnie z procedurami. Czuł do Grześka sympatię i bardzo mu współczuł. Marek nie był wcale żadnym „tęczowym aktywistą”, czasem działania takich ludzi wręcz go irytowały, bo wydawały mu się zbyt nachalne i ostentacyjne. Mimo wszystko jednak tak samo wrogo nastawiony był do religijnej propagandy, która z odmienności niektórych osób czyniła wielkie zagrożenie dla publicznej moralności. Zresztą ta propaganda była strasznie głupia. To całe gadanie o sprzeczności z naturą to kompletny absurd. Marek nie wiedział, jak to jest u kobiet, ale faceci w młodości przekonują się w prosty sposób, jaką mają orientację seksualną. Albo staje im na widok ładnej koleżanki, albo przystojnego kolegi. Albo gapią się z bijącym sercem na rosnące biusty dziewcząt, albo na kolegów – cokolwiek może być w nich pociągającego. Marek nie wiedział, co może pociągać mężczyzn w innych mężczyznach, bo był zdecydowanie heteroseksualny, ale w sprawie homoseksualizmu był tylko połowicznie niechętny. Samo wyobrażenie gejowskiego stosunku napawało go niesmakiem i obrzydzeniem. Ale lesbijski seks to przecież coś pięknego. Marek podejrzewał, że każdy heteroseksualny facet z przyjemnością ogląda lesbijskie porno i jest to okoliczność w najwyższym stopniu zgodna z naturą. Niechęć do homoseksualnego seksu mężczyzn traktował jako objaw zapatrywań czysto estetycznych. Zresztą tak samo nieestetyczny dla postronnego obserwatora byłby zapewne heteroseksualny seks, który pięćdziesięciodwuletni Marek jeszcze od czasu do czasu uprawiał ze swoją o rok starszą małżonką, choć działo się to już tylko od wielkiego dzwonu i raczej wyłącznie wtedy, gdy żona wypijała zbyt dużo wina. Wracając do sedna – Marek nie sympatyzował ze środowiskiem LGBT, ale nie czuł też żadnej wrogości. Gdy myślał o sytuacji Grześka, było mu po prostu przykro. Nie mógł zrozumieć, że niezależnie od zapatrywań światopoglądowych

rodzice mogą odnosić się w ten sposób do własnego syna. Sam miał dwie dorosłe już córki, które kilka lat temu wyprowadziły się z domu. Jego relacje z nimi miały swoje wzloty i upadki, ale kochał je i nie mieściło mu się w głowie, że można w taki sposób potraktować własne dziecko. Ale być może tkwił tutaj kolejny element uzupełniający jego teorię społecznej dupy. Ludzie mają w dupie innych ludzi, za to potrafią bardzo poważnie podchodzić do najbardziej absurdalnych ideologii, przy czym ich relacja z takimi ideologiami ostatecznie okazuje się istotniejsza od relacji z ludźmi – nawet tymi z najbliższej rodziny.

W ten właśnie sposób Marek dość szybko przeszedł od międzyludzkiej empatii do rozważań natury ogólnej, które po raz kolejny zagłuszyły w nim poczucie, że znów postąpił tak jak wszyscy, czyli, stosując proste wymówki, uzasadnił sobie, że sytuację rodzinną ucznia powinien mieć w dupie, gdyż w przeciwnym wypadku spotkałyby go nieprzyjemności, a rodziców Grzeška i tak by nie przekonał.

Trzy tygodnie później Grzesiek popełnił samobójstwo.

Markiem wstrząsnęła ta informacja. Czuł się winny, że nie kiwnął palcem, a być może był w stanie temu zapobiec. Od tego czasu stał się kłębkim nerwów. Żona tłumaczyła mu, że to wina rodziców Grzeška, a nie jego, że i tak nie skłoniliby ich do zmiany podejścia do syna, skoro to tacy religijni fanatycy, ale do Marka nie trafiały te argumenty. Cóż z tego, że jego umysł dostrzegał ich racjonalność, skoro jego serce kołatało bez przerwy i nie dawało o sobie zapomnieć. Lekarz przepisał mu jakieś leki nasercowe i uspokajające, ale pomogły jedynie na tyle, że nerwowość przestała być stanem permanentnym i napadała go już tylko co jakiś czas.

Źródłem wściekłości i bezsilności były także reakcje otoczenia. Obserwował rodziców Grzeška, których mijał wielokrotnie na osiedlu. Dwa razy próbował z nimi porozmawiać na temat śmierci ich syna. Zachowywali się tak, jakby cała ta sytuacja w ogóle nie wywarła na nich wrażenia. Nie dostrzegali też niczego złego we własnej postawie. Wyglądali wręcz na osoby, które odczuły ulgę, uwolniły się od jakiegoś niewygodnego ciężaru. Marek poszedł na policję, by zgłosić podejrzenie popełnienia przestępstwa. Psychiczne znęcanie się i doprowadzenie do samobójstwa nie powinny pozostać bezkarne. Policjant – co za niespodzianka – oczywiście miał go w dupie i przekonywał, że nie warto w ogóle nadawać sprawie biegu. Marek uparł się i zgłoszenie zarejestrowano, rzecz jasna tylko po to, aby po miesiącu dokonać umorzenia. Marek odwiedził także księdza proboszcza i opowiedział o okolicznościach śmierci swojego ucznia. Ksiądz wzruszył ramionami, idealnie wpisując się w teorię dupy społecznej, po czym powiedział, że w ogóle w to wszystko nie wierzy, że sam nigdy rodzicom Grzeška nie zalecałby takiego postępowania, że są oni dobrymi parafianami zaangażowanymi w sprawy wiary, a w ogóle te wszystkie zarzuty kierowane w stronę Kościoła o rzekomą wrogość wobec mniejszości seksualnych są nieuzasadnione, bo przecież chrześcijaństwo to religia pokoju i miłości. To ciekawe, pomyślał Marek, że każda religia określa samą siebie mianem religii pokoju i jednocześnie jakimś cudem gromadzi wokół siebie miliony wrogo nastawionych do świata wyznawców. W tym przypadku trudno było jednak stwierdzić, czy wina proboszcza polegała na propagowaniu skrajnych i wojowniczych idei, czy raczej na zwyczajnej bierności i obojętności. Marek uważał, że istnieją dwa mechanizmy, które często działają niezależnie od siebie. Bywa, że duszpasterz głosi radykalne przekonania, które z czasem lokalna społeczność przyjmuje jako swoje. Ale niekiedy idzie to w odwrotnym kierunku, i grupa wiernych prezentująca najbardziej skrajne poglądy przejmuje inicjatywę, a ksiądz – wiedząc przecież, że ich radykalizm nie jest zgodny z oficjalną linią Kościoła – nie powstrzymuje ich w obawie, że zrazi ich do siebie, a w konsekwencji uszczupli i tak już niewielkie grono najgorliwszych parafian. Być może w tym przypadku zadziałał ten drugi mechanizm.

Po kilku miesiącach Marek pogodził się ze swoją bezradnością, ale nerwowość niestety pozostała. Przekładało się to negatywnie na jego życie osobiste. Coraz częściej kłócił się z żoną o byle co i potem musiał wychodzić na długi spacer, żeby się uspokoić. Podobnie było dzisiaj. Był wtorkowy wieczór, mocno po dwudziestej drugiej, o tej porze powinien był leżeć w łóżku i zasypiać, tymczasem zamiast tego spacerował po ursynowskim parku, chodząc bez celu i próbując się uspokoić. Nocna pustka działała na niego kojąco. Nie bał się chodzić po parku o tak późnej porze, bo w tej części Ursynowa było bezpiecznie, od dawna, również nocami, nie działo się tu nic niepokojącego.

Tym razem jednak Marka wyrwał z zamyślenia dziwny trzask. Jeden, a zaraz potem drugi. Coś na kształt stłumionych odgłosów petard. Albo coś w tym rodzaju. Jakież dzieciaki zabawiają się o tej porze prymitywną pirotechniką? Takie rzeczy od dawna się tutaj nie zdarzały. Przystanął na moment, ale nic więcej nie usłyszał. Może tylko mu się zdawało? Był tak pogrążony w swoim wnętrzu, że równie dobrze te dwa dźwięki mogły się pojawić w jego wyobraźni. Po kilku sekundach uznał, że nie ma się co wygłupiać i stać jak kołek na środku ścieżki. Ruszył dalej. I wtedy znów to usłyszał. Tym razem nie było wątpliwości, a odgłosów było kilka naraz. Chyba cztery. Nie były bardzo głośne, ale mimo wszystko wyraźne. Bez trudu określił kierunek, z którego dobiegał hałas, ale nie wiedział, jak daleko znajdowało się jego źródło. Poczul się zdezorientowany, bo jedna część jego umysłu kazała mu iść od razu w tamtą stronę, a druga nakazywała uciekać. Nie, tym razem nie ucieknie, bo wyszłoby na to, że znów zachował się jak tchórz, który wszystko ma w dupie. Ruszył więc przed siebie i przy najbliższym skrzyżowaniu chodników skręcił w prawo, bo stamtąd jego zdaniem dochodziły dziwne dźwięki. Co to mogło być? Nagle się zatrzymał. A jeśli to były strzały? Wstrzymał oddech i wsłuchał się w nocną ciszę. Stał tak przez minutę albo dwie, ale nic więcej nie dotarło do jego uszu. Słyszał już tylko lekki szum gałęzi kołyszących się w rytm niejednostajnych podmuchów wiatru. Ponownie głęboko westchnął i zaczął iść naprzód. Parkowe ścieżki przecinały się, tworząc gęstą sieć arterii pokrytych płytami chodnikowymi albo asfaltem. Nie wiedział dokładnie, w którym momencie powinien teraz skręcić, ale miał nieodparte przeczucie, że za którymś zakrętem znajdzie coś, czego wcale nie chciał oglądać. Mimo to przemógł się i szedł dalej. Skręcił w prawo, potem w lewo, znów w lewo, potem dwa razy w prawo. Trochę się pogubił, stracił pewność siebie, choć znał ten park jak własną kieszeń. Ponownie skręcił na kolejnym rozstaju dróg i wtedy w mglistym świetle parkowych latarni zobaczył coś w oddali. Podbiegł i gdy znalazł się kilka metrów przed zidentyfikowanym obiektem, gwałtownie się zatrzymał. Mimo niewielkiej ilości światła bez problemu rozpoznał w leżących na ziemi ciałach ojca i matkę Grzeška. On leżał na plecach, ona tak jakby na boku, ze skulonymi nogami. Twarze mieli zakrwawione. Obok kobiety leżała upuszczona przez nią skórzana torebka, na której znajdował się mały pistolet. Marek odwrócił się i zaczął biec. Był tak przerażony, że przestał racjonalnie myśleć. Po prostu biegł naprzód, nie zastanawiając się, dokąd dotrze. Nogi zaczęły go boleć, a oddech stawał się coraz płytszy. Zatrzymał się, bo opadł z sił. Rozejrzył się. Wokół nikogo nie było. Przywołał w myślach obraz sprzed kilku chwil. Pistolet obok zwłok nie pozostawiał wątpliwości. Marek czytał w internecie o grasującym w Warszawie seryjnym zabójcy, który oddawał sześć strzałów i pozostawiał broń na miejscu zbrodni. Nagle przeszył go strach. Sprawca może gdzieś tu być. Ale nie, raczej chyba go nie ma. Miał sporo czasu, żeby uciec. Markowi znalezienie ciał zajęło dobre dziesięć minut. To wystarczająco długo, aby morderca był już daleko stąd. To spokojny i rzadko uczęszczany nocą park, ale w ciągu mniej niż kwadransa można stąd dojść do metra albo w inne zatłoczone miejsce, w którym wtopienie się w tłum nie nastęrczałoby trudności.

Marek zastanowił się, co powinien zrobić. Widok trupów wstrząsnął nim i mimo że teraz był już daleko od nich, nagle zrobiło mu się niedobrze. Wziął kilka głębokich oddechów i powstrzymał

nadciągające torsje. Jeszcze chwila i wszystko będzie w porządku. Miał już wyjąć telefon i zadzwonić na policję, ale nagle wstrzymał się i schował urządzenie z powrotem do kieszeni. Przecież ci okropni ludzie w zasadzie zasłużyli na to, co ich spotkało. Marek stwierdził, że zapewne jest to obrzydliwe i wstrętne, że taka refleksja przychodzi mu do głowy jako reakcja na znalezienie ciał dwóch martwych osób, ale mimo wszystko tak właśnie myślał i nie zamierzał tego ukrywać sam przed sobą. Być może ten zabójca to jeden z nielicznych ludzi, którzy nie mieli wszystkiego w dupie. Marek nie wiedział, kim były wcześniejsze ofiary, ale ta para to wyjątkowo wredne kreatury. Może niech sobie jeszcze poleżą, pomyślał, ich akurat z czystym sumieniem mogę mieć w dupie. Dobrzy parafianie, kurwa mać. Marek uświadomił sobie, że we wtorkowe wieczory widywał ich czasem, gdy wracali ze spotkania jakiejś organizacji religijnej. Pewnie dlatego przechodzili tędy o tak późnej porze. Rano z pewnością ktoś ich tu znajdzie. Dobrze im tak. Niech sobie leżą. Marek sam się zdziwił swoją reakcją, ale na jego twarzy mimowolnie wykwitł szeroki uśmiech. Znowu rozejrzał się wokół siebie. Nadał nikogo nie było. Zorientował się, gdzie jest, i ruszył w kierunku domu. Żonie na razie nic nie powie. To będzie jego tajemnica. Może kiedyś zwierzy jej się z tej przygody, ale na pewno nie od razu. Najpierw zrobi mały eksperyment i sprawdzi, czy taki nietypowy sekret będzie dla niego źródłem przyjemnego poczucia wyższości, czy może raczej trudnym do zniesienia ciężarem. Zobaczymy, pomyślał Marek, pożyjemy, zobaczymy. Tamci dwoje już nie pożyją. Niech leżą, należało im się.

ROZDZIAŁ 12

JAN, ŚRODA RANO

Jednostajny warkot silnika, przeciągły metaliczny dźwięk, nagłe uderzenie. Huk tłuczonego szkła. Jan wzdrygnął się, nagle obudzony hałasem dochodzącym zza okna. Przez moment poczuł szybsze bicie serca, ale już po chwili się uspokoił, uświadomiwszy sobie, co się dzieje. Śmieciarka pracowała pod blokiem, opróżniając kontenery z odpadami. Jan poruszył się nerwowo po raz drugi. Zaspał? Powinien obudzić go alarm ustawiony w telefonie na siódmą dwadzieścia. Śmieciarze zwykle przyjeżdżali około wpół do ósmej. Pojawiali się w poniedziałki, środy i piątki, ale raczej się nie zdarzało, aby budzili Jana ze snu. Zaniepokojony sięgnął po telefon i go odblokował. Była siódma osiemnaście. Czyli wszystko w porządku. Widocznie panowie tym razem uwijali się szybciej. Przybyli wcześniej niż zwykle, a alarm za moment się odezwie. Jan odetchnął spokojnie i położył się jeszcze na te dwie minuty, które mu pozostały.

Pomyślał przy tym, że śmieciarze mają trudną pracę. Niedocenianą, często pogardzaną, ale trudną. I przede wszystkim potrzebną. Uśmiechnął się na myśl o tym, że w tym kontekście okazuje się dużym szczęściarzem. Jego praca była łatwa i do niczego nikomu niepotrzebna, dzięki czemu ani nie musiał się wysilać, ani martwić o to, że ktoś kiedyś może być z jego pracy niezadowolony. Przypomniawszy sobie wczorajszą dyskusję z Konradem. Tak, pomyślał Jan, świat nie jest sprawiedliwy. Świat nigdy nie był sprawiedliwy ani taki nie będzie. Ludzie często się dziwią, jak to możliwe, że na świecie jest tyle niesprawiedliwości. Jana to absolutnie nie dziwiło. Jeśli coś go zdumiewało to to, że ludzie, mając już tak rozległą wiedzę o świecie, historii, psychologii człowieka pojedynczego oraz psychologii mas ludzkich, mimo wszystko ciągle oczekują sprawiedliwości i ładu, wciąż mają nadzieję, że któraś z utopijnych wizji dobrego świata wreszcie się ziści. Jan uważał, że takie nadzieje są źródłem największych nieszczęść, jakie spotykają ludzkość. Najgorsze wojny i zbrodnie w historii świata miały zwykle u swych źródeł ideologie, które obiecywały rychłe zaprowadzenie nowego sprawiedliwego porządku.

Telefon tymczasem rozpoczął wygrywać wzmagającą się powoli melodię. Jan ocknął się z rozmyślań, które toczył w stanie swoistego półsnu. Wyłączył alarm, przetaił oczy i udał się od razu do łazienki.

Poranna toaleta przebiegła szybko i sprawnie. Przynic, kosmetyka polegająca na umyciu zębów i spryskaniu się dezodorantem, potem produkcja kanapek w kuchni. Jan spakował plecak, włożył buty, zarzucił na siebie kurtkę i już miał wyjść, kiedy pomyślał, że przed blokiem jest dziwnie cicho. Wszedł do pokoju i wyjrzał przez okno. Śmieciarka oczywiście już dawno odjechała. Cisza, spokój, brak ruchu. Spojrzał na zegarek: była siódma pięćdziesiąt. Jak zwykle spóźnił się do pracy, ale to przecież nie miało żadnego znaczenia.

Poczuł przez moment kilka mocniejszych uderzeń serca. Spokojnie, powiedział sobie, nie ma sensu przejmować się czymś, co jest już poza kontrolą. Wrócił do przedpokoju, wziął plecak i wyszedł z mieszkania. Zamknął drzwi na klucz i zaczął szybko zbiegać po schodach. Wyszedł z bloku, skierował się szybkim krokiem wzdłuż ulicy. Idąc w kierunku metra, głęboko odetchnął. Poczuł, że znów jest rozluźniony i swobodny. Z daleka usłyszał narastający sygnał zbliżającej się karetki. Minęła go i pojechała dalej. Nie zatrzymując się, odwrócił na chwilę głowę i zobaczył, że wjechała na parking pod jego blokiem. Przyspieszył jeszcze kroku i po trzech minutach wskakiwał już do wagonu podziemnej kolejki.

ROZDZIAŁ 13

JAN, ŚRODA W PRACY

W kuchni dla pracowników Jan odgrzał sobie kupiony uprzednio obiad. Co dzień rano biuro odwiedzały obwoźni sprzedawcy. Po korytarzach szybko się roznosiło, że „jest pan kanapka”. Oprócz śniadaniowych bułek wypełnionych masłem, wędliną i warzywami, można było u nich nabyć także gotowe obiady do odgrzania w mikrofalówce. Idealna oferta dla znudzonych i rozleniwionych urzędników. Nie trzeba nic szykować w domu, nie trzeba nigdzie wychodzić. Obiad jest przygotowany i dostępny na miejscu, wystarczy tylko go odgrzać.

Jan korzystał z tej opcji obiadowej nieczęsto, ale akurat dziś nie miał nastroju na spacer z Konradem, o czym poinformował go lojalnie od razu po przyjeździe do pracy. Konrad dość łatwo zaakceptował propozycję, aby środa była dniem wolnym od zakupowo-alkoholowych eskapad, i także nabył coś do odgrzania. Czasem warto zrobić sobie przerwę, żeby potem na nowo móc czerpać przyjemność z rozrywkowych rytuałów. W końcu wolność polega nie tylko na łamaniu zasad i schematów, ale także na możliwości odpuszczenia sobie, kiedy po prostu nam się nie chce.

Gdy Jan napoczął trochę suchawy kotlet z kurczaka, do kuchni weszła Jagna. Była to trzydziestoletnia piękność o długich kasztanowych włosach. W pracy Jan spotykał wiele atrakcyjnych koleżanek, ale Jagna była w pewien sposób szczególna. Może po prostu miała to niedefiniowalne „coś”, co przyciąga tajemniczą siłą międzyludzkiej grawitacji. Tak czy inaczej, niewątpliwie intrygujący był kontrast między jej fenomenalną aparycją a głoszonymi poglądami. Powiedzieć, że Jagna była „prawdziwą patriotką”, to za mało. Ona była „prawdziwą Polką”, co oznaczało, że jedni na widok Jagny czuli się Polakami niepełnymi, niedorobionymi, nie w pełni wartościowymi, inni zaś – tak jak Jan – twierdzili po prostu, że jest bezrefleksyjną nacjonalistką. Jeśli poglądy, które uważamy za absurdalne, wygłasza podпиты starszy facet albo nastoletni stadionowy krzykacz, wszystko nam się zgadza. Jeśli te same idee głosi piękna trzydziestoletnia Jagna o kasztanowych włosach i seksownym uśmiechu, odczuwać możemy poważny dysonans. Jednych on odpycha, innych przyciąga. Jan czasem lubił wyobrażać sobie Jagnę w erotycznym uniesieniu, w którym wykrzykuje na przemian jego imię oraz patriotyczne hasła. Wiedział, że Jagna zapewne nazwałaby go zboczeńcem, gdyby zwierzył jej się z tak perwersyjnych marzeń, dlatego też nie zamierzał jej o nich opowiadać, dzięki czemu zachowywał cień prawdopodobieństwa, że może jednak pod powłoką utkaną z narodowo-katolickich uniesień kryje się seksualna bestia. Takie wyobrażenie bawiło Jana i skłaniało go do prowokowania Jagny do dyskusji na tematy, w których prezentowali skrajnie przeciwne opinie.

Jagna weszła do kuchni i włożyła swoje danie do mikrofalówki. Miała na sobie krótką, obcisłą, czerwoną spódnicę oraz białą koszulkę przylegającą do ciała i dobrze podkreślającą jej kształty. Koszulka miała oczywiście wydzwięk patriotyczny. W miejscu wydatnie wyeksponowanym przez lewą

pierś Jagny miała naszytego orzełka w koronie, a na krótkich rękawach znajdował się napis: „Bóg, Honor, Ojczyzna”.

– Jagna, jestem pod wrażeniem – powiedział Jan, przeżuując porcję ryżu. – Idziesz dziś na jakiś patriotyczny pochód?

Jagna spojrzała na niego z politowaniem.

– Wiesz dobrze, że marsz będzie w listopadzie. Tak, wybieram się na ten marsz, bo jestem patriotką. Domyślam się, że ty na niego nie idziesz?

– Nie, jakoś mnie nie ciągnie.

– Wcale mnie to nie dziwi. Ale masz rację, w ten sposób chętnie bym się na ten marsz ubrała, ale obawiam się, że może być wtedy trochę za zimno. Zakładam tę koszulkę czasem do pracy. Trzeba promować zdrowe poglądy i patriotyzm, zwłaszcza w takiej instytucji jak nasza.

– A co promujesz najbardziej – zaczął Jan, zмирzając wyraźnie do prowokacyjnej zaczepki – Boga, honor czy ojczyznę?

Kuchenka wydała piskliwy dźwięk. Jagna wyjęła swój obiad i usiadła naprzeciwko Jana.

– Te wszystkie wartości są równorzędne i ściśle ze sobą powiązane. Szkoda, że żadna z nich nie jest bliska tobie – odgryzła się z uśmiechem triumfu i zaczęła jeść.

Jan już skończył swoje danie, ale nie zamierzał wstawać. Miał jeszcze herbatę do wypicia i postanowił potraktować ją jako pretekst do pozostania na miejscu i pociągnięcia tematu.

– Z tych trzech wyrazów tylko „honor” określa coś, co uznabym za istotne. Gdyby wszyscy postępowali honorowo i przyzwoicie, czulibyśmy się znacznie bardziej komfortowo w relacjach z innymi ludźmi. Niestety znaczenie tego słowa już dawno się rozmyło. Na przykład zachowanie, które normalnie określilibyśmy jako świństwo, ocenione może być przez niektórych jako honorowe, jeśli nastąpiło w imię Boga albo ojczyzny. Bo właśnie te dwa pozostałe wyrazy są problematyczne. Stanowią źródło ciągłych napięć i konfliktów. Budzą wielkie emocje, choć nie opisują nic rzeczywistego. Są fikcją literacką, wytworem naszej wyobraźni. Na przykład „Bóg”. Przecież nikt taki nie istnieje.

Jan wziął łyk herbaty i patrzył Jagnie prosto w oczy.

– Chcesz mnie sprowokować do kłótni? – zapytała.

– Nie, nie chcę się z tobą kłócić. Za to mogę podyskutować. Dyskusja nie musi być kłótnią.

– Ale o czym tu dyskutować? Istnienie Boga jest kwestią wiary. Nie wierzysz, twoja strata.

– Masz całkowitą rację. Dyskusje o tym, czy Bóg istnieje, nie mają sensu. Można w niego wierzyć albo nie. Mnie raczej interesuje rozmowa o tym, na ile rozsądne jest wierzyć w Boga w obliczu naszej wiedzy o świecie.

– Co masz na myśli? – Ton głosu Jagny wskazywał, że trochę zaintrygowało ją to, co powiedział Jan.

– Nasz świat ciągle się zmienia. A jeszcze szybciej zmienia się nasza wiedza o nim. Dużo łatwiej było ludziom wierzyć w Boga tysiąc albo dwa tysiące lat temu, kiedy powszechne było przekonanie, że Ziemia jest centrum świata i wszystko, co istnieje, zostało prawdopodobnie stworzone tylko dla nas. Ludzie mogli mieć przeświadczenie, że cały świat powstał po to, abyśmy mogli żyć i funkcjonować. Ziemia miała dawać nam dom i pożywienie, słońce miało oświetlać nam świat, a księżyc i gwiazdy miały upiększać nocne niebo, by przyjemnie się zasypiało. Gdy wydawało się, że to wszystko stworzono dla nas, hipoteza Boga, stwórcy, była całkiem logiczna. Łatwo było ją przyjąć. A przecież z czasów, gdy tak postrzegano świat, pochodzą obecnie wyznawane religie. Teraz, gdy wiemy już, że żyjemy na jednej z niezliczonych planet krążących wokół gwiazd w miliardach galaktyk, taka wizja

świata traci sens. Wiemy już, że świat nie stworzono dla nas. To my pojawiliśmy się na tym świecie poprzez korzystny zbieg różnych okoliczności. A i tak jako ludzkość jesteśmy małą drobiną w całym Wszechświecie. Nie tylko w sensie geograficznym, ale nawet czasowym. Okres naszego istnienia na Ziemi będzie prawdopodobnie krótką chwilą w historii Wszechświata. I nawet jeśli obecne teorie powstania świata związane z Wielkim Wybuchem dopuszczają możliwość istnienia jakiegoś pierwszego poruszcziela, to o ile takiego rodzaju „Bóg” istnieje, wedle wszelkiego prawdopodobieństwa ma on w nosie ludzi żyjących na Ziemi. Dlaczego niby miałby się przejmować stworzeniami żyjącymi przez chwilę na jednej z bilionów planet? Dla takiego hipotetycznego Boga jesteśmy tak ważni, jak dla nas istotne są mrówki w jednym z mrowisk w Puszczy Białowieskiej. Ta cała koncepcja Boga, który nas nie tylko stworzył, ale dodatkowo nas kocha i chce nas zbawić, i dać życie po śmierci, nie trzyma się kupy w obliczu obecnej wiedzy. Kiedyś może miała sens, teraz brzmi jak bajka dla dzieci. Jeśli religie wciąż istnieją, to tylko siłą inercji. Zakorzeniły się w kulturze, zwyczajach, przetrwały w instytucjach. Ale ich zniknięcie jest tylko kwestią czasu.

– Mówisz okropne rzeczy – powiedziała Jagna, dopijając herbatę. Jan swoją skończył już wcześniej, ale nie zamierzał wcale przerywać rozmowy. – Mimo wszystko – ciągnęła ona – miliardy ludzi na świecie ciągle wierzą w Boga. Ateiści są w mniejszości. I nie sądzę, by to się szybko zmieniło, bo taki świat bez Boga byłby obrzydliwy.

– Masz rację. On jest obrzydliwy. A w ludzkiej psychice jest zakorzeniona chęć do wiary w to, co fajne, dobre, wzniosłe i piękne. Fakt, że prawdopodobnie jest to bujda na resorach, jesteśmy skłonni pominąć, bo przyznanie, że świat jest pusty, chaotyczny, pozbawiony sensu i wartości byłoby nie do zniesienia. Dlatego wolimy piękną opowieść o rzeczywistości niż przyznanie, że realny świat wygląda zupełnie inaczej.

Na twarzy Jagny wystąpił grymas lekkiego zdenerwowania.

– A ja myślę, że tylko się wymądrzasz, bo to takie fajne być ateistycznym buntownikiem. Czujesz się pewnie lepszy od innych? Mądrzejszy od tego „ciemnego ludu”, który po prostu kultywuje swoje tradycje?

– Nie uważam się za lepszego, bo nie ma ludzi lepszych ani gorszych, tak jak nie istnieje dobro ani zło. Dobre albo złe jest to, co powszechnie za takie uznajemy. Dobro i zło nie są obiektywne, zmieniają się w zależności od czasu i miejsca. Nie twierdzą, że jestem lepszy. Rozumiem ludzi wierzących w Boga. Ta wiara jest im potrzebna. Twierdzą tylko, że za pewien czas to wszystko się zmieni. Chrześcijańscy intelektualści lubią powtarzać, że nie ma sprzeczności między religią a wiedzą. Ale to bzdura. Ta sprzeczność istnieje, tylko jej efekty pojawiają się z opóźnieniem, bo mało kto jest skłonny przewrócić cały swój światopogląd z dnia na dzień. Nie uważam, że ludzie wierzący są głupszy albo gorsi. Myślę raczej, że pewne procesy zachodzą stopniowo i z biegiem czasu upadek religii jest nieunikniony. Religie za jakiś czas staną się mitologiami, które ludzie będą wspominać wyłącznie jako pewien etap w historii kultury, ale nie będą już brać ich na poważnie.

Jagna uśmiechnęła się szeroko.

– Obawiam się, że mówisz o czasach, w których już od dawna twoja dusza będzie cierpieć w piekle, a ja będę je oglądać w nieco lepszych warunkach.

– Tym lepiej dla ciebie – odparł Jan, uznając jednocześnie, że nadszedł czas, aby przejść do finalnego etapu dyskusji. – Ale my tu gadu-gadu, a praca czeka. Pora wracać do biurki i dalej bić się o tę naszą ojczyznę.

Wstał i zaczął myć naczynia w zlewie. Wiedział, że Jagna nie pozostawi jego kpiącej uwagi bez odpowiedzi.

– Nie rozumiem – odparła – dlaczego tyle przyjemności sprawiają ci takie sarkastyczne komentarze. Możesz sobie nie wierzyć w Boga, to twoja indywidualna sprawa. Ale twoja pogarda dla Polski jest oburzająca. Zwłaszcza w obliczu faktu, że pracujesz w instytucji, której celem jest wspieranie polskiego państwa.

Jan odłożył naczynia na suszarkę i spojrzął na koleżankę. Czuł, że rosną w nim emocje, ale starał się mówić spokojnie i bez podnoszenia głosu.

– Problem, droga Jagno, polega niestety na tym, że „Polska” to puste słowo pozbawione pozytywnej treści i wypełnione wyłącznie negatywnymi emocjami. Wiesz, dlaczego nie chodzę na te wszystkie patriotyczne marsze? Bo tam śmierdzi. Wszędzie czuć smród odpalanych rac i wybuchających petard. Wiele narodów ma swoje święta, w trakcie których organizują manifestacje i parady. Tylko że to są wesole imprezy, ludzie tam idą, bo cieszą się, że żyją w fajnym kraju. Patriotyzm ma sens, gdy wbijasz ludziom do głowy, że ojczyzna wiąże się z określonymi wartościami. Mogą one być abstrakcyjne i nawet czysto fikcyjne, możesz im mówić o wolności, równości albo braterstwie, możesz utożsamiać ojczyznę z miejscem fajnego życia i dobrej zabawy. I to jest w porządku. Ale w Polsce jest zupełnie inaczej. Dla nas ojczyzna to jedynie walka. Przez tysiąc lat nie potrafiliśmy powiązać polskości z żadnymi pozytywnymi wartościami. Polskość to ciągły bój pozbawiony określonego celu. Ta nasza nieustanna walka jest jak balon, z którego nie można spuścić powietrza, bo wtedy się okaże, że pozostał nam sflaczały kawałek gumy. I dlatego teraz, kiedy pierwszy raz w historii dane nam było ćwierć wieku spokojnego życia, prawdziwi polscy patrioci poczuli się zdezorientowani. Nie potrafią żyć bez walki, bez wroga, muszą więc ciągle wymyślać nowe zagrożenia, którym będą się przeciwstawiać w imię białoczerwonych barw.

– I ty naprawdę nie rozumiesz tych wszystkich zagrożeń, które na nas czyhają? – odparła zdumiona Jagna. – Nie widzisz tej całej rewolucji kulturowej, która przychodzi z Zachodu? Tego ataku na religię, który zresztą, jak widzę, pochwalasz? A religia jest częścią naszej historii i tożsamości, nawet jeśli ci się to nie podoba.

– Religia jest częścią naszej historii. Ale wcale nie musi być elementem naszej tożsamości. Każde kolejne pokolenie buduje swoją tożsamość na nowo.

Jan i Jagna stali ciągle w kuchni i byli tak zajęci rozmową, że dopiero teraz spostrzegli towarzystwo, które się tymczasem pojawiło. Emocje wzrosły chyba ponad miarę, bo przysłuchujący się ich kłótni Konrad i Klaudia, zajmujący oczywiście dwa oddzielne stoliki, zerkali na nich z mieszaniną rozbawienia i irytacji.

– Dobra, czas chyba kończyć tę miłą pogawędkę – powiedział Jan. – Tak jak mówiłem, nasza walcząca ojczyzna czeka, aż wrócimy do pracy i zrobimy jej dobrze.

Miał nadzieję, że sprowokuje Jagnę do ostatecznego wybuchu. Nie zawiódł się.

– Przykro mi, ale uważam, że takie osoby jak ty nie powinny pracować w naszej instytucji – syknęła. – Nie wiem jak ty, ale ja pracuję tu po to, by ulepszać działania państwa, i wierzę w to, co robię.

– A ja pracuję po to, żeby mieć stały dochód i uważam naszą pracę za bezsensowną. Ale tak jak w przypadku Boga, to wszystko jest kwestią wiary i indywidualnego wyboru.

– Przegiąłeś, Janek – powiedziała Jagna. – Idę porozmawiać z Agatą.

Jagna wyszła, a kończący swój obiad Konrad powiedział:

– No to jesteś u pani.

Klaudia parsknęła śmiechem i gdyby nie zasłoniła odruchowo ust, oplułaby stolik kawałkami jedzenia.

– Przepraszam – powiedziała, wycierając usta serwetką. – W sumie żałuję, że ja nie jestem taką żarliwą wyznawczynią i wielbicielką narodu, religii albo czegośkolwiek innego. Też chętnie stałabym się obiektem twoich prowokacji.

Spojrzała na Jana swoimi wielkimi oczami i rozeźmiała się głośno. A jemu przyszło nagle do głowy, że w sumie lubi Klaudię, mimo że tak często wydawała mu się irytująca i dotychczas ją ignorował. To znaczy zauważał oczywiście fakt jej istnienia, ale nie wydawała mu się interesująca. Teraz zrozumiał, że przyczyną było to, co – przeciwnie – powinno czynić ją wyjątkową i atrakcyjną. Przecież gdyby się nad tym zastanowił, była jedyną normalną osobą w tym całym towarzystwie. Normalną w tym znaczeniu, że nie miała tych wszystkich problemów ze sobą i ze światem, które większości ludzi skutecznie zatruwają życie.

Agata była korpulentną kobietą po czterdziestce, doświadczoną urzędniczką, miała męża i trójkę dzieci, a w pracy robiła satysfakcjonującą ją karierę, uwieńczoną jak dotąd stanowiskiem, które wprawdzie nie było szczególnie wysokie, ale jednak miało charakter kierowniczy, co było źródłem niemałej przyjemności. Agata jednak nie należała do osób lubiących rządzić ludźmi. Podwładnych traktowała z mieszaniną sympatii i lekceważenia, a głównym celem zarządczym, jaki sobie stawiała, było zachowanie świętego spokoju. Dlatego nie lubiła, gdy między pracownikami pojawiały się niesnaski. Uruchamiała wtenczas wszelakie pokłady swojej wiedzy na temat polskich wulgaryzmów.

– Co to ma, kurwa, być, Janek?! Ja pierdołę! Pojechało was całkowicie? Nie macie już co robić, tylko dyskutować o polityce, narodzie, Bogu i innych tego typu duperelach? Uspokójcie się, do jasnej cholery. Albo gadajcie na ten temat po pracy. Umów się z Jagną na piwo i wtedy możecie się obrzucać intelektualnym mięsem. Ale nie tutaj. Ja chcę mieć tu spokój. To jedyny cel, jaki przyświeca moim działaniom w tym zakładzie pracy. Więc przestań już tę Jagnę gnębić, niech sobie chodzi na te pochody i manifestacje, niech wielbi Boga, honor i ojczyznę. Zrozumiałeś?

– Niestety nie mogę się z nią umówić na piwo – odparł Jan – bo ponoć należy do grona najgorliwiej wierzących patriotek i członkiń Kościoła, w związku z czym swego czasu złożyła śluby trzeźwości.

– To umów się z nią na kawę i przestań mi tutaj pierdolić! – zachnęła się Agata, ale zaraz zastanowiła się chwilę, spojrzała na Jana i spytała: – Kurwa, śluby trzeźwości? Ona faktycznie grubo jedzie po bandzie. Ale w sumie to jej wybór. Nam nic do tego. Podobno jesteście otwarty, liberalny i tolerancyjny, więc może nauczysz się tolerancji wobec cudzych poglądów?

– Droga Agato, ja jestem pełen tolerancji. Bardzo chętnie dyskutuję z Jagną, bo jej poglądy stanowią dla mnie intelektualne wyzwanie. Obawiam się, że to ona ma problem z tolerancją. Mnie nigdy nie przyszłoby do głowy, żeby iść ze skargą na nią do przełożonej. Zresztą, na co miałbym się skarżyć? O ile wiem, Jagna wykonuje swoją pracę tak jak inni, czyli jak dostaje jakieś zadanie, to je realizuje. Nie mam uwag do jej aktywności zawodowej.

– Dobra, dobra, przestań już opowiadać te dyrdymały. A jak tam w ogóle praca? Wyrabiasz się, nie masz zaległości?

Oboje popatrzyli na siebie przeciągle i się roześmiali.

– Dobrze, wiem przecież, że nie macie prawie nic do roboty. Ale pamiętaj, stwarzanie pozorów to nasze główne zadanie. Po to tu jesteśmy. Więc idź już i nie grzesz więcej. I nie denerwuj Jagny, bardzo cię proszę.

– Oczywiście, postaram się, tylko z Jagną trochę będzie mi trudno, bo ona tak naprawdę strasznie mi się podoba. Gdyby nie te jej poglądy... Ech. Powiem ci w zaufaniu – tu Jan ściszył głos – że nieraz podczas masturbacji wyobrażam sobie, jak wchodzę w nią przy jej biurku, a ona krzyczy do mnie te patriotyczne hasła, tak, Janie, wbijaj we mnie swą dzidę, jak Sobieski nadziewał innowierców na pale pod Wiedniem, ach, Janie, uwolnij we mnie rozkosz, tak jak Piłsudski z Dmowskim uwolnili Polskę od zaborców, och, tak, Janie, zrób mi natychmiast drugi cud nad Wisłą...

– Janek! – przerwała mu Agata – już naprawdę wystarczy! Po pierwsze, miałeś już iść, a dalej pieprzysz kocopoły. A po drugie, zamiast się ciągle masturbować, może znalazłbyś wreszcie prawdziwą dziewczynę?

– Agato kochana, z przyjemnością bym znalazł. I pewnie znajdę. Ale nie rozumiem tej powszechnej krytyki masturbacji. Wszyscy uważają ją za coś wstydliwego, a i tak prawie każdy ją uprawia. Zresztą nie tylko w kontekście seksualnym. Wejdz na pierwszy z brzegu portal informacyjny. Aktualności z kraju i ze świata to istny raj dla onanistów. Miliony obywateli z wypiekami na twarzy osiągają szczyty rozkoszy, czytając o tym, że Polak zdobył gola w jakimś meczu ligi niemieckiej albo że zagraniczna prasa przychylnie pisze o Polsce. Podniecają się ciągłym wspomnianiem tego, jak Polacy bohatersko odznaczyli się w historii świata i jak inne narody gnębiły nas przez wieki. Nie widziałem nigdy filmu pornograficznego, w którym aktorzy krzyczeliby głośniej niż komentator sportowy reagujący w trakcie transmisji na żywo na trzecie miejsce polskiego skoczka narciarskiego. Mnie, pani naczelniczko wydziału, podniecają atrakcyjne, uśmiechnięte kobiety, lubiące eksponować swój wydatny biust. I twierdzą, że jest to podnieta nie gorsza, a na pewno nie mniej naturalna niż to, czym na co dzień onanizują się miliony patriotycznych entuzjastów.

Agata pokręciła głową z niedowierzaniem.

– Wiesz, Janek, jaki mam z tobą problem? Jesteś obrzydliwym cynikiem. A jednocześnie twoje pseudofilozoficzne wywody w dziwny sposób wydają mi się trafne. Pobudzają też pewne rejony mojej wyobraźni, które na co dzień pozostają uśpione. Dlatego wydaję ci bezwzględne polecenie służbowe: wyjdź natychmiast i zamknij za sobą drzwi.

Agata wyszczerzyła zęby w życzliwym uśmiechu.

– Oczywiście, matko! – odparł Jan, wstając. Kiwnął głową na pożegnanie i wyszedł.

Gdy tylko drzwi zamknęły się za nim, Agata wstała, podeszła do nich i przekręciła klucz w zamku, aby nikt niepożądany nie wszedł już do jej pokoju. Następnie wyjęła z torebki swój smartfon, otworzyła przeglądarkę, weszła w tryb incognito – jej nastoletnie dzieci czasem pożyczają od niej telefon, więc nie chciała zostawiać śladów – po czym otworzyła popularny portal z filmami dla dorosłych, wpisała swoje ulubione słowo kluczowe: „lesbian”, ściszyła głos, żeby za ścianą nikt nie usłyszał, i rozpoczęła seans. Po paru minutach, gdy jej wyobraźnia była już dobrze naładowana, a w dole poczuła wilgoć, zamknęła przeglądarkę w telefonie, sięgnęła do torebki, z której wyjęła mały wibrator, i rozpoczęła długi finisz, w którym z zamkniętymi oczami wyobrażała sobie Jagnę, smukłą patriotkę o kasztanowych włosach, która w tych nieokiełznanym marzeniach baraszkowała z Agatą w przeróżnych pozycjach i z użyciem odpowiednich narzędzi, jęcząc głośno i wygłaszając przy tym dziwne i absurdalne hasła, na przykład: tak, Agato, odkryj we mnie nowe pierwiastki rozkoszy, jak Skłodowska-Curie, wielka polska noblistka, odkrywała rad oraz polon! W ten sposób Agata –

przykładna żona i matka trójki dzieci, naczelniczka wydziału w poważnej państwowej instytucji, w swoim gabinecie w godzinach urzędowania osiągnęła intensywny i bardzo satysfakcjonujący orgazm.

I gdy po wszystkim Agata doprowadziła się do porządku, podeszła do drzwi i przekreśliła kluczyk na powrót w pozycję otwartą, pomyślała, że ma bardzo przyjemny zawód, a jej zakład pracy funkcjonuje bez zarzutu.

ROZDZIAŁ 14

JAGNA, ŚRODA PO PRACY

Jagna wyszła z pracy zdenerwowana. Szybkim zdecydowanym krokiem zmierzała w kierunku przystanku tramwajowego. Miała na sobie długi płaszcz, który skutecznie zakrywał jej bujne wdzięki. Eksponowała je tylko w pracy. Robiła to z premedytacją, bo widziała, jak pożądliwie spoglądają na nią koledzy, i jednocześnie wiedziała, że każdego dnia będą musieli obejść się smakiem. W sumie nie zastanawiała się, czy swoim postępowaniem bardziej robi im na złość, czy raczej nieumyślnie dostarcza im kolejnej pożywki do masturbacyjnych fantazji. Nie było to dla niej istotne. Dzięki swoim niewątpliwym atutom fizycznym uwypuklała jedynie swoją wyższość. Czuła niechęć do większości kolegów i koleżanek. Nie mogła w ogóle zrozumieć, jak takie osoby mogą pracować w państwowej instytucji. Nawet Agata, chyba jedyna osoba, którą Jagna szanowała, bo przynajmniej starała się Jagnę zrozumieć, a nawet poprzeć w niektórych sytuacjach – nawet ona według podejrzeń Jagny w skrytości serca nie doceniała swojej roli jako urzędniczki państwowej.

Jagna była patriotką. Była dumna, że może pracować dla polskiego rządu. Wprawdzie sama dostrzegała pewne mankamenty i niedociągnięcia związane z organizacją instytucji, w której była zatrudniona. Miewała czasem wątpliwości, czy wypisywanie tych okrągłych zdań i pozbawionych konkretnej treści sformułowań przynosi Polakom jakąkolwiek korzyść. Nie była głupia i wiedziała przecież, że tworzenie pism dla Kancelarii Premiera i poszczególnych ministerstw, w których instytucje te wzajemnie sobie odpowiadają i udają, że toczą jakąś dyskusję, jest trochę nieuczciwe. Była jednak przekonana, że wszystkie te działania mają głębszy sens. Twierdziła, że jeśli przynajmniej jeden obywatel dzięki działaniom jej instytucji nie zostanie skrzywdzony, bo urząd rozpatrujący jego sprawę weźmie sobie do serca apele i zapewnienia zawarte w cytowanej przez prasę korespondencji, jeśli choć jeden urzędnik zacznie sumiennie i uczciwie pracować dla dobra ogółu pod wpływem tego, co przeczyta w oficjalnej korespondencji, to będzie oznaczać, że naprawdę warto to wszystko robić, że pieniądze wydane na istnienie Centrum Ulepszania Działań nie idą na marne, ale służą społeczeństwu. Poza tym była pewna, że skoro taki urząd wymyślono, to musiały za tym stać jakieś ważne powody. Żyjemy przecież w wolnym i demokratycznym kraju, w którym rządzą światli ludzie wybrani przez naród. Kiedyś, gdy panował komunizm i totalitaryzm, podejmowano wiele złych i szkodliwych decyzji. Jednak teraz, kiedy Polska jest wolna, a władza jest emanacją narodu, trzeba mieć zaufanie do podejmowanych przez rządzących działań. Jagna dostrzegała, że rządząca partia popełnia czasem błędy. Jednak nie dopuszczała do siebie myśli, że mogłyby one wynikać ze złych intencji. To nie byli przecież żadni namiestnicy obcego mocarstwa, ale prawdziwi Polacy wybrani w wolnych wyborach. Na pewno chcieli dobrze dla Polski i nawet jeżeli niekiedy błędzili, Jagna wybaczała im, bo ufała, że mieli dobre zamiary.

Teraz, gdy tramwaj przejeżdżał już przez Wisłę, Jagna z żalem wspominała jeszcze wydarzenia poprzednich godzin. Ten bezczelny Janek znów ją wkurzył. Znowu dała się sprowokować. Przecież dyskusje z nim nie mają sensu. Ciekawe, czy takie osoby jak on zdają sobie sprawę z tego, komu tak naprawdę służą. Jagna służyła Polsce – tego była pewna. Janek zawsze twierdził, że jest samodzielnie myślącym człowiekiem niezwiązanym z żadną ideologią. Jagna uważała to za absurd. Każdy podlega wpływom i wyznaje przekonania, które ktoś inny wcześniej wymyślił. Dlatego trzeba zidentyfikować te idee, które są dobre dla ojczyzny i narodu, oraz te, które im szkodzą. Janek może się zarzekać, że jest niezależnym indywidualistą, ale fakty są takie, że jego zachowanie podważa fundamenty narodowej wspólnoty. On się wymądrza na każdy temat, nie szanuje autorytetów, wyśmiewa świętości i narodowe symbole. Żyjemy niby w demokracji, więc Jagna przyjmowała do wiadomości, że ktoś może mieć takie poglądy, ale trudno jej było zaakceptować, że ktoś taki pracuje w państwowej instytucji. Jest w niej zatrudniony i jednocześnie otwarcie ją krytykuje. Jeśli tak mu się nie podoba, to dlaczego dalej w niej siedzi i wcale nie chce odejść? Ten Janek to hipokryta. Oczywiście kasa jest dla niego najważniejsza. Zresztą sam to przyznał. Jagnę irytowało, że przełożeni nic z tym nie robią. Agata wprawdzie zgodziła się z opinią, że Janek nie powinien mówić na głos takich rzeczy, ale jednocześnie zastrzegła, że jest doświadczonym pracownikiem wnoszącym wartość dodaną do pracy całego wydziału. Podobnie jak Jagna, której zaangażowanie Agata ocenia również bardzo wysoko. Zdaniem Agaty w trakcie godzin pracy nie powinno się toczyć sporów światopoglądowych, należy po prostu wykonywać swoją pracę, a co kto myśli prywatnie, to już jego osobista sprawa. Jagna z jednej strony trochę się uspokoiła, że Agata przynajmniej w części stanęła po jej stronie. Z drugiej strony nie zgadzała się z Agatą, że kwestie światopoglądowe są niezwiązane z pracą. Jeśli ktoś nie wierzy w sens wspierania administracji publicznej, jeśli ktoś gardzi ojczyzną i wiarą, bez której ta ojczyzna nie byłaby przecież tym, czym jest, to taka osoba nie powinna tutaj pracować. Niestety chyba tylko Jagna uważała to za oczywiste.

Wysiadła z tramwaju i przesiadła się do autobusu jadącego na Gocław. Postanowiła, że nie będzie się już dalej zdręzczać myślami o kolegach i koleżankach z pracy. To ona w ostatecznym rozrachunku ma rację, nawet jeśli tak wiele osób wokoło jej nie rozumie. Zawsze tak sobie tłumaczyła swoją niezłomność i twardość swoich poglądów. Zawsze ją to uspokajało. Teraz jednak nadal była podenerwowana i uświadomiła sobie, że stres nie jest wcale związany z pracą. Niedługo będą musieli z mężem podjąć wreszcie jakąś decyzję, bo przecież dłużej już tak nie można.

Jagna miała trzydzieści lat i od pięciu lat była po ślubie. Jej mąż, Wojtek, był bardzo porządnym człowiekiem, uczył historii w szkole podstawowej i mimo niewielkich zarobków bardzo lubił swoją pracę. Poznali się w czasie studiów na pielgrzymce do Częstochowy. Oboje byli wierzący i zgodzili się, że życie seksualne rozpoczną dopiero po przyjęciu sakramentu małżeństwa. Okazało się to świetną decyzją. Wcześniejsza abstynencja tak rozgrzała w nich wzajemną namiętność, że po ślubie zaczęli się kochać jak króliki. Robili to dwa, trzy razy dziennie, niezmiennie z zapalem i wzajemną miłością. Zostało im to zresztą do dziś. Te seksowne kreacje, które Jagna wkładała do pracy, były też trochę dla niego. Wojtka bardzo podniecało, gdy powróciwszy do domu, zrzuciła z siebie długi jesienny płaszcz i stawała przed nim w krótkiej spódnicy i obcisłej bluzce. Zwykle od razu zaczynali się kochać. Dzisiaj na pewno będzie podobnie. Jednak Jagna bardzo się martwiła. Mieli nadzieję, że owocem ich gorących zbliżeń będzie przynajmniej trójka dzieci. Jagna bardzo chciała stworzyć prawdziwą rodzinę. Marzyła o roześmianych maluchach, które będzie karmić, wychowywać i po prostu kochać tą czystą matczyną miłością. Już teraz powinna mieć przynajmniej dwójkę. Tymczasem coś było nie tak. Pięć lat codziennego seksu i żadnych efektów. Jagna nadal nie zdołała zająć w ciążę.

Już po roku zorientowali się, że coś nie gra. Zgłosili się do lekarza, zaczęli robić badania. Trochę im się nie spodobało, że aby wykonać analizę nasienia, Wojtek musiałby się onanizować, ale rozwiązali ten problem, udając się wspólnie do kliniki, która ostatecznie stała się kolejnym nietypowym miejscem, gdzie się kochali. Musieli tylko na końcu uważać, żeby Wojtek trafił do kubeczka. Wyniki były dobre. Okazało się, że problem leży po stronie Jagny. W jej badaniach, których lekarz zalecił cały zestaw, wyszły pewne nieprawidłowości. Na początku doradzano spokój. Nie dramatyzujemy, poczekajmy, spróbujcie jeszcze przez rok, może dwa. Czasem po prostu za którymś razem się udaje, i nikt tak naprawdę nie wie dlaczego. Gdy nadal nie było efektów, Jagnie przepisano różne medykamenty, które miały zwiększać prawdopodobieństwo sukcesu. Ale teraz, po pięciu latach starań, Jagna i Wojtek nie mieli już złudzeń. Lekarz zresztą powiedział im wprost podczas ostatniej wizyty, że jego zdaniem jedyną szansą jest metoda *in vitro*.

Jagna odłożyła trochę oszczędności, więc finansowo daliby radę. Starczyłoby nawet na kilka prób. Problemem były wątpliwości natury moralnej. Jagna i Wojtek mieli swojego spowiednika. Poznali księdza Jędrzeja na pielgrzymce, która ich połączyła, więc darzyli go szczególnym sentymentem i bardzo poważnie traktowali jego porady. Nawet teraz, gdy ksiądz Jędrzej rezydował w parafii na Grochowie, jeździli do niego co miesiąc w celu przyjęcia sakramentu pokuty. Zwierzali mu się ze swoich rozterek. Lecz w kwestii *in vitro* ksiądz Jędrzej był nieprzejednany. Kościół kategorycznie sprzeciwia się tej metodzie. Jej zastosowanie oznaczałoby świadome popełnienie grzechu śmiertelnego.

Jagna i Wojtek dobrze znali stanowisko Kościoła, i ksiądz Jędrzej nie był im potrzebny do jego zgłębienia. Szukali u swojego spowiednika jakiejś pociechy, wskazówki, a może po prostu szansy na dyspensę, na zielone światło do zastosowania metody zabronionej przez oficjalną religijną wykładnię. Ksiądz Jędrzej nie spełnił tych skrytych nadziei, ale Jagna nie miała mu tego za złe. Bardzo dobrze to rozumiała. Ceniła ludzi, którzy mają twarde zasady.

O księdzu Jędrzeju krążyły różne pogłoski – nie zawsze dla niego przychylne. Już podczas pielgrzymki niektórzy uczestnicy dawali do zrozumienia, że ksiądz przejawia niezdrowe zainteresowanie chłopcami służącymi do mszy. Jagna oczywiście nie wierzyła w takie bzdury. Niektórzy we wszystkich duchownych widzą teraz pedofilów. Te plotki powracały co jakiś czas, ale Jagna zawsze miała dobre zdanie o księdzu Jędrzeju. Był jednoznaczny i zdecydowany w obronie prawd wiary. W sumie, nawet gdyby przejawiał jakąś nieobyčajną słabość, Jagna byłaby skłonna mu to wybaczyć. Sądziła bowiem, że o człowieku świadczy przede wszystkim ogólna postawa moralna prezentowana przez całe życie.

Nieprzejdaną postawę prezentował na przykład ojciec Jagny. Był wieloletnim działaczem patriotycznym, pisał książki historyczne, popularyzował wiedzę o bohaterach narodowych. Swoim życiem zapisał wspaniałą kartę i już teraz uważany był w środowisku patriotycznym za wybitnego Polaka. Dlatego Jagna do dzisiaj nie mogła wybaczyć swojej matce, że rozwiodła się z ojcem. Dobrze, że poczekała przynajmniej, aż Jagna osiągnie pełnoletniość. Ale przecież rozwód jest zawsze zły. Nie tylko z punktu widzenia religii. Jagna uważała, że ochrona tradycyjnego modelu rodziny jest obowiązkiem każdego patrioty. Nie mogła wybaczyć matce, że zniszczyła ich rodzinę. Matka twierdziła, że już dawno przestała kochać ojca, i teraz, gdy Jagna jest już dorosła, nie widzi sensu, aby dalej męczyli się ze sobą. Ojciec zresztą chyba się z nią zgodził, skoro przystał na rozwód i nie robił żadnych problemów. Teraz miał nową partnerkę, ale Jagna miała trudności, by zaakceptować ją jako członkinię rodziny. W efekcie oddaliła się zarówno od matki, jak i od ojca.

Na szczęście miała teraz swoją rodzinę. To znaczy – na razie tylko męża, ale jeśli uda jej się wreszcie zajść w ciążę, jej dziecko na pewno będzie miało wspaniałą i szczęśliwą rodzinę. Jagna była przekonana, że nigdy nie rozwiedzie się z Wojtkiem. To było absolutnie niemożliwe. Natomiast coraz częściej zastanawiała się, czy jednak nie skorzystać z prokreacyjnej metody, która dałaby jej szansę na zajście w ciążę. Nawet jeśli postąpiłaby wbrew naukom Kościoła. Widziała, że Wojtek również skłania się ku temu rozwiązaniu. Ostatecznie popełnił tylko jednorazowy grzech. Jeśli metoda okaże się skuteczna, może powtórzyć zabieg raz albo dwa razy. A potem wszystko będzie po staremu. Ich ogólna postawa moralna przecież się nie zmieni. Tak tłumaczyła to sobie Jagna, wysiadając z autobusu i kierując się w stronę swojego osiedla. Zdenerwowanie minęło. Teraz czuła już tylko przyjemną ekscytację związaną z tym, co się stanie, gdy wejdzie do domu.

ROZDZIAŁ 15

JAN, ŚRODA WCZESNYM WIECZOREM

Po powrocie do domu Jan miał się właśnie wziąć do przygotowania jakiegoś dobrego posiłku, który w połączeniu z butelką wina owocnie zwiędziłyby śródowy wieczór. Nie zdążył jednak zacząć, bo zadzwonił jego telefon. Spojrzał na wyświetlacz i wiedział już, że pół godziny ma z głowy. Dzwoniła jego matka.

Jan już od dawna unikał wdawania się w dyskusje z matką na jakiegokolwiek tematy, a w szczególności związane z jego osobistym życiem. Ona z kolei nie mogła zaakceptować tego, że Jan nie ma żadnych problemów, rozterek, kłopotów, którymi mógłby się z nią podzielić. Miał wrażenie, że jako syn był zobowiązany takowe rozterki posiadać, jeśli nie w rzeczywistości, to przynajmniej na potrzeby rozmów z rodzicielką. Jeśli ich nie miał, bo starał się po prostu żyć z dnia na dzień, mógł przynajmniej, wiedziony synowską miłością, od czasu do czasu coś wymyślić. To jednak zawiodłoby go w ślepy zaułek, gdyż matka uczepliłaby się z pewnością tego kłamstewka, dopytywałaby go o nie, wracała do tematu w kolejnych rozmowach, przez co byłby zmuszony brnąć w tę farsę i wymyślać kolejne historie, tworząc w konsekwencji alternatywną linię własnego życia. Jan nie chciał do tego dopuścić, więc zawsze odpowiadał zgodnie z prawdą, że u niego wszystko w porządku, że nie ma żadnych kłopotów i po prostu żyje sobie spokojnie, beztrąsko i bez żadnych zmartwień.

Matce jednak nie mieściło się to w głowie, dlatego starała się go podejść, grając na jego uczuciach. Zawsze rozpoczynała rozmowę, powtarzając te same ograne chwytły. Jan słyszał głębokie westchnienie, po którym następowała seria typowych zwrotów retorycznych. Tak rzadko już do mnie dzwonisz, zapomniałeś o biednej matce, ja chyba do niczego ci już nie jestem potrzebna. Nie to było jednak najgorsze. Matka irytowała Jana przede wszystkim tym, że jej zainteresowanie – z pozoru naturalne w relacji matki z synem – gdy tylko spotkało się z jakąkolwiek odpowiedzią, to znaczyłoby, że Jan mówił jej cokolwiek o sobie, zmierzało zawsze do kanonady porad i wskazówek. Ja na twoim miejscu zrobiłabym to albo tamto. Myślę, że powinieneś pójść tam albo gdzieś indziej. Zgłoś się do pana Iksińskiego albo Igrekowskiego. Przeczytaj artykuł albo obejrzyj program w telewizji. Jan znudzony przytakiwał, tak, mam, dobrze, mam, choć wiedział, że z żadnych rad nie skorzysta, bo w ogóle go nie obchodzą te sprawy, na które matka chciała go uczulić, ale ona przecież nie dawała się zbyć zdawkowymi zapewnieniami, musiała pięć razy dopytać, czy na pewno Jan zrobi to czy tamto, czy przyrzeka, że pójdzie tam, gdzie powinien, czy na pewno obejrzy albo przeczyta. I wtedy Jan uczciwie – bo tak go jednak matka wychowała – odpowiadała, że jednak nie pójdzie, nie obejrzy, nie przeczyta ani w ogóle nic nie zrobi, bo mu się nie chce, bo nie uważa tego za ciekawe ani istotne, więc dziękuję, mam, za te wszystkie porady, wiem, że dajesz mi je z dobrego serca, ale zaakceptuj fakt, że już jestem dorosły i nie muszę robić wszystkiego, co mi polecisz. Rozsądna matka dałaby za wygraną, ale matkę

Jana tylko to rozjuszało. Ale, synku, czy ty naprawdę nie rozumiesz? Nie pojmujesz? I czemu odrzucasz matczyną mądrość? Matka Jana teoretycznie akceptowała to, że syn może mieć inne zdanie niż ona. Uważała jednak, że różnica zdań wynika wyłącznie z niedoinformowania jej rozmówcy. Jeśli Jan nie przyjmował jej porad, to na pewno tylko dlatego, że niedostatecznie jasno przedstawiła mu ich słuszość. Nie uwypukliła wszystkich istotnych argumentów. Zaczynała więc całą tyradę od nowa. Nic dziwnego, że Jana to irytowało. Mimo wszystko wiedział, że matkę należy kochać taką, jaka jest, zwłaszcza że ona również kochała go niezależnie od tego, jaką przyjmował postawę – zarówno wobec niej, jak i wobec życia i całego świata. Dlatego starał się spokojnie przechodzić przez te nie do końca komfortowe dla niego konwersacje, dając rodzicielce mniej lub bardziej delikatnie do zrozumienia, że ma własne plany i zapatrywania w różnych sprawach i ostatecznie, wysłuchawszy wszystkich argumentów, postąpi po swoim. Ale matka nie zawsze gotowa była przyjąć to do wiadomości, a Janowi czasem jednak puszczały nerwy, zdarzało się niekiedy, że matka kończyła nagle rozmowę, żegnając go tonem pełnym chłodu. Uznawała zapewne, że wyjdzie z sytuacji obronną ręką, jeśli obrazi się na syna i da mu do zrozumienia, że jest okropnie niewdzięczny, co z kolei wywoła u niego wyrzuty sumienia. Jan jednak już dawno uodpornił się na takie zagrywki i nie oddzwaniał później do matki. Wiedział, że i tak sama po jakimś czasie zadzwoni. I zawsze dzwoniła, powtarzając ten sam schemat od początku.

Czasami, gdy z niezrozumiałych dla siebie powodów czuł potrzebę większej ekspresji, dawał się namówić na dłuższą rozmowę na jakiś temat natury ogólnej. Na przykład polityczny albo związany z religią. Wtedy kończyło się jeszcze gorzej, dzieliła ich bowiem światopoglądowa przepaść. I tutaj znów pojawiały się standardowe wyrzuty: nie tak cię wychowałam, zastanów się nad sobą i swoim zachowaniem. A tak w ogóle to bój się Boga, Janek, co to z ciebie za antychryst wyrósł, jak ty się wybronisz na sądzie ostatecznym? Jan już dawno wytłumaczył matce, że nie wierzy w Boga i nie oczekuje uczestnictwa w żadnym sądzie, ale ona cały czas nie przyjmowała tego do wiadomości. Kiedyś próbował jej to nawet tłumaczyć:

– Mamo, mój ateizm nie wynika z żadnych głębokich przemyśleń filozoficznych. To jest raczej ateizm probabilistyczny. Wiadomo, że wraz ze zmianą naszej wiedzy o całej sytuacji, zmieniają się szanse osiągnięcia określonego wyniku. I tak właśnie jest z moją wiarą w Boga. Im bardziej rozwija się nauka, im większa jest nasza wiedza o świecie, tym mniej prawdopodobna jest religijna wersja opisu rzeczywistości. Nie mówię tu oczywiście o prawdopodobieństwie w ścisłym matematycznym znaczeniu tego słowa – czegoś takiego nie da się obliczyć. Mam raczej na myśli psychologiczne postrzeganie szansy na to, że określona teoria jest wiarygodna. Im więcej wiemy, tym trudniej jest nam uwierzyć, bo Bóg w coraz mniejszym stopniu pasuje do całej układanki. A zwłaszcza taki Bóg, jakiego obiecuje nam religia.

Matka Jana oczywiście nie akceptowała jego poglądu, zaczęła więc opowiadać o tym, że ksiądz Henryk z jej parafii powtarza zawsze, że nauka i religia są sprzymierzeńcami, że nauka nie tylko nie osłabia wiary, ale wręcz ją umacnia, a ksiądz Henryk to jest uczony człowiek i na pewno wie, co mówi.

– Poza tym to są boskie sprawy, synku, sprawy zupełnie innego rodzaju, to są wielkie tajemnice wiary, których nigdy nie zrozumiemy!

– W takim razie ty masz, mamo, wielkie tajemnice wiary, a ja mam swoją tajemnicę ogólnego chaosu – usłyszała w odpowiedzi. – I niech każdy zostanie przy własnych sekretnych przekonaniach.

I wtedy, ku zaskoczeniu syna, rozłączyła się bez słowa, a Jan pomyślał, że być może obraziła się na tyle poważnie, że nie zadzwoni przez najbliższy miesiąc, co byłoby z jego punktu widzenia korzystną

okolicznością. Okazało się, że stan rodzicielskiej obrazy trwał przez trzy tygodnie, co jak na jego matkę i tak było rekordem. Zadzwońiła i powiedziała, że ksiądz Henryk poradził jej pobłażliwość, bo młode i nieokiełznane umysły cechują się często buntowniczą naturą, więc ona mu wybacza i nawet jest gotowa zaakceptować, że on ma takie poglądy, choć po raz kolejny zaznacza, że się z nimi nie zgadza, a tak poza tym, to co tam u ciebie, synku, czemu do mnie nie dzwonicz, nie interesujesz się starą matką, a ja tak ciągle myślę o tym, co u ciebie, czy nie masz tam jakichś kłopotów, problemów, rozterek? I nie mów, że nie masz, bo wiem, że masz na pewno, każdy ma przecież, i nie pojmuję, dlaczego wszystko przede mną ukrywasz.

I tak było co tydzień, bo taka mniej więcej była częstotliwość telefonów od mamy. Teraz, gdy matka dzwoniła ponownie, Jan był już gotów na kolejne przedstawienie.

– Tak, słucham – odebrał połączenie.

– Dzień dobry, synku, tu mama. Co u ciebie, mój drogi, czy wszystko w porządku? Martwię się o ciebie ostatnio.

– Tak, mamo, dziękuję, wszystko jest w porządku.

– Ale czy na pewno? Nie masz żadnych kłopotów zdrowotnych?

– Nie, czuję się całkiem dobrze.

– A jak w pracy? Nie przemęczasz się czasem?

– Nie, mamo, daję radę. – Jan nie wtajemniczał nigdy matki w meandry biurowej pracy, w szczególności nie wspominał jej, jak groteskowe jest jego urzędnicze zatrudnienie. Uznawał, że będzie dobrze, jeśli matka, tak jak reszta społeczeństwa, pozostanie nieświadoma rzeczywistości.

– Martwię się o ciebie, synku. – Matka włączyła tę wersję swojego głosu, która zahaczała niemal o lament. – Słyszałeś, ile okropnych zbrodni ostatnio. Jakież straszne morderstwa wieczorową porą, a ty przecież tak lubisz na noc wychodzić na te twoje spacer. Moim zdaniem nie powinieneś teraz wychodzić o zmroku. A już na pewno nie po dwudziestej. Wiesz przecież, jak teraz jest niebezpiecznie. Chyba widziałeś w wiadomościach albo czytałeś w internecie? Na twoim miejscu kładłabym się wcześniej spać, zamiast wychodzić na nocne spacer. Przecież ty się nie wysypiasz. Ostatnio na wujka imieninach jak cię widziałam, to miałaś podkrążone oczy. Za mało śpisz, Janek. Ja tak się o ciebie martwię.

– Niepotrzebnie, mamo. Dbam o siebie. A wieczorami tutaj jest bezpiecznie.

– Tak się tylko wydaje, ale jak taki zabójca na ciebie napadnie, to nawet nie zdążysz się zorientować. Tyle teraz tego zła na świecie, synku, nie mogę tego zrozumieć. Ale w sumie nie powinno mnie to dziwić. Skoro nawet ty w Boga nie wierzysz, a przecież taki porządny z ciebie chłopak, to co się dziwić, że tylu zabójców i złych ludzi chodzi po tym świecie. Ciągłe musimy chronić naszą wiarę, rodzinę i ojczyznę, synku. Chodzisz ty czasem do kościoła?

– Mamo, przecież już ci tłumaczyłem.

– Tak, wiem, ale co szkodzi zapytać, twoja biedna matka zawsze będzie mieć nadzieję, że kiedyś jednak się nawrócisz. A masz, Jasiu, jakąś miłą koleżankę? Może byś jednak pomyślał o założeniu rodziny, bo lata lecą, a w twoim wieku czas płynie coraz szybciej. Wiesz, moja znajoma z pracy mówi, że jej córka jest taka sama jak ty. Niebieski ptak po prostu. Ale podobno bardzo inteligentna i zdolna, tylko ciągle nie może się ustakować. Może zapiszesz sobie do niej telefon, koleżanka mi dała i bardzo prosiła, żeby ci przekazała, bo ona przecież cię zna i mówi, że takiego zięcia to by z pocałowaniem ręki wzięła, a ta jej córka to świetna partia, tylko ciągle do rozumu jej przemówić nie można...

– Mamo, prosiłem cię już, żebyś nie składała mi takich propozycji. Zresztą, jeśli ona jest taka wspaniała, jak opowiadasz, a dodatkowo charakteryzuje ją natura niebieskiego ptaka, to obawiam się, że mogłoby to się źle skończyć. Zadzwońiłbym do niej, umówilibyśmy się, a potem od razu poszlibyśmy do łóżka. – Jan uśmiechnął się, wiedząc, jaką reakcję wywoła jego prowokacja.

– Przeستاń, Janek! Co ty opowiadasz? Mówiłam ci wiele razy, że moim zdaniem bez ślubu to nie tylko grzech, ale i niebezpiecznie. Tyle się mówi teraz o tych chorobach i ciężach. Ale wracając do tematu, co ja mam zrobić, synku, jak ty sam żadnego kroku wykonać nie chcesz. Może powinieneś założyć sobie jakieś konto w internecie, wiesz, w tych randkowych portalach? Ja tam się na tym nie znam, ale u mnie w pracy kolega opowiadał...

I tak dalej. Matka Jana poruszyła jeszcze kilka standardowych tematów, a on pokornie wszystkiego wysłuchał. Potem, chcąc już skończyć rozmowę i widząc jednocześnie, że tego dnia nie szykuje się żadne wielkie spotkanie, powiedział, że chętnie by jeszcze porozmawiał, ale dopiero wrócił z pracy i jest bardzo głodny. Głód syna to jeden z dobrych argumentów, który zawsze skutecznie działa na matkę, o ile oczywiście używa się go z umiarem. Jan uznał, że już od pewnego czasu nie wykorzystywał tej zagrywki, a że w tym wypadku była ona zgodna z rzeczywistością, ocenił ją jako najlepsze wyjście z sytuacji.

Usmażył w kuchni kawałek ryby, ugotował ryż. Zjadł do tego pomidora i popił winem. Wypił pół butelki i poczuł senność, więc w kuchni zrobił sobie kawę. Otworzył szafkę i wyjął pierwszy z brzegu kubek. Dopiero w pokoju zauważył, że kubek z kawą zawiera jakiś religijny obrazek i napis: *Memento mori*. Uznał to za zabawny zbieg okoliczności, bo był to kubek, który dostał kiedyś od matki. Uważał go za wyjątkowo tandetny, nie tylko z powodu jakości wykonania – pod tym względem wszystkie tego typu kubki były takie same – ale ze względu na wypisaną na nim sentencję. Uważał, że to słynne zdanie to jeden z najgłębszych aforyzmów, jakie kiedykolwiek wymyślono. Niby po co mam pamiętać o tym, że umrę? Chyba po to, żeby ciągle zatrzuwać sobie życie myśleniem o śmierci. Oczywiście autorzy tej sentencji mieli intencję całkiem przyziemne. Istnienie Kościoła zależy od tego, jak bardzo wyznawcy są do niego przywiązani. Kościół przypomina o śmierci, by zaraz potem obiecać rozwiązanie tego nieprzyjemnego problemu, jakim jest perspektywa odejścia z tego świata.

Jan uważał jednak, że nie warto pamiętać o śmierci. Koncentrował się na życiu. Dlatego szybko wypił kawę, odstawił kubek do zlewu i wyszedł na spacer znacznie wcześniej niż zwykle. Za oknem zapadł już zmrok, ale dochodziła dopiero dziewiętnasta, więc może dziś rzeczywiście zaliczy wieczorne wyjście wcześniej niż zwykle, po czym wróci do domu, położy się i dobrze się wyśpi.

ROZDZIAŁ 16

JACEK, ŚRODA WIECZOREM

Czasem lepiej nie zrobić nic, niż zrobić coś, pomyślał Jacek, gdy Gruby zaśmiewał się z własnej opowieści o ziomku znanym pod ksywą „Zielarz”, bo wiecie, nazwisko ma Zielarski, a przypalić też lubi, więc nieźle pasuje, co nie? No i ten Zielarz wrócił wczoraj na chatę kompletnie najebany, trochę jarania, trochę picia, lubi się chłopak zabawić, no i zamiast normalnie się położyć, bo to był środek nocy, to coś mu do głowy strzeliło, żeby wejść na Fejsa, zalogował się i zaczął posty słać do swojej laski, że ją tak bardzo kocha i tak dalej, tyle że mało romantyczne to było, bo głównie opisywał tam, w które otwory chętnie by jej wkładał i na co by jej się spuścił, no i ona może jeszcze by mu wybaczyła, bo przecież każdy, jak jest najebany, to różne rzeczy pierdoli, ale on to niestety wysyłał jako publiczne posty i wszyscy jej znajomi to mogli przeczytać, kumacie? Rano wszystko zniknęło, bo jak się obudził i zorientował się w sytuacji, to pousuwał te wpisy, ale ludzie screeny porobili i teraz drą z niej łacha na całego. Ona go z miejsca rzuciła i wyzwała od chujów najgorszych, a on mówi, że w ogóle nic z tej nocy nie pamięta! Niezły numer, mówię wam, zakończył Gruby, a Jacek, który zawsze starał się wyciągać refleksję natury ogólnej z prostackich opowiadań swoich kumpli z osiedla, podsumował, że czasem lepiej nie zrobić nic, czyli na przykład położyć się spać, niż zrobić coś, czyli na przykład wchodzić na media społecznościowe po pijaku, bo w ten sposób nie tylko ten Zielarz, ale cała masa celebrytów albo polityków rozjebała sobie kariery, w ogóle na komputerach i telefonach powinny być alkomaty, powinni to ścinać tak jak jeżdżenie samochodem na bani, bo człowiek przez to życie sobie może wyrzucić do góry nogami. I tak zaśmiewali się wspólnie, przy czym Jacek śmiał się umiarkowanie, jak na szefa bandy przystało, a Gruby i Szczerba rechotali bez opamiętania, gdyż byli zwykłymi prostakami i Jacek w gruncie rzeczy nimi pogardzał, ale na osiedlu nie było dużego wyboru, więc musiał zadowalać się tym, co było dostępne. W Grubym i Szczerbie wszystko było banalnie proste – zupełnie jak ich pseudonimy. Gruby miał ksywę „Gruby”, ponieważ był gruby, na Szczerbę wołali „Szczerba”, bo stracił dwa przednie zęby w jakiejś naparzance. Jego historia też pasowałaby do tej o Zielarzu, pomyślał Jacek, też mógł wówczas nie zrobić nic, ale postanowił, że spuści wpierdol jakiemuś koleśowi, który z pozoru wyglądał na frajera, tyle że okazał się silnym i sprytnym frajerem, gdyż wybił Szczerbie dwa zęby jednym szybkim ciosem i za moment już go nie było. Nie ma co owijać w bawełnę, Gruby i Szczerba to byli dwaj debile, ale przecież Jacek przechadzał się z nimi po osiedlu nie po to, aby traktować ich jak partnerów. Byli jego podwładnymi, stanowili obstawę i służbę. Jacek zaś był królem, a jego królestwem było całkiem spore osiedle starych bloków na warszawskich Bielanych.

Jacek na swoim osiedlu sprawował autorytarne rządy. Pracował długo na swoją pozycję, przy czym czynił to nie tylko pięścią, ale i umysłem. W ogóle był inteligentny i wiedział, że osiedle to tylko

początek, przygrywka, wstęp do czegoś większego. W przeciwieństwie do tych idiotów, którzy wchodzili w skład grupy trzymającej władzę na osiedlu, Jacek nie zakończył edukacji po podstawówce, ale zrobił maturę, a teraz, jako dwudziestolatek, legitymował się indeksem wyższej uczelni, na której wprawdzie właściwie nie był fizycznie, ale był przekonany, że na końcu i tak bez problemu uzyska dyplom. Miał swoje sposoby na osiąganie zamierzonych celów. Tak czy inaczej, widół prym wśród osiedlowych ziomków, gdyż jako jedyny łączył siłę, bezwzględność i pewność siebie z wiedzą i inteligencją. Takie połączenie zawsze przynosi sukces.

Jacek zdawał sobie sprawę, że najlepiej jest rządzić twardą ręką i łamać schematy. W niektórych rejonach Warszawy panowały na przykład staroświeckie zasady, wedle których swoich nie ruszano. Jeśli ktoś był zwykłym frajerem, ale mieszkał w bloku obok, był chroniony przez niepisane reguły półświatka. Atakowano tylko obcych, przyjezdnych, zabłąkanych albo tych, z którymi toczono otwartą wojnę. U siebie Jacek dawno porzucił ten przestarzały schemat. Jacek uważał, że jeśli ktoś jest frajerem, należy mu się wpierdol bez względu na miejsce zamieszkania. Można nawet powiedzieć, że mieszkańcy osiedla stanowili najczęstsze ofiary przestępczych poczynań Jackowej bandy. Jackowi bardzo to odpowiadało, bo widział w ich oczach strach i dawało mu to ogromne poczucie satysfakcji. Strach – lubił powtarzać – to najwyższy stopień szacunku. Poza tym strach był oznaką słabości, a słabością Jacek gardził w stopniu najwyższym. Nie uważał, że słabszym należy pomagać i ustępować. Słabszych trzeba tępić, gnębić i wykorzystywać. Należy nimi pogardzać, bo słabość nie zasługuje na żaden szacunek. Ten świat należy do silnych, powtarzał często swoim prostackim ziomalom, dlatego siła jest tak skutecznym narzędziem. Ludzie z zasady są słabi zarówno fizycznie, jak i psychicznie, więc nieliczni silni stanowią elitę, której należy się władza. Ziomale kiwali głowami, bo pasowało im, że należą do elitarnego grona.

Jacek z jednej strony pogardzał swoimi kompanami, bo była to niewątpliwie banda debili, ale z drugiej strony lubił ich towarzystwo, bo podziwiali go i szanowali, a w dodatku zdobywanie ich respektu przychodziło mu bardzo łatwo. Jacek lubił wszystko, co łatwe i bezproblemowe. Wiedział, że niektórzy ludzie, nazywający siebie ambitnymi, nie zadowolają się łatwymi zdobyczami i stawiają sobie coraz trudniejsze do osiągnięcia cele. On podchodził do życia inaczej. Nie uważał za konieczne stawiania sobie wyzwań, skoro wystarczającą satysfakcję osiągał minimalnym wysiłkiem.

Łatwość cenili również w swojej osiedlowej działalności. Młodzi królowie osiedla pod jego przewodnictwem wprowadzili iście mafijny porządek.

Jacek znajdował nie tylko czystą przyjemność w regularnym dręczeniu najsłabszych i najbardziej lękliwych ofiar zamieszkujących bloki z wielkiej płyty, ale uczynił z tego dobrze prosperujący biznes. Miał dwadzieścia lat, jego kumple byli w podobnym wieku, a na osiedlu było wielu bezbronych dzieciaków i nastolatków, którzy przez sam fakt swojego istnienia i pokazywania się na osiedlowych ścieżkach prosili się o kłopoty. Jacek z lubością wypatrywał pojawiających się samotnych licealistów albo wracające z pobliskiej podstawówki dzieci. Gdy tylko któryś z nieszczęśników napatoczył się bandzie Jacka, musiał wejść z nimi w układ. Jacek nie był prostakiem. Nie okradał swoich ofiar tak po prostu, po chamsku i jednorazowo. Stosował zastraszenie, zawierał klarowną umowę – będziesz płacić co miesiąc określoną kwotę i przez kolejne trzydzieści dni masz spokój. W kolejnym miesiącu przyjdzie do nas, a jak nie przyjdzie, to sami cię znajdziemy i znowu wyskakujesz z kieszonkowego. No i podstawowa reguła gry: nikomu o tym nie mówisz, a już na pewno nie mówisz o tym rodzicom. Piśnij słówko komukolwiek, a otrzymasz tak gruntowny wpierdol, że bez szpitala się nie obejdziesz. W stosunku do dziewcząt Jacek dodawał także dość oczywistą groźbę gwałtu. To prawie zawsze działało. Prawie, bo jeden chłopak, dwunastoletni Darek, wygadał się kiedyś ojcu. Ten Darek

w ogóle był dziwny, miał jakiś autyzm albo coś w tym rodzaju, Jacek z chłopakami lubili się z niego nabijać, bo przechodził czasem przez osiedle, gadając coś do siebie i powtarzając wielokrotnie te same frazy, zapamiętane z jakichś filmów albo z napotkanych sytuacji. Jacek podejrzewał, że Darek wygadał się ojcu nieświadomie, mógł na przykład powtórzyć to, co usłyszał od Grubego, to znaczy, że jak komuś o nas powiesz, to zrobimy tak, że tobie polecą krew z nosa, a twojej mamusi z majątek. Gruby lubił czasem wymyślać takie mało finezyjne groźby i był z nich zawsze bardzo dumny. No więc Darek zapewne któregoś dnia wyrecytował ten tekst przy rodzicach i się zaczęło. Ojciec od słowa do słowa zrozumiał, co jest grane, i poszedł na policję. Jacek bardzo się wkurwił, gdy na osiedlu stawiło się dwóch policjantów, którzy spisali ich dane i zaczęli wypytywać. Jacek oczywiście potraktował ich uprzejmie. Korciło go, żeby dać psom po mordach, ale wiadomo, że skończyłoby się to fatalnie. Dlatego załatwił sprawę w inny sposób. Następnego dnia złapali odważnego tatusia, gdy wracał z pracy, i tak go postraszyli, dokładając całkiem porządny wpięrdol, że tatuś po kilku dniach, gdy już doszedł do siebie, posłusznie podreptał na komisariat i odwołał wszelkie zarzuty. Poza tym incydentem banda Jacka nie miała problemów z policją, bo większość mieszkańców osiedla potrafiła rozsądnie myśleć i wiedziała, że sprawy osiedlowe załatwiać należy wewnątrz osiedla.

Jacek regularnie okradał również osoby starsze. Śmieszli go przestępcy okradający emerytów metodą „na wnuczka”. On wymyślił swój odpowiednik tego znanego numeru, w którym wcale nie musiał się pod nikogo podszywać. Na osiedlu była na przykład starsza pani, która samotnie wychowywała swojego wnuczka. Jego rodzice zginęli w wypadku, a ona pozostała jako jedyna osoba z rodziny. Nie zgodziła się na oddanie pięcioletniego chłopca do domu dziecka i zaopiekowała się nim. Pewnego dnia, gdy dzieciak skakał po placu zabaw, do siedzącej na ławce babci przysiadł się Jacek i powiedział, że szkoda byłoby, gdyby takiemu miłemu dziecku stała się jakaś krzywda, na przykład taki wypadek, jaki stał się udziałem rodziców. Na szczęście Jacek i jego koledzy chętnie zapewnią wnuczce ochronę, jeśli tylko babcia wyrazi zgodę na ponoszenie stałej miesięcznej opłaty. Starsza pani była przerażona, na początku zaczęła głośno krzyczeć, bo nie wierzyła, że Jacek może podnieść na nią rękę. Pewne zasady przecież obowiązują. Okazało się jednak, że nie obowiązują, i babcia dostała szybką fangę w nos, a obok nieświadomego niczego wnuczka bawiącego się na karuzeli pojawił się Szczerba, dając jasno do zrozumienia, że babcia nie będzie jedyną poszkodowaną, jeśli nadal stawiać będzie opór. Babcia pojęła swoją sytuację, a Jacek nie omieszkiał dodać, że zawiadomienie policji skończy się ogromną ludzką tragedią, bo nawet jeśli jeden albo drugi członek bandy zostanie zatrzymany, to pozostali nadal będą na wolności i z pewnością nie odpuszczą tak jawnej zniewagi. Od tego czasu samotna babcia uiszczala regularnie haracz, zapewniając w ten sposób sobie i wnuczce spokój, którego jednakowoż nigdy nie mogła być pewna do końca, bo Jacek pojawiał się na jej drodze co jakiś czas i kontrolnie obserwował, dając do zrozumienia, że o niej pamięta, ma ją na oku i żeby nie próbowała żadnych numerów.

Takich regularnie płacących Jackowej mafii delikwentów było na osiedlu kilkudziesięciu. Generalnie wszyscy wiedzieli o procederze, ale nikt nie miał odwagi cokolwiek z tym uczynić. Ziomele Jacka poczuli się na tyle pewnie, że Gruby zaczął niektóre ostrzejsze akcje nagrywać na swój telefon. Jacek lubił czasem poznać się nad kimś – tak dla samego znęcania, dla poczucia własnej siły i cudzego strachu. Złościł się na Grubego, że nagrywa to na komórkę, bo przecież ktoś mu tego smartfona może kiedyś zabrać albo Gruby kliknie zainfekowany link w mailu i jacyś hakerzy skopią zawartość urządzenia. Gruby był przecież debilem, więc na pewno stanowił łatwą ofiarę internetowych przestępców. Takie filmy zawsze może ktoś przejrzeć, a wtedy Jacek i spółka mogliby wpaść w tarapaty. Z drugiej strony Jacek lubił oglądać te nagrania, napawał się wtedy swoją energią i bezwzględnością.

Poza tym wcale nie wierzył, że nawet jeśli ktoś z zewnątrz te filmy zobaczy, to cokolwiek z nimi zrobi. Zdawał sobie sprawę, w jakim otoczeniu społecznym się znajduje. Niby wszyscy wiedzą, że przemoc jest zła, ale dopóki nie dotyczy ona bezpośrednio danej osoby, każdy tak naprawdę ma to w dupie. Policja na różne zgłoszenia reagowała niechętnie i z nieufnością, bo zawsze trudno oddzielić prawdę od zmyślenia, zawsze jest słowo przeciwko słowu, a do tego trzeba wchodzić w konflikt z niebezpiecznym towarzystwem. W Polsce gwałtowną reakcją służb porządkowych wzbudzają wyłącznie czyny symboliczne. Jak ktoś dokleja Matce Boskiej jakąś dziwną aureolę albo zrobi niewybredne graffiti na pomniku papieża, to najwyżsi stopniem agenci wjeżdżają mu na chatę o szóstej rano. Ale jak ktoś po prostu spuszcza regularny wpierdol frajerom na osiedlu i wyłudza od nich kasę, to wysła się jakichś krawężników, którym zależy tylko na tym, żeby jak najszybciej sprawę zamknąć i mieć święty spokój, bo nawet gdyby się taką sprawą zajęli, to pies z kulawą nogą im nie podziękuje, bo przecież takie sprawy nikogo nie obchodzą. Jacek znał realia i dlatego dbał o swój wygląd. Ziomalom także wydał jasne wskazówki. Każdy członek bandy musiał nosić łańcuszek z krzyżykiem oraz posiadać w swoim ubiorze jakiś element patriotyczny, na przykład kotwicę z powstania albo coś w tym rodzaju. Jacek miał oczywiście w dupie Kościół i ojczyznę, całą tę symbolikę traktował instrumentalnie. W przypadku jakiegokolwiek konfliktu – czy to z policją, czy z kolesiami z innego osiedla – jego banda dawała jasny sygnał, kto broni wartości i tradycji, a kto te wartości i tradycję atakuje. Jacek bardzo dobrze wiedział, że symbolika ma ogromne znaczenie psychologiczne.

Teraz, w środowy wieczór w okolicach godziny dwudziestej, Jacek słuchał rechotów swoich kompanów, którzy wciąż weselili się historią Zielarza, ale myślami był już gdzie indziej. Miał za sobą dobry dzień i planował jakiś sympatyczny melanz nocną porą. Szczerba załatwił trochę towaru, mieli kupioną skrzynkę browarów, a Gruby zapewnił, że przed północą przyjdą zajebyte laski, podobno jakiś nowy zaciąg zza wschodniej granicy. W zasadzie na dzisiaj Jacek mógł uznać działalność za zakończoną. Usiedli na murku na skraju osiedla, gdzie zwykle mogli liczyć na spokój, bo nikt rozsądny w ten rejon się nie zapuszczał. Dokoła było dużo zieleni, a od osiedla oddzielało ich betonowe ogrodzenie, które zbudowano wiele lat temu i nikt nie pamiętał, w jakim celu.

O tej porze było dość ciemno, przy drodze wzdłuż betonowego płotu stała wprawdzie jakaś zagubiona latarnia, ale jej światło było rozproszone. Jacek twierdził, że to wyborne miejsce do wieczornego podsumowywania całodziennych działań oraz rozpoczynania nocnej zabawy. Myśląc już o zbliżających się uciechach nocy, Jacek dostrzegł nagle na drodze jakąś postać, która zmierzała powoli w ich kierunku. Szturchnął Szczerbę, i ziomale od razu się uspokoili, gdy ruchem głowy wskazał im zbliżającego się człowieka. To był jakiś facet – średniego wzrostu, w okularach – ale nic więcej nie mogli dostrzec. Szedł niepewnym krokiem, widać było, że to jakiś strachliwy frajer i jednocześnie kompletny idiota, skoro pojawia się w takim miejscu o takiej porze. Gruby od razu się zapalił i szepnął do kolegów, że trzeba iść go skroić, bo nie wypada wypuszczać z rąk okazji, a gość może mieć przy sobie trochę kasy i na pewno ma jakiś telefon albo zegarek. Jackowi przez moment przebiegła przez głowę myśl, że może jest to również taka chwila, w której lepiej nie robić nic, niż zrobić coś, ale szybko ją odgonił. Nie mógł przecież odpuścić, ziomale mogliby poczuć niepewność co do jego przywódczej roli. Wstał i dał znak Grubemu, żeby wskoczył w krzaki i zaszedł kolesia od drugiej strony, a on ze Szczerbą ruszyli naprzeciw nadchodzącej postaci. Gdy zbliżyli się na kilka kroków, facet zatrzymał się i spojrzał na nich jakoś dziwnie. Szczerba od razu przeszedł do rzeczy i zapytał, czy szanowny pan ma może pożyczyć telefon, bo kolega potrzebuje pilnie zadzwonić. Po chwili za plecami wyraźnie już zdezorientowanego frajera zjawił się Gruby. Facet zrozumiał od razu, że jest bez szans, rozłożył ręce

w geście uspokojenia, po czym włożył prawą dłoń do kieszeni kurtki. Jacek pomyślał, że pójdzie nadzwyczaj łatwo, gość odda wszystko, co ma, i ucieknie zadowolony, że nie ucierpiał fizycznie. Jacek nie zdążył pomyśleć niczego więcej, bo sekundę później mężczyzna wyciągnął w jego kierunku rękę, w której zamiast telefonu albo portfela dzierżył pistolet. Rozległy się szybkie dwa strzały, po których Jacek i Szczerba upadli na ziemię. W ułamku sekundy Gruby zrozumiał, co się święci, ale dał radę jedynie odwrócić się bokiem w celu ucieczki w krzaki. Trzeci strzał, który trafił go w skroń, zaprzepaścił jednak jego plany. Mężczyzna popatrzył na trójkę zabitych i każdemu z nich podarował jeszcze po jednym strzale w okolice serca. Uznał, że korpus Grubego, jako cechujący się największą objętością, będzie najlepszym miejscem do pozostawienia pozbawionej już naboji broni. Jeszcze raz obejrzał swoje dzieło, wsłuchał się w szumiące od lekkiego wiatru krzewy porastające ten zakątek osiedla, po czym skierował się z powrotem tam, skąd przyszedł.

ROZDZIAŁ 17

SARA, CZWARTEK RANO

– Trochę tu zimno – powiedział podkomisarz Janiak, patrząc na uchylone okno.

– Zimno, ale nie śmierdzi – odpowiedziała Sara, wykorzystując swoją ulubioną ripostę wobec malkontentów, którzy nie rozumieli, że gdy grupa około dziesięciu osób spotyka się w ciasnej salce konferencyjnej, zajmując wszystkie krzesła wokół stołu, oprócz którego nic więcej się w tym pokoju nie mieści, otwarte okno jest konieczne, aby uczestnicy zebrania nie podusili się w mieszaninie oparów własnych kosmetyków i obficie wydzielanego mimo ich zastosowania potu.

Podkomisarz Janiak ze skwaszoną miną zajął miejsce najbliżej wyjścia i najdalej od okna. Sara pomyślała, że gdyby nie był taki chudy, to by tak łatwo nie marznął. Ale Janiak miał widocznie takie genetyczne uwarunkowania, o których marzy wiele kobiet, a dzięki którym można jeść w zasadzie bez ograniczeń, a i tak pozostaje się osobą szczupłą, żeby nie powiedzieć wychudzoną. Koniec końców cała czterdziestoletnia i doświadczona zarówno życiem osobistym, jak i pracą zawodową postać podkomisarza zdawała się emanować oschłością. Zresztą nie tylko on miał minę zbitego psa. Wszyscy zgromadzeni byli sfrustrowani i źli. Codziennie dowiadywali się o nowych ofiarach seryjnego zabójcy i jednocześnie błędzili jak we mgle, nie mając żadnych wiarygodnych tropów. W sprawie kłębiła się cała masa poszlak, domysłów, podejrzeń, faktów i plotek, ale próby ułożenia ich w spójny obraz nadal nie przynosiły satysfakcjonującego rezultatu.

– Moim zdaniem powinniście się cieszyć, że jeszcze możecie otwierać okna. – Siedzący obok Sary prokurator Szarecki podjął próbę rozładowania atmosfery, co można było poznać po tym, że rozpoczynając wypowiedź, uśmiechnął się nienaturalnie i powiódł porozumiewawczo wzrokiem po znudzonych twarzach policjantów, a nie widząc specjalnego odzewu, niezrażony kontynuował: – Moja żona pracuje w prywatnej firmie, która ma biura w nowoczesnym biurowcu. Takim wysokim, na dwadzieścia kilka pięter. I wyobraźcie sobie, że tam w ogóle nie ma otwieranych okien. Cała elewacja jest ze szkła, ale żadnego okna nie otworzycie. Najlepsze jest to, że teoretycznie wymianę powietrza mają tam zapewniać klimatyzatory. Tylko niestety wiecie dobrze, jak to u nas jest. Najpierw inwestor wywala miliony, żeby zbudować supernowoczesny wieżowiec, a jak już skusi chętnych i wynajmie całą powierzchnię, to zaczynają się dziadowskie oszczędności. W efekcie te klimatyzatory są czyszczone znacznie rzadziej, niż powinny. Wszędzie jest zaduch, stęchlizna, ludzie łapią jakieś dziwne infekcje, a jak jedna osoba na piętrze zachoruje, to zaraz na zwolnienie idzie połowa pracowników, bo wszystko się pięknie roznosi po wnętrzu i w praktyce dopływ świeżego powietrza jest zerowy.

Opowieść prokuratora nie zrobiła większego wrażenia, bo policjanci często bywali w różnych rejonach Warszawy, w tym również w nowoczesnych biurowcach, zdawali sobie zatem sprawę

z warunków tam panujących. Sara poczuła się jednak w obowiązku odpowiedzieć na starania Szareckiego o polepszenie humorów zebranych osób.

– Rzeczywiście – powiedziała – w tym kontekście nasze okna to dar od losu. Zwłaszcza że u nas dziadowskie oszczędności są na porządku dziennym. W zakresie klimatyzacji zostały doprowadzone do perfekcji. Klimatyzatory w ogóle nie są czyszczone, bo po prostu ich nie ma.

Prokurator uśmiechnął się ponownie, ale nie kontynuował tematu, gdyż mogłoby to doprowadzić do niezręcznej sytuacji. Uświadomił sobie, że jego gabinet w siedzibie prokuratury mieści się w porządnym ceglanym budynku, okna otwierają się bez przeszkód, a we wszystkich gabinetach zainstalowany jest wysokiej jakości system klimatyzacji, na którego montaż i eksploatację Ministerstwo Sprawiedliwości nie skąpiło publicznego grosza. Wiadomo było przecież, że w obecnych czasach prokuratorzy mają być swego rodzaju nową elitą, a dobre warunki pracy i sprawna klimatyzacja to nieodłączny atrybut wszystkiego, co elitarne. Tymczasem policja, choć coraz częściej wykorzystywana przez polityków do załatwiania kwestii ideologicznie istotnych dla władzy, na poziomie przeciętnego funkcjonariusza nie była obdarzana szacunkiem decydentów.

W pokoju znalazły się już wszystkie osoby, które miały wziąć udział w spotkaniu. Jako ostatni pojawił się komisarz Kamiński, pięćdziesięcioletni policjant, który – choć był w dobrej formie i nie wyglądał wcale na swój wiek – od jakiegoś czasu powtarzał, że skoro ponad ćwierć wieku służby ma już za sobą, to chyba wreszcie się zdecyduje i przejdzie na emeryturę, bo ile można się męczyć z tymi trupami. Była to jednak tylko poza. W rzeczywistości bardzo angażował się w pracę, lubił ją i w rezultacie wciąż na tę emeryturę nie przechodził, przeciwnie, był aktywny i chętnie uczestniczył w najbardziej skomplikowanych śledztwach. Przez lata pracy zdołał rozwiązać wiele poważnych spraw, dlatego mimo pokoleniowych różnic oraz często pojawiających się nieporozumień i sporów młodszy policjanci traktowali go z szacunkiem.

Sara rozejrzała się po zebranych. Oprócz Szareckiego, Janiaka, Kamińskiego, aspiranta Buba i policjanta przyslanego z działu informatycznego, którego nazwiska Sara ciągle nie mogła zapamiętać, było kilku innych funkcjonariuszy – nie umknęło jej uwadze, że byli to sami mężczyźni – reprezentujących różne komórki organizacyjne, jednak Sara podejrzewała, że nie wniosą oni nic do sprawy, a uczestniczą w spotkaniu tylko po to, by się przysłuchiwać i szukać powodów do późniejszego przyczepienia się do tego czy innego aspektu śledztwa, jeśli w kolejnych dniach nie zostaną osiągnięte żadne widoczne rezultaty.

– Podsumujmy dotychczasowe ustalenia – rozpoczęła Sara bez zbędnych powitań. – Nie będę wchodziła w szczegóły, bo są wszystkim znane. Od razu przejdę do konkluzji. Nie znaleźliśmy śladów biologicznych sprawcy, nie mamy wiarygodnych świadków, którzy wniesliby coś pozytywnego, otrzymujemy wiele fałszywych i sprzecznych ze sobą zeznań zgłaszających się osób, które tylko pogłębiają chaos. Przeglądaliśmy dostępne zapisy monitoringu z okolic miejsc zbrodni, ale nic to nie dało. Przesłuchujemy bliskich i znajomych ofiar, jednak poza pierwszymi dwoma morderstwami potwierdziliśmy brak osobistych powiązań między zabitymi z poszczególnych dni. Zabezpieczono komputery i telefony, mam nadzieję, że kolega z zespołu informatycznego będzie mógł nam już coś powiedzieć, ale o tym później. Mamy dotychczas dziewięć ofiar. Są dwa elementy, które łączą wszystkie zabójstwa. Pierwszy to broń pozostawiana na miejscu morderstwa. Jak wicie, jest to unikalny model pistoletów skradzionych z naszego magazynu, nie mamy więc wątpliwości, że jest on rodzajem podpisu zostawianego przez sprawcę. Drugi element to przeszłość ofiar. Każda z zabitych osób figuruje w naszych rejestrach jako ktoś, wobec kogo zgłaszano podejrzenie popełnienia

przestępstwa. Zwykle dotyczyło ono znęcania się nad członkami rodziny, w przypadku wczorajszych denatów z osiedla chodziło o przemoc wobec młodych ludzi z sąsiedztwa. Tak czy inaczej, jest to oczywisty trop spajający wszystkie zabójstwa. Ofiarami są osoby, wobec których zgłaszano podejrzenia, ale co do których nie ustalono nic konkretnego, co by je obciążało. W zasadzie w żadnym przypadku nie podjęto realnego śledztwa. Sprawca, jeśli w jakiś sposób przekonał się o tym, że osoby te powinny być zostać ukarane, może się uważać za ramię sprawiedliwości wymierzające zasłużoną karę, która nie spotkała tych ludzi ze strony państwa. Tak przynajmniej bym to widziała, jeśli miałabym próbować wejść w umysł tego psychopatycznego osobnika.

– Ciągłe nie rozumiem – przerwał jej podkomisarz Janiak – dlaczego wykluczamy wariant, w którym sprawców jest kilku. Współdziałają ze sobą, na przykład w dni parzyste zabija jeden, a drugi zapewnia sobie alibi, a w nieparzyste zamieniają się i robią na odwrót. A może jest ich jeszcze więcej. Rozmawiałem na przykład z nauczycielem z Ursynowa, który złożył doniesienie na to zabite małżeństwo. Nie miał żadnego alibi na wtorkowy wieczór. Przeciwnie, żona twierdziła, że wychodził wtedy z domu. On twierdzi oczywiście, że tylko na spacer, bo pokłócił się z małżonką. Ale przecież mógł wtedy zabić tych ludzi. Ma alibi na poniedziałek i sobotę, ale co, jeśli współdziała z innymi osobami? Ja bym go zamknął na czterdzieści osiem i przycisnął. Nie zaszkodziłoby na pewno, a podstawy moim zdaniem są mocne.

– Rozumiem twoje argumenty – odparła Sara – ale moim zdaniem zabija tylko jedna osoba. Wskazuje na to sposób działania.

– Rzeczywiście – przerwał jej prokurator – *modus operandi* jest w każdym przypadku zdumiewająco podobny.

Sara zawahała się na moment, bo Szarecki wybił ją z rytmu, a dodatkowo nie mogła się oprzeć wrażeniu, że odezwał się tylko po to, żeby pochwalić się znajomością łacińskiego sformułowania.

– Tak więc sposób działania jest taki sam – kontynuowała po chwili – i nie chodzi tylko o metodę zabójstwa, dobór miejsca i czasu, ale przede wszystkim o piekielną precyzję i opanowanie. Każda ofiara została zabita perfekcyjnym strzałem w głowę. Kolejne kule wystrzelowane są w martwe już ciała w sposób bardziej chaotyczny, ale pierwszy strzał, który jest zawsze kluczowy, to w każdym przypadku majstersztyk. Świadczy o sporym opanowaniu i przede wszystkim wybitnych umiejętnościach strzeleckich. Wyobraźcie sobie chociażby wczorajsze zabójstwo. Pierwszą ofiarę łatwo trafić, bo jest zdezorientowana. Ale druga może już zareagować, a po ułożeniu ciał wczorajszych ofiar łatwo mogliśmy dostrzec, że trzeci denat zdążył się już rzucić do ucieczki. Mimo to został trafiony w skroń – bezbłędnie i skutecznie. Zmierzam do tego, że jest skrajnie nieprawdopodobne, aby zabójstwa były dziełem współdziałających ze sobą osób, z których każda posiada tak szczególne umiejętności. Nawet gdyby było kilku sprawców i każdy byłby wyborowym strzelcem, dostrzegliśmy przynajmniej drobne różnice pomiędzy poszczególnymi zbrodniami. Tymczasem moim zdaniem nawet gdyby sprawca nie pozostawiał na miejscu broni, i tak wiedzielibyśmy, że to on. Jego podpisem jest to, jak strzela, jak wykonuje całą operację. To jest jeden mężczyzna, jestem o tym przekonana.

– Mężczyzna albo kobieta – wtrącił się znowu prokurator Szarecki, licząc zapewne na to, że tym razem zabłyśnie myślą, która jeszcze nie została wypowiedziana.

– Tak, teoretycznie jest to możliwe – odparła Sara. – Nie mamy twardych dowodów wskazujących na płeć sprawcy. W zasadzie nie mamy twardych dowodów na nic. Ale na moje oko ścigamy mężczyznę. Opanowanego, być może wykształconego, być może w średnim wieku, bo takie opanowanie i umiejętności strzeleckie wymagają dojrzałości i lat treningu, a jednocześnie sprawności

fizycznej. Rzecz jasna nie jest wykluczone, że zbrodnie popełnia jakiś wyjątkowo uzdolniony trzydziestolatek. Sama jednak skłaniam się w kierunku mężczyzn nieco starszych. Jak wcześniej wspomniałam, prawdopodobne jest osobiste podłoże zabójstw. Nie chodzi o bezpośrednią znajomość z ofiarami, ale raczej o jakieś traumatyczne doświadczenia z okresu dzieciństwa albo młodości. Zwykle takim mścicielem jest ktoś, kto sam wcześniej doznał krzywd albo upokorzeń. To chyba tyle, jeśli chodzi o podsumowanie. Wiem, że komisarz Kamiński chciał się wypowiedzieć? – zakończyła Sara.

– Tak, dziękuję – odparł Kamiński. – Zgadza się niemal ze wszystkimi pani wnioskami. Zastanawia mnie tylko jedno. Cały czas dość schematycznie zakładamy, że ścigamy typowego szaleńca, psychopatę pasującego do znanego nam wzorca. Tymczasem w tej sprawie jest kilka nietypowych elementów. Seryjnych morderców rzeczywiście często cechuje dokładność, ich zbrodnie bywają perfekcyjnie zaplanowane, ale zwykle mają one również, jakkolwiek dziwnie to zabrzmie, pewien aspekt artystyczny. Chodzi mi o to, że oni sami traktują swoje zbrodnie jako swego rodzaju dzieła sztuki. Poprzez dokonywane zabójstwa realizują cel związany z zaspokojeniem jakichś głębokich potrzeb, emocji i popędów. Mordercy odczuwają seksualną albo podobną do seksualnej przyjemność z interakcji z ofiarą, z obserwowania, jak zabijana osoba umiera. Seryjny zabójca lubi nawiązywać relację ze swoimi wybranicami. W naszych przypadkach nie ma nic z tej charakterystyki. Zabójstwa są wprawdzie dokładne i najwyraźniej dobrze zaplanowane, ale wszystko odbywa się szybko. Zabójca zapewne nawet nie dotyka ofiar ani przed ich uśmierceniem, ani po nim. Podejrzewam, że morderca nie nawiązuje nawet rozmowy z ofiarami, bo gdyby tak było, rozmowa taka, jeśli miałaby przynieść sprawcy jakąś satysfakcję, zapewne nie przebiegałaby w sposób przyjemny, zabójca rozkoszowałby się strachem swojego rozmówcy, a ten, przestraszony, prawdopodobnie zacząłby uciekać albo jakoś się bronić. Tymczasem ślady i całokształt sytuacji na miejscach zbrodni sugerują raczej, że każda z ofiar była całkowicie zaskoczona, jeśli ktoś próbował reagować, to jedynie widząc śmierć swojego towarzysza, mam tu na myśli żonę z wtorkowego małżeństwa i tego korpulentnego młodzieńca z wczorajszego potrójnego zabójstwa. Do tego można dodać jeszcze inny element. Seryjni zabójcy mają tendencję do wchodzenia w pewien dialog albo wręcz w rozgrywkę z policją. Zostawiają sygnały, wskazówki, próbują nawiązać kontakt, w pewien dziwny sposób dążą do tego, aby ich złapano, a przynajmniej do tego, by zdobyć rozgłos, by ich doceniono i zauważono. U nas nic takiego nie występuje. Jedyne, co mamy, to broń pozostawiana przy ofierze. Ale ta broń wcale nie musi być traktowana przez naszego delikwenta jako jego podpis. Może on po prostu uważać, że pozostawienie pistoletu jest dla niego najbezpieczniejszym rozwiązaniem. Dba oczywiście o to, aby na broni nie zostawił żadnych śladów, prawdopodobnie używa specjalnych rękawiczek. Pozbycie się narzędzia zbrodni nie stanowi więc dla niego zagrożenia. Przeciwnie, zagrożeniem dla sprawcy byłoby zabranie broni ze sobą. Przy niekorzystnym zbiegu okoliczności sprawca schwytywany zaraz po dokonaniu zabójstwa z narzędziem zbrodni w kieszeni nie miałby szans na obronę. Porzucając broń na miejscu, morderca już po przejściu kilku kroków i oddaleniu się od ciała ofiary przeobraża się w zwykłego przechodnia, który przypadkiem znalazł się nieopodal, chociaż niestety niczego nie słyszał ani nie widział. Niewykluczone nawet, że sprawca jest wśród osób, które dotychczas przesłuchiwaaliśmy albo rozpytywaaliśmy. Prawdopodobna jest także inna ewentualność, ale o tym za chwilę. Kończąc wątek pistoletu: w kontekście tego, co mówiłem wcześniej, wyładowanie całego magazynku w ciało ofiary... cóż, wiem, że dla niektórych zabrzmie to makabrycznie, ale ten człowiek może w ten sposób rozumować, mianowicie może uważać, że zachowuje się odpowiedzialnie. Gdyby bowiem pozostawił broń z nieopróżnionym magazynkiem albo wyjął pociski i pozostawił je obok, jakaś osoba postronna mogłaby przed przyjazdem policji ukraść broń i potem starać się nią posłużyć. Taka broń bez pocisków ze względu na swoją unikalność i brak

dość dostępności amunicji jest w zasadzie bezużyteczna nawet dla osób związanych ze środowiskiem przestępczym. Dlatego pozostawiając opróżniony pistolet, morderca niejako oddaje go policji po wykonaniu przez siebie zadaniu. Wystrzelanie całego magazynku wcale nie musi być oznaką emocji, wściekłości. Przeciwnie, może być rezultatem chłodnej kalkulacji.

Kamiński odchrząknął, po czym kontynuował:

– A teraz ewentualność, o której wspominałem. Myślę, że powinniśmy wziąć poważnie pod uwagę to, o czym zapewne niektórzy z nas już myśleli, ale baliśmy się to głośno powiedzieć. To może być ktoś z nas. Ktoś związany z policją albo z podobnymi służbami. Chodzi przecież nie tylko o rodzaj używanej broni, ale także umiejętności strzeleckie oraz dobór ofiar. Taka celność i skuteczność wymaga uprzedniego szkolenia, wielu lat ćwiczeń, co zmniejsza szansę na to, że mamy do czynienia ze zwykłym cywilnym obywatelem. Ponadto sprawca musi przecież w jakiś sposób dobierać sobie cele swojego działania. Prawdopodobnie uważa się za kogoś w rodzaju mściciela, osoby wymierzającej sprawiedliwość złym ludziom, którzy krzywdzą innych, w szczególności dzieci albo członków bliskiej rodziny, i jednocześnie nie ponoszą za to odpowiedzialności, bo działania policji są w ich przypadku nieskuteczne albo w ogóle nie są podejmowane. Jednak wiedzę o tych osobach musi przecież skądś czerpać. Ustaliliśmy, że dane wszystkich dotychczasowych ofiar znajdowały się w systemie informatycznym policji. Żaden z denatów nigdy nie został ukarany, ale na każdego z nich notowano jakieś skargi albo innego rodzaju doniesienia. Podejrzewam, że nasz system informacyjny mógł być użyty przez mordercę do wytypowania ofiar. Powstaje pytanie, ile tych ofiar jeszcze jest na jego liście. Podsumowując, musimy moim zdaniem wziąć pod uwagę ewentualność, w której poszukiwanym jest ktoś, kto pracuje w policji.

Kamiński zakończył i omiół spojrzeniem zebranych, wśród których zapanowało wyraźne poruszenie. Wszyscy rzecz jasna wiedzieli, że teorii o zabójcy wywodzącym się z wnętrza ich instytucji nie sposób było wykluczyć, ale dopóki nikt tego nie powiedział głośno i wyraźnie, odsuwano tę myśl od siebie, podobnie jak każdy z nas odsuwa myśl o nieuchronnej śmierci, czekającej nas kiedyś w nieokreślonej przyszłości. Sara zauważyła z rozbawieniem, że policjant z Biura Spraw Wewnętrznych, który dotąd wydawał się potwornie znudzony, nagle zaczął nerwowo przekładać znajdujące się przed nim dokumenty, w których – jak się domyślała – nie było nic istotnego, a zabrał je ze sobą tylko po to, by poważniej wyglądać w trakcie narady, wiadomo bowiem, że jeśli położysz przed sobą na stole grubą teczkę wypełnioną dokumentami, otworzysz ją i wyjmiesz parę kartek na wierzch, uzyskujesz od razu wygląd osoby zaangażowanej i jednocześnie obeznannej z omawianymi tematami. Uwadze Sary nie umknęło również, że Janiak dostrzegalnie drgnął, gdy Kamiński zakończył mocnym akordem swoją wypowiedź, siedzący zaś obok przedstawiciel wydziału informatycznego nagle wyprostował się na swoim krześle, a jego twarz błyskawicznie nabrała rumieńców. Jak on się nazywa, próbowała znowu przypomnieć sobie Sara, podczas gdy informatyk odchrząknął i przerwał niewygodną ciszę:

– Wygląda na to, że nadszedł czas, abym włączył się do dyskusji. Aspirant Jerzy Morawski, zajmuję się cyberprzestępczością. Od kilku dni pracujemy intensywnie razem z kolegami z naszego wydziału nad tą sprawą. Nawiązując do słów pana komisarza, czuję się w obowiązku przedstawić nasze dotychczasowe ustalenia, bo w niepokojący sposób łączą się one z wnioskami przedstawionymi przed chwilą.

Informatyk umilkł nagle, jakby onieśmielony faktem, że wszyscy intensywnie się w niego wpatrywali.

– Proszę, słuchamy – zachęciła go Sara. – Jesteśmy bardzo ciekawi waszych odkryć.

– Tak... – Informatyk ocknął się szybko i można było odnieść wrażenie, że przewycięzył pierwszą tremę, gdyż dalsze kwestie wypowiadał z rosnącą pewnością siebie. – Oczywiście, zastanawiam się tylko, od czego zacząć. Może od tego, że przebadaliśmy telefony i komputery wszystkich ofiar. Na niektórych znaleźliśmy materiały, które nie świadczą o nich zbyt dobrze, ale to akurat kwestia drugorzędna. Najważniejsze i być może również najbardziej niepokojące jest to, że praktycznie każdy z denatów posiadał urządzenie, na którym znaleźliśmy ślady po złośliwym oprogramowaniu szpiegującym. I te ślady we wszystkich przypadkach są dosyć podobne. Oprogramowanie było dość zaawansowane i zaprojektowano je tak, aby po ściągnięciu potrzebnych hakerowi danych usunęło się automatycznie, jednak wszystko zostawia po sobie mniej lub bardziej widoczne ślady. Nie wchodząc w szczegóły, wygląda na to, że ofiary były uprzednio, być może w okresie rozciągniętym na wiele tygodni przed morderstwami, przedmiotem jakichś działań hakerskich. Mogło chodzić o inwigilację, podsłuch lub o zdobycie plików zapisanych na urządzeniach. Trudno to jednoznacznie stwierdzić, bo nie ustaliliśmy dotąd konkretnej charakterystyki złośliwego oprogramowania, które instalował haker, a trzeba wiedzieć, że przy obecnie stosowanych technologiach możliwe jest praktycznie wszystko. Jeśli ktoś włamie się na przykład do czyjegós smartfona, może za pomocą wbudowanej tam kamery i mikrofonu podsłuchiwać i podglądać swoją ofiarę, która pozostaje zupełnie nieświadoma takiej inwigilacji. Uprowadzając ewentualne pytania, od razu zaznaczę, że według naszych ustaleń badane urządzenia miały bardzo różne pochodzenie, i możemy wykluczyć hipotezę, że ktoś, kto na przykład byłby ich dystrybutorem, zainstalowałby je przed sprzedażem ich późniejszym ofiarom. Najprawdopodobniej do zainfekowania urządzeń doszło drogą internetową, poprzez nieostrożne zachowanie właściciela, na przykład kliknięcie w link w wiadomości elektronicznej lub SMS-ie albo poprzez bezpośrednie włamanie do urządzenia. Krótko mówiąc, istnieje kolejny element – poza obecnością w policyjnych rejestrach – który łączy wszystkie dotychczasowe ofiary. Jest nim fakt, iż osoby te były obiektem działań cyberprzestępcy. Ale wcale nie to jest niestety najgorsze.

Aspirant Morawski zrobił pauzę i podniósł głowę znad notatek, w które podczas swojej przemowy był wpatrzony, choć Sara widziała, że niczego z nich nie czytał, założyła więc, że posłużyły mu one jako pretekst do tego, by nie patrzeć słuchającym w oczy. A może był to po prostu sposób na osiągnięcie odpowiedniego poziomu skupienia, by cały wywód zmieścić w krótkich i logicznych zdaniach.

– Ustaliliśmy także niepokojące fakty dotyczące naszej policyjnej bazy. Przeanalizowaliśmy historie logowań i wyszukiwań w ostatnich miesiącach. I wygląda na to, że zlokalizowaliśmy jedno zdarzenie, polegające na dość nietypowym zachowaniu jednego z użytkowników systemu. W połowie czerwca doszło do masowego ściągnięcia kilkuset pozycji z danymi. Użytkownik przeszukiwał bazę za pomocą dość ogólnych zapytań dotyczących przemocy w rodzinie, wykorzystywania dzieci, przemocy wśród młodzieży. Takie masowe pobrania danych są teoretycznie trudne do wykonania. Nasz system powinien co najmniej zaalarmować naszych specjalistów o nietypowym zachowaniu, poza tym jednorazowe pobranie tak dużej ilości danych po prostu nie powinno było się udać. Użytkownik jednak w nieznanym dotąd sposób ominął nasze zabezpieczenia.

Informatyk znów przerwał, przełknął ślinę i z wyraźnym trudem powiedział:

– W pobranym wówczas pakiecie danych wśród setek pozycji znaleźliśmy informacje o wszystkich dotychczasowych ofiarach naszego seryjnego zabójcy. Jednocześnie, o dziwo, dość łatwo ustaliliśmy, z którego konta i komputera przeprowadzono tę operację.

Sara aż podskoczyła na krześle, a przedstawiciel Biura Spraw Wewnętrznych zacisnął pięść lewej ręki, podczas gdy prawą ręką przycisnął trzymany w niej długopis do leżącej na teczce kartki i zaczął nerwowo rysować różne figury geometryczne w przedziwnych układach, co prawdopodobnie było wyrazem złości na niekorzystny przebieg spotkania, które w założeniu miało być nudną nasiadówką, z której nic nie wyniknie, a w praktyce miało się za chwilę przerodzić w źródło dodatkowej pracy dla Biura Spraw Wewnętrznych.

– Proszę mówić dalej – ponagliła Sara, a informatyk ponownie spuścił wzrok na leżące przed nim notatki i rzekł:

– Pobrania danych dokonano z komputera podkomisarza Janiaka. Osoba, która to zrobiła, była w tym czasie zalogowana na jego koncie.

Podkomisarz Janiak zbladł. Po kilku sekundach, gdy minął początkowy szok, policjant z biura wewnętrznego wstał i z głębokim westchnieniem powiedział:

– Te informacje stawiają pana w bardzo niekorzystnym świetle, podkomisarzu. Myślę, że będziemy musieli poważnie porozmawiać. I wybaczą państwo, ale będę nalegał, aby ta rozmowa odbyła się w znacznie węższym gronie.

Janiak zdjął okulary i zakrył twarz rękami. Jego wychudzona postać w tym momencie zdawała się Sarze zamieniać w ducha, który być może za chwilę straci resztki swej masy i uleci do góry, uciekając od problemów, które najwyraźniej czekały go w najbliższym czasie. Nagle jednak Janiak nabrał sił, bo odkrył twarz i zniecacka uderzył prawą ręką w stół.

– Nie pozwolę na to! – krzyknął. – Już raz zrobiliście mi sprawę dyscyplinarną. Gównu z tego wyszło, i dobrze o tym wiecie. Ale chyba ktoś się na mnie wziął, bo widzę, że szykujecie mi kolejne szykany. Powtarzam, nie pozwolę na to! Poza tym, co wy tu sugerujecie? Że chodzę po mieście i zabijam ludzi? Chyba kompletnie was pojebało!

Janiak rzeczywiście kilka lat wcześniej miał już kłopoty z biurem wewnętrznym. Zastrzelił człowieka w obronie własnej podczas akcji przeciw zorganizowanej grupie przestępczej. Po roku dochodzenia potwierdzono, że działał zgodnie z procedurami, jednak całe postępowanie i okres zawieszenia w służbie odcisnęły się mocno na jego psychice.

– Nie wiem, kto się na mnie wziął, ale chyba widzicie, że to jest jakaś piramidalna bzdura. Poza tym, kiedy to było? W połowie czerwca? To się dobrze składa, bo w tym czasie byłem na urlopie. Wyjechałem z rodziną do Grecji. Kąpałem się w morzu i trzymałem się z daleka od mojego komputera.

– Bardzo dobre alibi – powiedział inspektor z biura wewnętrznego, który na wszelki wypadek stanął za Janiakiem, aby uniemożliwić mu ewentualną ucieczkę, gdyby ten nagle wpadł na pomysł podjęcia gwałtownych działań. – Nawet aż za dobre. Nie trzeba być informatykiem, żeby wiedzieć, że takie rzeczy można robić zdalnie. Nie musiał pan, podkomisarzu, siedzieć na komendzie. Mógł pan równie dobrze przygotować komputer w odpowiedni sposób i z drugiego końca Europy połączyć się z własnym urządzeniem i zalogować do policyjnej bazy. Mógł pan też udostępnić swoje dane osobie trzeciej z poleceniem, aby wykonała swoje zadanie podczas pana urlopu. Oznaczałoby to, że działał pan w porozumieniu z innymi osobami, ale to również z pewnością ustalimy.

– Człowieku – krzyknął podkomisarz – czy ty słyszysz samego siebie?! Nawet gdybym chciał coś takiego zrobić, nie byłbym takim debilem, żeby wykonać tę operację ze swojego konta. Nie rozumiesz, że ktoś mnie zrobił?

– Spokojnie – przerwała mu Sara – może faktycznie przeprowadzimy tę rozmowę w węższym gronie. Dziękujemy państwu za przybycie. Teraz razem z panem prokuratorem Szareckim i panem

inspektorem (tu popatrzyła na policjanta z Biura Spraw Wewnętrznych) porozmawiamy sobie z podkomisarzem i wyjaśnimy wszystko, co jest do wyjaśnienia.

ROZDZIAŁ 18

JAN, CZWARTEK RANO

Rano w pracowniczej kuchni Jan trafił na spore zgromadzenie. Jego uwagę zwróciła przede wszystkim Joanna, która jadła kanapkę przy jednym ze stolików. Na pierwszy plan wysuwali się jednak koledzy z Wydziału Kontroli na Miejscu. Jeden z nich – szczupły i wysoki wesołek o imieniu Maciek – zdawał relację z kolejnego wyjazdu, z którego dzień wcześniej powrócił.

Wydział Kontroli na Miejscu w Centrum Ulepszania Działań był obiektem westchnień i marzeń wielu pracowników. Oprócz dobrej pensji i małej ilości pracy oferował bowiem bardzo sympatyczny dodatek w postaci częstych wyjazdów. W praktyce w ciągu paru lat można było zwiedzić cały kraj i odwiedzić wszystkie największe miasta oraz parę mniejszych miejscowości w Polsce. W ogromie medialnych doniesień z całego kraju bez trudu znajdowano sprawy, wydarzenia albo wypadki, które – by użyć urzędniczego żargonu – ze względu na swą specyfikę oraz całokształt uwarunkowań wymagały zbadania i przeanalizowania na miejscu. Wysyłano w podróż kilka osób, które po powrocie wydawały zalecenia w kwestii niezbędnych kroków zmierzających do ulepszenia działań jakiegoś państwowego lub samorządowego organu.

Kontrole na miejscu, tak jak wszystkie inne aktywności podejmowane przez CUD, były obliczone na budowę pozytywnego wizerunku rządu. Same w sobie były całkowicie bezproduktywne. Po pierwsze, dublowały działania innych instytucji, takich jak na przykład Najwyższa Izba Kontroli. Ale przecież „dublowanie” jest słowem o wydźwięku pejoratywnym i jeśli zastąpimy je jakimś innym sformułowaniem, obraz sytuacji może się diametralnie zmienić. Twierdzono zatem, że kontrole przeprowadzone przez CUD są „komplementarne” w stosunku do działań innych instytucji kontrolnych. To brzmiało znacznie lepiej. Po drugie, pracownicy CUD-u zajmowali się wszelkimi możliwymi dziedzinami życia publicznego, jednocześnie nie posiadając specjalistycznej wiedzy o żadnej z tych dziedzin, wobec czego nie pozostawało im zwykle nic innego, jak przyjąć za dobrą monetę tłumaczenia i wyjaśnienia lokalnych urzędników, którzy w praktyce mogli im wciskać tak zwany kit bez większych obaw o zdemaskowanie. Pracownikom CUD-u nie zależało zresztą, żeby szczególnie gorliwie drążyć poszczególne zagadnienia, i z ulgą zadowalali się pierwszym lepszym pretekstem do uznania, że w gruncie rzeczy wszystko jest w porządku. Po trzecie wreszcie, nawet jeśli w wyniku niecodziennych i wyjątkowych okoliczności kontrolerzy znajdowali w sobie zapał i chęć do pracy, identyfikowali dokumenty i dowody, z których wyraźnie wynikało, że doszło do wydarzeń nagannych i godnych potępienia albo że procedury funkcjonujące w kontrolowanej jednostce są nieefektywne i nadmiernie rozbudowane, nawet jeżeli, aby zwieńczyć swój trud urzędniczy, napisali o tym w swoim raporcie z kontroli, to i tak ów raport trafiał później na półki we wszystkich resortach i instytucjach, do których był wysyłany zgodnie z rozdzielnikiem, i nikt, ale to absolutnie nikt tego nie czytał, bo absolutnie

nikogo to nie interesowało. W ten sposób cała ewentualna praca, jeśli rzeczywiście w drodze nadzwyczajnego wyjątku jednak została wykonana, szła na zmarnowanie i nikomu nie była do niczego potrzebna. Co więcej, jeżeli w wyniku absolutnie ekstraordinaryjnego zbiegu okoliczności ktoś jednak zainteresował się wynikiem kontroli, finalnym efektem powstałego zamieszania było zazwyczaj zatrudnienie przez jednostkę kontrolowaną zewnętrznych doradców, którzy za sowytm wynagrodzeniem przygotowywali własną analizę, a w niej wykazywali, że negatywne opinie kontrolerów są grubo przesadzone i pozbawione podstaw. Ostatecznie więc raport i tak lądował na półce, by ulec zapomnieniu, z tą różnicą, że w wyniku zlecenia sfinansowanego z publicznych środków firma doradcza lub kancelaria prawna, zwykle związana z tym czy innym dygnitarzem rządzącej partii, bo przecież do tak poważnego zadania nie bierze się nikogo z ulicy, dodatkowo zarobiła na wykonanej analizie.

Koniec końców dla dobra wszystkich stron, w tym także dla dobra państwa, wskazane było, aby wyniki kontroli były umiarkowanie pozytywne. Wyniki kontroli powinny zasadniczo wskazywać, że wszystko działa prawie idealnie. Prawie, bo zawsze coś można poprawić i dopracować, wszyscy jesteśmy ludźmi i czasem popełniamy błędy, jednakże należy położyć nacisk na to, że wszyscy się bardzo starają i nieustannie czynią wysiłki ku wspólnemu dobru.

W konsekwencji większość kontrolerów nie traktowała poważnie powierzonej im misji. Kontrole polegały zwykle na pozorowaniu pracy od dziewiątej do mniej więcej czternastej, czyli w czasie, w którym skutecznie można było wyleczyć porannego kaca. Okres wykonywania oficjalnych czynności kończył się w momencie, gdy ból głowy mijał, ustępując uczuciu głodu. Kontrolerzy wychodzili na obiad, z którego już nie wracali, a pracownicy jednostki kontrolowanej nie mieli im tego za złe i nie widzieli powodu, aby gdziekolwiek ich absencję zgłaszać, bo brak kontrolera jest zawsze lepszy niż jego obecność.

W efekcie kontrola zwykle polegała na przesiedzeniu paru godzin do obiadu, a potem panowie i panie szli w miasto. Warto zaznaczyć, że kierownictwo Centrum Ulepszania Działań poważnie traktowało każdą kontrolę na miejscu, w związku z czym zespół kontrolny składał się z co najmniej trzech osób, a w przypadku kontroli ocenianych jako najbardziej istotne, wysyłano zespół pięcioosobowy. Dzięki temu w trakcie kontroli nigdy nie było nudno i można było uformować wesołą kompanię, w ramach której po godzinach szukano wszelakich rozrywek oferowanych przez lokalną branżę gastronomiczno-rozrywkową.

Jan – tak jak wielu innych pracowników – również kilka razy uczestniczył w kontrolach na miejscu i wspominał je bardzo dobrze. Wydział Kontroli na Miejscu był wprawdzie liczny, ale czasem brakowało osób do wypełnienia całego składu, i wówczas uzupełnienie stanowili pracownicy innych wydziałów. Widząc grupkę kolegów słuchających opowieści o przygodach z trzech poprzednich dni, Jan skonstatował, że ostatni raz był na takiej kontroli ponad pół roku temu i w sumie chętnie znów by gdzieś pojechał. Tymczasem jednak, zalawszy sobie herbatę, z uśmiechem stanął pod oknem i przysłuchiwał się opowieściom z wyjazdu.

Maciek z dziecięcym rozbawieniem snuł swoją gawędę o temat trzydniowej kontroli w Poznaniu. Był tam z Tomkiem i Wojtkiem od poniedziałku do środy. Wyjazd był krótki, więc postanowili intensywnie z niego skorzystać. Maciek dotarł właśnie do momentu, gdy we wtorek późnym wieczorem wychodzili z kolejnego nocnego klubu.

– Mówiłem chłopakom, żeby już spasować, ale Wojtek się uparł i zamówił kolejną butelkę wódki, a na popitkę trzy piwa. A już wcześniej byliśmy niezłe wstawieni, więc nic dziwnego, że nie byliśmy

w stanie racjonalnie myśleć. Przed opuszczeniem lokalu nie wpadliśmy na to, żeby skorzystać z toalety. Dopiero gdy znaleźliśmy się na zewnątrz, zorientowaliśmy się, że stoimy jak te kołki na rynku w Poznaniu i strasznie chce nam się sikać. Mogliśmy po prostu wrócić do klubu, ale widocznie uznaliśmy, że byłoby to nieuprzejme i niehonorowe. Stan upojenia najwyraźniej spowodował aktywację jakiegoś prymitywnego instynktu przetrwania. Bez słowa rozdzieliliśmy się i każdy zaczął szukać ratunku na własną rękę. Ja, wiedziony jakimś głosem z tyłu głowy, wszedłem w pierwszą alejkę odchodzącą od rynku, potem znów gdzieś skręciłem i nagle znalazłem się na pustej, wąskiej uliczce. Na rynku był spory tłum, ale w tej uliczce – niby nie tak odległej – nie było absolutnie nikogo. Wskoczyłem szybko w pierwszą bramę do jakiejś kamienicy, wyciągam interes i robię swoje. Mówię wam, nie da się opisać ulgi, jaką się czuje w takiej sytuacji. Niby to żenada tak sikać po ścianach, ale wtedy byłem dumny jak paw, że sobie tak sprytnie poradziłem. I taki wesoły i pełen podziwu dla własnej przebiegłości wracam na rynek. I co tam widzę? Tomek stoi pod jedną z kamienic, a obok niego dwójka policjantów – facet i kobieta. Podchodzę do nich i pytam: co się stało? A policjantka odpowiada, że kolega właśnie wysikał się na ścianę! Wyobrażacie sobie? Stał na głównym rynku w Poznaniu, na oczach wszystkich wyjął fajkę i ostentacyjnie się odlał! No i policjant do niego, że będzie mandacik, że to jest kategorycznie naganne i w związku z powyższym dwieście złotych się należy. Żebyście wtedy Tomka widzieli! Stał biedak jak zbity pies, ze spuszczoną głową i mamrotał tylko, że jest mu tak strasznie przykro, że on już nigdy czegoś takiego nie zrobi, że przeprasza i oczywiście zapłaci mandat. I tak gadał pod nosem przez parę minut, aż tej policjantce zrobiło się głupio i powiedziała, że skoro wyraża skruchę, to mu obniży na pięćdziesiąt.

Wszyscy zebrani zaśmiewali się setnie w trakcie opowieści Maćka, tylko Joanna, jak to miała w zwyczaju, pilnowała swoich reakcji i ograniczała mimikę do lekkiego uśmiechu, a gdy całe towarzystwo ucichło, poczuła się w obowiązku przyjąć postawę nieco ironicznej mentorki moralnej.

– Oj, panowie, niby dorośli, poważni mężczyźni, a przechwalacie się historiami o sikaniu jak najgorsi menele.

– Oj tam, oj tam! – zawołał Maciek. – Kto nigdy nie sikał po pijaku w niedozwolonym miejscu, niechaj pierwszy rzuci kamieniem!

– Niektórzy nie sikali, bo się tak nie upijają – kontynuowała Joanna. – Zresztą na waszym miejscu pilnowałabym się z tym alkoholem. Faceci po nim są mocni w gębie, ale jak przychodzi co do czego, to okazuje się, że nie stają na wysokości zadania. A nigdy nie wiadomo, kiedy nadarzy się okazja, żeby na tej wysokości stanąć. – Co powiedziawszy, zagryzła górnymi zębami dolną wargę, co Jan uznał za sygnał nacechowany głębokim erotycznym przesłaniem.

– O proszę – zakrzyknął któryś z chłopaków – czyżbyś miała jakieś doświadczenia w tym zakresie?!

– Może – powiedziała Joanna i w tym momencie ostentacyjnie spojrzała na Jana. Przeszył go dreszcz, bo jej spojrzenie było tak wyzywające i odważne, że zupełnie nie pasowało do jej codziennego zachowania. Patrzyła na niego przez kilka sekund i Jan otwierał już usta, by pociągnąć temat za pomocą jakiejś celnej riposty, gdy Joanna nagle uciekła ze swoim spojrzeniem, na jej oblicze powróciły chłód i surowość, po czym oznajmiła, wbijając wzrok w pusty talerz po kanapce:

– Czas wracać do pracy, panowie, dość tych idiotycznych historii.

I zaraz już jej nie było. To właśnie cała Joanna, pomyślał Jan z rezygnacją. Skrywała głęboko w środku coś fascynującego i pociągającego, ale tkwił w niej również jakiś niezrozumiały lęk. Jan odnosił wrażenie, że Joanna ma na stałe zaciągnięty hamulec ręczny we własnej psychice. Podejrzewał jakiś zadawniony kompleks albo problem z przeszłości. A może z teraźniejszości? Nie mógł tego

wiedzieć, tak czy inaczej, wcale nie zniechęcało go to do oglądania się za Joanną. Wciąż – jakkolwiek naiwnie to brzmiało – widział w sobie osobę, która może wyzwolić Joannę z tych okowów lęku. Żeby tylko pozwoliła mu wreszcie zbliżyć się do siebie...

Jan ocknął się z zamyślenia i skonstatował, że w kuchni nie ma już nikogo, a on stoi ciągle w tym samym miejscu i trzyma w ręce pusty kubek po herbacie.

ROZDZIAŁ 19

ZBIGNIEW, CZWARTEK PO POŁUDNIU

Około godziny czternastej prokurator Zbigniew Szarecki wyszedł z siedziby komendy stołecznej i wsiadł do swojego samochodu. Był w bardzo dobrym humorze. Jeszcze dziś rano śledztwo tkwiło w martwym punkcie, a teraz w zasadzie rozwiązało się samo. Szarecki miał już spore doświadczenie i czuł, że ten cały podkomisarz Janiak nie wygląda na seryjnego mordercę. Takie chuchro, niepewny siebie, znerwicowany. Ale przecież najwięksi psychopaci i szaleni mordercy bywają właśnie niepozorni. Spokojni na co dzień obywatele mogą się przeistaczać w krwawych oprawców, a takie kłębki nerwów jak Janiak być może są w stanie zmieniać się w zimnokrwistych zabójców, gdy tylko wchodzą w fazę realizacji swojego szalonego planu. Tak czy inaczej, nie miało znaczenia, jakie Szarecki miał przeczucia. W ogóle nie było ważne, czy Janiak jest winny. Istotne było to, że istniały obciążające go dowody. Czy też raczej poszlaki, bo szczerze mówiąc, twardych dowodów nie było. Ale nie przeszkodziło to Szareckiemu wystawić areszt na czterdzieści osiem godzin dla chuderlawego podkomisarza. Posiedzi trochę i może coś jednak opowie. Bo ewidentnie coś wiąże go ze sprawą. Na to przynajmniej wskazywały dane z policyjnego wydziału informatyki.

Szarecki uruchomił silnik i ruszył w krótką podróż do siedziby prokuratury. Przez chwilę rozmyślał o samym pomysle zabijania osób, które miały na sumieniu różne przewinienia w stosunku do dzieci albo swojej rodziny. Sprawca, niezależnie od tego, czy był nim Janiak, czy ktoś inny, był w opinii Szareckiego niewątpliwym sukinsynem. Po pierwsze, samodzielne wymierzanie sprawiedliwości nie licuje z ideą państwa prawa, w którym wyłącznie osobom takim jak Szarecki przysługuje przywilej oskarżania i dążenia do wymierzenia kary. Po drugie, pozbawianie kogoś życia tylko dlatego, że raz czy drugi przyłożył zonie lub synowi albo skroił paru dzieciaków na osiedlu, wydawało się Szareckiemu nieproporcjonalne. Chyba nawet pedofile nie zasługują na taką karę. A już na pewno nie rodzice, którzy w trosce o swoje dobre imię oraz przyszłość swojego synalka, co to wymyślił sobie, że jest gejem, ośmielili się skrytykować obraną przez niego drogę życiową, a on tak naprawdę miał pewnie coś z głową i tylko szukał pretekstu, żeby waluć samobója. Że niby taki wrażliwy i delikatny. Takich nadwrażliwców wcale nie było Szareckiemu żal. Choćby dlatego uważał te zabójstwa za coś obrzydliwego. To pewnie jakiś lewacki oszołom. Brakuje tylko, żeby kolejną ofiarą był ktoś, kto krzywo spojrzął na jakiegoś Murzyna czy Araba, pomyślał Szarecki, gdy trąbiąc, przejeżdżał przez skrzyżowanie na lekkim spóźnieniu, bo światło już chyba zdążyło się zmienić na czerwone.

Dobrze, że mnie nie ma w żadnej bazie, przeszło mu przez myśl. Uśmiechnął się sam do siebie, parkując przed siedzibą swojego zakładu pracy. Wprawdzie chyba nie pasował do dotychczasowych ofiar, ale swoje też miał za uszami. Cóż, ludzka natura bywa trudna do okiełznania, zwłaszcza jeśli chodzi o zwyczajne seksualne pożądanie. Ale przecież nie krzywdził w żaden sposób swojej rodziny.

Rodzina to świętość, co do tego Zbigniew Szarecki nie miał najmniejszych wątpliwości. Miał atrakcyjną i dobrze sytuowaną żonę oraz trójkę dzieci, które były grzeczne, dobrze ułożone i uzyskiwały świetne wyniki w szkole. Ale praca to przecież inna historia. Jako czterdziestoletni prokurator miał już niezłą pozycję. Nie tak dobrą, by piastować szczególnie wysokie stanowisko, ale na tyle uznaną, że kierował grupą paru osób i mógł wychowywać, jak to nazywał, młody prokuratorski narybek. Narybek ten dobierał bardzo starannie. Nie ukrywał wcale, że w swoim wydziale stosuje dyskryminację ze względu na płeć. Jako podwładne akceptował wyłącznie zgrabne panny świeżo po aplikacji. Chętne do pracy, pełne entuzjazmu i oczekujące błyskotliwej kariery. Oczywiście niekiedy spotykał go zawód, gdy okazywało się, że ta czy inna młoda osóbką nie jest jednak w stanie ponieść pewnych wyrzeczeń na rzecz własnego rozwoju zawodowego, ale wtedy rozstawał się z taką personą za porozumieniem stron. Stawiał sprawę jasno: chcesz zrobić szybką karierę, musisz spełnić dwa warunki. Pierwszy, łagodniejszy, polegał na podpisaniu od czasu do czasu jakiegoś umorzenia, które – gdyby kierować się ściśle literą prawa – nie powinno nastąpić. Ostatnio chodziło najczęściej o narodowców, którzy przy okazji takich czy innych parad i manifestacji pobili kogoś o skrajnie odmiennych poglądach. Polskie państwo w teorii nie tolerowało przemocy, a politycy otwarcie wyrażali oburzenie, ale potem śledztwa po cichu były umarzane, bo przecież wszyscy wiedzieli, że ci narodowcy to dobrzy, patriotyczni młodzieńcy, stanowiący przyszłość naszej ojczyzny. Wpisywało się więc niską szkodliwość, niemożność ustalenia sprawców albo inne podobne formułki pozbawione konkretnej treści. Na to wyrzeczenie wobec własnego sumienia prawie wszystkie młode prokuratorzki były skłonne się zgodzić. Dla wielu zresztą nie było to nawet wyrzeczenie, bo same sympatyzowały z podobnymi organizacjami. Był jednak jeszcze drugi warunek. Szarecki grał uczciwie, niczego nie ukrywał. Po paru tygodniach pracy nowa ambitna pracownica dowiadywała się od niego, że jej dalsza kariera może wyraźnie przyspieszyć, jeśli raz w tygodniu będzie łaskawa wpuścić w swoje wnętrze twarde prokuratorskie przyrodzenie Zbigniewa Szareckiego. Prokurator był przy tym elastyczny i pozostawiał młodej adeptce prawa wybór otworu, który będzie mógł spenetrować. Akceptował zarówno przestrzenie zlokalizowane między nogami, jak również jamę ustną, którą w tym kontekście cenił sobie nawet wyżej. Niektóre pracownice odmawiały, zdarzało się nawet, że wyrażały oburzenie, ale na końcu zawsze udawało się dojść do konsensusu i rozstawano się w zgodzie. Koleżanka odchodziła do innego wydziału, obiecując jednocześnie, że nie zgłosi niestosownych propozycji Szareckiego żadnym oficjalnym organom.

Nie oznaczało to wcale, że młode kobiety zachowywały całkowite milczenie. Nieoficjalnie plotki o nieokiełznanych żądzach Szareckiego krążyły po całej warszawskiej prokuraturze i dla Szareckiego był to wręcz powód do satysfakcji. Nie bez kozery nazywają mnie „jurny Zbyszek”, mawiał często podczas weekendowych wypadów do klubów i dyskotek, które własnej żonie sprzedawał oczywiście jako towarzyskie spotkania służące budowaniu pozycji w środowisku prawniczym.

Szarecki miał się czym pochwalić, bo obecnie miał pod sobą pięć ambitnych i bardzo zdolnych prokuratorerek. Po jednej na każdy dzień. Dzisiaj był czwartek, więc gdy wchodził po schodach na drugie piętro, czuł już w spodniach narastającą erekcję. Myślami był przy filigranowej Oliwii, szczupłej, niskiej dziewczynie o małych jędrnych piersiach, krótkich czarnych włosach i seksownym spojrzeniu. Podniecało go zwłaszcza to, że ta wygadana i pewna siebie młoda kobietka oddawała mu się niechętnie, z poczuciem lęku, a może nawet odrazy. Szarecki był świadomy, że świadczy to prawdopodobnie o jakimś rodzaju zбочenia, ale taki opór ekscytował go jeszcze bardziej niż całkiem entuzjastyczne zaangażowanie Andżeliki, której wyznaczony dzień przypadał w poniedziałki.

ROZDZIAŁ 20

JAN, CZWARTEK PO PRACY

Po pełnym śmiechu poranku dalszy ciąg dnia okazał się dla Jana nudny i rozczarowujący. Poranne spotkanie najwyraźniej wyczerpało limit wesołości na cały dzień. Nie licząc tradycyjnego wyjścia z Konradem na obiad i do sklepu, Jan przesiedział cały dzień przed komputerem. Tępo patrzył przez okno albo sprawdzał informacje w internecie. Jedna z nich nieco go zaniepokoiła, ale weryfikację swoich domysłów postanowił odłożyć na później. Poza tym nie stało się nic interesującego. Nikogo tego dnia nie odwiedził, ani też do pokoju, w którym siedzieli z Konradem, nikt tego dnia nie zajrzał.

Jana specjalnie nie dziwiła ogólna apatia, która zapanowała w biurze. Był to stan często występujący w czwartki. Czwartek, ten straszny dzień, w którym wszyscy mają już dość tygodnia pracy, a jednocześnie świadomi są, że do weekendu jeszcze sporo brakuje, bo czwartek nie jest przecież piątkiem, a więc ten czwartek właśnie – szczytowy dzień urzędniczej udręki – był przyczyną wszelkiego zła, niezadowolenia i rozmemłania.

Jan przed wyjściem z pracy pomyślał, że może odwiedzi jednak Joannę, spróbuje z nią porozmawiać i jakoś nawiązać do porannych wydarzeń, ale zdawał sobie sprawę, że efekt byłby taki jak zwykle, czyli zerowy. Joanna na pewno zamknęła się w swojej skorupie, której nikt dzisiaj nie będzie w stanie rozbić. A czwartkowy nastrój udzielił się Janowi na tyle, że poczuł nawet dziwną obojętność, stracił wolę walki o wyzwolenie Joanny z okowów jej własnych zahamowań. Jak chce sobie taka być, to niech będzie. Przynajmniej dzisiaj.

Gdy zbliżała się szesnasta, a Jan był już myślami w drodze do domu, Konrad niespodziewanie zapytał:

– Idziemy po robocie na piwo?

Była to propozycja nietypowa i intrygująca, więc Jan z przyjemnością zaakceptował ten plan. Jan i Konrad spożywali alkohol codzienne, ale czynili to zawsze w godzinach pracy. Były to zatem czynności rutynowe, zwyczajowe, pozbawione głębi i mające na celu przede wszystkim zabicie czasu. Propozycja wyjścia na piwo po pracy była ofertą zupełnie innego rodzaju. Oznaczała prawdopodobnie, że Konrad odczuwał potrzebę szczerzej i głębokiej rozmowy, w trakcie której Jan, o ile okoliczności okażą się sprzyjające, będzie mógł się zapędzić w gąszcz przemądrzałych i pseudofilozoficznych wywodów, skleconych naprędce w celu wspomoczenia Konrada w jego wątpliwościach i rozterkach, które – na co dzień mu obce – od czasu do czasu napadały go jednak z taką siłą, że nie potrafił im się samodzielnie przeciwstawić, w związku z czym poszukiwał rozmówcy, by dać ujście emocjom, wypuścić je ze swojego wnętrza na powietrze i w ten sposób rozcieńczyć, rozgonić, sprawić, by się ulotniły. A wszystko to miało się odbyć w otoczeniu pełnych kufli i knajpianego gwaru, nic zatem dziwnego, że Jan przychylnie spojrział na perspektywę takiego spotkania.

Gdy po wyjściu z pracy znaleźli najbliższy lokal, który mógł im posłużyć jako miejsce spokojnej rozmowy, zamówili po piwie i Jan, widząc smętne oblicze Konrada, zagadnął:

– No to opowiadaj. Jakież to ciężar obciążył twoje serce i umysł?

– Co tu opowiadać – odparł Konrad. – Mam doła. Tylko tyle i aż tyle. Dopada mnie to od czasu do czasu i zwykle jakoś sobie z tym radzę, ale ostatnio mocniej mnie przycisnęło. Nie wiem dlaczego. Nie chodzi wcale o coś konkretnego, co się wydarzyło. Po prostu nie mogę się uwolnić od przytłaczającego poczucia pustki. Moje życie nie ma żadnego sensu. A najgorsze jest to, że nie widzę żadnej nadziei na rozwiązanie tego problemu, bo im dłużej o tym myślę, tym bardziej skłaniam się do poglądu, że życie wszystkich ludzi jest kompletnie bezcelowe. Że nasza nędzna ludzka egzystencja jest tylko egzystencją i niczym więcej. Jest trwaniem i oczekiwaniem, aż upłynie czas. Jestem przecież jeszcze całkiem młodym człowiekiem i nie powinienem teraz rozmyślać o śmierci, ale nie mogę się od tego uwolnić. Ciągle gnębi mnie świadomość, że kiedyś umrę i wszystko się skończy. I to skończy się, zanim się na dobre zaczęło, bo lata lecą, a ja ciągle nie wiem, co mam ze sobą zrobić. Mam wrażenie, że życie przecieka mi przez palce, że nie wykorzystuję swojego czasu. A jednocześnie nie mam zielonego pojęcia, jak miałbym go wykorzystać, bo na razie spędzam upływające dni, tygodnie, miesiące i lata na zadreżnianiu się tą moją pustką i beznadzieją. To jakieś błędne koło, które kręci się coraz szybciej.

Konrad zakończył swoją wypowiedź głębokim westchnieniem, a Jan upił trochę złotego trunku i odparł:

– Jeśli oczekujesz ode mnie pocieszenia, to źle dobrałeś rozmówcę. Ktoś inny zapewne powiedziałby, że twoje rozterki świadczą o wrażliwości, głębokim humanizmie i pragnieniu dotarcia do sedna człowieczeństwa. Ale moim zdaniem po prostu się mazgaisz. Oczywiście takie mazgajenie się jest wpisane w naszą tradycję i kulturę. Ale jeśli ja miałbym coś ci doradzić, jakoś cię wesprzeć w tej wewnętrznej niedoli, to powiedziałbym, że mógłbyś postarać się po prostu o tym wszystkim nie myśleć. Niby prostacka i głupia rada, ale moim zdaniem nie ma innego skutecznego rozwiązania. Poszukiwanie sensu życia jest skazane na porażkę. Nasze życie nie ma sensu, celu ani niczego w tym rodzaju. Po prostu rodzimy się, żyjemy i umieramy. Nie ma w tym żadnej głębi ani ukrytego znaczenia. Możemy nasze życie wypełniać treścią, możemy nadawać mu bieg, ale cele i działania, jakie będziemy podejmować, będą zawsze tylko naszymi wymysłami. Nie będą nigdy pochodzić od żadnej zewnętrznej siły – czy nazwiesz ją Bogiem, naturą, czy jakkolwiek inaczej. Z bezsenssem życia jest podobnie jak z nieuleczalnym kalectwem. To przykre, ale tego nie zmienisz, więc trzeba nauczyć się z tym żyć. Jeśli na przykład na pewnym etapie życia stracisz wzrok, przestaniesz słyszeć, amputują ci nogę albo rękę – masz zawsze dwa wyjścia. Możesz spędzić resztę życia na ciągłym przeżywaniu własnego nieszczęścia i pielęgnowaniu w sobie rozpacz albo możesz nauczyć się żyć w nowych okolicznościach i czerpać z życia tyle radości, ile będziesz mógł z niego wyciągnąć. Ja uważam, że lepsza jest ta druga opcja, ale oczywiście każdy może mieć własną opinię na ten temat.

– Łatwo powiedzieć – odparł Konrad. – Nie każdy potrafi panować nad emocjami tak jak ty.

– Być może. Zresztą ja też nie zawsze jestem taki opanowany i spokojny. Ale moim zdaniem to nie jest problem cech osobowościowych, tylko zagadnienie kulturowo-obyczajowe. Gdyby się nad tym zastanowić, to z wieloma zjawiskami na świecie jakoś nauczyliśmy się żyć, mimo że bywają bardzo niekorzystne. Na przykład pogoda – wszyscy rozumiemy, że zjawiska atmosferyczne są naturalne i niezależne od nas. Z jakichś powodów z bezcelowością i brutalną skończonością naszego życia jest inaczej. Z tym nie możemy się pogodzić, dlatego wymyśliliśmy sobie Boga, sens życia i wieczną szczęśliwość po śmierci. A teraz, kiedy nasza wiedza o świecie zaczyna się poszerzać w coraz szybszym

tempie, przez co religijne koncepcje stają się coraz bardziej nieprawdopodobne i zaczynają przypominać bajkę dla małych dzieci – albo stosujemy metodę wyparcia, odrzucając to, co niewygodne, i uparcie tkwiąc przy religijnych wierzeniach, albo – tak jak ty – popadamy w rozpacz, odczuwamy lęk i przerażenie beznadzieją naszego bytu. Cały problem polega na tym, że jako ludzie myślący nadmiernie rozdmuchaliśmy własne oczekiwania wobec świata. Sens życia to mrzonka, którą sami wymyśliliśmy, a teraz martwimy się, że ona nie istnieje. Co więcej, z uporczywego poszukiwania sensu i martwienia się jego brakiem uczyniliśmy wartość, która ma niby świadczyć o naszym człowieczeństwie, która ma nas stawiać ponad wszystkimi innymi stworzeniami. A ja twierdzę, że jest inaczej – skazane na nieuchronną porażkę poszukiwanie sensu, porządku i celowości degraduje nas, powoduje, że nasze życie staje się nieszczęśliwe i w konsekwencji gorsze niż życie psa, kota czy słonia. Popatrz na zwierzęta – one po prostu żyją. Widziałeś kiedyś psa, który martwiłby się brakiem sensu? Widziałeś kota, który modliłby się do jakiegoś boga? Nasza kultura każe nam uważać, że jeśli zwierzęta tego nie robią, to są istotami o niższej wartości. Tymczasem ja uważam, że jest odwrotnie, bo zwierzęta mogą być dzięki temu znacznie szczęśliwsze niż ludzie.

– Psy i koty nie mają porównania – odpowiedział Konrad – bo wszystkie biegną sobie beztrudnie i nie zastanawiają się nad niczym. A ja widzę wokół ludzi, którzy odnajdują w swoim życiu sens, którzy mają nadzieję na wieczne szczęście, wierzą w Boga, chodzą do kościoła i wcale nie wyglądają na nieszczęśliwych. A jednocześnie sam nie potrafię w nic uwierzyć.

– W takim razie zastanów się, czym tak naprawdę się martwisz – bezsensem ludzkiej egzystencji czy tym, że nie jesteś religijny? Ale jeśli już zadasz sobie to pytanie, zrozumiesz, że na wiarę w Boga jest już u ciebie za późno. Religia jest z pewnością najpopularniejszym narzędziem, za pomocą którego ludzie radzą sobie z niezrozumiałym światem. Ale tak jak mówiłem – trwanie przy swojej wierze wymaga wypierania ze świadomości coraz większej liczby narastających wątpliwości. Jeśli ktoś taki jak ja albo ty przekroczy pewną granicę w oglądzie rzeczywistości, prawdopodobnie nigdy nie będzie już w stanie uwierzyć w religijne opowieści. Zresztą mam wrażenie, że również ludzie religijni częściej wmawiają sobie, że wierzą, niż wierzą naprawdę. Dla większości z nich religia jest rytuałem, ceremonią, tradycją, a nie realnym przeżyciem. Gdy przychodzi co do czego, boją się śmierci tak samo jak ateści i wcale nie widzą w niej przepustki do niebiańskiego raju. Ale nie robiłbym im z tego zarzutu. Wszyscy siebie jakoś oszukujemy, jedni używają do tego religii, inni – jak ja – starają się uważać siebie za pogodzonych z realiami tego świata i żyjących chwilą bieżącą. Każda z metod polega w gruncie rzeczy na tym samym. Na umożliwieniu sobie prowadzenia normalnego życia bez zaprzętania sobie głowy rozterkami na temat sensu życia i nieuchronności śmierci. Dlatego uważam, że na końcu liczy się tylko to, czy wybrałeś metodę poradzenia sobie z tymi zagadnieniami, która sprawia ci ból i cierpienie, czy metodę, która pozwoli ci cieszyć się życiem. Jeśli więc chciałeś mojej rady, oto ona – wybierz drugą z tych opcji.

– Tylko ja już dawno wybrałem, ale to nie działa. Cieszę się życiem aż nadto, chodzę na dziwki, piję z kumplami do upadłego, czasem nawet wciągamy jakiś mocny towar. Ale to wszystko pomaga na krótko. Potem budzę się w niedzielę po południu i razem z fizycznym kacem mam kaca moralnego.

– Bo nie chodzi o to, żeby zagłuszać hałas, ale żeby się z nim oswoić. Życie w bezsensownym świecie jest jak mieszkanie przy ruchliwej ulicy. Możesz puszczać sobie muzykę, ale jak płyta się skończy, znów uderzy cię huk silników. Jeśli jednak oswoisz się z tym hałasem, po pewnym czasie staniesz się na tylko ledwo dostrzegalnym szumem w tle. I dopiero wtedy przestaniesz o nim myśleć.

Konrad zamiast coś odpowiedzieć, zapatrzył się na swój kufel z piwem. Zapadła dłuższa chwila milczenia, która skłoniła Jana do przejścia do bardziej ogólnych rozważań.

– W ogóle z tym sensem życia jest więcej szkody niż pożytku. Ludzie, którzy twierdzą, że życie musi mieć jakiś sens, często dochodzą do wniosku, że ten sens jest ważniejszy od życia. Swoje imaginacje przedkładają nad to, co realne. Jeśli ograniczają się tylko do własnego życia, proszę bardzo, ich problem. Często jednak głębokie poczucie sensu wyzwala w nich misję uszczęśliwiania innych. Tworzą teorie, ideologie, religie i dążą do wprowadzenia swoich zasad jako powszechnie obowiązujących. Poszukują czegoś, co nazwałbym komfortem aksjologiczno-estetycznym. Takim ludziom nie wystarcza, że żyją wedle własnych przekonań. By czuć się dobrze, muszą również wokół siebie widzieć piękny świat podporządkowany ich ideom. Gdy widzą inność, różnorodność, popadają w irytację i bardzo się złością. W konsekwencji wywołują konflikty, podziały i wojny. A wszystko tylko po to, by to ich chorągiew powiewała na najwyższym maszcie. To ciekawe, że nasz świat wciąż jest tak zakotwiczony wokół symboli i kategorii ogólnych. Zwykle wiążą się one z uwzniośleniem ludzkiej duszy – skądinąd kolejnego abstrakcyjnego wymysłu – i jednoczesnym potępieniem prymitywizmu cielesnych popędów. Problem w tym, że w praktyce prowadzą do uruchomienia innych pierwotnych instynktów, takich jak pycha, agresja i przemoc. Symbole i idee, w założeniu szczytne i piękne, ostatecznie okazują się cynicznym usprawiedliwieniem dla przemocy silniejszych wobec słabszych. Wiem, że moje zdanie nikogo nie interesuje, ale gdyby jednak ktoś mnie o to zapytał, powiedziałbym, że naszą kulturę, prawo i obyczaje powinniśmy ukierunkować na zapobieganie krzywdom wyrządzanym ludziom przez innych ludzi, zamiast koncentrować się na rzekomo ciężących na nas powinnościach wobec wymaganych bytów i wartości, takich jak Bóg, naród albo tradycja.

Janowi zaschło w gardle, dlatego przerwał na moment, wziął duży łyk piwa, po czym kontynuował:

– Tak naprawdę zasadniczy problem wcale nie polega na tym, że przez większość ludzi te byty i wartości cały czas są postrzegane jako realnie istniejące. Problemy wynikają z tego, że są one jednolite tylko w sferze werbalnej, a w praktyce podlegają swobodnej interpretacji. Wszyscy opisują je za pomocą tych samych słów, ale każdy rozumie je po swojemu – tak, jak jest mu wygodnie. W ten sposób wartości te dość łatwo stają się antywartościami, przeistaczają się w pretekst dla realizacji własnych interesów lub skanalizowania emocji. Dla wywyższenia się ponad innych i sprawowania władzy nad tymi, którzy są słabsi, odmienni albo po prostu pozostają bierni. Co więcej, ludzie przekonani o tym, że realizują szczytne idee i służą najwyższemu dobru, zwykle nie widzą niekonsekwencji swoich poczynań. Potrafią na przykład w imię miłosiernego Boga żarliwie pogardzać innymi ludźmi, a ku chwale szlachetnego narodu, który reprezentują, są gotowi tłamsić i gnębić przedstawicieli innych narodów. Gdy wyluszczysz im wewnętrzną sprzeczność ich rozumowania, w ogóle nie przyjmą tego do wiadomości. Co więcej, nie jest to wcale coś, co powinno nas dziwić. Często lubimy postrzegać nasz gatunek jako zbiór istot myślących i racjonalnych. Ale realia są inne. Ludzie nie są koherentni w swoich poglądach. W teorii mówimy jedno, w praktyce robimy drugie, i w ogóle nie dostrzegamy w tym żadnej sprzeczności. To swego rodzaju mechanizm obronny, i dotyczy on również takich ateistów jak ja.

Jan dopił piwo do końca, robiąc pauzę, która miała chyba zwiastować nadchodzącą puentę.

– Nie wiem – kontynuował – czy warto się zastanawiać nad moralną oceną tego mechanizmu, skoro jest on elementem naszej natury. Wiem natomiast, że ten mechanizm może rozwiązać twój problem z pustką i brakiem sensu. Wracamy do tego, co mówiłem na początku. Brak sensu jest czymś nieuniknionym, a to, co nieuniknione, nie może być dobre ani złe. To się po prostu wydarza. Nie jest to więc powód do zmartwień ani radości. Najlepiej chyba wzruszyć na to ramionami i żyć dalej, nie

patrząc na to, czy jest to mądre, logiczne i przemyślane. Bo myślenie o logicznych następstwach braku sensu doprowadzi cię w najlepszym wypadku do depresji, a w najgorszym do samobójstwa. Dlatego zamiast dążyć do osiągnięcia wewnętrznie spójnego światopoglądu połączonego z adekwatną teorią aksjologiczną warto raczej porzucić logikę i po prostu żyć.

Konrad uśmiechnął się smutno. Jego kufel był już od kilku minut pusty.

– Tak się zagmatwałeś w tym rozumowaniu, że chyba straciłem już wątek. Twierdzisz, że nigdy nie postępujemy logicznie i robimy to, co dla nas wygodne. Ale za jednym razem mówisz, że ma to złe konsekwencje, bo prowadzi do powstawania ideologii i religii, które stają się źródłem albo pretekstem do krzywdzenia innych ludzi i pogardzania nimi, a zaraz potem namawiasz mnie do tego samego, czyli porzucenia racjonalności i zapomnienia o logicznych konsekwencjach bezsensu ludzkiego życia.

– Mogę odpowiedzieć ci tylko w taki przewrotny sposób, że skoro zalecam porzucenie logiki, to nie wymagaj ode mnie, by moje rozumowanie nadal było ściśle i przejrzyste. Koniec końców chodzi o to, żebyś przestał się zadrećcać własnymi myślami. W jaki sposób to zrobisz i w oparciu o jakie przesłanki – to nie ma żadnego znaczenia. Te przesłanki wcale nie muszą logicznie wynikać z jakiegoś ścisłego rozumowania. Ostatecznie liczy się to, czy osiągniesz skutek.

Konrad nie wyglądał na przekonanego, ale niewątpliwie poprawił mu się humor.

– Dobrze, doktorze – powiedział, odsuwając krzesło do tyłu, co było jasnym sygnałem, że za chwilę ma zamiar wstać od stolika. – Nie wiem jeszcze, czy mi pomogłeś, ale chyba nie zaszkodziłeś. A wiadomo, że najważniejsze jest, by nie szkodzić. Pozwól zatem, że zanim zamówimy następną kolejkę, udam się do toalety, a gdy wrócę, będziemy już mówić tylko o sprawach błahych i przyjemnych.

ROZDZIAŁ 21

MARYSIA, CZWARTEK WIECZOREM

Z pozoru wszystko było jak zwykle. Zbliżała się godzina dwudziesta pierwsza, za oknem było ciemno, siostra spała w łóżku obok, a zza ściany dobiegały stłumione odgłosy z włączonego telewizora. Ojca nie było w domu.

Ale tak naprawdę było zupełnie inaczej niż zwykle. Dotychczas o tej porze można było powiedzieć, że ojca jeszcze nie ma w domu. Teraz nie było go w ogóle i miał już nigdy nie wrócić. A przynajmniej miał nie wrócić taki, jakim Marysia знаła go do tej pory.

Było zatem tak samo, ale zupełnie inaczej. Marysia leżała z otwartymi oczami i zastanawiała się nad sobą. Zastanawiała się nad tym, czy aby ona, Marysia, nie jest przypadkiem złym człowiekiem.

Mama mówiła kiedyś, że tylko źli ludzie cieszą się z cudzego nieszczęścia. Ale czy Marysia się cieszyła? Nie wiedziała, czy to jest radość, czy coś innego. Odczuwała dziwną lekkość i swobodę. Nie pamiętała, by kiedykolwiek wcześniej czuła się tak dobrze. A wszystko dlatego, że przestał ją boleć brzuch.

Towarzystwo jej to od zawsze, a przynajmniej odkąd pamiętała. To był taki dziwny ucisk pod żebrami. W zasadzie nie nazywała tego bólem, być może dlatego, że przywykła do tego i po pewnym czasie uznała, że to coś normalnego i nieodzownego. Że ludzie tak po prostu mają. Ale dopiero teraz, gdy to uczucie nagle ustąpiło, uświadomiła sobie, jak dobrze można się czuć i jak źle czuła się do tej pory.

Tyle że ta swoboda i lekkość ogarnęły ją właśnie dzisiaj, i to dokładnie po tym, jak mama powiedziała jej, co się stało poprzedniego dnia z tatą. A przecież tylko źli ludzie cieszą się z cudzego nieszczęścia. Marysia pomyślała, że nawet jeśli jest zła, to trudno. Zresztą nie była chyba aż tak bardzo zła, bo na początku się zmartwiła. Było jej żal zapłakanej mamy. Ale potem minęło trochę czasu, razem z Mają zjadły obiad, wyszły na plac zabaw, a gdy wróciły, patrzyła na mamę już raczej ze zdziwieniem i z niezrozumieniem niż żalem. Teraz, leżąc w dziecięcym łóżku, nie mogła zasnąć, bo dopiero w tym momencie przyszło jej do głowy, że może ta lekkość i swoboda są złe, że mamie może być przykro, że ona tak szybko zaakceptowała nową sytuację, a nawet się z niej ucieszyła.

Gdy Marysia chodziła do przedszkola, co roku uczestniczyła w przedstawieniach na dzień mamy i taty. Zawsze się dziwiła, że istnieje coś takiego jak dzień taty. Niepokoiła ją wtedy duża liczba ojców odbierających dzieci po zajęciach i przychodzących na przedstawienia, mimo że nie widziała wtedy, by któryś tata uderzył swoje dziecko. Doszła do wniosku, że pewnie dorośli mają takie dziwne zasady, że ojcowie mogą bić dzieci albo mamę tylko w domu, ale nie powinni tego robić w przedszkolu ani na ulicy. Pomyślała, że bicie to trochę jak robienie siku, jest to coś normalnego i koniecznego, ale należy to robić w przeznaczonym do tego miejscu. Dopiero w szkole kilka sytuacji, takich jak na przykład ta

z poniedziałku, gdy odwiedziła ich pani policjantka, wzbudziło w niej wątpliwości i pytania. A to, co stało się dzisiaj – informacje o tacie i to, jak na nie zareagowała – spowodowało, że była już kompletnie skołowana. Tylko źli ludzie cieszą się z cudzego nieszczęścia. Ale czy jej tata był dobry? Marysia pamiętała, że wiele razy śmiał się, gdy komuś działo się coś złego. Śmiał się z mamy, gdy płakała. Ale płakała zwykle, gdy ją bił i na nią krzyczał. A bicie i krzyczenie nie jest chyba złe, skoro jest normalne i konieczne. Trzeba tylko robić to w domu. Marysia pomyślała, że jest chyba za mała, żeby zrozumieć te dziwne zasady dobra i zła panujące u dorosłych. Poza tym ciągle czuła nad brzuchem swobodę i energię. I nagle przestała o tym wszystkim myśleć, podniosła się, stanęła na łóżku i zaczęła po nim skakać, jakby bawiła się na trampolinie. Skakała tak długo, aż zabrakło jej sił. Opadła na łóżko zdyszana i nagle się przełękła, że mogła obudzić siostrę. Wstrzymała oddech, aby wsłuchać się w odgłosy z sąsiedniego łóżka, ale na szczęście usłyszała tylko cichy miarowy oddech spokojnie śpiącej Mai. I wtedy ta cała sytuacja wydała jej się niezwykle zabawna. Zaczęła się śmiać. Leżąc na plecach, zanosila się beztroskim dziecięcym śmiechem aż do chwili, gdy nie myśląc już o niczym – zasnęła.

ROZDZIAŁ 22

JAN, CZWARTEK W NOCY

Zmiany nie są dobre ani złe. Świat zmienia się nieustannie, jest to zjawisko naturalne i nieuniknione. A to, co nieuniknione, nie jest złe ani dobre. To, co nieuniknione, po prostu się wydarza. Tak przynajmniej uważał Jan. Na przykład takie komputery albo smartfony. Kiedyś tego nie było. Cała historia ludzkości była pełna burzliwych wydarzeń, ale aż do kilku ostatnich dekad nie występowały w niej komputery ani smartfony. Tysiące lat bez komputerów i smartfonów. I nagle są, pojawiły się, zostały wymyślone, wynalezione, skonstruowane i podarowane ludziom przez ludzi. Czy pojawienie się komputerów i smartfonów było dobre czy złe? Nasze życie dzięki nim jest o wiele łatwiejsze, więc komputery i smartfony są wspaniałym osiągnięciem. Są dobre. Z drugiej strony, wcześniej nie było takiej możliwości, aby włamać się do czyjegoś urządzenia – mobilnego lub stacjonarnego – i wykraść wrażliwe dane lub podsłuchiwać i nagrywać prywatne rozmowy. Komputery i smartfony są więc zagrożeniem dla naszego bezpieczeństwa, umożliwiają permanentną inwigilację ludności. W takim razie są złe. Jan uważał, że tego typu rozmowania są wyjątkowo infantylne. Ludzie są niby dorośli, dojrzały, wykształceni i mądrzy, a tak naprawdę do końca zachowują się jak dzieci. Chcą wszystkie zjawiska na świecie podzielić na dwie bajkowe kategorie – na dobre smerfy i złego Gargamela. Tymczasem komputery i smartfony nie są złe ani dobre. One po prostu są. Pojawiły się w naszym życiu i toczenie na ich temat tego typu dyskusji jest potwornie jałowe. W praktyce ważne jest co innego. Każdy człowiek musi podjąć decyzję, czy i w jakim zakresie będzie ich używał. I ludzie podejmują takie decyzje. Nie zawsze wychodzi im to na dobre, ale to już jest problem tych ludzi, a nie komputerów i smartfonów jako takich.

Jan również podjął decyzję w zakresie używania komputerów i smartfonów. Podjął ją wiele lat temu i dzięki wytrwałej nauce zdobył szerokie doświadczenie w tej materii. Teraz pod wpływem impulsu, powróciwszy do domu około godziny dwudziestej, po kilku piwach i kebabie skonsumowanym pospiesznie w punkcie gastronomicznym zlokalizowanym przy wyjściu z metra, Jan postanowił, że włączy komputer.

Lubił czytać książki i oglądać filmy. Często jednak irytowały go przedstawiane tam postaci, które na pewnym etapie realizacji swojego planu ulegały emocjom, zamiast wprowadzać w życie swoje zamierzenia na chłodno i unikać w ten sposób prostych i tragicznych w skutkach błędów.

A teraz sam postąpił nierozsądnie. Wprawdzie raczej nie ryzykował wiele, ale jednak złamał swoje zasady. Nieważne, co o tym zdecydowało. Czy był to nadmiar alkoholu spożytego podczas spotkania z Konradem, czy przesilenie emocjonalne, które doprowadziło go do punktu, w którym z jednej strony nie był w stanie powstrzymać ciekawości, z drugiej zaś poczuł się pewny siebie, silny i niezwyknięty. Jakkolwiek nieracjonalne były powyższe uczucia, skłoniły go do tego, aby włączyć komputer.

Jak wspomnieliśmy, nie ryzykował wiele. W zasadzie nic się nie powinno wydarzyć. Tym niemniej – by powrócić pamięcią do słusznej maksymy świętej pamięci Jacka – czasem lepiej nie zrobić nic, niż zrobić coś. Ale Jan wierzył, że w tym wypadku może sobie pozwolić na trochę luzu. Tak naprawdę musiał po prostu to zrobić, żeby nie zwariować. W końcu ten tydzień był naprawdę wyjątkowy, a Jan nie był robotem, realizując swój plan, odczuwał intensywne emocje. Walczył z nimi, zagłuszał je, za wszelką cenę starał się tłumić je w sobie i całkiem dobrze mu się udawało, sypiał mocnym i spokojnym snem, przez większość czasu myślał o wielu innych sprawach, ale mimo wszystko powracały momenty, w których przypominał sobie, w co się zaangażował. I teraz właśnie postanowił, że ulegnie.

Jan złamał żelazną regułę, zgodnie z którą do swojego komputera, za pomocą którego od paru lat zgłębiał tajniki ciemnej sieci i w którym w ostatnich miesiącach wyczytniał różne nieprzyzwoite rzeczy, będzie zaglądał wyłącznie w weekendy. Włączył urządzenie w czwartkowy wieczór.

Początkowo planował sprawdzić tylko jedną rzecz, ale zaraz potem przyszedł mu do głowy jeszcze inny temat wart weryfikacji. Zaniepokoił go bowiem jeden z artykułów, który czytał w pracy podczas porannego przeglądu doniesień medialnych. Chodziło rzecz jasna o tekst dotyczący zabójstw. Coś go tknęło podczas lektury materiału na jednym z portali informacyjnych. Ale po kolei.

Najpierw po uruchomieniu systemu włamał się do zasobów jednego ze stołecznych szpitali, co okazało się banalnie proste. Dane osobowe i wrażliwe informacje medyczne nie były przedmiotem szczególnej troski osób zarządzających szpitalem. W sumie nic dziwnego, pomyślał Jan, ledwo dają radę spiąć budżet przeznaczony na działania ściśle związane z leczeniem, więc kwestia informatycznych zabezpieczeń leży zapewne na końcu listy priorytetów. Szybko odnalazł poszukiwane informacje i na początku poczuł ukłucie zawodu. Dopiero po chwili dotarło do niego, że jest lepiej, niż myślał. Okazało się, że sprawy potoczyły się znacznie korzystniej, niż pierwotnie to zaplanował. Uczucie rozczarowania ustąpiło poczuciu dumy i zadowolenia. Ostateczne rozwiązanie było zaskakujące, ale jeśli dobrze się nad nim zastanowić, wyglądało na optymalne. Jan ścisnął dłońie w pięści i uniósł je do góry w geście triumfu niczym sportowiec po wyjątkowo udanym występie. Cieszył się sukcesem przez kilka sekund, ale już za chwilę powrócił do poprzedniego stanu wysokiej koncentracji, opanował emocje i zajął się drugim zagadnieniem, które od rana chodziło mu po głowie. Uruchomił swój program szpiegujący, podłączył słuchawki i zaczął odsłuchiwać nagrania z ostatnich dni. Przewijał szybko, bo większość to były szумы, trzaski, dziwne odgłosy i niewielka liczba błahych w treści rozmów. Dopiero gdy dotarł do nagrań z czwartkowego poranka, uświadomił sobie, że dysponuje zapisem ważnego spotkania i powinien przesłuchać zarejestrowany materiał uważnie, od początku do końca.

Narada w komendzie stołecznej policji była bezcennym źródłem informacji. Jan po wysłuchaniu jej przebiegu, a trzeba powiedzieć, że nagranie było zadziwiająco dobrej jakości, poczuł mocniejsze bicie serca. Kierunek, w którym szli policjanci, wydał mu się zabawny i aż nie mógł uwierzyć, że tak łatwo dali się nabrać i bezrefleksyjnie zabrnęli w ślepą uliczkę. Ale to było w zasadzie bez znaczenia. Los niejakiego podkomisarza Janiaka był w całej sprawie drugorzędny. Kluczowe było to, że Jan zrozumiał nagle całokształt sytuacji. Zobrazował sobie, by tak rzec, ogólny stan spraw. Autentycznie się przestraszył. Był to oczywiście chwilowy impuls, ten strach wcale go nie sparaliżował, wręcz przeciwnie, pobudził do myślenia, podjęcia pewnych działań, zwłaszcza że zastanowiło go jedno z nazwisk, które usłyszał na nagraniu. Opanował się, wyłączył komputer i zatopił się we własnych myślach. Tak na szybko nie zdołał nic specjalnego wykombinować, ale wiedział, że na pewno da radę

znaleźć w tym wszystkim porządek. Jedno było pewne – dziś wieczorem nie wyjdzie na spacer. Było zdecydowanie zbyt późno. Gdy spojrzął na zegarek, okazało się, że zbliża się pierwsza w nocy. Internetowe poszukiwania zajęły mu dużo czasu. Ale może i dobrze. Ta pochopna i z pozoru nieracjonalna decyzja o włączeniu komputera okazała się w ostatecznym rozrachunku słuszna.

ROZDZIAŁ 23

JAN, PIĄTEK RANO

Wychodząc do pracy, Jan natknął się przed blokiem na dozorczynię zmiatającą liście z chodnika, betonowych schodów i podjazdu dla niepełnosprawnych.

– Dzień dobry – powiedział.

– A dzień dobry, dzień dobry, panie Janku! A słyszał pan, co się stało? – Dozorczyini, pani po pięćdziesiątce prezentująca charakterystyczną dla gospodarzy domów otwartość i skłonność do rozmowy, przerwała czynności służbowe i oparła się na swoim narzędziu pracy.

Jan także się zatrzymał i zapytał:

– Nie, a o co chodzi?

– No, ten pan Józek z drugiego piętra. Nic pan nie słyszał? Miał wylew, panie. Udaru dostał normalnie. W środę z samego rana karetka go zabrała.

Jan uznał za stosowne wyrazić zatroskanie.

– To niedobrze. Przykra sprawa. Wiadomo coś więcej?

– Cudem go odratowali – odparła dozorczyini. – Podobno lekarze mówili, że normalnego człowieka taki wylew by zabił na miejscu, ale on chyba geny ma dobre albo ten alkohol go tak zakonserwował. Widać coś w tym jest, że złęgo diabli nie biorą. Ale na niewiele mu się zdało odratowanie, bo ponoć po wylewie zamienił się w warzywo. Za tydzień albo dwa wypuszczą go do domu, ale będzie musiał na wózku jeździć. I będzie potrzebował kogoś do pchania tego wózka. Chodzić nie może, gadać przestał, ręce niesprawne, nic, panie Janku, roślinina!

– Strasznie to brzmi. Pani Jadwiga jest pewnie załamana.

– Pani Jadwiga wesoła nie jest, ale na moje oko dla niej to jest wybawienie. Dla pana może strasznie to brzmi, panie Janku, bo pan z tym łachudrą sobie piwko pijał na ławce i pan pewnie nie wiesz, co było grane. A ten Józek to menda obrzydliwa, panie. Pijak to pijak, wielu pije, ale ten to był damski bokser. Pijany do domu wracał i żonę lał jak się patrzy. Nawet dzieci parę razy obite widziałam. Takie ma ładne córeczki, ale życie im zniszczył, od małego zalęknione chodzą po świecie, jak ktoś się w takich warunkach wychował, panie Janku, to potem przez całe życie przestraszony będzie i nikomu nie będzie ufał. Chociaż one jeszcze małe, więc może jakoś z tego wyjdą. Dzięki temu, co się stało, może jeszcze zdążą zapomnieć i traumy na całe życie unikną. Mówię panu, to może tak nieładnie z nieszczęścia ludzkiego się cieszyć, ale ja tego Józka to w ogóle nie żałuję. Tylko na dobre to wyjdzie, bo takie gnoje to najlepiej jako warzywa swoją rolę rodzinną odegrać mogą. Zasiłek na niego będzie teraz przysługiwał, bo niepełnosprawny, już tu dla niego podjazd odkurzam. Pani Jadwiga podobno ma dostać wózek od kuzynki po jakimś ich wspólnym dziadku. Całe szczęście, bo takie wózki to strasznie drogie

są, panie Janku. A że pan Józef chodzić ani gadać nie może, to tylko z pożytkiem będzie, bo już żony ani dziecka nie uderzy ani żadnej obrazę nie spowoduje.

– Może i ma pani rację. To po niego tu czasem policja przyjeżdżała? – Jan wziął za dobrą monetę, że dozorczyni uważała go za niezorientowanego w sytuacji pana Józefa.

– Tak, panie, ale co ta policja może? Zresztą on tam jakiegoś kumpla ma, więc jak go zabierali, to jeszcze tej samej nocy bardziej pijany wracał. Policja nie mogła, to los go pokarał, widać Pan Jezus mimo wszystko czuwa nad nami jeszcze, choć tyłu teraz go obraża i chce krzyże ze ścian pozdejmować.

– Może ma pani rację – powtórzył Jan i postanowił zakończyć rozmowę. – No nic, muszę lecieć, pani Anno, do pracy nie chcę się spóźnić. Miłego dnia!

– A oczywiście, panie Janku, praca najważniejsza. Do widzenia!

Piątkowy poranek był po pierwsze słoneczny, a po drugie piątkowy, więc nic dziwnego, że w wydziale Agaty wszyscy pracownicy byli od rana w dobrych humorach. Może poza Konradem, który wciąż borykał się z napadami depresyjnych myśli, choć momentami było widać, że perspektywa zbliżającego się weekendu i związanych z nim rozrywek również jemu dodaje nieco otuchy. Zresztą obraz Konrada siedzącego w milczeniu przed komputerem był dla wszystkich czymś powszednim i całkowicie normalnym. Jego wahające się nastroje i ogólna oschłość nie przeszkadzały większości koleżanek wdychać do jego wysportowanej sylwetki i tajemniczego, trochę nieobecnego spojrzenia. Jan odnosił wrażenie, że działa tutaj ten sam niezrozumiały mechanizm, który jego samego popychał w kierunku Joanny. Tyle że Jan był chyba odosobniony w swoim absurdalnym zauroczeniu, z którym postanowił ostatnio walczyć, bo wiedział, jak jest beznadziejne i irracjonalne, natomiast słabość płci pięknej do Konrada wydawała się zjawiskiem powszechnym. Koleżanki wyraźnie traciły pewność siebie, gdy tylko Konrad zwrócił na nie uwagę, włączył się do rozmowy choćby krótkim wtrętem albo w jakikolwiek sposób wyraził swoje zainteresowanie nimi. Konrad był w gruncie rzeczy małomówny i gburowaty. Czasem dostawał słowotoku, ale w pracy zdarzało się to na ogół wtedy, gdy byli z Janem sami, nie niepokojeni przez żadnych gości, i Konrad wpadał akurat w nastrój do opowiedzenia jakiejś historii. Ale zdarzało się to najwyżej raz, może dwa razy na tydzień.

Cóż, myślał Jan, niektórzy po prostu mają szczęście, tkwi w nich coś, co samo przyciąga. Wszyscy inni muszą się starać, nadskakiwać, popisywać, a i tak nic to nie daje. A taki Konrad po prostu jest. Ale Jan nie miał o to żalu. Po pierwsze nie miał pretensji o coś, co po prostu jest, co istnieje i nikt nie ma na to wpływu. Po drugie uznawał, że była to nawet korzystna okoliczność, bo gdyby nie siedział z Konradem, niektórych uroczych i urodziwych koleżanek z pewnością nigdy by nie poznał. Można powiedzieć, że krążąc po orbicie tej dziwnej Konradowej gwiazdy, nie świecącej wielkim blaskiem, ale przyciągającej jakąś niezrozumiałą grawitacyjną siłą, Jan mimowolnie przechwytywał trochę fajnych doświadczeń. Różne koleżanki, często z bardzo odległych wydziałów, odwiedzały ich czasem pod pretekstem załatwienia jakiejś sprawy i zwykle kończyło się to tak, że Konrad milczał albo burknął coś od czasu do czasu, a ciężar rozmowy przejmował na siebie Jan. W efekcie w całej instytucji powszechny był pogląd, że Konrad to tajemnicze „ciacho”, a obok niego siedzi taki Janek, całkiem wesoły i sympatyczny. Jakkolwiek lekceważący był to opis, wyróżniał on Jana przynajmniej w ten sposób, że został w ogóle zauważony, gdyż większość pracowników w ogólnym oglądzie pozostawała zupełnie anonimowa i nieinteresująca, a Jan dzięki Konradowi stał się rozpoznawalny.

Zresztą to nie było tak, że Janem nikt się nie interesował. Klaudia się nim interesowała. Ale Jan wciąż koncentrował się na Joannie, a poza tym był przekonany, choć w sumie nie miał na to dowodów, że Klaudia prawdopodobnie jest taka otwarta i chętna w stosunku do każdego, więc nie traktował poważnie sygnałów, które bardzo otwarcie i konsekwentnie wysyłała w jego kierunku.

W piątkowy poranek Jan spotkał Klaudię w pracowniczej kuchni. Jedząc śniadanie, opowiadała Agacie o jakimś zabawnym zdarzeniu z poprzedniego dnia. Zalewając sobie herbatę, Jan z zaskoczeniem skonstatował, że z zaciekawieniem przysłuchuje się opowieści koleżanki. Nie włączył się wprawdzie do rozmowy, ale zanim opuścił kuchnię, poczekał na puentę, po której razem z Agatą parsknęli śmiechem w sposób tak intensywny, że Jan omal nie oparzył się dopiero co przyrządzonym napojem. Wrócił do pokoju w dobrym humorze i zajął się jedzeniem śniadania. W odróżnieniu od wielu innych pracowników przywykł do spożywania porannego posiłku przy swoim biurku, a nie we wspólnej kuchni. Na powolnej konsumpcji upłynęło mu kolejne dwadzieścia minut. Tymczasem Konrad powiedział, że wychodzi się gdzieś przejść, więc Jan został sam. Miał się właśnie zabrać do eksploracji internetu, kiedy drzwi do pokoju otworzyły się i do środka zajrzała Joanna.

Jan zaskoczony popatrzył na nią i zaprosił gestem ręki. Joanna na początku dyskretnie sprawdziła, że Konrada nie ma, i weszła do pokoju. W ręce trzymała plik papierów, ale Jan od razu się zorientował, że nie przyszła w sprawach służbowych. Bardziej bojaźliwi pracownicy wychodząc do kogoś w celach niekoniecznie związanych z pracą, zwykle zabierali ze sobą jakieś dokumenty, żeby wyglądało na pierwszy rzut oka, że cały czas wykonują swoją pracę. Joanna stanęła teraz przed Janem, ale była niepewna, trochę zestresowana, co jasno wskazywało, że wizyta ma prywatny i osobisty charakter. Gdyby miała mu do przekazania coś związanego z pracą, już dawno by to zrobiła i wyszła. Zająłoby jej to zapewne około dziesięciu sekund. W pracy była bowiem pewna, zdecydowana i jednoznaczna. Praca, choć banalna i niepotrzebna, miała jednak swoje zasady i sprowadzała się do przejrzystych, krótkich prośb i poleceń. Zrób to, napisz tamto, pomóż mi w tym czy owym. A teraz minęło pół minuty i Joanna przestępowała z nogi na nogę, powoli klekąc zdanie.

– Widzisz, Janek, znamy się już od paru lat... pracujemy razem... i oczywiście to jest tylko praca, ale wiadomo, że jednak spędzamy ze sobą sporo czasu... i tak czy owak, ten czas zbliża jakoś ludzi do siebie...

Jan słuchał i powoli dochodził do niego niejasny sens słów Joanny. Podniósł się, bo pomyślał, że jeśli oboje będą stać, Joannie pójdzie szybciej i sprawniej. Ale co ona chciała mu powiedzieć? Wcześniej kilkakrotnie próbował mniej lub bardziej otwarcie zaprosić ją na jakąś randkę, kawę, spacer czy cokolwiek, co miałyby znamiona spotkania na stopie prywatnej. Ona zawsze jednoznacznie uciniała temat, choć potem znowu zdarzały się momenty, w których czuł, że jednak jest nim zainteresowana, tylko ma jakieś wewnętrzne obawy, opory, może nawet lęki. To były tylko momenty, bo szybko się orientowała, że utraciła nad sobą kontrolę i przywoływała się do porządku, powracając do postawy chłodnej, a nawet wyniosłej. Ale teraz Jan odniósł wrażenie... No właśnie, czy to dziwne zachowanie oznacza, że ona chce go gdzieś zaprosić, spotkać się z nim, umówić?

– Od długiego czasu odnoszę wrażenie – kontynuowała Joanna – że jesteś jedną z najbliższych i... jak by to powiedzieć... najbardziej życzliwych mi osób... i ja też... może tego na co dzień nie widać, ale też bardzo cię lubię i w ogóle uważam cię za świetnego kolegę...

Janowi serce biło coraz mocniej. Czyżby jego zauroczenie miało okazać się nie tak absurdalne, jak przypuszczał? Czy miało się wreszcie zmaterializować w coś konkretnego?

– I dlatego bardzo chciałabym cię zaprosić...

Mimo że Jan był w swego rodzaju euforii, zrozumiał nagle, że coś jest nie tak, jak powinno. Kątem oka zobaczył, jak Joanna z pliku papierów trzymanyh w lewej ręce wyjmuję czerwoną kopertę.

– Chciałabym cię zaprosić na mój ślub. I oczywiście na przyjęcie weselne.

Joanna wyciągnęła prawą rękę z kopertą w stronę Jana i uśmiechnęła się niepewnie.

– Wiem, że to bardzo dziwne, bo zwykle takie zaproszenia daje się z dużym wyprzedzeniem, a ten mój ślub jest już jutro, w sobotę... Ale mimo wszystko mam nadzieję, że będziesz mógł się na nim pojawić. Będzie mi bardzo miło.

Jan wziął od niej kopertę, ale był zbyt oszołomiony, żeby coś powiedzieć. Dopiero po kilku sekundach doszedł do siebie. Wysiłił się na coś w rodzaju uśmiechu i odparł:

– Jasne, oczywiście. Bardzo ci gratuluję... I dziękuję za zaproszenie. Świetna sprawa, z przyjemnością przyjdę.

Joanna się rozpromieniła.

– Super! Tylko mam prośbę, nie rozpowiadaj innym o tym ślubie. Wiesz, że nie chcę mieszać pracy i spraw prywatnych. Zaprosiłam tylko ciebie, Klaudię i naczelniczkę Agatę. Fajnie byłoby, gdyby to pozostało między nami.

– Dobrze – odparł Jan – jeśli tak sobie życzysz.

– Super – powtórzyła Joanna i momentalnie powróciła do służbowej pewności siebie. – To ja już wracam do pracy. Miłego dnia, Janek!

Jan nie zdążył odpowiedzieć, bo za moment jej już nie było.

Usiadł na swoim fotelu i aż do obiadu Konrad, który tymczasem wrócił do pokoju, zastanawiał się, co się stało z Jankiem, bo to nie jest normalne, że on siedzi nieruchomo i gapi się przez okno. Ale gdy wyszli na tradycyjny obiad połączony z alkoholowymi zakupami, Janowi przeszło już nie tylko zaskoczenie całą sytuacją. Poczul się wolny i swobodny, wyleczony z idiotycznego zauroczenia Joanną. Przez pozostałą część dnia pracy Konrad ponownie zaczął się zastanawiać, co się dzieje z Janem, który od stanu otępienia przeszedł płynnie w nawet jak na niego ponadnormatywną wesołość.

ROZDZIAŁ 24

SARA, PIĄTEK PO POŁUDNIU

Sara była zdezorientowana i zirytowana. Nic nie układało się w logiczną całość, a na dodatek ten kretyn Szarecki uparł się, że mordercą na pewno jest podkomisarz Janiak. Co gorsza, cała policyjna góra była wniebowzięta. Tydzień śledztwa i mamy podejrzanego. Wprawdzie nieco dziegiu do tej beczki miodu dodawał fakt, że podejrzanym jest wysoki rangą funkcjonariusz, ale to zawsze można było przekuć na swoją korzyść. Przecież wszędzie zdarzają się czarne owce, ale siła instytucji polega na tym, że taką czarną owcę się rozpoznaje i wychwytuje.

Sara była pewna, że Janiak nie jest mordercą. Nie dlatego, że go znała. Przeciwnie, nie lubiła go, a jego charakter zgorzkniałego introwertyka dobrze pasowałby do profilu sprawcy. Sara nie wykluczała nawet, że Janiak mógł w jakiś sposób współpracować z mordercą. To akurat było całkiem prawdopodobne, biorąc pod uwagę odkrycie dokonane przez informatyków, choć za tak samo prawdopodobne można było uznać to, że ktoś użył jego konta, żeby uzyskać informacje i jednocześnie zrzucić na niego podejrzenia. Ale Sara wiedziała, że to nie Janiak zabijał. Przemawiało za tym logiczne połączenie jednej tezy i jednego faktu.

Tezę, którą Sara stawiała jako pewnik, było stwierdzenie, że wszystkie morderstwa są dziełem jednego człowieka. Wyłożyła argumenty na rzecz tej tezy w czwartek na porannym spotkaniu i nie mogła pojąć, że tak oczywiste wnioski w ogóle nie zostały wzięte pod uwagę przez Szareckiego. Faktem, który dowodził niewinności Janiaka, była jego obecność na nocnej zmianie z niedzieli na poniedziałek. Sara również była wtedy w pracy i wiedziała, że Janiak nie opuścił tej nocy Śródmieścia. W zasadzie tylko raz wyszli poza budynek komendy na około pół godziny, a i wówczas byli ciągle razem. Nie było fizycznej możliwości, by Janiak wyskoczył na Białolekę w celu zabicia tam człowieka, po czym jak gdyby nigdy nic wrócił, by dalej pełnić służbę.

Oczywiście ten fakt dawał Janiakowi alibi tylko na jedno morderstwo, ale jeśli przyjąć tezę Sary, że morderca jest jeden, wykluczało go to całkowicie z grona podejrzanych. Szarecki jednak nie brał tego pod uwagę. Szarecki brał pod uwagę tylko te fakty i tezy, które pasowały mu do przyjętej linii śledztwa, będącej jak zwykle linią najmniejszego oporu. Z pełną dezynwolturą twierdził, że Janiak z pewnością jest członkiem zorganizowanej grupy przestępczej, że na pewno którejś nocy również on kogoś zabił, w czasie gdy jego wspólnik (lub wspólnicy) także uzyskiwał (lub uzyskiwali) niepodważalne alibi.

Jednocześnie – nie zauważając, że to kompletnie nielogiczne – Szarecki jako argument potwierdzający, że Janiak jest jednym z morderców, wskazywał, że noc z czwartku na piątek, czyli bezpośrednio po zatrzymaniu Janiaka, była pierwszą nocą, w trakcie której nie odnotowano kolejnego morderstwa. Rzeczywiście tak było – w piątek rano przyszło wprawdzie zgłoszenie o zabitym człowieku na Woli, ale okazało się, że denat dostał nie w głowę, ale w serce, nie kulą z pistoletu, ale

nożem, a sprawca, kompletnie pijany, leżał w pokoju obok i spokojnie spał. Poza tym nie odnotowano żadnych zdarzeń związanych z tragicznym odejściem z tego świata. Szarecki przytaczał to jako swój wielki sukces. „Zamknąłem drania i dzięki temu nie mógł dokonać kolejnej zbrodni!”. Nie widział problemu w tym, że jednocześnie zakłada udział kilku osób w całym procederze, a skoro tak, to przecież jakiś inny członek z tej wyimaginowanej grupy przestępczej mógł tego wieczoru zabić. Tak się jednak nie stało, a Szarecki twierdził, że te morderstwa są przecież ewidentnie planowane z wyprzedzeniem, ofiary są starannie wybrane, więc najprawdopodobniej w czwartkową noc to właśnie Janiak miał strzelić kolejnej osobie w głowę, ale przez to, że spędził noc w areszcie, był pozbawiony tej możliwości, a potencjalny denat został uratowany dzięki odważnej decyzji Szareckiego o czterdziestu ośmiu godzinach izolacji podejrzanego.

Sara siedziała przy swoim biurku i w ogóle nie wiedziała, co ma dalej robić. Czowała wściekłość i pogardę dla prokuratora. Wszyscy wokół wiedzieli, że Szarecki to szuja i zbrodzień, że wykorzystuje w nieprzyzwoity sposób swoje podwładne w prokuraturze i nawet chwali się tym przed kolegami, że nigdy nie zależy mu na dotarciu do prawdy, ale wybiera zawsze najłatwiejszą i najwygodniejszą linię śledztwa. A mimo to wszystkim jego przełożonym to pasowało, a skoro tak, szefowie Sary również nie widzieli problemu. Każdy normalny przełożony przejmuje się tylko tym, czy jego wyżej usytuowani w służbowej hierarchii nadzorcy są usatysfakcjonowani. Sara chyba nie była normalna, bo jako przełożona kilku funkcjonariuszy, których miała do dyspozycji, zawsze kierowała się dobrem śledztwa i dążeniem do odkrycia faktów. Ale najwyraźniej nie był to najwyższej ceniony w policji sposób funkcjonowania.

Ludzie ginęli, morderca pozostawał na wolności, a Sara siedziała przy swoim biurku i gapiła się bezmyślnie w okno. Straciła zapał do jakichkolwiek działań. Aspirant Bubel, który siedział przy biurku obok, czuł się niekomfortowo, bo z jednej strony nie chciało mu się specjalnie nic robić, więc ten stupor, w który wpadła jego szefowa, nawet mu pasował, z drugiej strony miał jakiś rodzaj szacunku do Sary, a nawet sympatii, dlatego gdy ona była zła, on także nie czuł się najlepiej. Być może był to przejaw jego empatii, być może czegoś więcej – jakiegoś nieokreślonego emocjonalnego przywiązania, jakie czuł wobec o kilka lat starszej od siebie pani komisarz. Tak czy inaczej, aspirant Bubel popijał kawę i nie udawał nawet, że coś robi, ale wcale nie było mu z tym dobrze. Wiedział, że powinien działać, że razem z Sarą powinni być teraz w ferworze śledztwa. Ale co konkretnie mieliby robić, skoro prokurator Szarecki złapał już swojego podejrzanego i zamknął go w areszcie, a strategia dotarcia do pozostałych członków wymyślonej przez niego grupy przestępczej miała polegać na wyduszeniu zeznań od podkomisarza? Dodatkowo Szarecki zlecił również analizę billingów oraz przegląd zawartości urządzeń elektronicznych Janiaka w celu ustalenia, z kim się kontaktował, ale tym zajmowali się technicy. Bubel i Sara nie mieli już właściwie nic do roboty. Aspirant uważał Janiaka za nudnego gburę, ale od tego jeszcze daleka droga do uznania go za najgroźniejszego zabójcę ostatnich lat. Kolejny łyk kawy, spojrzenie na Sarę. Ładna i pochmurna twarz pani komisarz wydała się aspirantowi tak ciekawa, że wlepił w nią wzrok o ułamek sekundy za długo. Sara ocknęła się nagle z zamyślenia, pochwyciła spojrzenie aspiranta i również nieco zmieszana uśmiechnęła się przyjaźnie, po czym wypowiedziała pierwszą myśl, jaka spontanicznie przyszła jej do głowy:

– Zrobiłbyś też dla mnie taką pyszną kawę?

ROZDZIAŁ 25

JAN, PIĄTEK WIECZOREM

Jan był zdezorientowany. Nie wiedział, co ma ze sobą zrobić. Absurdalne zauroczenie Joanną wyparowało z niego zdumiewająco szybko i uwolniło go od jałowych rozmyślań i rozterek. Ale jednocześnie zubożyło jego życie, zabierając sporą część treści, która niedawno to życie wypełniała. Miłość, fascynacja, pożądanie – jakkolwiek to nazwać, jest swego rodzaju więzieniem. Gdy odsiadka się kończy i skazany wychodzi na wolność, oprócz swobody odczuwa również niepokój, bo musi zorganizować sobie życie na nowo. Dotąd myśli Jana krążyły wokół Joanny i powracały w rozmaitych kontekstach o różnych porach dnia i nocy. Teraz nagle ich zabrakło, wydały się czymś błahym i odległym, ale w zamian na razie nie pojawiało się nic innego. Jan pomyślał, że powinien zagospodarować sobie czas prostymi przyjemnościami, ale smaczna kolacja i butelka wina tylko na krótko zapełniły opustoszałe rejony jego umysłu. Teraz siedział na kanapie i gapił się w ciemne niebo za oknem. I pomyślał, że w ramach zmiany tematu warto ponownie zastanowić się nad tym, co wynikało z nagrań, które przesłuchał poprzedniego wieczora. Policjanci i prokurator. Ich opowieści o ofiarach, śladach, różnych koncepcjach śledztwa i na koniec te śmieszne podejrzenia wobec niejakiego podkomisarza Janiaka. W piątek rano media donosiły, że zatrzymano podejrzanego. Janowi wydało się to bardzo zabawne. Ale jednocześnie było w tym wszystkim coś niepokojącego. Chodziło oczywiście o właściciela telefonu, na którym Jan zainstalował swój program szpiegujący. I to znajome nazwisko... To mogło oczywiście nic nie znaczyć, przecież osób o tym nazwisku w samej Warszawie mogło być bardzo wiele. Ale mimo wszystko Jana dręczyło jakieś niezrozumiałe przeczucie.

Było już grubo po dwudziestej pierwszej. Jan nagle wstał z kanapy, przeszedł do przedpokoju, ubrał się i wyszedł z mieszkania. Ruch i działanie są zawsze lepsze niż beczynność, pomyślał. Cały świat jest w ciągłym ruchu i dlatego jest ciekawy. Beczynność jest nudna. Jan wyszedł i postanowił, że nie wróci do domu przed północą. Ruszył w stronę Śródmieścia i wiedział, że czeka go długi spacer.

ROZDZIAŁ 26

KONRAD, PIĄTEK PÓŻNYM WIECZOREM

Klub był pełen ludzi. Zbliżała się dwudziesta druga i Konrad był już nieźle wstawiony, świat wokół niego szumiał niczym wesołe Morze Bałtyckie, hej, niechaj bawi się ludzkość, niechaj korzysta z życia, nie do końca rozpoznawał już twarze wszystkich obecnych przy stoliku, jakiś nowy koleżka opowiadał dziwne historie, kumpel Konrada przedstawił go jako wysoko postawionego prokuratora, Szacki, Szycki, Szarecki, jakoś tak, no i ten gość snuł gawędę, mówił, że prowadzi sprawę tych zabójstw, o których teraz głośno we wszystkich mediach, i że złapał winnego, choć tak naprawdę to chyba jakaś szajka zabójców jest, bo na jedną noc ten, który jest winny, ma alibi, czyli musi być jeszcze ktoś inny winny, jakiś drugi zabójca albo jest ich jeszcze więcej. Konrad słuchał i coś mu nie pasowało, gapił się na tego prokuratora, prokuratorczyka śmiesznego, wpatrywał się w niego z głupim uśmiechem pijanego i beztroskiego mężczyzny, a jednocześnie przyszło mu do głowy, że ten fircykowaty gamoń to jakiś pojeb, też zresztą już całkiem pijany. Wcześniej pieprzył coś o ruchaniu lasek w pracy, jak to je sobie dobrze ustawił, bo ma pod sobą cały wydział i – imaginujcie sobie koledzy – tak go sprytnie zorganizował, że same młode adeptki prawa przyjął pod swoje skrzydła, a one chętnie chowają się pod tymi skrzydłami i rozkładają nogi tudzież otwierają inne elementy ciała swoich, co za palant, głupia miękka parówka, tak myślał sobie o nim Konrad, bo mimo patologicznego pijaństwa, które uprawiał regularnie, nawet w momentach największego odurzenia tkwił w nim jakiś absurdalny dżin przyzwoitości, który czaił się w opróżnianych przez niego butelkach i nie opuszczał go nigdy, nawet w szczytowych momentach alkoholowych libacji. Ten prokurator, fircykowaty lalusz, miał chyba jakiś poważny kompleks, bo Konrad odniósł wrażenie, że strasznie mu zależało, żeby go Konrad polubił, chociaż Konrad przecież nie był nikim istotnym, ale miał coś takiego w sobie, że ludzie lgnęli do niego i intuicyjnie brali go za ważną osobę, nie wiadomo dlaczego, może miał coś w twarzy, w wyglądzie, w ogólnej postawie, co wywoływało takie wrażenie, a może właśnie to, że miał na wszystko wyjebane, powodowało, że brano go za jakąś niesamowitą szychę, bo zaiste tylko ludzie ważni i znaczący mogą sobie pozwolić na to, by mieć na wszystko wyjebane i nie starać się o niczyje względy. Takie miernoty jak ten Szczucki czy Szarecki musiały ciągle się do kogoś przymilać, ciągle szukały akceptacji, a Konrad nie szukał niczego i może dzięki temu wszystko znajdowało się samo. Ale wracając do sedna, ten knypek przemądrzały gadał jakieś kompletnie nielogiczne bzdury, a Konrad mimo swej pijackiej swobody ten brak logiki dostrzegał i czuł, że coś jest nie tak, ale nie wiedział, czy z tym koleżką jest coś nie w porządku, czy może chodzi o coś innego, i w końcu doszedł do wniosku, że już wie, co jest nie tak, już znalazł tę zadrę, która dręczyła go delikatnym mrowieniem pod paznokciami, pod pośladkami i w otworach nosogardzieli, zidentyfikował ten specyficzny niedobór, o jakim dawało mu znać jego ciało, już wiedział, co było nie tak, musiał po prostu coś wciągnąć, bo alkohol to było za mało na

sluchanie tego dziwnego kolezki i znoszenie calaj reszty towarzystwa. Do polnocy, czyli pory, o ktorej pojawialy sie studentki historii, trudno bedzie wytrzymac bez wejścia na wyzszy poziom wspomagania. Konrad bezwzględnie musial wciagnac jakis porzadny towar. Przerwal prokuratorowi, powiedzial cos do wszystkich, ale sam od razu zapomniat, co powiedzial, tym niemniej prawdopodobnie poinformowat zebranych o swoim zamiarze, a potem wstal i ruszyl do wyjścia. I dopiero na swiezym powietrzu, gdy poczul powiew chlodnej pazdziernikowej nocy, zorientowal sie, ze ten debil, ten pierdolony kretyn Szmaciaszczyk, nie, zaraz, jak mu tam bylo, dobra, Szarecki, wiec ten kretyn idzie za nim, przykleil sie do Konrada jak rzep do psiego ogona. Co gorsza, z zapalem i entuzjazmem opowiada Konradowi, ze on tez chce koniecznie cos wciagnac, ze bardzo dawno nie wciagal i jesli Konrad ma dobre zrodelko, to on sie z najwieksza przyjemnoscia dolaczy, oczywiscie pokryje koszty, nie ma najmniejszego problemu, jesli Konrad kupi, jesli ma dobrego dilera, to on, prokuroteek Szarecki, zafunduje im uczte dla obu, Konrad bedzie mial darmowe wciaganko, czyz nie jest to zajebista propozycja handlowo-rozrywkowa? Dla Konrada nie byla, bo zaprawde powiedziec mogl sobie i wszystkim dokoła, ze nie potrzebowal zadnego dobrodzieja, zadnego sponsora bialej kreski, bo sam sral forsa plynaca szerokim strumieniem ze strony kochajacych rodzicow, a zatem mogl sobie pozwolil na kupno najwyzszej jakosci towaru za swoje wlasne pieniadze i niczyjej pomocy nie potrzebowal. Ale z drugiej strony, pomyslal Konrad, skoro ta skaczaca wokol niego menda nie chce sie odczepic i musi sie koniecznie ululac towarem od Konradowego dilera, niechaj placi, a co tam, Konrad nie bedzie oponowal. Po kwadransie szybkiego marszu i sluchania przesiaknietych pijackim uniesieniem wynurzei Szmateckiego, no dobra, Szareckiego, Konrad juz zapamiatal, ale spodobalo mu sie przekrecanie tego nazwiska i tworzenie roznych jego wersji, a zatem po kwadransie szybkiego marszu dotarli do kamienicy, w ktorej zamieszkiwal diler. Szarecki nagle stanal i powiedzial nieco zalękniony, ze on tu poczeka na dole, bo jednak to tak nie wypada, zeby on, prokurator, bezposrednio od dilera kupowal, ze w ogole chyba od razu musialby wszystkich arestowac razem z samym soba, ale to zabawne, zaczal sie smiac z wlasnych slow, bo wydal mu sie niezwykle pocieszne, jednak Konrad szybko go uciszyl, uwiadamiajac mu, ze o takich rzeczach nie rozmawia sie glono w srodku nocy pod siedziba handlarza nielegalnym towarem. Szarecki blyskawicznie spowazniat, wyjal portfel, dumnie wręczył Konradowi plik banknotow. Konrad przeliczyl i uznal, ze wystarczy, nakazal Szareckiemu stac cicho i czekac w bramie, po czym zadzwonil domofonem i gdy drzwi do klatki schodowej stanely przed nim otworem, ruszyl dziarskim krokiem na gore.

Nabycie najwyzszej jakosci towaru od swego ulubionego dilera zajelo Konradowi kilka minut. Moze wiecej, moze kilkanaście, bo diler tez cos zaczal nawijac, Konrad nie wiedzial o czym, bo sluchal jednym uchem, a wypuszczal drugim, mial taką umiejetnosc, ze byl w stanie toczyc calkiem normalna i inteligentna konwersacje, nie uczestniczac w niej w sposob swiadomy, ale uzywajac jakiegos wbudowanego instynktu, podpowiadajacego mu kwestie, ktore nastepnie wychodzily z jego ust z pominięciem tej czesci mozgu, ktora moglaby treść rozmowy i jej sens zapisac na przyszlosc.

Konrad zszedl po schodach i myslal juz tylko o tym, jak to bedzie wspaniale, gdy wróci do klubu i wciagnie ten boski biały proszek do swoich spragnionych nozdrzy. Zapomniat nawet o prokuratorze Szareckim, ktory mial przeciez byc jego towarzyszem w tej narkotykowej podrözy.

Gdy Konrad otworzyl zewnetrzne drzwi kamienicy i znalazl sie w bramie, nagle calkowicie otrzezwial. Przyczyna gwałtownej zmiany jego stanu nie byl jednak podmuch swiezego powietrza, ale lezace na ziemi ciało prokuratora Szareckiego – cale we krwi, z widocznymi dwiema dziurami

w głowie. Koszula straciła swą biel na rzecz czerwieni. Konrada najbardziej przeraziło jednak co innego. Na brzuchu denata leżał mały pistolet. Znak rozpoznawczy grasującego po Warszawie zabójcy.

Konrad nie zastanawiał się długo nad dalszym sposobem postępowania. Gdyby wezwał policję, zachowałby się jak idiota. Przecież miał przy sobie świeżo zakupione narkotyki i znajdował się pod mieszkaniem diler. Prędzej czy później prokuratora ktoś znajdzie. Może ktoś widział ich razem po drodze, ale możliwe też, że nikt nie zwrócił uwagi. Byli w Śródmieściu, ale trasa, którą przeszli, prowadziła bocznymi ulicami, na których nie było chyba miejskiego monitoringu. Co będzie, to będzie. Konrad wziął nogi za pas i czmychnął w pustą nocną ulicę. Skręcił w kolejną przecznicę i zwolnił, żeby wyglądać na normalnego przechodnia. Wróci do klubu i będzie twierdził, że w ogóle z Szareckim nigdzie nie szedł. Może i tamten wyszedł od razu za nim, ale każdy, kto zna Konrada, potwierdzi, że Konrad mógł mu od razu kazać spierdalać. To byłoby w jego stylu. Taką przyjmie wersję i jakby co, to wszyscy mogą mu skoczyć. Koniec końców jest przecież niewinny. Wrócić do klubu, usiąść przy stoliku, wciągnąć kreskę. Wtedy na pewno wszystko się uspokoi. Chociaż na studentki historii chyba stracił ochotę. To jednak byłaby perwersja zabawiać się ze studentką godzinę po tym, jak znalazło się trupa, z którym dodatkowo, gdy jeszcze trupem nie był, spędziło się ostatnie tegoż trupa momenty. Tak, to byłoby przegięcie. Ale kreskę wciągnąć trzeba. Jest niezbędna. Jest absolutnie nieodzowna.

ROZDZIAŁ 27

JAN, SOBOTA RANO

Jan obudził się o godzinie dziewiątej i stwierdził, że bardzo dobrze się wyspał. Dawno nie czuł się tak lekko i rześko. Nie martwiła go już świadomość, że Joanna wychodzi za mąż za bliżej nieznanego Jarosława. Przeciwnie, miał wrażenie, że spadł z niego wielki ciężar, zupełnie jakby wrócił z błyskawicznej terapii odchudzającej, podczas której w ciągu jednej nocy zrzucił wielki brzuch i ważył trzydzieści kilogramów mniej. Dotarło do niego, że trwał – nie po raz pierwszy w swoim życiu – w toksycznym uzależnieniu od własnych rojeń. I postanowił, o ile człowiek może w ogóle skutecznie postanawiać cokolwiek w takich sprawach, że już nigdy nie popełni tego błędu, choć przecież popełniał go już wielokrotnie, że nie zadurzy się w jakimś absurdalnym obiekcie własnych westchnień, który w praktyce okaże się potem żalną fatamorganą. Jan wiedział, że to nie była wina Joanny. To była wyłącznie jego wina. Koniec z tym, pomyślał, wstając z łóżka i idąc do łazienki w celu pozbycia się porannego parcia na pęcherz.

Przygotowując śniadanie, zastanawiał się, jaką taktykę obrać w kontekście zbliżającego się ślubu i związanej z nim konieczności stawienia się w kościele. Gdyby chodziło o zwykły ślub kolegi z dawnych lat albo kogoś z dalszej rodziny, przyszedłby pod koniec mszy, celując czasowo w moment triumfalnego wyjścia młodej pary ze świątyni. W ten sposób ominąłby nudną ceremonię, nie zwracając jednocześnie na siebie uwagi. Wszyscy zapewne myśliby, że był od początku, tylko po prostu stał gdzieś na uboczu albo przy samym wejściu. Ale dzisiaj będzie inaczej. Być może Jan samemu sobie chciał dowiedzieć, że odczuwany obecnie stan lekkości i swobody jest rzeczywiście objawem całkowitego wyłączenia z zauroczenia Joanną. Przyjście pod koniec nabożeństwa mogłoby stanowić oznakę lęku albo ucieczki. Tymczasem Jan był gotowy stanąć twarzą w twarz z rzeczywistością i jednocześnie potwierdzić, że ta rzeczywistość jest mu już absolutnie obojętna. Dlatego przyjdzie na ślub punktualnie, a nawet przed czasem, tak, lepiej przyjąć jeszcze wcześniej, bo wtedy można będzie zająć miejsce siedzące w dobrym ustronnym miejscu na uboczu. Niezależnie od wszystkiego ślubne msze, bardziej jeszcze niż msze zwyczajne, ze względu na swą przewidywalność i rozwlekłość stawały się często źródłem nagłych napadów senności, dlatego każdy inteligentny uczestnik takiego wydarzenia starający się zachować zgodnie z zasadami współżycia społecznego wiedział, że najlepiej zapolować na miejsce z boku, w końcowych rzędach, gdzie nikt specjalnie nie patrzy, bo wszyscy kierują wzrok w stronę ołtarza i młodej pary, ale musi być to rzecz jasna miejsce siedzące, w którym przy odrobinie szczęścia i odpowiednim ułożeniu ciała pojawi się okoliczność sprzyjająca dyskretnej drzemce.

Jan nie wierzył w Boga, ale zdawał sobie sprawę, że chodzenie do kościoła, zwłaszcza przy okazji ślubów albo pogrzebów, jest elementem szerszej kultury, która nie ma związku z religią ani wiarą. Jest to po prostu obrzęd, ceremonia, którą można przeprowadzić w różny sposób, ale akurat w obecnym

okresie na terenach polskich najczęściej przeprowadza się ją w kościele. Dlatego mimo swojego ateizmu Jan nie miał oporów wobec wizyt w świątyniach, przynajmniej w zakresie ideologicznym. Miał bowiem opory innego rodzaju. Msze były dla niego koncertem nieustającej nudy i tylko czasami, kiedy okazywało się, że organista jest całkiem niezły i potrafi brawurowo wałnąć w klawisze i wykonać jakiś ambitniejszy utwór instrumentalny, Jan znajdował chwile przyjemności, gdy kościół wypełniały dźwięki muzyki. Muzyka kościelna bywa niekiedy po prostu dobrą muzyką mimo swojej kościelności. To jednak zdarzało się rzadko, bo większość kościelnych organistów nie miała talentu, a ponadto uznawała za stosowne wykonywać banalne piosenki złożone z kilku organowych akordów i śpiewu pełnego nabożnego zawołania. Koniec końców, msza stanowiła dla Jana czas, który musiał wypełnić albo wewnętrznymi przemyśleniami na jakiś zadany temat, albo – jeśli nie dawał już rady i oczy same mu się zamykały – przekimnąć w pozycji jak najmniej zauważalnej dla postronnych.

Jan uważał, że jego stosunek do mszy nie jest niczym wyjątkowym. Wszyscy wokół powtarzali, że Polska jest krajem katolickim, ale obserwując otaczających go ludzi, Jan szybko doszedł do wniosku, że jest to bujda na resorach powtarzana chyba wyłącznie w celu utrzymania dobrego samopoczucia wśród kościelnych hierarchów i konserwatywnych polityków. Zdaniem Jana większość jego rodaków od dawna przestała już wierzyć w Boga. Widać to było nie tylko w zmianie codziennych nawyków, w sposobie życia, w zmianach obyczajowych, ale także w statystykach dotyczących liczby wiernych chodzących regularnie do kościoła. Jan twierdził, że tak zwany statystyczny Polak nie wierzy w Boga, tyle że jest jeszcze zbyt słaby psychicznie, zbyt lękliwy albo zbyt nieśmiały, żeby się do tego przyznać – zarówno przed innymi, jak i przed samym sobą. Dlatego ludzie – jeśli ich ktoś zapyta – jak mantrę powtarzają, że są katolikami, nie dodając jednak tej kluczowej informacji, że są katolikami niewierzącymi.

Jan był świadomy, że jego teoria może się wydawać kontrowersyjna. Na ogół uważa się, że jest odwrotnie, czyli że wielu ludzi wierzy w Boga, ale tylko część z nich wiąże tę wiarę z określoną religią. Jan twierdził jednak, że nawet jeśli takie osoby istnieją, są w zdecydowanej mniejszości. Znacznie większą grupę stanowią ci, którzy są religijni i jednocześnie niewierzący. Nikt nie zajrzy ludziom do umysłów i nie udowodni tej tezy, jednak zdaniem Jana argumentem przemawiającym za jej słusznością był powszechny – także wśród osób mocno związanych z Kościołem – strach przed śmiercią. Ludzie religijni, podobnie jak cała reszta ludzkości, w ogóle nie chcą umierać. Odganiają śmierć rękami i nogami. A przecież gdyby wierzyli w Boga, gdyby żywili szczere przekonanie, że śmierć jest tylko przepustką do życia wiecznego i dopiero w tym wiecznym życiu osiągniemy prawdziwe szczęście, nie obawialiby się śmierci, przeciwnie, przyjęliby ją z radością i ulgą. Jan uważał, że lęk przed śmiercią i ciągłe dążenie do jej uniknięcia to wyraźna oznaka niewiary. Wiara jest czymś bardzo rzadkim, być może nawet czysta i pełna przekonania wiara może być związana tylko z jakimś schorzeniem natury psychicznej albo umysłowej, a ludzie zdrowi – i to nie tylko wierni, ale także sami duchowni – tak naprawdę w żadnego Boga nie wierzą. Nie wierzą, bo wcale nie umysł ani racjonalizm, ale najprostsze obronne odruchy organizmu przekonują ich, że po śmierci nie czeka ich nic dobrego, że po śmierci w ogóle nic ich nie czeka, bo śmierć jest końcem absolutnym i nie ma po niej żadnego życia wiecznego.

Tak, Jan uważał, że nawet księża w ogromnej większości nie wierzą w istnienie Boga. Nie sądził wcale, że jest to coś dziwnego albo godnego potępienia. Bo czy urzędnik bankowy, który sprzedaje kredyt parze młodych ludzi, wierzy w to, że uczynił coś dobrego i odmienił życie świeżo upieczonym małżonkom, którzy będą teraz mogli kupić własne mieszkanie, wyprowadzić się od rodziców, a jak już się wyprowadzą i zamieszkają sami, to będą wreszcie mogli uprawiać nieskrępowany seks, ponieważ

nikt im nie będzie chodził po domu i podsłuchiwał? Nie, taki urzędnik sprzedaje im kredyt, bo taka jest jego praca i dostanie od tego kredytu prowizję. I ma całkowitą rację, bo kredyt może równie dobrze okazać się początkiem beztróskiego życia kochającej się rodziny, jak i wstępem do nieszczęścia, kłótni, niechcianych dzieci, zdrad i na końcu pełnego złości rozwodu. Tak samo jest z Kościołem i pracującymi w nim księżmi. Oni sprzedają nadzieję tym, którzy chcą od nich tę nadzieję kupić. Nadzieja jest kredytem spłacanym przez wiernych co tydzień w niedzielnej racie, przy czym jej część odsetkowa pozostawiana jest na tacy, a część kapitałowa – kluczowa w całym przedsięwzięciu – spłacana jest poprzez emocjonalne uzależnienie i dożywność wierność. Mimo to księża nie dają żadnej gwarancji, że wykupione przez ludzi nadzieje się spełnią. Sami wcale nie muszą w to wierzyć. W ogóle wiara nie jest potrzebna do tego, żeby być dobrym księdzem. W życiu Kościoła – tak jak w działalności banku albo innego przedsiębiorstwa – ostatecznie liczy się skuteczność. Liczy się udział w rynku. Wiara nie jest do tego potrzebna, przeciwnie, niekiedy bywa przeszkodą, bo jeśli duchowny weźmie sobie nadmiernie do serca niektóre prawdy wiary oraz moralne zasady, może nie zrozumieć, że w poszczególnych przypadkach właściwe jest odstąpienie od prawd oraz zasad, jeśli wymaga tego dobro wyższego rzędu, jak na przykład dobro Kościoła.

Tak, jesteśmy narodem niewierzących katolików, którzy jeszcze boją się stanąć przed lustrem i przyznać do swojej niewiary, ale Jan nie miał wątpliwości, że jest to tylko kwestia czasu. Tak samo kwestią czasu w przypadku sobotniego poranka było spożycie przez Jana śniadania, a następnie przeprowadzenie porannej toalety. Zanim jednak do tego doszło, Jan wrócił do łóżka, bo oglądając w telewizji jakiś program informacyjny, poczuł seksualne podniecenie na widok całkiem atrakcyjnej prezenterki. Jej uśmiech i odważne spojrzenie w dziwny sposób go pobudziły, a Jan uważał, że pobudzeń erotycznych nie warto w sobie hamować, bo po co odmawiać sobie czegoś, co jest przyjemne? Dopiero po wszystkich wszedł do łazienki i wziął prysznic. W trakcie kąpieli pomyślał jeszcze, łącząc swoją ostatnią aktywność z wcześniejszymi dywagacjami na temat religii, że masturbacja jest obszarem ludzkiego życia, który dobrze obrazuje klęskę Kościoła w dążeniu do opanowania ludzkich serc i umysłów. Jest to porażka poniesiona na własne życzenie, bo teza, że samotne robienie sobie dobrze jest czymś grzesznym i nagannym, kłóci się z powszechną moralną intuicją. Wszyscy ludzie rozumieją przykazania typu „nie kradnij” albo „nie zabijaj”, nawet jeśli niekiedy te przykazania łamią. Ale zakaz masturbacji? To kompletny absurd. Oczywiście Kościół odniósł pewien sukces, zdobył trochę pola na erotycznym boisku. Kwestie seksualności są do dziś tematem tabu i przyjęło się, że nie należy o tym mówić. Nie zmienia to jednak faktu, że zdecydowana większość ludzi uprawia masturbację chętnie i regularnie. Mimo dwóch tysięcy lat istnienia instytucjonalnego Kościoła wciąż najczęściej naśladowaną postacią biblijną nie jest Jezus, tylko Onan.

Jan postanowił, że nie włączy komputera, mimo że była sobota. Nie miał teraz nic konkretnego do zrobienia ani w ciemnej sieci, ani w tej zwykłej, ogólnie dostępnej. Nie chciało mu się brać do ręki żadnej książki, więc tę opcję także odrzucił. Miał już za sobą okres fascynacji literaturą. W trakcie studiów czytał bardzo dużo, stawiając przed sobą wyzwania literackie, przez które zmarnował mnóstwo czasu na lekturę dzieł uznawanych powszechnie za wybitne, które jego zdaniem – mimo swej wybitności – były potwornie nudne. Z czasem stwierdził, że najwyraźniej nie ma talentu do czytania wielkiej literatury, nie potrafi odnaleźć w niej tego, co dostrzegają inni. Odkrył za to w sobie inny talent – do słuchania muzyki. Szczególnie upodobał sobie progresywny rock z lat siedemdziesiątych ubiegłego wieku. Dlatego teraz uznał, że czas pozostały do ślubnej ceremonii poświęcić jednemu z ulubionych nagrań. Sprawdził jeszcze w szafie, czy posiada w miarę czystą odzież stosowną do okoliczności. Garnitur oraz elegancki płaszcz tkwiły na wieszakach w nienaruszonym stanie.

Pozostawało jedynie uprasować koszulę i wybrać jeden z kilku od dawna nieużywanych krawatów. Wykonawszy niezbędne czynności, Jan ułożył się wygodnie na kanapie i pilotem włączył płytę, której tytuł sugerował, że występujący na niej muzycy, a z nimi być może również Jan jako słuchacz, znajdują się blisko krawędzi.

ROZDZIAŁ 28

KLAUDIA, SOBOTA PO POŁUDNIU

Klaudia strasznie wynudziła się w kościele. Nigdy nie rozumiała, jak można co tydzień odgrywać to samo przedstawienie. Na jakiej podstawie księża oczekują, że ludzie będą głęboko przeżywać obrzędy religijne? Ale może jak ktoś wierzył w Boga, to było mu łatwiej. Ona nie wierzyła i z jej perspektywy msza była wyłącznie pustym rytuałem. Dziś jednak nie miała wyjścia. Joanna i Jarosław postanowili wziąć ślub kościelny. Na szczęście to tylko niecała godzina, więc w sumie dało się wytrzymać.

Klaudia i Joanna poznały się jeszcze podczas studiów na Uniwersytecie Warszawskim. Joanna była stąd, mieszkała całe życie w stolicy. Klaudia przyjechała z Radomia. Lubiła to swoje brudne, smutne i zapyziałe miasto. Lubiła je, bo miała dobre wspomnienia. Jak ktoś ma za sobą fajne dzieciństwo, odczuwa sympatię do miejsca, z którego pochodzi, nawet jeśli w ogólnym odbiorze jest ono obciachowe. A Radom należał do miejsc o wysokim stopniu obciachowości. Można było być z Kutna, Łęborga, Chojnic albo Hajnówki i mimo że były to podobne dziury jak Radom, nie budziło to dużych emocji. Tymczasem Radom miał pecha. Pierwsze skojarzenie? „Polska Radomiem Europy”. I wszystko jasne. Klaudia uważała zresztą, że to powiedzenie jest błyskotliwe i trafne. W trzech słowach mieści kpinę zarówno z Radomia, jak i całego naszego kraju, a w dodatku jest to kpina całkowicie uzasadniona. Mimo to Klaudia nie wstydziła się swojego pochodzenia. Uważała, że to, skąd pochodzimy, nie ma żadnego znaczenia. To tylko taka poza – zobacz, ona jest z Radomia, z Pcmia, z jakiejś zapadłej prowincji, ale ta poza charakteryzuje ludzi słabych, mających niskie poczucie wartości, którzy czują stałą potrzebę dowartościowywania się, a najłatwiej przecież wywyżżyć siebie, poniżając innych. Dlatego na pojawiające się czasem zaczepki na temat jej rodzinnego miasta Klaudia reagowała uśmiechem, wzruszeniem ramion i pewnym siebie spojrzeniem skierowanym wprost w oczy rozmówcy, co zazwyczaj skutecznie go onieśmielało, a po dłuższej wymianie zdań okazywało się, że on sam też nie jest wcale warszawiakiem, bo przyjechał z Sępólna, Białogardu albo innej Kolbieli, i w sumie Radom to dla niego całkiem spora metropolia.

Znajomość Klaudii z Joanną była nieco dziwna. Były zupełnie różne – Klaudia żywa, wesoła, otwarta, Joanna przeciwnie, zamknięta w sobie, może nawet wyniosła. Jak to się mówi, zyskiwała dopiero po bliższym poznaniu. Miała w sobie coś tajemniczego, coś, co wielu odpychało, ale nielicznych – przeciwnie – przyciągało, kazało dokopywać się do głębin, w których spodziewano się odkryć bogaty wewnętrzny świat. I Joanna być może taki wewnętrzny świat posiadała, ale Klaudia mimo wielu lat znajomości nie zdołała do niego dotrzeć. Na studiach spotykały się często, ale rozmawiały głównie o nauce. Wszelkie próby podjęcia dyskusji o sprawach osobistych, a w szczególności rozmowy o chłopakach, Joanna szybko przecinała jakąś zdawkową odpowiedź i zmianą tematu. Mimo to Klaudia i Joanna lubiły swoje towarzystwo. Po studiach rozstały się na jakiś

czas, ale utrzymywały ze sobą kontakt. Klaudia tymczasem miała kilka przygód miłosno-erotycznych, które zwykle były burzliwe i radosne, ale kończyły się smutkiem i rozczarowaniem, co jednak nie zniechęcało jej do podejmowania kolejnych prób. Czy Joanna w tym czasie przeżyła jakieś przygody, tego Klaudia nigdy się nie dowiedziała. Trzy lata po skończeniu studiów Joanna zadzwoniła do Klaudii i powiedziała, że dostała pracę w nowo tworzącej się instytucji – Centrum Ulepszania Działań – która poszukuje pracowników, zatrudnia na dobrych warunkach, więc czy Klaudia nie byłaby zainteresowana, bo na razie wszystko dopiero się tworzy, układa, jest wiele miejsca i swobody, i nawet może, jak dobrze zagadają z kierownictwem, to usiądą w jednym pokoju. Klaudia złożyła dokumenty, przyszła na rozmowę z wesołą naczelniczką Agatą oraz raczej melancholijnym i nieobecnym dyrektorem Piotrem, która to rozmowa okazała się zwykłą formalnością, gdyż decyzja o przyjęciu Klaudii zapadła właściwie już wcześniej, ponieważ Joanna wystawiła jej dobrą rekomendację. W trakcie rekrutacji nie formułowano daleko idących oczekiwań co do kwalifikacji kandydatów, bo charakter pracy ich nie wymagał, wystarczyło mieć wyższe wykształcenie i znać podstawy jednego języka obcego. Warunki stawiane w ogłoszeniu o pracy spełniali więc prawie wszyscy zgłaszający się chętni, dzięki czemu spośród przesłuchanych osób można było swobodnie dobierać sobie tych, którzy zrobili najlepsze wrażenie, zwłaszcza jeśli dodatkowo – tak jak Klaudia – poleceni zostali przez osobę już pracującą w wydziale.

W rezultacie od kilku lat Klaudia i Joanna spędzały całe dni we wspólnym pokoju, przesiadując przy swoich biurkach i komputerach. Mimo to Klaudia nadal niewiele wiedziała o życiu prywatnym Joanny. Chociaż i tak była najlepiej poinformowana ze wszystkich. Jako jedyna znacznie wcześniej dowiedziała się, że Joanna ma narzeczonego, który ma na imię Jarosław. Oczywiście Joanna powiedziała jej to w największej tajemnicy, z zastrzeżeniem, że ma nikomu nie mówić. Joanna uważała, że jej życie prywatne musi być z jakichś powodów szczególnie chronione. Klaudia nie była w stanie tego zrozumieć, bo jej zdaniem życia prywatnego – podobnie jak pochodzenia i wielu innych rzeczy – wstydzili się ci, którzy źle się z nim czuli. Ona ze swoim pochodzeniem, życiem uczuciowym i w ogóle ze wszystkim czuła się dobrze, dlatego chętnie opowiadała o tych wszystkich sprawach. Zapewne przesadzała w drugą stronę, bo widziała, że czasem budzi zażenowanie słuchaczy, gdy opowiada na przykład w gronie kolegów i koleżanek spożywających śniadanie w biurowej kuchni o swojej randce poprzedniego dnia, która zakończyła się rozczarowaniem, gdyż jej partner, którego poznała wcześniej na jakimś koncercie, po przyjemnej kolacji i spacerze zaprosił ją do swojego mieszkania i od razu zabrał się do erotycznego konsumowania ich znajomości, co w sumie Klaudii całkiem by odpowiadało, gdyby nie to, że jego przyrodzenie okazało się wyjątkowo niewydajne, gdyż doszedł chyba po dwóch minutach i tyle Klaudia miała z tego przyjemności. To prawda, zapewne nie powinna takich rzeczy opowiadać przy śniadaniu, ale przecież to są ludzkie sprawy. I Klaudia uważała, że to raczej postawa Joanny, zamknięta i pełna jakiegoś niewypowiedzianego lęku, jest znacznie większym problemem.

Klaudia nie zwracała na ten problem szczególnej uwagi aż do pewnego dnia, w którym dokonała niepokojącej obserwacji. Było to chyba ponad rok temu. Wiedziała już wtedy, że Joanna ma tego Jarosława, zresztą z różnych półsłówek i niedopowiedzeń wywnioskowała, że ten Jarosław pochodzi z jakiejś ustosunkowanej politycznie rodziny i właśnie dzięki niemu Joanna jako jedna z pierwszych została zatrudniona w nowo tworzonej instytucji. Było lato, a Joanna mimo upałów nosiła długie spódnice i bluzki z długimi rękawami. To jeszcze przecież nic nie znaczyło, Klaudia zakładała, że Joanna ma po prostu taki styl.

Ale tego dnia zauważyła coś niepokojącego. Był to całkowity przypadek. Joannę chyba poprzedniego dnia musiały pogryźć komary, bo co pewien czas drapała się w różnych miejscach. I w pewnej chwili się zapomniała. Podwinęła rękaw bluzki, by mocniej podrapać się koło łokcia. Klaudia kątem oka dostrzegła na ręce Joanny sporego siniaka. Odwróciła głowę. Joanna szybko ściągnęła rękaw z powrotem, ale Klaudia zdążyła potwierdzić swoją obserwację. W pierwszym odruchu chciała zapytać Joannę, co jej się stało, ale nie zdążyła, bo koleżanka wstała i od razu wyszła z pokoju.

Parę tygodni później Klaudia również całkowicie przez przypadek dostrzegła niepokojący ślad na ciele Joanny. Klaudii upadł długopis i schyliła się, by go podnieść. Nie dosięgała, więc musiała wstać z krzesła i zanurkować pod biurkiem. Joanna siedziała przy biurku obok z nogą założoną na nogę, tak że jej spódnica się podniosła i odsłoniła dolną część łydki. Po jej zewnętrznej stronie Klaudia dostrzegła ciemnosiny ślad. Niewątpliwie ślad po jakimś uderzeniu.

I wtedy Klaudia zrozumiała, dlaczego Joanna nie chce rozmawiać o swoim życiu prywatnym.

Być może powinna była coś z tym zrobić. Być może powinna była zapobiec temu, co stało się właśnie dzisiaj, czyli zawarciu związku małżeńskiego. Być może. Ale gdy Joanna oznajmiła jej wczoraj, że zaprasza ją na ślub i wesele i że cała impreza odbędzie się już następnego dnia, Klaudia zamiast zawołać: „Nie! Nie rób tego! Zniszczysz sobie życie!”, powiedziała: „Wow! Gratuluję! Ale czad, Joaśka, nie do wiary!”. Klaudia lubiła wszystko przyjmować pozytywnie. Ale chyba wiedziała także, że dorosłym ludziom nie można niczego zakazywać. Jeśli chcą zrobić coś głupiego, zrobią to. Jeśli będziesz ich namawiać, by tego nie robili, zeżłoszczą się na ciebie i zrobią to mimo wszystko. Lepiej więc cieszyć się z tego, co jest, niż martwić, skoro to, co jest, pozostaje poza naszym wpływem. Ludzie często myślą, że mogli czemuś zapobiec, ale ludzka psychika jest jak pogoda. Jest nie tylko pełna chaosu i nieporządku, ale także niemożliwa do kontrolowania. Możemy próbować przewidzieć, dokąd tę czy inną osobę zaprowadzi, ale nie jesteśmy w stanie niczego zapobiec.

Goście stopniowo schodzili się do restauracji, w której miało się odbyć przyjęcie weselne. Restauracja była spora, a otaczał ją jeszcze większy ogród, częściowo zastawiony drewnianymi stołami. Mimo że był październik, znikające właśnie za horyzontem słońce zdążyło nagrzać powietrze do kilkunastu stopni Celsjusza i można było oczekiwać, że impreza odbywać się będzie nie tylko w budynku, ale i na zewnątrz, co potwierdzał zapach rozpalanego grilla dochodzący ze stanowiska zlokalizowanego pod ogrodzeniem, obok którego pracownicy kończyli ustawiać dystrybutory z piwem. Restauracja była położona kilkaset metrów od kościoła, więc tylko część gości podjechała do niej samochodami, reszta przyszła pieszo. Klaudia lubiła spacerować, wybrała zatem tę drugą opcję. Rozglądała się, poszukując znajomych twarzy. Rozpoznała parę osób, które kojarzyła ze studiów. Po drugiej stronie ulicy dostrzegła zbliżającego się do restauracji Jana. Pomachała mu i uśmiechnęła się do niego. Odpowiedział jej skinieniem ręki i również lekko się uśmiechnął. Ale nagle zatrzymał się w pół kroku, sięgnął ręką do kieszeni marynarki i wyjął telefon. Wyglądało to tak, jakby otrzymał jakąś wiadomość i chciał ją od razu przeczytać.

– Cześć, Klaudia! – zawołała z boku naczelniczka Agata. – Poznaj mojego męża, ma na imię Karol. Karol, to jest Klaudia.

– Cześć, miło mi cię poznać. – Klaudia się uśmiechnęła i wyciągnęła rękę.

– Cała przyjemność po mojej stronie – odpowiedział szarmancko i zarazem sztucznie Karol.

Uścisnęli sobie dłonie.

– To co, może wejdziemy do środka? – zaproponowała Agata.

Skierowali się ku wejściu do restauracji. Klaudia rozejrzała się wokół, zdążyła też rzucić okiem na drugą stronę ulicy. Zdziwiło ją, że Jana nigdzie nie było. Tak nagle zniknął? Mniejsza z tym, przecież nie wyparował, pomyślała. Na pewno gdzieś tu jest i wkrótce się odnajdzie. Klaudia miała nadzieję, że trochę potańczy tego wieczora, a Jan wydawał się naturalnym kandydatem na partnera do weselnych płaśów. Wprawdzie nie miała pojęcia, czy lubi i czy w ogóle umie tańczyć, ale czy to miało aż takie znaczenie? Klaudia była bezpośrednia, wiedziała, że po prostu podejdzie do niego i weźmie go za rękę, a on wtedy z nią pójdzie i zacznie tańczyć, nawet jeśli nie będzie się do tego specjalnie palił. Tak zwana sytuacja weselna jest sytuacją społeczną, która narzuca pewne zachowania. Po prostu nie wypada odmówić. Klaudia usiadła za stołem obok Agaty. Zanim zacznie się zabawa, trzeba będzie odbębnić te wszystkie rytuały – toast, posiłek, pierwszy taniec. Do tego czasu na pewno Jan się odnajdzie.

Ksiądz Jędrzej czuł pewien niedosyt. Wytrysk, który przed chwilą stał się jego udziałem, nie dał mu pełnej satysfakcji. Nie chodziło wcale o to, że Bartek, dwunastoletni ministrant, który służył do ślubnej mszy Joanny i Jarosława i którego ksiądz Jędrzej właśnie odprawił do domu, jak zwykle stawiał lekki opór. Przeciwnie, taki opór księdza Jędrzeja jeszcze bardziej podniecał. Lubił tę swoją dominację nad bezbronnymi chłopcami. Uważał, że to zabawne, jak łatwo jest manipulować nie tylko nimi, ale także ich rodzicami, którzy byli wręcz dumni z tego, jak wielką uwagę ksiądz poświęca ich dziecku, jak ważny jest ich syn dla funkcjonowania kościoła. Nawet jeśli chłopak próbował się poskarżyć, pukali się w czoło i mówili, żeby nie opowiadał głupot, bo przecież ksiądz Jędrzej to taki porządny duszpasterz, tyle dobrego robi dla parafii, dba o kościół i wiernych, ostatnio nawet do umierającej starszej pani w środku nocy przyjechał, żeby udzielić ostatniego namaszczenia. Tak, ksiądz Jędrzej dbał o to, aby parafianie mieli o nim dobrą opinię. Nie odmawiał pomocy, kiedy ktoś o nią prosił. Wiedział, że ludzie to doceniają. Ludzie zawsze doceniają tych, którzy robią choć trochę ponad to, co muszą zrobić, zwłaszcza jeśli chodzi o księży albo polityków. Jest to w tych zawodach tak niespotykane, że wystarczy niewielki wysiłek, i dobra opinia w zasadzie buduje się sama. A dobra opinia pozwala robić różne przyjemne rzeczy, których być może mali ministranci nie doceniają, ale które ksiądz Jędrzej uważał za pewnego rodzaju cielesno-duchowe misterium. Nie sądził nawet, że robił coś złego. Co najwyżej uznały swoje skłonności za niegroźną słabostkę. A Bóg przecież jest miłosierny. Ksiądz Jędrzej przeszedł wieloletnią edukację w seminarium i miał już za sobą pewną praktykę duszpasterską, więc wiedział dobrze, jak wielkie jest miłosierdzie Boże. Szkoda, myślał sobie ksiądz Jędrzej, że tak wielu ludzi nie rozumie, że trzeba być miłosiernym. Dobrze, myślał ksiądz Jędrzej, że przynajmniej kościelni hierarchowie to rozumieją i podejmują skuteczną interwencję, gdy tylko jakiś złośliwy obywatel doniesie organom ścigania o rzekomo nieobyczajnym zachowaniu kapłana.

A zatem także tym razem, podobnie jak to bywało wiele razy wcześniej, nieśmiały i przestraszony Bartek ze spuszczoną głową prosił księdza Jędrzeja, żeby tego nie robił, a ksiądz Jędrzej z tym większą chęcią uczynił to, co zamierzał. Jak jednak wspomnieliśmy, nie odczuł pełnej satysfakcji i teraz, gdy Bartek pośpiesznie opuścił parafię, jak tylko dostał sygnał, że może odejść, ksiądz Jędrzej odczuwał niedosyt i lekkie rozdrażnienie. W soboty po udzieleniu ślubów lubił bowiem po oddaleniu ministranta zasiąść w swoim pokoju, otworzyć butelkę wina, włączyć telewizor i popijając, powoli wprowadzać się w błogi nastrój relaksu przed nadchodzącym niedzielnym natłokiem obowiązków. Ale dziś niestety nie było to możliwe. Ksiądz Jędrzej, o czym napomknęliśmy uprzednio, dbał o dobrą opinię parafian i nie odmawiał drobnych przysług i uprzejmości. Dzisiaj także postanowił się zgodzić, gdy przed mszą małżeńską Joanny i Jarosława podszedł do niego niepozorny mężczyzna, taki zupełnie nijaki,

przeciętnie wyglądający, trudno nawet powiedzieć, w jakim wieku, ubrany w płaszcz i garnitur, tak jak na weselnego gościa przystało, ale o szarej twarzy i przymrużonych oczach schowanych za okularami. I ten mężczyzna niesmiało oraz z lekkim przestrachem poprosił go o spowiedź, a że miała być ona wedle jego zapewnień szczerą i głęboką, a co za tym idzie, zapowiadała się na długą i żmudną, mężczyzna poprosił, aby odbyła się po mszy, kiedy wszyscy goście udadzą się na wesele i kościół opustoszeje. Wtedy nastrój dla takiej spowiedzi będzie przecież bardziej sprzyjający. Ksiądz Jędrzej zgodził się na to, ale umówił się na tę spowiedź dopiero pół godziny po zakończeniu mszy. Te pół godziny zarezerwował sobie oczywiście na dwunastoletniego ministranta. W przeciwnym wypadku, gdyby spowiedź odbyła się od razu po samej mszy, Bartek zdążyłby tymczasem wszystko posprzątać i czmychnąłby do domu. Ksiądz Jędrzej znał dobrze tego urwipolcia i wiedział, że właśnie tak by się stało. Nie mógł do tego dopuścić, dlatego zaplanował przerwę między końcem mszy a spowiedzią. Ale teraz, gdy zaspokoił swą – jak sądził – całkiem niewinną i niegroźną słabość, spowiedź psuła mu cały harmonogram sobotniego wieczoru. Rozbijała ciąg odprężających czynności, które zwykle o tej porze powinny następować po sobie. Cóż, pomyślał ksiądz Jędrzej, trzeba dać sobie z tym radę. Odbębni tę spowiedź i potem już tylko wino, telewizja, a może nawet i jakiś filmik z internetu ściągnie, żeby poprawić niedosyt po Bartku. Ksiądz Jędrzej znał takie tajne forum, na które czasem wchodził przez specjalną przeglądarkę, żeby go nie namierzili. Nie spodziewał się, żeby ktoś chciał go kiedyś namierzać, ale strzeżonego Pan Bóg strzeże. Tak, pomyślał ksiądz Jędrzej, to jest dobry plan. Po czym wstał, poprawił sutannę, spojrzął na zegarek i stwierdził, że mężczyzna łaknący odpuszczenia grzechów zapewne już oczekuje na niego przy konfesjonale.

Zmierzając na miejsce, pomyślał, że byłoby fajnie, gdyby ta spowiedź obyla się bez niespodzianek i nadmiernych emocji. Tego dnia miał już dosyć płaczu i pretensji wiernych. Rano odwiedzili go Jagna i Wojtek, młodzi małżonkowie, dla których od lat był osobistym spowiednikiem. Każde z nich wyznało, że planują popełnić poważny grzech. Chcą się zdecydować na zapłodnienie *in vitro*, aby uzyskać szansę na posiadanie dzieci. Ksiądz Jędrzej kategorycznie stwierdził, że rozgrzeszenie wymaga od wiernego żalu za grzechy i postanowienia poprawy, nie mógł zatem rozgrzeszyć ich w sytuacji, w której z premedytacją i bez cienia skruchy planowali tak poważne uchybienie wobec boskiego prawa. Koniec końców młoda para rozstała się z nim w atmosferze smutku i emocjonalnego roztrzęsienia. Nie lubił takich sytuacji, ale przecież takie są zasady. Jako duszpasterz musiał się ich kurczowo trzymać.

Wchodząc do kościoła od strony zakrystii, ksiądz miał nadzieję, że tym razem pójdzie gładko i będzie mógł z czystym sumieniem udzielić rozgrzeszenia. Na widok zbliżającego się kapłana mężczyzna wstał i posłusznie stanął obok konfesjonau. Ksiądz Jędrzej skinął głową oczekującemu, po czym zasiadł w konfesjonale w przepisowej pozycji. Przemknęło mu jeszcze przez myśl, że to trochę dziwne, że mężczyzna ma założone rękawiczki, lecz zaraz odgonił od siebie tę refleksję, przymknął oczy i wyczerzył słuch. Mężczyzna ukląkł przed kratownicą i od razu zaczął mówić:

– Chciałem wyznać księdzu moje winy.

Wbrew oczekiwaniom spowiednika mężczyzna nie mówił głosem zaleknionym ani niepewnym. Nie było w jego słowach charakterystycznego dla spowiadających się osób zawstydzenia. Ksiądz odniósł wrażenie, że ten człowiek jest zdecydowany i jednocześnie jest w nim jakaś emocjonalna obojętność. Postanowił więc od razu mu przerwać, aby go utemperować. Ksiądz uważał, że to on powinien narzucać warunki gry.

– Powiedz, synu – zapytał – kiedy ostatnio udzielono ci sakramentu pokuty?

Ku jego zdumieniu mężczyzna uśmiechnął się lekko. Ksiądz Jędrzej dojrzał ten uśmiech przez kratę konfesjonału i pomyślał, że to nie był uśmiech grzesznika poszukującego łaski. To był raczej uśmiech kpiący, może nawet pogardliwy. Ksiądz był na tyle zaskoczony, że nie przerywał już mężczyźnie, a kolejne jego słowa wprowadzały księdza w jeszcze większe zdumienie i osłupienie.

– Chciałbym wyznać księdzu moje winy – powtórzył mężczyzna. – Jestem wielokrotnym mordercą. Zabiłem ostatnio parę osób. Strzałem w głowę. Bardzo dobrze strzelam.

Ksiądz Jędrzej nie mógł uwierzyć w to, co słyszy. Gdyby miał czas na odczytywanie własnych przeczuc, pomyślałby pewnie, że czuje niepokój, że dzieje się coś bardzo niedobrego. Nie miał jednak czasu, aby tego typu myśli w ogóle dotarły do jego świadomości.

– Ale wcale nie żałuję tego, co robiłem – kontynuował mężczyzna. – Zabijałem tych, którzy krzywdzili innych. Robili to regularnie, systemowo, niszczyli życie tych, którzy wobec nich byli bezbronni i bezradni. A wie ksiądz, jaki jest najgorszy rodzaj zbrodni? Można krzywdzić różne osoby i zawsze jest to złe i godne pogardy, ale nie ma nic gorszego niż skrzywdzenie dziecka. Ten, który krzywdzi dzieci, zasługuje na największą pogardę. Kto krzywdzi dziecko, powinien ponieść najwyższą karę.

Wypowiedziawszy te słowa, mężczyzna wstał z klęczek, stanął przed wejściem do konfesjonału, otworzył je i spojrzał księdzu Jędrzejowi w oczy.

– A ty krzywdzisz dzieci. Krzywdzisz je od lat. Nie odpuszczasz żadnej okazji. Nawet przed naszym spotkaniem zdążyłeś skrzywdzić ministranta, który jak oparzony wybiegał przed chwilą z zakrystii. Gdyby nie to, że nie mogę zostawiać po sobie śladów biologicznych, splunąłbym ci w twarz. Ale zrobię coś innego. Coś, co zakończy cierpienia dzieci, które odwiedzają twój kościół.

Ksiądz w ułamku sekundy zrozumiał, że czarne rękawiczki, które dostrzegł wcześniej na dłoniach mężczyzny, nie bez powodu go zastanowiły. Pojął jednocześnie, że teraz jest już za późno na reakcję. Mężczyzna wyjmując z kieszeni płaszcza mały czarny pistolet. Kieruje broń w stronę księdza Jędrzeja. Ksiądz obserwuje ten ciąg zdarzeń, zachodzących zdawałoby się w zwolnionym tempie, powoli, a jednocześnie tak szybko i błyskawicznie, że ksiądz Jędrzej nie jest w stanie wydusić słowa, chce nawet coś powiedzieć, i żeby było jasne – wcale nie to, że jest mu przykro, bo przecież nie jest, ale po prostu to, że to tylko taka niewinna słabość, że każdy ma przecież jakieś swoje sekrety, słabości, szuka przyjemności, odprężenia, ujęcia dla normalnych cielesnych popędów, więc nie mówmy, że to taka okropna zbrodnia, normalna ludzka rzecz, więc przecież nie można za to zabijać, tak najprawdopodobniej odpowiedziałby na to wszystko ksiądz Jędrzej, gdyby zebrał się na odwagę, gdyby miał czas i siłę powiedzieć coś jeszcze, nie miał jednak siły ani czasu, bo mężczyzna nie czekał, tylko nacisnął spust i mimo że pistolet był wyposażony w tłumik, doskonała akustyka kościoła rozniosła wokół suchy trzask, potem następny i jeszcze trzeci, czwarty, piąty i szósty. Mężczyzna stał w odległości kilku metrów, więc odpryski krwi, których ślady pojawiły się na ciele księdza Jędrzeja i na pewnych elementach konfesjonału, nie mogły go dosięgnąć, jednak dla pewności spojrzał jeszcze na posadzkę i upewnił się, że może bezpiecznie zrobić dwa kroki naprzód bez następowania na żadne krwawe plamy. Uczynił więc te dwa kroki i podrzucił opróżnioną już z amunicji broń na kolana księdza Jędrzeja, którego dusza niewątpliwie udała się już na wieczny spoczynek, a którego bezwładne ciało miało już nigdy nie być przyczyną niczyjej krzywdy. Następnie mężczyzna skierował się szybkim krokiem do wyjścia.

Był przekonany, że kościół jest pusty. Wszystko, co dotąd robił, było starannie zaplanowane, i wiedział, że tym razem także nie powinien napotkać przeszkód. Mimo wszystko idąc, rozglądał się

wokół i wyteżał słuch. I w pewnym momencie wydało mu się, że usłyszał jakiś krótki dźwięk.

Zatrzymał się. Dźwięk dochodził z bocznej nawy. Brzmiał tak, jakby ktoś uderzył lekko jakimś przedmiotem w inny przedmiot. A może był to odgłos zamykanych drzwi? Mężczyzna zamarł. Stał przez kilka sekund, nasłuchując, po czym ruszył w kierunku, z którego jego zdaniem pochodził ten odgłos. Cały czas nie był pewien, czy słyszał go naprawdę, czy tylko mu się zdawało. Wszedł w boczną nawę kościoła. W istocie, dość szybko odnalazł tam boczne wyjście ze świątyni. Nacisnął powoli klamkę i uchylił drzwi. Nic nie dostrzegł. Szybkim ruchem otworzył drzwi na oścież i wyszedł. Na zewnątrz nikogo nie było. Rozejrzał się jeszcze raz. Wiedział, że powinien jak najszybciej uciekać, ale coś go niepokoilo. Wrócił na moment do wnętrza. Znow nie wiedział, czy mu się zdaje, czy zmysły go mylą. Poczuł drobną pozostałość po jakimś zapachu. Może po kosmetyku używanym przez kogoś, kto przed momentem tu przebywał? Mężczyzna nie był w stanie stwierdzić, czy były to perfumy męskie, czy damskie. A może była to woń pochodząca z jakiegoś kościelnego sprzętu? Przecież kościół był pełen zapachów, mieszały się tu aromaty pochodzące od ludzi, kadzideł, kropideł i Bóg raczy wiedzieć czego jeszcze. Wrażenie zapachowe trwało bardzo krótko. Może przez sekundę, raczej nie dłużej. Mężczyzna ponownie pomyślał, że chyba jednak mu się wydawało. Czy nerwy zaczynały go zawodzić? Dotychczas przeprowadzał wszystko ze stoickim spokojem. Być może błędem było to, że wdał się z księdzem w rozmowę. Wszedł z nim w jakąś emocjonalną relację. Być może to go rozstroiło. Trzeba było to wszystko załatwić tak, jak w poprzednich przypadkach. Bez rozmów, bez dyskusji. Wyciągnięcie ręki, strzały, ucieczka. Ta sytuacja była jednak wyjątkowa i mężczyzna czuł, że musiał ją potraktować inaczej, nawet jeśli naraziło go to na większe ryzyko, a dodatkowo – co wydawało mu się coraz bardziej prawdopodobne – mogło rozstroić jego nerwy i stać się źródłem przesłuszeń i złudzeń zapachowych. Mężczyzna wziął głęboki oddech, ponownie wyszedł na zewnątrz przez boczne drzwi kościoła, które wciąż pozostały otwarte na oścież, rozejrzał się raz jeszcze i stwierdziwszy, że nikt go nie obserwuje, oddalił się, zanurzając się w szarości zapadającego zmierzchu i odzyskując przy tym spokój ducha.

ROZDZIAŁ 29

JAN, SOBOTA WIECZOREM

Jan nie należał do wielbicieli imprez weselnych. Nie przepadał za tańcem ani ludowo-dyskotekową muzyką, która królowała podczas takich wydarzeń. Mimo wszystko postanowił, że przyjdzie, bo jednak Joanna zaprosiła go jako jednego z nielicznych wybrańców. Z pracy były jeszcze tylko Klaudia oraz Agata, która przysłała z mężem. Jan wszedł na salę zastawioną stołami i się rozejrzył. Szybko zauważył machającą do niego Klaudię. Zaklepała mu miejsce obok siebie. Pomyślał, że to miło z jej strony, bo dobrze będzie siedzieć obok kogoś znajomego. Przywitał się z koleżanką i skonstatował, że wygląda bardzo atrakcyjnie. Klaudia zawsze podobała mu się jako kobieta, choć dozował sobie kontakty z nią ze względu na jej skłonności do mówienia dużo i o niczym. Ale teraz, ubrana w obcisłą sukienkę kończącą się nad kolanami, uśmiechała się do niego i zapewniała go, że nie pozwoli mu tego wieczoru na długie siedzenie przy stole, gdyż są tutaj skazani na siebie i muszą sobie dotrzymać towarzystwa, co powinno sprowadzać się przede wszystkim do intensywnych ćwiczeń tanecznych.

Jan miał mieszane uczucia, ale po wczorajszym zaskoczeniu i jednocześnie otrzeźwieniu z absurdu zauroczenia Joanną uznał, że nie ma sensu zastanawiać się nad tym, co będzie za chwilę czy za godzinę. Zresztą na początku – jak na typowym weselu – trzeba było odbębnić zwyczajowe punkty programu, a więc najpierw niecierpliwe oczekiwanie na parę młodą, potem wejście małżonków, chleb, sól, rozbite kieliszki, szampan, gromkie sto lat i powitalny posiłek, składający się z flaków i drugiego dania – wszystko to trwało niemal godzinę.

Dopiero potem zaczęły się płąsy, Joanna i Jarosław trochę nieporadnie odbyli pierwszy taniec, za który oczywiście otrzymali ogromną owację, a potem Klaudia porwała Jana do tańca i zanim zdążył się zorientować, skakali bez opamiętania w tłumie innych skaczących i posuwających się par. Zespół muzyczny odgrywał typową mieszankę wszystkiego – piosenki disco polo następowały po rockandrollowych szlagierach, by zaraz potem przejść w jakąś ludową piosenkę, za którą następował łzawy utwór z lat osiemdziesiątych, służący za tak zwany „wolny kawałek”. I przy tym wolnym kawałku Jan, przylegając do Klaudii, z pewnym zażenowaniem odkrył, że jego wzwiedzione prącie niewątpliwie jest wyczuwalne dla partnerki, która wcale nie jest tym faktem zrażona, a nawet zdaje się coraz mocniej do niego przylegać. Oboje jednak nie skomentowali tego podczas pierwszej tury tańców. Już podczas drugiej rundy, która nastąpiła po kolejnym posiłku, Klaudia w trakcie wykonywania jednej z figur niby tak przypadkiem pocałowała Jana w usta. Następny posiłek omal im nie przepadł, bo całowali się w tym czasie jak para nastolatków, schowani gdzieś z boku budynku, marznąc na wieczornym chłodzie, co jednak wcale im nie przeszkadzało. Przerwało im dopiero kilku starszych panów, którzy postanowili wyjść na papierosa i spłoszyli Klaudię i Jana. Wstrzymawszy wzajemnie

umizgi, które obojgu coraz bardziej się podobały, wrócili na salę, aby z przyjemnością skonstatować, że na ich miejscach leżą już kolejne dania.

Bawili się tak prawie do północy, gdy Klaudia stwierdziła, że pewnie zaraz zaczną się żenujące zabawy charakterystyczne dla naszej, polskiej, odwiecznej tradycji, więc może lepiej będzie zaczerpnąć trochę powietrza. Tym razem po drodze odwiedzili szatnię i założyli wierzchnie okrycia. Nie poszli jednak na ubocze, które zresztą ponownie zajęte było przez palaczy, ale przeszli na drugą stronę, gdzie urządzono piwny ogródek. Ku ich zaskoczeniu, przy wielkiej becce z piwem wciąż stał znudzony barman, który przestępując z nogi na nogę, sprawdzał coś w telefonie komórkowym. Na widok zbliżających się gości od razu uśmiechnął się służbowo i nalał im po piwie. Klaudia się rozejrzała. Przy każdym z szerokich drewnianych stołów siedziało po kilka osób, głośno rozmawiając. Temperatura oscylowała wokół dziesięciu stopni, ale rozgrzanemu ruchem i alkoholem towarzystwu zdawało się to nie przeszkadzać. Klaudia pociągnęła Jana dalej, gdzie w nieco większym mroku stało kilka mniejszych drewnianych stolików. Jan dopiero po chwili zorientował się, że Klaudia zmierza na sam koniec tej części ogródka, gdzie przy ostatnim stole siedział samotnie mężczyzna, który sączył piwo i z zadartą głową patrzył w niebo, tak jakby szukał tam jakiejś zagubionej konstelacji.

– Dobry wieczór! – zawołała do niego Klaudia. – Pan jest tatą Joasi, prawda?

Dosiadła się obok, a Jan za chwilę uczynił to samo.

– Słucham? – Zaskoczony mężczyzna ocknął się z zamyślenia. – A, tak, dobry wieczór. Rzeczywiście – uśmiechnął się przy tym, choć Janowi wydawało się, że jest to uśmiech wymuszony i nieco smutny – to ja miałem dziś szczęście prowadzić córkę do ołtarza.

– Mam na imię Klaudia, a to jest Janek. Pracujemy razem z Aśką. Ja nawet siedzę z nią razem w pokoju. Parę razy opowiadała mi o panu, podobno jest pan komisarzem policji?

– Tak! – odparł mężczyzna znacznie żywiej. Tak jakby przejście na temat inny niż ślub i wesele przyniosło mu ulgę. – Pracuję w stołecznej komendzie policji. To już tyle lat... Niedługo emerytura, lata lecą, ale cały czas lubię tę pracę, chociaż jest bardzo ciężka.

– Jakimi sprawami się pan tam zajmuje? – zapytał Jan, aby włączyć się do rozmowy.

– Hm. Jak by to powiedzieć... Najgorszymi. Morderstwa, zorganizowana przestępczość. Bardzo nieprzyjemna tematyka, ale ktoś musi się tym zajmować.

– Wow! – krzyknęła Klaudia, której dotychczas wypity w trakcie wesela alkohol nieco bardziej uderzył do głowy, a obecnie spożywane piwo poprzez mechanizm zmieszania mogło prawdopodobnie tylko pogorszyć sprawę. – Nigdy jeszcze nie poznałam prawdziwego policjanta od zabójstw! Dotąd tylko w filmach albo w książkach kryminalnych, ale tak na żywo to nigdy. Już zaraz północ – tu nieco teatralnie zmieniła głos – czas duchów, więc może opowie nam pan coś strasznego? – zapytała, po czym zachichotała wesoło.

Komisarz nieco się spieszył.

– Nie wydaje mi się, żeby okoliczności były sprzyjające. Wesoły nastrój tej imprezy nie współgra z dramatem śmierci, z którym spotykam się na co dzień.

– Przepraszam – zmytygowała się Klaudia – nie chciałam, żeby to zabrzmiało tak, że robię sobie jakieś żarty. Ale jestem ciekawa, czy może na przykład zajmuje się pan tymi zabójstwami, o których tyle się teraz czyta. To już chyba ponad tydzień, prawda? Podobno codziennie jest jakaś ofiara, to coś strasznego.

– Tą sprawą zajmuje się cały zespół w naszej komendzie. Jestem jego członkiem, ale nie kieruję dochodzeniem.

– Ale macie jakieś podejrzenia? – zapytał Jan, który wcale nie był tak wesoły jak Klaudia. Można nawet powiedzieć, że spoważniał i wydawał się coraz bardziej skoncentrowany.

– Nie mogę oczywiście o tym mówić, mam nadzieję, że rozumiecie.

– Jasne. – Klaudia mrugnęła okiem. – Ale tak nieoficjalnie mógłby pan coś szepnąć, przecież nikomu nie powiemy. – Znow się roześmiała, ale za chwilę opanowała się i dodała: – Bo czytając to, co piszą w internecie, to wygląda to prawie na zbrodnie doskonałe. Zero śladów i w ogóle. Niesamowita sprawa!

– Historia pokazuje, że nie istnieją zbrodnie doskonałe – odparł komisarz.

– A ja – powiedział Jan – myślę, że zbrodnie doskonałe istnieją. Zaryzykowałbym nawet twierdzenie, że popełnia się ich bardzo wiele. Tyle że nic o nich nie wiemy. Zbrodnia doskonała to nie taka, przy której mamy ofiarę, ale nie możemy wykryć sprawcy. Zbrodnia jest doskonała wtedy, gdy nikt się nie orientuje, że w ogóle doszło do jakiegokolwiek przestępstwa.

– Mówi pan na przykład o sfingowanych samobójstwach albo upozorowanych wypadkach? – zapytał komisarz. – Zapewniam pana, że każde takie zdarzenie jest dokładnie badane. Prawdopodobieństwo ukrycia udziału osób trzecich jest bardzo niskie.

– Miałem na myśli coś zupełnie innego. Na przykład gdy ktoś umiera z przyczyn, które wyglądają na naturalne, i nikomu nie przychodzi do głowy, żeby w ogóle zrobić sekcję. Albo kiedy jakiś kreatywny księgowy lub pomysłowy prezes przeprowadza operacje i opłaca faktury, które wyglądają jak coś absolutnie normalnego w działalności spółki czy instytucji, a w rzeczywistości służą wyprowadzaniu pieniędzy na zewnątrz. Przestępstwo doskonałe nie musi dotyczyć śmierci, może mieć równie dobrze charakter finansowy albo jakikolwiek inny. Problem tylko w tym, że ludzie często nie mają umiaru. Uda im się raz, potem drugi, i zamiast na tym poprzestać, wpadają w iluzję, że już zawsze będzie im się udawać. I za którymś razem wreszcie wpadają. Nie jesteśmy jednak w stanie oszacować skali doskonałych zbrodni, których autorzy mieli umiar, potrafili się powstrzymać przed kontynuacją, dzięki czemu ich przestępstwo nigdy nie zostało odkryte.

– Być może, ale w takim razie – podchwycił komisarz – w przypadku ostatniej serii zabójstw prawdopodobnie mordercy również za którymś razem się nie powiedzie, jeśli będzie kontynuował swoją działalność.

– To bardzo prawdopodobne – powiedział Jan, podnosząc swój kufel jak do toastu. – No to za sukces naszej dzielnej policji!

– Za sukces – zawtórowała mu Klaudia.

Komisarz przyłączył się, dopijając swoje piwo, ale nic nie powiedział. Z kieszeni jego płaszcza dobiegł dźwięk jakiejś melodii. Wyjął wibrujący telefon i spojrzał na ekran. Nie odebrał połączenia, odczekując, aż urządzenie ucichnie. Potem jednak uśmiechnął się do Jana i Klaudii i rzekł:

– Bardzo miło było was poznać. Cieszę się, że przyszliście na ślub Joasi. To na pewno wiele dla niej znaczy. Ja niestety muszę już iść, rozumiecie, służba. – W tym momencie wskazał na trzymany w ręce telefon. – Dobrej zabawy! – zakończył i wstał, żegnając każde z nich uściskiem dłoni. Wybrał opcję oddzwonienia i oddalił się z przyłożonym do ucha aparatem.

Klaudia i Jan zostali sami. Przez kilka minut patrzyli na siebie w milczeniu. Gdy oboje dotarli do dna swoich kufli, Klaudia uśmiechnęła się szeroko i powiedziała wyzywająco:

– Jak chcesz, możemy zrobić to tutaj, na weselu, ale może lepiej będzie u mnie? Tylko musimy uważać, żeby nie robić nadmiernego hałasu, bo mieszkam ze współlokatorką, a ściany nie są zbyt grube – szepnęła, zbliżając twarz do jego twarzy.

Nie zdołała go jednak pocałować, bo Jan przyłożył palec do jej ust, pokręcił głową w geście zaprzeczenia i odparł wesoło:

– Zrobimy to u mnie.

Zerwali się z miejsca i od razu opuścili teren restauracji, zapominając o tym, że są na weselu i wypadałoby chyba pożegnać się z parą młodą. Dopiero po chwili się zorientowali, i Klaudia stwierdziła, że przecież nocna komunikacja jeździ teraz rzadko, nie wiadomo, gdzie jest najbliższy przystanek, więc niech Jan wezwie taksówkę, a oczekując na jej przyjazd, zdążą wrócić i pobłogosławić młodą parę, żeby Joanna potem im nie wypominała, że nie umieli się zachować.

Na Sady Żoliborskie dotarli przed pierwszą w nocy. Jan był bardzo podekscytowany i jednocześnie nieco zawstydzony, bo bliskość Klaudii, intensywność zapachu jej perfum oraz perspektywa tego, co miało się stać zaraz po dotarciu na miejsce, powodowały, że w spodniach Jana tkwiło pokażne wyrzuszenie. Starał się je zamaskować, zakładając nogę na nogę, ale pod koniec podróży Klaudia zorientowała się, co jest grane, i jej ręka zawędrowała w niewłaścicze rejony. Jan, po początkowej przyjemności, poczuł, że jest mu zdecydowanie za dobrze i istnieje ryzyko przedwczesnego zabrudzenia odzieży. Gdyby był ubrany tak jak na co dzień, nie byłby to problem, ale miał na sobie garnitur, a garnitury zwykle oddaje się do specjalnej pralni i Jan pomyślał, że mimo wszystko byłoby głupio oddawać tam spodnie ubrudzone w taki sposób. Powoli zdjął więc rękę partnerki ze swojego kroczka i zaraz potem poinformował taksówkarza, że już za chwilę może wjechać na osiedlowy parking i się zatrzymać. Zapłacił za kurs i już po minucie oboje pośpiesznie pozbywali się swoich ubrań.

W sypialni spędzili rozkoszne dwie godziny. Jan nie spodziewał się, że drzemką w nim takie możliwości, ale jednocześnie poczuł się całkowicie wyeksploatowany. Gdy przed trzecią w nocy Klaudia wreszcie zasnęła, ku swojemu zaskoczeniu odetchnął z ulgą. Czuł się wręcz przesycony doznaną dawką przyjemności. Nic zresztą dziwnego, bo po tym, jak dali ujście pierwszym najgwałtowniejszym uczuciom, Klaudia nie pozwoliła mu na długi odpoczynek. Szeptła ciągle na wpeł pijańcem, a na wpeł zmysłowym głosem: „Janie, penetruj mnie bezustannie”, a Jan penetrował, dotykał, całował i pieścił, aż wreszcie za którymś razem Klaudia dotarła do kresu swoich aktualnych potrzeb i zamknęła oczy, położywszy głowę na piersi partnera. Jan pomyślał, że to chyba była najfajniejsza noc w jego życiu, i byłby zapewne zasnął od razu, gdyby nie przypomniało mu się, że ma jeszcze jedną rzecz do zrobienia tej nocy.

Ta myśl otrzeźwiła go i skutecznie rozbudziła. Odczekał jeszcze kilka minut, aby się upewnić, że Klaudia mocno zasnęła, delikatnie zsunął jej głowę ze swojego ciała na poduszkę, po czym wstał i przeszedł do drugiego pokoju.

Dochodziła czwarta nad ranem, gdy wrócił do sypialni, aby położyć się obok Klaudii i zapaść w spokojny sen szczęśliwego człowieka.

ROZDZIAŁ 30

SARA, NIEDZIELA RANO

Komisarz Sara Heinz planowała wrócić na komendę dopiero po południu, ale o ósmej rano obudził ją telefon. Była bardzo zaangażowana w pracę i poświęcała jej praktycznie cały swój czas. Nie myślała jeszcze o zakładaniu rodziny, choć pewnie jej matka – gdyby jeszcze żyła, Panie świeć nad jej zboląłą duszą – powiedziałyby, że słowo „jeszcze” jest nie na miejscu, bo w wieku trzydziestu ośmiu lat jest już stanowczo za późno, mówiąc krótko, jest pozamiatane, i jeśli dotąd Sara nie znalazła męża, zostanie starą panną do końca. Ale Sara chyba nie szukała męża, nie była nawet pewna, czy pociągają ją mężczyźni, czy kobiety. W ogóle mało kto ją pociągał. Ludzie nie wydawali jej się szczególnie ciekawi, może dlatego, że zarówno w dzieciństwie, jak i jako dorosła i coraz bardziej doświadczona funkcjonariuszka, obracała się wśród zimnych, złych ludzi. Pociągają ją praca, bo ściganie i zamykanie złych i zimnych ludzi wydawało jej się znacznie bardziej atrakcyjne niż życie z takimi ludźmi.

Sara odebrała telefon i usłyszała głos aspiranta Bubla. Prowadziła jedno z najważniejszych śledztw, więc każda nowa informacja związana z ostatnią serią morderstw miała trafiać do niej błyskawicznie. Aspirant powiedział, że pojawiło się coś nowego w sprawie zabójstwa księdza Jędrzeja z poprzedniego dnia. Sara była niewyspana, bo do późna koordynowała prace na miejscu zbrodni. Ciało księdza odkryła około dwudziestej starsza pani, która przechodziła obok kościoła w drodze do domu. Gdy spojrzała w stronę świątyni, by uczynić znak krzyża, jak nakazywał jej wyuczony w trakcie całego życia nawyk, zauważyła, że boczne wejście jest uchylone, a z wnętrza wydobywa się smuga światła. Znała panujące w parafii zwyczaje i wiedziała, że o tej porze w sobotę jest to niecodzienny widok. Gdy wezwani przez nią policjanci przyjechali na miejsce, musieli najpierw zająć się nią samą, bo była tak zszokowana swoim odkryciem, że zachodziła obawa, czy za moment nie będzie trzeba sprzątać dwóch ciał z tego nabożnego przybytku. Starszą panią ostatecznie zabrała karetka i dopiero wówczas policjanci technicy, nowo przydzielony do śledztwa prokurator oraz medyk sądowy mogli rozpocząć swoje czynności. Po północy dołączył do nich także komisarz Kamiński, bo gdy Sarze udało się z nim skontaktować, okazało się, że przebywa w pobliżu na weselu swojej córki, której denat – co również szybko wyszło na jaw – udzielał sakramentu małżeństwa. Już wtedy Sarę zastanowił ten dziwny zbieg okoliczności, nie potrafiła jednak ocenić, czy ma to jakiegokolwiek znaczenie.

Teraz, gdy nastał niedzielny poranek, mimo niewielkiej ilości snu i powracających ziewnięć, wskazujących na niewystarczające dotlenienie organizmu podczas nocnego odpoczynku, Sara była w pełni skoncentrowana. Jej ciało było jeszcze niemrawe, ale umysł działał sprawnie i zachowywał czujność.

– Musi pani to zobaczyć – mówił z przejęciem Bubel. – Mam przesłać pani ten film na maila?

– Nie – odpowiedziała, podnosząc się z łóżka. – Za pół godziny będę na komendzie. Tam wszystko obejrzę i zastanowimy się, co dalej robić.

Pół godziny całkowicie wystarczyło, by Sara wzięła szybki prysznic, delikatnie się umalowała, przejechała szczotką krótkie włosy, których tak naprawdę w ogóle nie trzeba było czesać, ubrała się i przeszła kilkusetmetrowy odcinek ze swojej kawalerki na Muranowie do budynku komendy stołecznej.

Aspirant Jeremiasz Bubel i jakiś młody informatyk, którego nie знаła, czekali na nią podekscytowani. W pokoju Bubla informatyk już wszystko przygotował na jego komputerze. Powiększył obraz na tyle, na ile się dało, i pokazał Sarze krótki film, który na adres mailowy policji został wysłany anonimowo w środku nocy. Na filmie widać było, jak krótko ostrzyżony mężczyzna średniego wzrostu, w okularach i długim płaszczu stoi przed otwartym od frontu konfesjonałem, mówi coś do siedzącego naprzeciw księdza – wypowiadanych słów na razie nie można było rozpoznać – a następnie celuje do niego z pistoletu. Informatyk zapewnił, że będzie w stanie oczyścić i wyostrzyć dźwięk, ale wymagać to będzie trochę czasu. Następnie mężczyzna strzela kilka razy do księdza, robi dwa kroki do przodu, wrzuca broń do konfesjonału tak, aby wylądowała na kolanach martwego duchownego, a potem odchodzi, po czym film nagle się urywa.

Gdy obejrzelili film kilka razy, Sara poprosiła informatyka, żeby jak najszybciej przeprowadzili jego analizę. Trzeba sprawdzić, czy jest autentyczny, czy nic nie było w nim zmanipulowane lub domontowane, trzeba powiększyć obraz i wyodrębnić wypowiadane słowa, żeby stały się zrozumiałe.

– No i w ogóle zróbcie wszystko, co w takich sytuacjach się robi, ustalcie nadawcę maila, aparat, na którym nakręcono film i tak dalej – powiedziała Sara, dając jednocześnie informatykowi znak ręką, aby jak najprędzej oddalił się do wykonywania obowiązków i zostawił ją sam na sam z aspirantem Bublelem.

Film był prawdopodobnie nakręcony smartfonem. Jakość obrazu nie była dobra, zwłaszcza że autor stał daleko, zapewne po drugiej stronie kościoła. Mimo to Sara nie miała wątpliwości, kogo przypomina jej postać widoczna na nagraniu. Twarzy nie było widać wyraźnie, na powiększeniu była trochę rozmazana, poza tym została ujęta tylko z boku pod koniec filmu, bo wcześniej mężczyzna był odwrócony plecami. Ale ta twarz w połączeniu z całą postacią nasuwała Sarze jednoznaczne skojarzenie. Przedstawionym na nagraniu zabójcą był komisarz Kamiński.

Pozornie powinno ją to ucieszyć, w rzeczywistości zwiększyło tylko dezorientację. Sara miała coraz większe poczucie, że coś jest nie tak, że ktoś nieustannie drwi sobie z niej i całego zespołu śledczego. Mogło się wydawać, że mieli wreszcie nie tylko trop, ale prawdopodobnie twardy dowód. Filmową relację z miejsca zbrodni, świetnie pasującą na pierwszy rzut oka do śladów, które zebrali poprzedniej nocy. Sara wiedziała jednak, że nie może wyciągać pochopnych wniosków. Nie chodziło tylko o to, że w takich przypadkach zawsze trzeba poczekać na specjalistyczną analizę nagrania. Chodziło również o to, że osoba, która przesłała film, prawdopodobnie oczekuje, że policja na jego podstawie podejmie określone działania. To właśnie niepokoiło Sarę najbardziej. Być może celem nadawcy nocnego e-maila było rzucenie podejrzenia na komisarza Kamińskiego, którego Sara uważała dotąd za może nieco antypatycznego, ale jednak porządnego i uczciwego człowieka. I przede wszystkim świetnego policjanta. Sara od początku podejrzewała, że zabójcą może być ktoś z wewnątrz, jakiś policjant albo szerzej – ktoś wywodzący się ze służb mundurowych. Kamiński był więc – tak jak wszyscy jej koledzy i koleżanki z pracy – w kręgu podejrzeń. Ale jak na to patrzeć w kontekście faktu, że to właśnie Kamiński jako pierwszy postawił taką tezę publicznie i otwarcie? Co to mogło oznaczać? Czy

przemawiało to na jego korzyść, czy było podejrzane? I jak wiązało się z filmem, którego kadry Sara wciąż miała przed oczami, mimo że ekran monitora był już wygaszony?

Sara pomyślała, że nawet jeżeli film jest autentyczny, mężczyzną na nagraniu mógł być ktoś inny. Podobny do Kamińskiego albo wręcz ucharakteryzowany tak, by go przypominać. Mogła to być perwersyjna zabawa seryjnego mordercy, który – przy pomocy innej osoby, która wykonała nagranie – zarejestrował własną zbrodnię w taki sposób, by zasugerować, że sprawcą jest komisarz Kamiński.

Przecucie, że coś z tym filmem jest nie tak, nie dawało Sarze spokoju. Trudno powiedzieć, czy była to intuicja, czy może myślenie życzeniowe. Być może Sara po prostu nie chciała przyjąć do wiadomości tego, co zobaczyła, i jej umysł na siłę poszukiwał wszelkich możliwych uzasadnień i tłumaczeń dla uznania, że to, co widziała, nie jest prawdą, ale manipulacją.

Aspirant Bubel był wprawdzie bardzo podekscytowany tym, co zobaczył, ale nie podzielał jednoznacznej identyfikacji mężczyzny, którą sugerowała mu Sara. Jeremiasz uważał, że twarz na nagraniu jest niewyraźna, a całokształtu postaci i charakterystycznego sposobu poruszania się nie potrafił ocenić, bo nie przechowywał w pamięci tak daleko idących szczegółów na temat osób, z którymi pracował. W ogóle aspirant Bubel na niewiele rzeczy zwracał uwagę i mało co zapamiętywał. Miał trudności ze skupieniem się na konkretnym zadaniu, łatwo się rozpraszał, nie potrafił analizować faktów i łączyć ich ze sobą, a jeśli już to robił, postępował zgodnie z utrwalonymi w głowie schematami. Nie umiał myśleć w sposób otwarty i kreatywny. Zresztą sam o sobie nie miał najlepszego mniemania i zdawał sobie sprawę, że gdyby brano pod uwagę wyłącznie jego umiejętności, nigdy nie zostałby aspirantem, zwłaszcza w tak młodym wieku. Zapewne do emerytury pracowałby w jakimś komisariacie i przyjmował zgłoszenia o kradzieży torebki albo samochodu, po czym odkładałby je na półkę, wiedząc, że sprawa nigdy nie zostanie rozwiązana. Ale na szczęście jego wujek był przyjacielem ze studiów wysoko postawionego w służbach specjalnych oficera, którego jeden telefon znaczył więcej niż brak kompetencji i zdolności analitycznych Jeremiasza. Dlatego Jeremiasz został zatrudniony w stołecznej komendzie, gdzie zresztą przyjęto go dosyć dobrze, bo to, że protegowani różnych ważnych osób są zwykle do niczego, uważano za coś absolutnie naturalnego, nikogo to więc nie dziwiło ani nie oburzało. Przeciwnie, doceniano Jeremiasza za to, że mimo niskiego poziomu intelektualnego cechuje się on skromnością, a może nawet jest świadom swoich ułomności i trochę mu wstyd, że po znajomości wylądował w tak ważnym dla polskiej policji miejscu. Jeremiasz pokornie wykonywał więc wszystkie obowiązki. Nie robił tego wybitnie ani szczególnie chętnie, ale mimo wszystko, kiedy już dostał jakieś zadanie, to z reguły nie marudził i je wykonywał. Zajmowało mu to znacznie więcej czasu, niż zajęłoby przeciętnemu policjantowi, ale z drugiej strony przełożeni uznawali, że lepiej, żeby Jeremiasz zajmował się jedną sprawą w tygodniu, a nie dziesięcioma, bo wtedy tylko tej jednej sprawie będzie mógł zaszkodzić. Był to więc swego rodzaju układ, z którego obie strony były zadowolone. Szefostwo miało spokój, a Jeremiasz mógł z dumą i radością pokazywać wszystkim swoją odznakę i tak jak pewien komisarz z serialu, który kiedyś oglądał, mówić z pozoru zimnym i obojętnym tonem: „Robię w zabójcach”.

Niestety dzisiaj, w niedzielny poranek, to właśnie Jeremiasz miał dyżur. Sara nie miała więc wyboru i była na niego skazana. Nikogo innego z jej zespołu nie miała teraz pod ręką. Mogła oczywiście kogoś ściągnąć, zadzwonić, poprosić o pomoc, ale uznała, że i tak ostatnio za bardzo eksploatowała swoich współpracowników. Praca po godzinach była czymś, co wszyscy niby akceptowali, ale przecież tak naprawdę mieli już tego dosyć i Sara widziała, że wiele jej koleżanek i kolegów jest na granicy wyczerpania. A ta sprawa... Z tą sprawą sobie poradzi. Weźmie Bubla i pojedą do Kamińskiego.

Pogadają z nim. Bo przecież to niemożliwe, żeby to był on. Co więcej, Sara czuła, że chyba już wszystko zrozumiela. Kilka elementów złożyło się w całość i nagle poczuła, że do siebie pasują.

Wiedziała, że teoretycznie powinna poczekać na analizę nagrania. Jeśli miałyby przedsięwziąć jakiegokolwiek działanie, powinno nim być wezwanie grupy antyterrorystycznej. To byłoby zgodne z procedurami. Przecież jeśli to prawda, jeśli Kamiński jest winny, jechanie do niego będzie jak samobójstwo. Skoro zabił już tyle osób, nie cofnie się przed niczym. Z drugiej strony Sara czuła, że coś jest nie tak z tym filmem. Że Kamiński wcale nie musi być winny, przeciwnie, mógł stać się ofiarą manipulacji, bo być może wie albo podejrzewa coś, czego dotąd nie ujawnił, ponieważ nie miał jeszcze wystarczających dowodów, a czego ujawnienia nie chcą inni. I Sara czuła, że ci inni są źli. Znała Kamińskiego od wielu lat i teraz była gotowa postawić na niego mimo tego miażdżącego dowodu, który pojawił się tak nagle. A może właśnie to, że pojawił się nagle i był tak miażdżący, doprowadziło ją do przekonania, że w sprawie jest jakieś drugie, głęboko schowane dno. Przecież ostatnio podsuwał im różne tropy, podawał sugestie, które w większości ignorowali. Być może były trafne i ktoś inny, kto rzeczywiście ponosi winę, zdecydował się na ruch wyprzedzający. Postanowił rzucić na niego podejrzenie. Nie byłby to przecież pierwszy raz. Chwilę wcześniej niesłusznie oskarżyli podkomisarza Janiaka. O jego niewinności Sara wiedziała od początku, chociaż nie wykluczała, że jednak był jakoś zaangażowany w tę sprawę. Ściągnięcie danych z policyjnej bazy za pośrednictwem jego komputera mimo wszystko wyglądało dziwnie. Ale Janiak na pewno nie był zabójcą. Wyglądało to tak, jakby ktoś sobie z nich żartował, podrzucał co chwilę mylne tropy i kierował ich uwagę w niewłaściwą stronę. Być może zabicie prokuratora Szareckiego również było rodzajem zmyłki. Miało im zasugerować, że Szarecki zginął, bo był na dobrej drodze do ujęcia sprawcy. A przecież Sara świetnie wiedziała, że nie był. A teraz wpadł im do rąk kolejny ślad, tak ni stąd, ni zowąd, zupełnie bez sensu. I znów dotyczył policjanta z grupy, która ściagała sprawcę. To nie mógł być przypadek. Ktoś prowadzi z nimi jakąś chorą grę. Ale Sara podejrzewała także, że Kamiński nie przez przypadek stał się kolejnym celem ataku. To, że pierwszy głośno i publicznie sformułował podejrzenia dotyczące sprawcy wywodzącego się z wnętrza policyjnej organizacji, mogło mieć kluczowe znaczenie. On może wiedzieć coś, co prawdziwy sprawca – albo grupa, na czele której stoi – uznaje za niebezpieczne dla siebie. Trzeba to wyjaśnić. Sara była pewna, że ma rację, że przecucie nie może jej mylić. Powiedziała do Bubla:

– Jedziemy do niego. Musimy z nim pogadać.

– A gdzie on mieszka? – zapytał Jeremiasz.

– W Aninie. W domu jednorodzinnym.

– O rany – Bubel zamachał rękami – tak daleko? Chociaż w sumie może lepiej się przejechać niż siedzieć beczynnienie. Ale zaraz, pani Saro...!

– Tak, Bubel? – rzuciła Sara za siebie, bo nie czekając, ruszyła w drogę i za moment wychodziła już z budynku komendy.

– Pani Saro! – wołał Bubel, ledwo za nią nadążając – ale po co my do niego jedziemy? Ja nie wiem, czy to rzeczywiście jest on na tym nagraniu, film jest nieostry i kręcony z oddali, ale jeśli to rzeczywiście on, to może być niebezpieczny! Powinniśmy mieć jakieś wsparcie! Może wezwiemy antyterrorystów? Przecież jadąc tam samodzielnie, złamiemy procedury!

– Jakby co, mamy broń. Procedury sprawdzają się w typowych sytuacjach, ale ta jest wybitnie nietypowa. Mam przecucie, że Kamiński nie tylko nie jest winny, ale że ma jakiś niejasny, ukryty związek z tą sprawą i tego związku właśnie boi się prawdziwy sprawca. Musimy to wyjaśnić teraz, bo

za parę godzin, gdy uruchomimy te wszystkie procedury i zgarniemy go w bezpieczny i kontrolowany sposób, może być już za późno. Nie tylko dla nas, ale i dla niego.

– Kamiński ma związek z tą sprawą – odparł zdyszany Bubel, gdy wsiadał jako pasażer do służbowego samochodu – bo przecież jest członkiem naszego zespołu.

– I jednocześnie niedawno sam sugerował, że sprawcą może być ktoś z nas. Ktoś z policji. Jaki sens miałyby kierowanie naszej uwagi w tę stronę, jeśli to on byłby zabójcą?

– Może taki – powiedział Bubel, gdy samochód gwałtownie ruszył – żeby w przypadku wypadki zastanawiała się pani nad tym. No, żeby wzbudzić właśnie takie wątpliwości, jakie pani ma teraz – dodał Jeremiasz i aż sam się zdziwił, że myśl, którą właśnie wygłosił, wydała mu się tak przenikliwa.

Ala Sara spojrzała na niego z politowaniem i nic nie odpowiedziała. Przeklęła tylko w myślach i zwyzywała w duchu Jeremiasza Bublę słowami, których nie ośmielimy się tutaj przytoczyć. Minęła Starówkę i wjechała na most. Widok Wisły, wielkiej dzikiej rzeki przecinającej stolicę tego dzikiego kraju, trochę ją uspokoił, więc zaczęła tłumaczyć swojemu koledze:

– Czy to tak trudno zrozumieć, Bubel? Kamiński publicznie na naradzie całego zespołu mówi o tym, że zabójcą może być ktoś z policji. Podaje logiczne argumenty. Ja też wcześniej o tym myślałam, ale on pierwszy poskładał to wszystko do kupy. I trzy dni później przychodzi taki film. I to z zabójstwa księdza, który parę chwil wcześniej udzielał ślubu córce Kamińskiego. Przypadek? Nie sądzę. Ten film wygląda podejrzanie właśnie dlatego, że wszystko w nim tak dobrze pasuje. Pomyśl tylko, dotąd mieliśmy stos trupów i zero dowodów. A teraz nagle nagranie z zabójstwa i sprawca podany na talerzu? Takie rzeczy się nie zdarzają, Bubel. Wiesz, jakie są teraz możliwości techniczne. Wszystko, a już na pewno taki film, można bez trudu podrobić, zmanipulować. Zwróć uwagę, że ten filmik jest taki „w sam raz”. Nie za dobry, żeby wyglądał jak autentyczne nagranie ze średniej klasy smartfona, a jednocześnie na tyle klarownie przedstawiający sytuację, że łatwo rozpoznałam na nim Kamińskiego. Poza tym istnieje też inna ewentualność. Jeśli zabójca ma współpracownika, nagranie może być jego dziełem i stanowić rzeczywistą dokumentację morderstwa, tyle że strzelec jest ucharakteryzowany tak, aby z daleka przypominał Kamińskiego. Ktoś go wrabia, Bubel, ale ja znam go zbyt dobrze, żeby dać się na to nabrać. Powiem więcej, podejrzewam, że on wie, kto może być za to wszystko odpowiedzialny. Nie ma dowodów, więc jeszcze tego nie ujawnił, ale ma jakieś poszlaki, wskazówki. I ten ktoś, kto naprawdę jest winny, albo jakaś grupa tych ludzi chce go wyeliminować z gry. A jeśli są to ludzie z policji, to teraz jest ostatnia chwila na działanie. Musimy z nim pogadać, zanim dobiórą się do niego inni. Bo jak już się dobiórą, ten, kto go wrabia, nie da mu dojść do głosu. Jeśli Kamiński znalazł jakieś szambo w policji, to mamy ostatnią szansę, żeby wyciągnąć z niego to, co wie, zanim go ostatecznie pogrążą. Zamkną go i tyle go zobaczymy, zrobią mu jakieś samobójstwo w celi albo w inny sposób zaliczy nagły zgon.

Bubel słuchał jej wywodów i był coraz bardziej przekonany, że jego wcześniejsza myśl, która wydała mu się tak błyskotliwa, nie była jednak trafna. Jednocześnie czuł coraz większą ekscytację. Jeśli Sara ma rację, być może zaraz Bubel stanie się częścią wielkiej akcji demaskującej mroczne tajemnice policji. Będzie jednym z bohaterów. Zupełnie przypadkowo znajdzie się w centrum wydarzeń. Niezły czad – pomyślał Bubel, ale nic już nie powiedział. Resztę trasy przejechali w milczeniu.

Sara zaparkowała przed ogrodzeniem na cichej uliczce w Aninie. Zanim wysiedli, oboje sprawdzili swoją broń, a Sara powiedziała jeszcze:

– Mimo wszystko musimy uważać. Nic nie jest pewne. Trzeba zachować czujność. Rozumiesz to, Bubel?

– Jasne, rozumiem – odparł Bubel. Położył rękę na kaburze i poklepał ją kilka razy. – Ale to, co pani wykombinowała, brzmi rzeczywiście sensownie. Kurczę, to może być duża sprawa!

– Nie podpalaj się, Bubel. Musimy być czujni, ale spokojni. Znam komisarza Kamińskiego jako dobrego policjanta i porządnego człowieka, ale ze względu na okoliczności musimy dmuchać na zimne. Dlatego wywołam go najpierw, żeby wyszedł przed drzwi domu. Muszę się upewnić, że nic nam nie grozi.

– Dobra, jasne – powiedział Jeremiasz. Był mimo wszystko przekonany, że Kamiński jest w porządku i że zaraz będzie uczestniczył w bardzo ważnej rozmowie.

Wysiedli z samochodu i podeszli do wysokiego ogrodzenia. Był to metalowy parkan, wokół którego wiła się jakaś roślina. Sara nigdy nie interesowała się ogrodnictwem, ale wiedziała, że są specjalne odmiany krzewów, które sadi się przy ogrodzeniach, aby pięły się po nich i w ten sposób ulepszały wygląd płotu, zapewniając jednocześnie mieszkańcom większą dozę prywatności. Przez ogrodzenie niewiele było widać, jednak Sara znalazła pewne luki, przez które mogła dostrzec drzwi wejściowe domu komisarza Kamińskiego. Podeszła do furtki i zadzwoniła domofonem. Ustawiła się tak, że z okien domu nie była dobrze widoczna.

Przez kilkanaście sekund nikt nie odebrał, więc szybko zrobiła krok naprzód i zadzwoniła ponownie. Znowu odsunęła się na bok, a Bubel stał za nią. Po kolejnych dwudziestu sekundach pomyślała, że pewnie Kamińskiego nie ma w domu, ale właśnie wtedy z głośnika dobiegł dźwięk świadczący o tym, że po drugiej stronie podniesiono słuchawkę.

– Halo? – odezwał się komisarz Kamiński.

– Dzień dobry, panie komisarzu. Sara Heinz i aspirant Bubel. Przyjechaliśmy, żeby zamienić z panem kilka słów. Sprawa jest pilna. Możemy porozmawiać?

Po drugiej stronie nastąpiła chwila milczenia. Komisarz najwyraźniej nie był entuzjastycznie nastawiony do ich wizyty.

– No... dobrze, ale o co chodzi? Jest niedziela, wczoraj miałem wesele córki, a potem jeszcze w nocy odwiedziłem miejsce kolejnej zbrodni. Zresztą pani też tam była. Sama pani rozumie, że jestem trochę zmęczony. Czy to nie może poczekać do jutra?

– Przepraszam, że niepokoiimy o tak wczesnej porze, ale mimo wszystko nalegam. Chodzi o nasze śledztwo, komisarzu. Musimy pilnie porozmawiać. Bardzo proszę nas wpuścić.

Głos Sary był stanowczy i dało się wyczuć, że nie da się spławić. Kamiński zrozumiał, że nie uniknie otwarcia furtki.

– Dobrze, proszę wejść – odpowiedział. Rozległ się dźwięk uwolnionego zamka.

Sara nacisnęła klamkę i popchnęła furtkę, ale nie poszła dalej, tylko znowu nacisnęła dzwonek domofonu i się cofnęła.

– Co się dzieje? – zapytał komisarz przez głośnik. – Dlaczego nie wchodzić?

– Przepraszam, panie komisarzu, ale bardzo proszę, żeby wyszedł pan przed drzwi. Wiem, że może to zabrzmieć dziwnie, ale wolałabym, aby powitał nas pan przed domem.

W głośniku Sara usłyszała dziwny dźwięk, coś jakby parsknięcie. Zaraz potem komisarz rozbawionym tonem powiedział:

– Kurczę, co to za cyrk, pani Saro?! Ale dobrze, jak pani sobie chce. Proszę chwilę poczekać.

Sara przez szczeliny w roślinności obserwowała, jak drzwi domu się otwierają. Komisarz Kamiński wyszedł przed dom, zszedł po trzech schodkach i stanął na chodniku prowadzącym od furtki do domu. Sara widziała, że obie ręce ma wolne i swobodnie opuszczone. Uznała zatem, że może bezpiecznie

stanąć przed otwartą furtką. Po jej lewej stronie znajdowała się brama, która nie była zarośnięta żadnymi roślinami, ale składała się z grubych, pionowych, metalowych elementów, szczelnie zasłaniających widok z zewnątrz. Wchodząc na posesję, Sara zobaczyła, że za bramą stoi samochód komisarza, stary opel zafira. Podjazd był wyłożony kostką. Miała więc przed sobą prosty chodnik, po którego jednej stronie stał samochód, a po drugiej znajdował się trawnik zarośnięty chaotycznie rozrzuconymi krzewami. Widoczność była dobra, więc Sara uznała, że razem z Bublem mogą podejść bliżej.

Kamiński czekał na nich z wyrazem twarzy wskazującym na mieszaninę irytacji i rozbawienia. W pewnym momencie podniósł obie ręce nieco do góry, co mogło być w zamierzeniu sygnałem, że nie dzierży w dłoniach nic niebezpiecznego, ale mógł to być również zwyczajny gest gospodarza zapraszającego gości, by śmiało weszli do domu. Kamiński miał na sobie stare brudne dżinsy, rozchełstaną koszulkę polo i adidas na nogach. Pewnie jak ktoś mieszka w domu i kursuje między ogrodem a wnętrzem, to chodzi w adidasach, pomyślała Sara. Okulary na nosie komisarza były nieco przekrzywione, a krótkie włosy powyginane we wszystkie strony. Kamiński wyglądał tak, jakby dopiero co wstał i w pośpiechu się ubrał. Sara odetchnęła z ulgą. Wyglądało to dobrze. Komisarz stał przed domem i sprawiał wrażenie zdezorientowanego, a jednocześnie rozbawionego dziwacznością tej sytuacji. Patrzył pytająco przed siebie, tak jakby oczekiwał odpowiedzi na pytanie, co tu się w ogóle dzieje. Na twarzy rysował mu się lekki uśmiech. Sara dała znak Bublowi i oboje ruszyli przed siebie.

Minęli furtkę i ją zamknęli. Bubel był już rozluźniony, nabrał przekonania, że wszystko jest w porządku. Drażniły go nadmiernie ostrożne manewry Sary. Pani komisarz ciągle była napięta i po przekroczeniu furtki nadal trzymała dłoń na kaburze broni. Jednak zbliżając się do komisarza Kamińskiego i widząc jego coraz bardziej rozbawioną minę oraz rozłożone w geście otwartości ręce, również się odprężyła. Poczula, że chyba na nosie usiadła jej jakaś mucha. Byli już kilka metrów od Kamińskiego i wtedy Sara podniosła rękę, którą trzymała na kaburze, i strząsnęła nią z nosa natrętnego owada. Poczula ulgę, bo mucha ją laskotała, przechadzając się po jej twarzy. Pozbycie się tej niedogodności przyniosło niespodziewanie wyraźną poprawę w samopoczuciu Sary.

I ta poprawa, ta banalna ulga po pozbyciu się muchy, była ostatnim uczuciem przetworzonym przez jej świadomość, zanim straciła przytomność. Wszystko wydarzyło się w ułamku sekundy, tak błyskawicznie, że sygnał wzrokowy, choć odebrany przez gałki oczne, nie zdążył dotrzeć do tej części mózgu, która odpowiada za pamiętanie zaobserwowanych wydarzeń. Sara nie zdążyła zatem uzmysłwić sobie, że komisarz Kamiński nagle sięgnął obiema rękami za siebie, z tylnych kieszeni spodni wyjął dwa małe paralizatory i przyskakując do niej i aspiranta Bubla, poraził ich dużą dawką elektryczności. Bubel, choć nie miał problemu z natrętnymi owadami, i wydawało mu się, że jest skoncentrowany, był tak zaskoczony obrotem wydarzeń, że zdołał tylko szeroko otworzyć usta i z tak groteskowym wyrazem twarzy upadł na ziemię.

Gdy Sara odzyskała przytomność, próbowała wstać, ale okazało się, że w ogóle nie jest w stanie się poruszyć. Dopiero po chwili skonstatowała, że jest związana grubym sznurem. Chciała krzyknąć, aby wezwać pomoc, lecz to także okazało się niemożliwe. W jej ustach tkwił wepchnięty głęboko knebel. Oddychać mogła tylko przez nos, ale na szczęście nie czuła duszności. Przekręciła nieco głowę i zobaczyła, że leży na trawniku przed domem Kamińskiego, a leżący obok niej Bubel również powoli się wybudza. Z zimna przeszły ją dreszcz. Poczula złość. Była wściekła na samą siebie. Okazało się, że aspirant Bubel miał rację. Powinna była wezwać antyterrorystów, a nie pchać się w paszczę lwa. Nie rozumiała tylko, dlaczego leżą na trawniku. Dlaczego Kamiński nie zamknął ich w jakiejś piwnicy, jak

przystało na seryjnego mordercę i psychopatę. Po chwili poczuła, że krępujące ją więzy nieco się rozluźniają, gdy zaczyna się wiercić i próbuje rozciągać owijający ją sznur.

Okazało się, że była związana dość mocno, ale w taki sposób, że w ciągu dwudziestu minut zdołała się uwolnić. Gdy uwolniła ręce, z kneblem w ustach i nogami poszło już łatwo. Bubel tymczasem również poradził sobie całkiem nieźle. Usiedli na trawniku i rozciągając zdrtwiałe kończyny, zastanawiali się, co robić dalej. Sara zorientowała się, że jej pistolet nadal tkwi w kaburze, ale telefon, który zawsze nosiła w kieszeni, zniknął. Bubel stwierdził u siebie taki sam bilans strat. Sara nie rozumiała, co właściwie się wydarzyło, ale chciała jak najszybciej wezwać pomoc. Brama była zamknięta, lecz furka pozostała uchylona. Przecież w samochodzie mieli radiostację. Jeśli Kamiński jej nie uszkodził, będą mogli wezwać posiłki. Sara miała już wstać i ruszyć w stronę stojącego na ulicy radiowozu, kiedy kątem oka dostrzegła, że na schodach przed drzwiami domu leżą dwa telefony i dwa małe paralizatory. Pod nimi zaś tkwiła biała kartka.

Sara podeszła bliżej. Telefony należały do niej i Bubla, a paralizatory zapewne były urządzeniami, których Kamiński użył, by ich unieruchomić. Policjantka chwyciła skrawek kartki i wyciągnęła spod przygniatających ją przedmiotów. Na kartce odręcznym i świadczącym o pośpiechu autora pismem było napisane: „Pani Saro, przepraszam, ale to było konieczne. Paralizatory proszę wrzucić do Wisły. Pistolety znajdzie Pani w szafie w sypialni”.

Sara spozierała na Bubla i miała właśnie coś powiedzieć, gdy nagle zawibrował jej telefon leżący wciąż na schodach. Szybko odebrała i wysłuchała krótkiej informacji. Gdy skończyła rozmowę, wszystko było już dla niej jasne, dlatego powiedziała do Bubla:

– Słuchaj, aspirancie. Daliśmy ciała. A właściwie ja dałam ciała, bo nie posłuchałam twoich dobrych rad. Ale na szczęście da się to wszystko odkręcić. Może dziwnie to zabrzmie, bo Kamiński to seryjny morderca, ale mimo wszystko okazał się porządnym kolegą. Mógł nas zabić, a być może zrobił z nas bohaterów. Mamy mało czasu. Teraz sprzątniemy te paralizatory, sznury i kneble, trzeba będzie to wszystko gdzieś wyrzucić. A, i tę kartkę trzeba spalić. – Sara wyjęła z kieszeni zapalniczkę i podpaliła papier, który szybko spłonął. Czarne resztki pozostałe na schodach strzepnęła na trawnik. – Nikt nie musi wiedzieć, że potraktowano nas paralizatorami. Oficjalna wersja będzie taka: przyjechaliśmy, ale Kamińskiego już nie było. Furka i drzwi były otwarte, więc weszliśmy, by dokonać szybkich oględzin. W szafie w sypialni ujawniliśmy skradzione z policyjnego magazynu pistolety wraz z amunicją. Wezwaliśmy techników, a po ich przybyciu błyskawicznie udaliśmy się na Grochów. Czy wszystko jest dla ciebie jasne, Bubel, czy coś mam powtórzyć?

Komisarz Kamiński nie spał dobrze w nocy z soboty na niedzielę. Tłumaczył sobie, że to z powodu emocji związanych z weselem córki. Ale tak naprawdę sam w to nie wierzył. To było coś innego. Podskórnie przeczuwał, że coś jest nie w porządku. Dotychczas wszystko szło zgodnie z planem, a wczoraj po raz pierwszy miał wrażenie, że popełnił błąd. Ten dziwny odgłos w kościele... Ciągłe nie wiedział, czy rzeczywiście go słyszał, czy było to urojenie, ale przecież przy poprzednich zabójstwach nie miał żadnych urojeń. Wiercił się na łóżku, zmieniał pozycję, ale nie mógł zasnąć. Gdy wreszcie mu się udało, miał jakiś nieprzyjemny sen i obudził się nagle z bijącym mocno sercem. Otworzywszy oczy, zobaczył, że zrobiło się już jasno, ale nie czuł się wypoczęty. Mimo wszystko wstał i zszedł na dół, do kuchni. Zrobił sobie kawę i przygotował śniadanie. Zegar na kuchence mikrofalowej pokazywał, że jest już po dziewiątej. Czyli spał całkiem długo. Dlaczego więc czuł się taki rozbity? Jego myśli krążyły

chaotycznie po scenach z kościoła i z wesela, a jednocześnie, jedząc kanapkę z kielbasą, nerwowo spoglądał przez okno. Tak jakby oczekiwał, że coś się stanie. Nie zdążył dopić kawy, gdy okazało się, że się nie mylił.

Samochód był nieoznakowany, ale od razu poznał służbowe policyjne auto. Serce zabiło mu mocniej, ale wziął kilka głębokich oddechów i się uspokoił. Pobiegnął szybko na górę, żeby włożyć spodnie i koszulkę. Jednocześnie wyjrzał przez okno w sypialni. Z góry dobrze widział, że z auta jeszcze nikt nie wysiada. Patrzył przez chwilę i zastanawiał się, co to oznacza. Był pewien, że coś na niego mają, że to wrażenie, które odniósł w kościele, nie było urojeniem. Tam musiał ktoś być. Ktoś, kto w jakiś sposób dał sygnał policji. Nie musiał go rozpoznać, bardzo możliwe, że tylko opisał go w sposób, który mógł się z nim kojarzyć. Nie mogło to być coś bardzo mocnego, bo wtedy wysłaliby na niego grupę antyterrorystów. Z nimi nie miały szans. Ale skoro przyjechała ta dwójka – teraz wysiedli z samochodu, i Kamiński rozpoznał Sarę Heinz oraz aspiranta Bublę – to znaczy, że mają tylko nie do końca jasny trop. Komisarz uśmiechnął się pod nosem, bo przyszło mu do głowy, że może jego pokerowe zagranie przyniosło oczekiwany rezultat. Sam przecież podrzucił im pomysł, że za morderstwami może stać ktoś z policji. Sara była bardzo inteligentna, widziała i rozumiała więcej niż inni. I ta inteligencja zaprowadziła ją dzisiaj w to miejsce. Rozumowała w sposób kreatywny, niestandardowy, ale paradoksalnie to właśnie ją zgubiło. Powinna była trzymać się suchych zasad i procedur. Postąpiła jednak inaczej, co oznaczało, że plan awaryjny komisarza Kamińskiego sprawdzał się w całej rozciągłości. Właśnie o to chodziło – aby w razie powstania jakichś podejrzeń Sara pomyślała, że prawdziwi sprawcy ukrywający się gdzieś wewnątrz policji przestraszyli się docieklivosti komisarza Kamińskiego i teraz chcą go wyeliminować. Dzięki temu komisarz Kamiński otrzymał wyraźny sygnał, że jego czas dobiegł końca. Że nie zrealizuje całego swojego planu, dlatego musi pominąć kolejne etapy i przejść od razu do finału, który stanowić miał kulminację i sedno całego przedsięwzięcia. Joanna była już po ślubie, więc mógł to spokojnie skończyć już dzisiaj.

Nie chciał zabijać Sary i Jeremiasza, ale przez moment przyszło mu do głowy, że nie będzie miał innego wyjścia. Przecież jest na finiszu swojego przedsięwzięcia i nie powinien ryzykować. Jeśli po drodze pojawią się przypadkowe ofiary, będzie to niezbędny do poniesienia koszt. Szybko jednak doszedł do wniosku, że gdyby po wszystkim Joanna dowiedziała się, że jej ojciec oprócz złych ludzi zamordował również niewinnych policjantów, wszystko straciłoby sens. Kamiński uznał, że musi zaryzykować. Usłyszał dzwonek domofonu. Przez kilka chwil rozważał różne opcje działania. Jeśli przyjechali tylko we dwójkę, nie będą raczej próbowali go zatrzymać. Prawdopodobnie przyjechali porozmawiać, może wyjaśnić coś, co nagle się pojawiło i ma z nim jakiś związek. Mógłby ich wpuścić do domu, zaproponować herbatę i dosypać coś do niej. Nie miał jednak w domu nic, co działałoby błyskawicznie, a tylko takie działanie wchodziło w grę. Wybrał więc opcję z paralizatorami. Wiedział, że nie może być pewien sukcesu, bo chwila wahania może spowodować, że zdążą się obronić, wyjmą broń albo go uderzą. Nie widział jednak innego wyjścia. Poczekaj, aż zblizną się na odpowiednią odległość, i błyskawicznie porazi ich prądem. Z szuflady w sypialni wyjął dwa paralizatory i schował je do tylnych kieszeni spodni. Domofon zadzwonił ponownie. Odczekał jeszcze moment i dopiero wtedy odebrał. Był już całkiem opanowany, dobrze odgrywał swoją rolę. Chciał sprawić wrażenie dopiero co obudzonego i zdezorientowanego. Gdy po otwarciu furki Sara zadzwoniła ponownie i poprosiła, aby wyszedł przed dom, był już pewien, że mają wobec niego jakieś podejrzenia, inaczej nie zachowywaliby się z taką rezerwą. Od razu więc zaplanował sobie, jak postara się ich unieruchomić i co zrobi potem. Obliczył, ile będzie potrzebował czasu. Wyglądało na to, że wszystko powinno się udać.

Wyszedł przed dom i czekał na dogodny moment. Rozkładał szeroko ręce, udając przychylność i otwartość. Nie sądził, że zadziała to tak skutecznie. Po Bublu widział, że nie będzie miał z nim problemu, ale Sara ciągle trzymała rękę na kaburze. Wystarczył moment, jeden krótki ruch ręką. Kamiński wykorzystał chwilę, w której zdjęła dłoń z broni, by dotknąć nią swojej twarzy. Postępował szybko i pewnie. Jednocześnie obiema rękami sięgnął do tylnych kieszeni. Z paralizatorami w dłoniach przyskoczył do przodu, by porażenie było możliwie najskuteczniejsze. Działał automatycznie, bez wahania. Po prostu wykonywał zadanie. Przykra sprawa, ale i tak lepsze to, niż pozbawiać ich życia.

Bezwaładne, pozbawione przytomności ciała przeniósł na trawnik. Z garażu wyjął sznur i jakieś szmaty. Związał ich tak, aby przynajmniej przez kwadrans po obudzeniu nie mogli się w pełni oswobodzić. Chciał po prostu mieć czas na wykonanie swojego zadania do końca. Gdy się uwolnią, będzie już po wszystkim. Wyjął z ich kieszeni telefony i razem z paralizatorami położył na schodach przed domem. Wszedł na górę, wziął jeden z pistoletów, naładował i schował do kieszeni. Z gabinetu zabrał kartkę i długopis, napisał wiadomość dla Sary, po czym otworzył bramę. Wyjechał samochodem, na moment jeszcze wysiadł, aby zamknąć bramę i lekko uchylić furtkę, a następnie wyruszył w drogę.

Był spokojny i zdeterminowany. Jechał na Grochów do mieszkania swojej córki.

Jarosław, świeżo upieczony mąż Joanny *de domo* Kamińskiej, był, jak to się mówi, świetnie ustawiony. Pochodził z tradycyjnej polskiej rodziny, której wszyscy członkowie, odebrawszy uprzednio surowe wychowanie, z wielką wprawą łączyli narodowo-katolickie wartości z aspektami polityczno-biznesowymi. Od kilku lat dzięki koneksjom ojca rodziny, prominentnego działacza rządzącej partii, wszyscy dorośli krewni Jarosława byli pozatrudniani w rozmaitych spółkach, w których większośćowe pakiety posiadał Skarb Państwa. Jarosław natomiast był jeszcze sprytniejszy. Szybko doszedł do wniosku, że wpływy ojca może wykorzystać znacznie bardziej efektywnie. Posady w państwowych spółkach są fajne, ale jeszcze fajniejsze są kontrakty, które można z takimi spółkami zawierać, jeśli założy się własną firmę. W ten sposób Jarosław dość szybko stał się bogatym i szanowanym przedsiębiorcą. Jego tata był ministrem, brat taty był posłem, więc w zasadzie nie musiał nawet zabiegać o intratne kontrakty. Prezesi państwowych spółek sami się do niego zgłaszali. Podpisywał umowy na świadczenie różnych usług, które zwykle określane były jako usługi doradcze. Usługi doradcze mają to do siebie, że są ulotne, niematerialne, mają charakter ekspercki, co w praktyce oznacza, że w ogóle nie muszą być realnie świadczone, aby faktura została opłacona. Oczywiście zawsze tworzono jakiś dokument, który nazywano „opinią”, „raportem” albo „analizą”, na wypadek gdyby w przyszłości ktoś się tym zainteresował. Taki dokument stanowił materialny dowód, że rzeczywiście usługodawca wykonał jakąkolwiek pracę. Rzecz jasna efekty tej pracy nikogo nie interesowały, więc w środku znajdował się zwykle zbiór przeklejonych z internetu tekstów i wykresów.

Był to w gruncie rzeczy prosty i uczciwy układ. Wszyscy wiedzieli, że korupcja jest zła, niemoralna i zakazana prawem, więc nikt nie był na tyle głupi, żeby za posadę prezesa dużej spółki odwdzięczać się ministrowi albo posłowi prymitywną kopertą. Odwdzięczać należy się zawsze dobrym i regularnie opłacanym kontraktem na usługi doradcze dla firmy prowadzonej przez krewnego lub dobrego znajomego ministra albo posła. Taka wdzięczność jest w pełni legalna, nie budzi też oporów moralnych, bo jeśli pieniądze z państwowej spółki płyną do polskiego przedsiębiorcy, prawnego i uczciwego patrioty, jakim Jarosław był bez wątpienia, to nie może być w tym nic złego. Przeciwnie, jest to zdrowy mechanizm wspierający polskie państwo i gospodarkę.

W ten sposób Jarosław szybko osiągnął bardzo dobrą pozycję materialną. Nie to jednak pokochała w nim Joanna. W gruncie rzeczy nie miało to dla niej żadnego znaczenia. Pokochała Jarosława dlatego, że pod pewnymi względami przypominał jej ojca. Był mianowicie złym człowiekiem. Mówiąc prościej: był najzwyklejszym sadystycznym sukinysem. Władczym i silnym, oczekującym uległości i podziwu. Przekonanym, że jest panem otaczającej go rzeczywistości. Stosującym przemoc i zastraszenie jako coś absolutnie naturalnego. Bił Joannę i krzyczał na nią, by wyładować swoje emocje i dać upust wahającemu się wciąż nastrojowi. Gdy następnie się uspokajał, zmieniał się nie do poznania. Był do rany przyłoż, miły, elokwentny i pełen uczucia do swej ukochanej. Do czasu, aż znów coś go zdenerwowało. Joanna bała się go tak samo, jak przez całe dzieciństwo bała się swojego ojca. Nienawidziła tego strachu i jednocześnie nie mogła bez niego żyć. A skoro mimo wszystko był on jej ojcem, tatą, tatusiem, a wiadomo przecież, że każde dziecko kocha swojego tatę, kochała go, zwłaszcza że czasem robił dla niej wspaniałe rzeczy, spędziła z nim wiele radosnych chwil i tylko potem od czasu do czasu zdarzało się, że się zdenerwował i znowu zwyzywał mamę, uderzył ją kilka razy, znowu Joannie dostało się przy okazji, ale przecież tak było zawsze, Joanna przeżywała to wszystko od urodzenia, dlatego była przekonana, że jest to całkowicie normalne, że tak musi być, że rodzina, w której żyje, jest prawdziwą kochającą się rodziną. Że przemoc i strach są nieodłączną częścią miłości. Nieodłączną i konieczną, bo mężczyźni, którzy nie stosują przemocy, to – za przeproszeniem, bo Joanna wiedziała, że nie należy używać brzydkich słów – zwykle cipy, zniewieściale kukiełki, które w razie zagrożenia nie będą w stanie zapewnić bezpieczeństwa własnej rodzinie.

Gdy Joanna weszła w dorosłość, komisarz Kamiński był początkowo niezadowolony, że wyprowadziła się z domu, usamodzielniała się. Matka Joanny już kilka lat wcześniej umarła. Nie mogąc poradzić sobie ze stresem i lękiem, wpadła w alkoholizm, co szybko wpędziło ją w chorobę i w konsekwencji doprowadziło do śmierci. Jak powiedzieli lekarze, wątroba nie wytrzymała. Komisarz Kamiński był na nią zły. Była słaba. Komisarz był ogólnie zły na kobiety, że są takie słabe. Nie tylko dają się lać i nie mają siły odejść. Nie umieją również poradzić sobie z emocjami, a jeśli ze względu na te emocje zaczynają pić, często szybko tracą zdrowie. Przecież tylu facetów pije nałogowo, na samych ulicach i dworcach znaleźć można mnóstwo zapijaczonych meneli, a mimo wszystko zdrowie im nie szwankuje. Mogą być brudni, szaleni, śmierdzący, ale jakoś przeżywają długie lata bez interwencji lekarzy. A kobietom zazwyczaj potrzeba znacznie mniej alkoholu, by dostać marskości wątroby albo popełnić banalne samobójstwo.

Komisarz był więc zły, i teraz wyładowywał tę złość na córce, skoro tylko ona mu pozostała. A tymczasem Joanna się wyprowadziła. Była dorosła, więc w sumie to nic dziwnego, ale mimo to komisarz był niepokieszony. Na szczęście nie zerwała z nim kontaktu, potulnie odwiedzała go przynajmniej trzy razy w tygodniu, przynosiła jedzenie do odgrzania i trochę sprzątała w jego domu.

Któregoś dnia na przełomie marca i kwietnia powiedziała, że ma chłopaka, z którym się spotyka, że chciałyby, aby Kamiński go poznał i w związku z tym zaprasza go na obiad. W sobotnie popołudnie Kamiński wkroczył do mieszkania na Grochowie i poznał Jarosława. W trakcie posiłku dowiedział się wiele o swoim potencjalnym zięciu. Przede wszystkim zaznajomił się z jego wysokim statusem społecznym i finansowym, którym Jarosław chwalił się bez cienia zażenowania, zaznaczając, że jego miłość do Joanny jest na tyle mocna, że już teraz, mimo że nie wzięli jeszcze ślubu, spłacił przed terminem cały kredyt, który zaciągnęła na kupno dwóch pokoi z kuchnią na kameralnym nowym osiedlu wkomponowanym w zabudowę starych odrapanych kamienic w okolicach ulic Wiatracznej i Szaserów. Kamiński był bardzo zadowolony, gdyż Jarosław okazał się wręcz idealnym partnerem dla

jego córki. I to wcale nie dlatego, że był bogaty i ustosunkowany. Były to miłe, ale jednak drugorzędne cechy tego kawalera. Rozstrzygające było to, jak traktował Joannę. Po tym, jak do niej mówił, czy raczej powinniśmy rzec – w jaki sposób nią zarządzał, komenderował, wydawał krótkie polecenia głosem pewnym i nieznoszącym sprzeciwu, po tym, jak Joanna patrzyła na Jarosława, jak zwinnie i ochoczo wykonywała jego komendy, komisarz Kamiński zorientował się, że Jarosław trzyma Joannę krótko. Tak jak powinno się trzymać swoją kobietę. Tak samo jak komisarz Kamiński postępował, będąc ojcem własnej rodziny. Kamińskiemu bardzo spodobało się to, że jego przyszły zięć – bo Joanna i Jarosław w trakcie deseru oznajmili, że dwa tygodnie wcześniej dokonali aktu zaręczyn – jest jakby skrojona na miarę przez doskonałego krawca charakterów kopią jego samego, komisarza Jana Kamińskiego, wspaniałego ojca i surowego, ale kochającego męża, niestety przedwcześnie owdowiałego, co jednak – był tego pewien – nie spotka jego zięcia, gdyż wychowanie odebrane przez Joannę, o czym Kamiński był niezbitnie przekonany, nauczyło ją twardości, której tak brakowało jej matce.

Kilka dni później Kamiński spotkał w pracy Łukasza Jureckiego. Był to jego rówieśnik, kolega ze szkolnych lat, który obecnie pracował w policyjnym magazynie. Ich relacje – niegdyś bardzo zażyłe – w ostatnich latach nieco się rozluźniły, nadal jednak przyjaźnili się i spotykali od czasu do czasu. Tym razem wpadli na siebie w okolicach komendy i od razu stwierdzili, że tak dogodny zbieg okoliczności warto uczcić wyjściem na piwo. Po zakończeniu służby Kamiński wszedł do jednej z knajp na Starym Mieście i szybko odnalazł przy jednym ze stolików czekającego już Jureckiego. Już wtedy zastanowiło go, że jego przyjaciel co jakiś czas pokasływał, ale nie pytał, co się dzieje, bo przecież Jurecki palił papierosy, a uporczywy kaszel często towarzyszy palaczom i wcale nie musi się wiązać z żadnym poważnym schorzeniem. W trakcie rozmowy Kamiński pochwalił się, że jego córka ma narzeczonego i planuje ślub za kilka miesięcy. Nie omieszkął również opisać przyszłego zięcia w samych superlatywach, zwracając szczególną uwagę na fakt, że najwyraźniej trzyma on Joannę na krótkiej smyczy i stosuje odpowiedni dla damsko-męskich relacji rygor, co Kamiński uznał za bardzo korzystne dla szczęścia i powodzenia przyszłej rodziny.

Gdyby Kamiński obserwował uważnie twarz Jureckiego, spostrzegłby istotną zmianę. Jurecki nieco pobladł, zaczął wykonywać nerwowe ruchy i jeszcze intensywniej kaszleć, a po chwili powiedział, że w knajpie zrobiło się duszno, więc zaprasza go do siebie do domu na kontynuację spotkania, które, jak obiecał, upłynie im przy jeszcze mocniejszych napitkach niż piwo, którym dotąd się raczyli.

Wsiadli w metro, następnie przesiadli się do autobusu i po trzech kwadransach wchodzili do starego domu w Aninie, w którym mieszkał Jurecki. Obaj urodzili się i wychowali w tej części Warszawy i z czasem odziedziczyli domy po swoich rodzicach. Mieszkali w odległości kilku ulic od siebie, więc Kamiński mógł spokojnie pozwolić sobie na małe upojenie alkoholowe bez obaw o późniejszy powrót do domu.

Gdy starzy znajomi opróżnili półlitrową butelkę wódki, co wprowadziło ich w stan wesołego rozluźnienia i większej otwartości, Jurecki zaproponował, by zeszli do piwnicy, gdyż – jak stwierdził – trzyma tam coś ważnego i tajemniczego, co teraz po starej znajomości chciałby pokazać Kamińskiemu. Gdy byli już na dole, Jurecki stanął w drzwiach i wskazał dwa pudełka – jedno większe, drugie mniejsze – leżące na szafce pod ścianą.

– Podejdź i otwórz. Na pewno zaskoczy cię to, co jest w środku.

Kamiński zaintrygowany zbliżył się do tajemniczych pakunków i otworzył większy z nich. Jego ręką trzymająca pokrycie pudła zastygła w powietrzu, gdyż uświadomił sobie, co jest w środku.

W pudełku leżały pistolety. I to takie, jakich dotąd nigdy nie widział. Małe, nieznanego mu marki, ale wyglądające bardzo solidnie. Gdyby miał jeszcze ułamek sekundy więcej na połączenie kilku faktów, domyśliłby się zapewne, że są to pistolety, które kilka miesięcy wcześniej z wielką pompą zakupiono za ogromne pieniądze dla polskiej policji. Gdyby miał jeszcze kolejną chwilę na kontynuowanie swojego rozumowania, doszedłby do wniosku, że pistolety te absolutnie nie powinny znajdować się w piwnicy Jureckiego. Nie zdążył jednak odbyć we własnym umyśle tej intelektualnej wędrówki, bo Jurecki jednym mocnym ciosem w tył głowy powalił go na ziemię pozbawionego przytomności.

Gdy Kamiński odzyskał świadomość, leżał związany na zimnej betonowej podłodze.

– Wreszcie! – krzyknął Jurecki. – Myślałem, że będę musiał czekać do rana, aż się wybudzisz.

Powiedziawszy te słowa, policyjny magazynier podszedł do leżącego na ziemi kolegi, podniósł przygotowaną uprzednio pałkę teleskopową i zaczął z całych sił okładać Kamińskiego po nogach i tułowiu. Komisarz krzyczał i wył, czując przeraźliwy ból i potworną bezradność. A Jurecki okładał go bez opamiętania, na przemian śmiejąc się i doznając nagłych ataków kaszlu. Kanonada ciosów trwała dobre dwie minuty, tak że Kamiński był bliski kolejnej utraty przytomności. Jurecki jednak w pewnym momencie przestał go bić, wyprostował się, odrzucił narzędzie tortur na drugą stronę pomieszczenia i zdyszany usiadł na krześle stojącym przy drzwiach wejściowych.

Począł, aż odzyska miarowy i spokojny oddech, co wymagało kilku kolejnych serii kaszlu, po czym z uśmiechem powiedział:

– Tyle lat o tym marzyłem! A wiesz o czym, Kamiński? O tym, żeby spuścić ci taki porządny wpięrdol. No i co teraz sobie o mnie myślisz? Twój dobry szkolny kolega, porządny facet i uczciwy obywatel nagle okazał się psychopata! I wiesz, co teraz z tobą zrobię, drogi Janie Kamiński? Zabiję cię – wyszczał Jurecki. – Zastrzelę cię z tego małego pistoletu, który dzięki temu zasłuży sobie na miano chluby polskiej policji.

Kamiński wydał z siebie przeciągły jęk. Trudno powiedzieć, czy był on skutkiem przenikającej go rozpacz, czy fizycznego bólu. Jurecki tymczasem wstał, wyjął jeden z małych pistoletów, naładował go nabojami wyjętymi z mniejszego pudełka i stanął nad leżącym komisarzem.

– Znałem przecież twoją rodzinę. Przez lata obserwowałem, jak systematycznie i konsekwentnie krzywdzisz swoją żonę i córkę. Ale nic nie robiłem. Wszyscy wokół to widzieli i pozostawali bezczynni. Bo tak nas nauczono. W sprawy innych rodzin nie należy się wtrącać. A już na pewno w sprawy sąsiadów, kolegów, przyjaciół. To byłoby nie w porządku. Nikt nie powiedział ci złego słowa, nikt nie zawiadomił policji. Ja też nie mówiłem i nie zawiadaniałem. Udawałem, że tego nie widzę albo że nawet akceptuję to, co robisz. Ale teraz jest mi już wszystko jedno. Mam raka płuc, zostałem mi najwyżej rok życia. Nie muszę już do niczego dążyć, na nic nie oczekuję. Mogę sobie pozwolić na odrobinę szaleństwa, prawda, Janek? A dla mnie takim radosnym wariactwem będzie wymierzenie ci sprawiedliwej kary za krzywdy wyrządzone ludziom, którzy teoretycznie byli ci najbliżsi. Twoja żona już dawno umarła, ale gdy dziś usłyszałem, co powiedziałeś o Joannie, coś we mnie pękło. Najgorsze jest to, że ty nawet teraz nie dostrzegasz tego, co zrobiłeś. Jesteś nie tylko bezwzględny skurwysynem. Jesteś bezgranicznym idiotą. To, jakim byłeś mężem i ojcem, to nawet nie katastrofa. To zbrodnia. Tymczasem ty ciągle jesteś przekonany, że wszystko ci się świetnie udało. Że byłeś doskonałym mężem i wspaniałym tatusiem. A teraz córka przyprowadziła ci cudownego zięcia, który ku twojej uciechy będzie kontynuował twoje dzieło. To teraz ja ci pokażę, jak on ją będzie traktował! – zakończył Jurecki, po czym zaczął kopać Kamińskiego z całych sił, wywołując u swej ofiary kolejne spazmatyczne wstrząsy, a w swoim organizmie potęgując napady kaszlu.

Po kolejnej sesji przemocy Jurecki przy akompaniamencie nieprzerwanego zawodzenia, które wydobywało się z ust Kamińskiego, ponownie usiadł na krześle, żeby odpocząć i odzyskać oddech. Gdy mu się to udało, wrzasnął:

– Przystań wreszcie wyć, do cholery!

Kamiński jak na komendę ucichł, mimo że nadal czuł wszechogarniający ból i przerażenie.

Jurecki wstał i uśmiechnął się szeroko.

– A teraz przyszedł czas na gwóźdz programu. Teraz cię zabiję – powiedział, a gdy Kamiński znów zaczął jęczeć, krzyknął: – Zamknij się, do cholery!

Komisarz ponownie się uciszył, a Jurecki kontynuował.

– Taki silny mężczyzna, a ryczy jak ostatni mazgaj. – Jurecki podniósł trzymany w ręce pistolet i skierował lufę w stronę Kamińskiego. – A teraz masz ostatnią szansę. To trochę jak zagadka Sfinksa. Zadam ci jedno pytanie, a ty masz jedną szansę na odpowiedź. Odpowiesz błędnie i od razu cię zastrzelę. Odpowiesz prawidłowo – uratujesz życie. Rozumiesz?

Kamiński znów głośno jęknął.

– Rozumiesz?! – wrzasnął Jurecki.

Tym razem Kamiński nieznacznie pokiwał głową i stęknął niewyraźnie:

– Tak... rozumiem...

– To dobrze. Pytanie jest w gruncie rzeczy banalnie łatwe. Po prostu powiedz mi, co teraz czujesz.

Gdyby Kamiński był bohaterem amerykańskiego filmu albo przynajmniej postacią z polskiego filmu wzorowanego na amerykańskich, z pewnością uniósłby się dumą i z podniesionym czołem, o ile w pozycji leżącej można podnieść czoło, odrzekłby, że gardzi swoim oprawcą, że jest silny i pewny siebie, gdyż znajduje się wobec Jureckiego na pozycji moralnej wyższości, a w ogóle to Jurecki nie będzie miał odwagi go zabić, bo jest przecież tylko nędznym magazynierem, do tego najwyraźniej psychopata, skoro doprowadził do tak absurdalnej sytuacji, a zatem Kamiński za chwilę oswobodzi się z więzów, obezwładni Jureckiego i zaprowadzi przed oblicze sprawiedliwości, kończąc ten żalony spektakl, w którym on, komisarz Jan Kamiński, musi zostać końcowym zwycięzcą, ponieważ przez całe życie we wszystkim wygrywał, więc teraz, nawet w tak trudnym będąc położeniu, przegrać absolutnie nie może. Tak odpowiedziałby Jan Kamiński, gdyby to była scena rodem z rasowego kina akcji.

Jednak to nie był film, ale prawdziwe, brutalne życie, absurdalne, bezsensowne, potrafiące zaskoczyć i odebrać mowę.

– Mów! Odpowiadaj! Co teraz czujesz?! To twoja ostatnia szansa!

Kamiński chyba wiedział, co czuje. Nie rozumiał, co się dzieje, wszystko go bolało i był śmiertelnie przerażony. Dlatego odpowiedział krótko i rzeczowo w jedyny sposób, jaki przyszedł mu do głowy:

– Boję się.

Jurecki w odpowiedzi na to chrapliwe i bezsilne wyznanie podniósł brwi i popatrzył na Kamińskiego z podziwem.

– Proszę, proszę. Zaskoczyłeś mnie. Bardzo pozytywnie mnie zaskoczyłeś. Nie wierzyłem, że udzielisz prawidłowej odpowiedzi. A mimo wszystko ci się udało. Teraz odłożę pistolet, wezmę nóż i poprzecinać więzy. Kiedy się oswobodzisz, możesz rzucić się na mnie, obezwładnić i aresztować. Albo możesz wybrać drugą opcję: pozierać się, pomasażać bolące miejsca i pójść ze mną na górę. Wypijemy drugą flaszkę i porozmawiamy. Poważnie i szczerze.

Kamiński, sam nie wiedząc czemu, wybrał drugi z zaproponowanych wariantów. Może był tak obolały, że nie miał siły atakować Jureckiego, a może już wtedy coś przestawiło się w jego świadomości i zaczynał rozumieć, do czego to wszystko zmierza.

Gdy byli ponownie w salonie i pochylali się nad stołem, na którym stały wypełnione kieliszki, Jurecki powiedział:

– Mam nadzieję, że wybaczysz mi ten okrutny spektakl, w którym brałeś udział. Niestety wszystko, co ci powiedziałem, było prawdą. Zarówno to, że mam raka, jak i to, że od dawna chciałem dotkliwie cię pobić. Albo w jakikolwiek inny sposób ukarać. Ale tak naprawdę nie chodzi o samą karę. Przeprowadziłem na tobie eksperymentalną terapię. Gdybym przedstawił ją wybitnym psychiatrom i psychologom, z pewnością odrzuciliby moją metodę i mieliby zresztą rację. Statystycznie rzecz biorąc, to nie powinno się udać. Ale mam wrażenie, że w twoim przypadku jednak się udało. Wnoszę to choćby po tym, że nadal ze mną siedzisz i rozmawiasz. Zapytasz pewnie, po co to robię. Sam nie wiem. Człowiek w obliczu zbliżającej się śmierci czuje chyba potrzebę zrobienia czegoś spektakularnego. Przez większość życia funkcjonujemy spokojnie i pchamy własną egzystencję do przodu, a gdy zaczynamy widzieć kres, uświadamiamy sobie, że nie tylko nic istotnego w tym życiu nie zrobiliśmy, ale że wręcz popsuliśmy mnóstwo rzeczy, a przynajmniej zaniedbaliśmy. I ja właśnie chcę naprawić moje zaniedbania w stosunku do ciebie i twojej rodziny. Swojej nie założyłem, więc może powiesz, że się wymądrzam, ale to nie znaczy, że nie widzę i nie rozumiem ludzkich emocji. Widzę je i rozumiem, i tym bardziej jestem na siebie zły, że dotąd pozostawałem bierny.

Wypili po kieliszku, po czym Jurecki kontynuował:

– Wiesz, czemu służyło to całe przedstawienie? I dlaczego zależało mi, żebyś udzielił prawidłowej odpowiedzi? Bo tylko w ten sposób miałeś szansę zrozumieć, co czuły twoja żona i córka. Strach, lęk, przerażenie. Ty przeżyłeś to w krótkim czasie i w skondensowanej formie, ale one odczuwały to przez cały czas. Nieustannie. Chodziło mi o to, żebyś sobie to uświadomił. One postrzegały ciebie tak, jak ty mnie, gdy leżałeś na podłodze w piwnicy. Z jednej strony znałeś mnie od lat jako porządnego człowieka, z drugiej zobaczyłeś szaleńca, którego nie da się okiełznać, wobec którego jesteś bezradny. Twoja żona i córka widziały w tobie męża i ojca, i jednocześnie oprawcę. Ta pozorna sprzeczność, gdy ciągnie się latami, a w przypadku córki jest czymś naturalnym, bo ona innego życia nie pamięta, przestaje być sprzecznością, staje się sytuacją jednocześnie normalną i patologiczną. Ofiary rodzinnej przemocy czują ciągle lęk, zagrożenie, niepewność, a jednocześnie, jakkolwiek dziwnie to zabrzmia, czują się bezpiecznie w takim położeniu, nie są w stanie od niego uciec, bo jeszcze bardziej przeraża je wizja tego, co by się stało, jak bardzo byś się rozłościł i je skrzywdził, gdyby się tobie przeciwstawiły. Ten okropny stan jest wzmacniany przez społeczny obyczaj, który nakazując bierność wobec rodzinnej przemocy, ugruntowuje w ofiarach przekonanie, że ich sytuacja jest bez wyjścia. Że są skazane na życie ze swoim katem, bo nawet gdyby został aresztowany i poszedł do więzienia, to potem wyjdzie, wróci i się na nich zemści. Wychowałeś Joannę w taki właśnie sposób. I teraz ona, mimo że doznała od ciebie tyle krzywd, pakuje się w związek będący kopią twojej relacji z żoną. Pakuje się w ten związek dlatego, że tylko taki model związku zna, ale i dlatego, że chce, żebyś ty był z tego związku zadowolony. Ona wciąż się ciebie boi, Janek, mimo że od dawna już z tobą nie mieszka.

To, co stało się tego dnia z komisarzem Kamińskim, było być może terapeutycznym cudem niemożliwym do powtórzenia w solidnie przeprowadzonych badaniach klinicznych, które wykonano by na reprezentatywnej próbie pacjentów. Tym niemniej stało się faktem, że komisarz spojrział na swoje życie w zupełnie odmienny sposób. Terapia szokowa okazała się zadziwiająco skuteczna. Traumatyczne

emocje, które odczuwał, leżąc bezwładnie w piwnicy, tkwiły w nim cały czas również wtedy, gdy spokojnie siedząc w salonie, kończyli drugą butelkę wódki. I miały pozostać z nim już na zawsze, budząc coś, co dotąd było mu obce, a mianowicie empatię. Poczul ogromny żal, gdy uzmysłowił sobie, że Joanna faktycznie z jego powodu przez całe życie trwała w lęku, a teraz zrujnuje je sobie małżeństwem z jego młodszą kopia. Już wtedy Kamiński przeczuwał chyba, co wkrótce się stanie, bo w pewnym momencie przerwał wywód Jureckiego i zapytał:

– A po co ukradłeś z magazynu te pistolety? I czy nikt się nie zorientował, że zginęły?

– Ukradłem je chyba właśnie po to, by zrobić coś spektakularnego, chociaż, jak ci mówiłem, nie wiem jeszcze dokładnie, co to ma być. To, co zrobiłem z tobą, było bardzo efektowne, ale w sumie te pistolety nie były do tego potrzebne. Zobaczmy, może jeszcze coś wymyślę. A o ich zniknięciu jeszcze nikt nie wie. Przecież to ja jestem magazynierem. Zgłoszę ich zaginięcie, kiedy uznam, że przyszedł na to czas.

Tej nocy Kamiński nie miał siły wracać do domu. Wszystko go bolało, a alkohol też zrobił swoje. Położył się na kanapie w salonie i zasnął. W nocy budził się parę razy i dopiero rano, gdy zażył kilka pastylek przeciwbólowych i zjadł z Jureckim śniadanie, był w stanie wrócić do siebie. Zadzwonił do pracy, by wziąć wolne na najbliższe kilka dni. Nie prowadził akurat żadnej poważnej sprawy, więc mógł sobie na to pozwolić. Kolejne dni spędził na myśleniu. Myślał o tym, co się stało, zaczął też czytać w internecie różne teksty o problemie przemocy domowej, kłopotach dzieci z rodzin alkoholików albo innych osób, które wychowywały się w tak zwanych rodzinach dysfunkcyjnych. Im więcej czytał, tym w większym stopniu widział w opisywanych sytuacjach i zdarzeniach własną rodzinę. I siebie w roli rodzinnego zbrodniarza.

Zrozumiał, że przemoc, nawet jeśli występuje tylko okazjonalnie, od czasu do czasu, wcale nie jest – jak dotąd uważał – normalnym narzędziem stosowanym w relacjach rodzinnych, co więcej, krzywdzi ona ofiary nie tylko fizycznie, lecz pozostawia również psychiczną traumę na całe życie oraz determinuje dalsze decyzje życiowe, wpędzając w spiralę problemów, takich jak niskie poczucie własnej wartości, brak zaufania do innych ludzi, niechęć do bliskości, nieumiejętność podejmowania samodzielnych decyzji, trudności z wchodzeniem w trwałe związki oparte na partnerstwie i skłonność do poszukiwania związków opartych na podległości i podporządkowaniu.

Uzmysłowił sobie, że to on był winny śmierci swojej żony i skrzywdził bezpowrotnie swoją córkę, że uszkodził ją na całe życie, przez co nie potrafiła wejść w związek z mężczyzną, który by ją kochał, był dla niej czuły, sympatyczny, po prostu ludzki. Nigdy bowiem nie miała wokół siebie takich wzorców, przeciwnie, Kamiński zawsze twierdził, że taki wzorzec związku jest godny pożalowania. Dopiero teraz, gdy sam miał za sobą doświadczenie przeraźliwego strachu odczuwanego przez bezsilną ofiarę, gdy uświadomił sobie, że to, co uważał za tradycyjne metody wychowawcze, było w istocie zbrodnią dokonywaną na najbliższych dla niego osobach, cały jego świat wartości odwrócił się do góry nogami. Pojął, że jeśli pojawiali się nawet wokół Joanny jacyś adoratorzy, którzy chcieli zainteresować ją sobą za pomocą uśmiechu, spojrzenia, życzliwości czy fajnej rozmowy, którzy wychodzili z inicjatywą pójścia do teatru, na spacer czy do restauracji, to nie mieli u Joanny żadnych szans. Joanna nie mogła się nimi zainteresować, a już na pewno nie była w stanie ich pokochać, bo nie budzili w niej strachu. Nie bała się ich, więc nie mogła ich szanować. A miłość przecież wymaga szacunku. Wymaga także emocji, iskry przechodzącej między dwiema osobami. Joanna była w stanie podziwiać i doceniać tylko tych mężczyzn, którzy budzili w niej lęk. Dobroć i czułość były dla niej objawem słabości – czymś negatywnym i wcale nie pociągającym.

W umyśle Kamińskiego dokonał się wówczas swego rodzaju kopernikański przewrót. Poczul pogardę dla samego siebie i postanowił, że musi coś zrobić, by chociaż częściowo zadośćuczynić Joannie. Całe jego życie, z którego był tak dumny, wydało mu się nędzne i podłe. Ujrzał je teraz w innym świetle – jako coś absolutnie złego. Zniszczył życie swojej żonie i córce. Doszedł do wniosku, że jego życie musi się jak najszybciej zakończyć, bo jest szkodliwe, jest jak choroba, która nie tylko dręczy jego samego, lecz jest także źródłem koszmaru dla wszystkich, którzy znajdują się w jego pobliżu. I postanowił, że przynajmniej zakończenie tego życia przeprowadzi tak, aby choć trochę naprawić to, co zepsuł.

Kamiński zdawał sobie sprawę, że mentalna przemiana, którą przeszedł, jest czymś wyjątkowym i niespotykanym. Zdecydowana większość podobnych mu ludzi nigdy nie zrozumie tego, jak ogromna krzywda dzieje się ich bliskim, tacy ludzie zazwyczaj nigdy się nie zmieniają i do końca żyją w przeświadczeniu o własnej moralnej wielkości. A skoro tak, to aby uwolnić ich otoczenie od cierpienia, trzeba ich wyeliminować.

W ten sposób w jego głowie zrodziło się to całe mordercze przedsięwzięcie. Emocje i przemyślenia skumulowane w krótkim czasie sprawiły, że niczym zabawkowy samochodzik, który po nakręceniu mechanizmu i postawieniu na ziemi gwałtownie rusza do przodu, Kamiński czuł nieodpartą potrzebę działania. Różnica była taka, że samochodzik po nagłym starcie szybko się zatrzymuje, a komisarz – jak miało się później okazać – utrzymał tempo i konsekwentnie realizował plan do samego końca.

Najważniejszym elementem planu miał się stać przyszły mąż Joanny. Tak jak wcześniej Kamiński podziwiał Jarosława, tak teraz znienawidził go jak samego siebie. Wybrał go zatem na przedostatnią ofiarę. A skoro sam komisarz miał być ostatnią z ofiar tej przedziwnej zemsty skierowanej przeciwko własnej przeszłości, nie miał nic do stracenia i postanowił, że wcześniej w spektakularny i jednocześnie finezyjny sposób oczyści Warszawę – przynajmniej częściowo – z podobnych jemu oprawców, a całość zorganizuje tak, by Joanna wyszła z tego wszystkiego – na tyle, na ile to możliwe – jak najbardziej wolna i oswobodzona.

Kilka dni później Kamiński ponownie odwiedził Jureckiego i przedstawił mu swoje zamierzenia. Uznał, że pistolety ukradzione z policyjnego magazynu idealnie nadają się do realizacji planu. Po pierwsze, są podobno bardzo dobrej jakości, ciche, skuteczne i szybkie, a po drugie – jakkolwiek perwersyjnie by to zabrzmiało – dodadzą całemu przedsięwzięciu odrobinę finezji. W końcu seryjny morderca używający najnowocześniejszego sprzętu, będącego chlubą polskich sił mundurowych, to zaiste obraz o wymiarze symbolicznym. W końcu policja też nie jest w tym wszystkim bez winy. Nie chodziło o to, że Kamiński sam jest policjantem, a raczej o to, że cały społeczny i państwowy system, którego policja była elementem, problem przemocy – wobec najbliższych, wobec słabszych czy wobec ludzi w jakikolwiek sposób odmiennych – traktował jako problem nieistniejący. Oficjalne stanowisko było jasne: problemy tego typu są marginalne i właściwie nie występują, a jeśli już się pojawiają, są skutecznie zwalczane. Realia wyglądały zupełnie inaczej: przemoc była powszechnie tolerowana, a co za tym idzie – nie uważano jej za coś godnego uwagi. Większość przypadków w ogóle nie była zgłaszana i nie pojawiała się w statystykach, bo po co zgłaszać coś, co w ogólnym odbiorze społecznym nie jest w gruncie rzeczy niczym specjalnie nagannym. Była to swoista społeczna schizofrenia – w teorii każdy, kogo zapytano, zgodziłby się, że przemoc jest zła, w praktyce jednak, widząc konkretne przykłady przemocy, dość łatwo znajdowano dla nich usprawiedliwienie, które uwalniało od winy zarówno w sferze moralnej, jak i prawnej.

Jurecki był początkowo bardzo zaskoczony, ale ostatecznie zaakceptował plan Kamińskiego i zgodził się oddać mu wszystkie egzemplarze skradzionej broni oprócz jednego, który zostawił dla siebie, bo chciał mieć możliwość skończenia ze sobą, gdyby objawy postępującej choroby, obecnie jeszcze stosunkowo łagodne, w przyszłości stały się nie do wytrzymania.

Teraz – pół roku po tamtych wydarzeniach – gdy Kamiński jechał w ten niedzielny październikowy poranek w stronę Grochowa, by sfinalizować swój plan, w jego głowie wciąż tkwiła pewność co do słuszności podjętych działań. Wiedział, że krzywda, którą wyrządził córce, miała charakter nie tylko dożywotni dla niej samej, ale wręcz wielopokoleniowy. Tą krzywdą był nie tylko ból i strach, nie tylko wstyd i siniaki, których sprawcą niegdyś był on sam, teraz zaś jego dzieło kontynuował Jarosław. Tą krzywdą było również to, co pozostało w jej głowie i przenosiłoby się na umysły kolejnych pokoleń. Widząc Jarosława, obserwując córkę, która – dostrzegł to teraz – ubierała się tak, aby zakryć jak największą część pokaleczonego ciała, Kamiński uzmysłowił sobie, że największą zbrodnią, jaką popełnił, było wpojenie córce wzorców, które teraz realizowała jako naturalne i całkowicie oczywiste. Zrozumiał, że ona, tak samo jak jej matka, wyszła za człowieka, który – o ile Kamiński nie podejmie zaplanowanej interwencji finalizującej jego plan – będzie ją bił i dręczył, a ona będzie uznawać, że tak trzeba, że tak musi być, że to jest normalny tryb funkcjonowania kochającego się małżeństwa, że krzywda, która ją dotyka, jest niezbędnym skutkiem ubocznym łączącej ich miłości i rodzinnych więzów. Potem urodzi im się dziecko albo nawet kilkoro dzieci i one również będą bite, upadlane, będą się bać, wstydić, zdręzczać, a gdy dorosną, znów wejdą w takie toksyczne związki, pełne przemocy i zła. Co więcej, jeśli Joanna będzie miała syna, role mogą się odwrócić, to on, choć będzie dorastał w strachu i pogardzie dla swojego ojca, sam następnie stanie się taki jak on, pojmie za żonę inną słabą i lękliwą kobietę i zacznie się nad nią znęcać, bo uzna, że on swoje już przeszedł, bo tak widocznie miało być, taka jest naturalna kolej rzeczy, ale teraz przyszedł jego czas i on będzie mógł być tym silniejszym, tym, który dzierży władzę i żąda od pozostałych członków rodziny szacunku i podległości. Kamiński był przekonany, że musi temu wszystkiemu zapobiec.

Tacy ludzie jak ja, myślał komisarz, płynnie wjeżdżając z Płowieckiej w Grochowską, wywołują lawinę. Tworzą rodziny, które stają się zaczynem dla kolejnych takich samych rodzin, pączkują, rozrastają się wykładniczo i rozprzestrzeniają wzorce zachowań na kolejne pokolenia. Pokolenia nieszczęśliwych, lękliwych i przestraszonych córek oraz szukających zemsty i odreagowania synów, pragnących wyładować na otaczającym ich świecie towarzyszącą im nieodłącznie frustrację. Kamiński zdał sobie także sprawę z tego, że takich rodzin, które rozpoczynają kolejne łańcuchy nieszczęścia albo stanowią ich kontynuację, jest mnóstwo. Jest znacznie więcej, niż się powszechnie wydaje, różna jest tylko skala problemu. I właśnie tą skalą wszyscy się usprawiedliwiają. Mąż, który tylko raz na jakiś czas uderzy swoją żonę, tylko wtedy, gdy naprawdę jego zdaniem na to zasłużyła, nie uważa siebie za sprawcę przemocy. Ojciec, który raz na jakiś czas po pijaku obmaca swoją nastoletnią córkę, traktuje to jako niewinną zabawę, z której po wytrzeźwieniu i tak niewiele pamięta, a córce przecież ostatecznie nic się nie stało. Tymczasem ślady w psychice żony albo córki pozostają do końca ich życia, niezależnie od tego, czy padały ofiarą przemocy codziennie, czy raz na pół roku.

Teraz, gdy wszystko miało się zakończyć, Kamiński jeszcze raz wspomniął początki całej operacji i pomyślał, że poszło mu zadziwiająco łatwo. Tak naprawdę najtrudniejszy był etap początkowy, kiedy musiał wytypować swoje ofiary. Wówczas pomogła mu szczątkowa wiedza informatyczna, którą

uzyskał kilka lat wcześniej od jednego ze swoich kolegów. Ale również ta wiedza nie wystarczyłaby, gdyby nie odrobina sprytu i sprzyjające okoliczności.

Kamiński znał swego czasu policjanta o nazwisku Grzelewski, który miał smykałkę do komputerów. Ten Grzelewski pokazał mu kiedyś kilka przydatnych sztuczek. Jedna z nich umożliwiła pobieranie dużej ilości danych z policyjnej bazy w taki sposób, aby system nie wysyłał alertów do informatyków o niestandardowym zachowaniu jednego z użytkowników. Kamiński wykorzystał ten trik w połowie czerwca, gdy zalogował się do komputera podkomisarza Janiaka w czasie jego nieobecności w pracy. Kamiński był sprostregawczy i miał trochę szczęścia. Któregoś dnia – jakieś dwa, może trzy tygodnie wcześniej – Janiak miał mu coś pokazać na swoim służbowym komputerze. Gdy obaj weszli do pokoju, podkomisarz odblokował system i wciskając pojedynczym wyciągniętym palcem kolejne klawisze, powoli wpisał hasło. Widocznie nigdy nie nabył biegłości w posługiwaniu się klawiaturą. Kamiński bez trudu dostrzegł kombinację liter i cyfr, która otwierała drzwi do konta podkomisarza w policyjnym intranecie. Potem wystarczyło już tylko poczekać na dogodny moment, gdy Janiak będzie na urlopie. Wcześniej Kamiński któregoś dnia podwędził Janiakowi klucz do jego pokoju, skoczył szybko parę ulic dalej do punktu dorabiania kluczy, po czym odłożył oryginalny egzemplarz na miejsce. Janiak w ogóle się nie zorientował, że jego klucz odbył błyskawiczną podróż w tę i z powrotem. Gdy podkomisarz wyjechał w połowie czerwca, by wypocząć z rodziną w słonecznej Grecji, Kamiński spędził w jego gabinecie kilkadziesiąt intensywnych minut, zapisując na przenośnym dysku dane ściągnięte z policyjnego systemu. Zrobił to w nocy, podczas jednego z dyżurów, w czasie gdy na komendzie panował mały ruch, a ci, którzy przebywali na miejscu, szukali spokoju i snu, nie interesując się zbytnio poczynaniami kolegów. Kamiński mógł więc bez problemu znaleźć czas, aby wymknąć się ze swojego gabinetu, wejść do pokoju Janiaka, zamknąć się tam na jakiś czas, a następnie wyjść niezauważonym i wrócić do siebie.

Grzelewski – gdy jeszcze żył, bo policjant ten zginął tragicznie podczas jednej z interwencji – pokazał również Kamińskiemu, jak korzystać z tak zwanej ciemnej sieci. Kamiński był jednocześnie zauroczony i przerażony ogromem możliwości, jakie dawał darknet. Pierwsza fascynacja szybko jednak minęła. Dopiero teraz, gdy powziął swój ostateczny plan, przypomniał sobie o specjalnej przeglądarce, w której zamiast adresów z końcówkami „.pl” albo „.com”, wpisuje się adresy z dziwną końcówką „.onion”. Uznał, że potrzebuje specjalisty, który sprawdzi mu wyselekcjonowanych z policyjnego rejestru delikwentów. Kamiński chciał mieć pewność, że prawidłowo wytypuje swoje ofiary. Osoba, która przyjęła jego zlecenie, miała za zadanie włamać się do komputerów i smartfonów osób, których dane otrzymała, oraz ściągnąć z nich jak najwięcej danych – pliki, filmy, zdjęcia, wiadomości, kontakty. Kamiński był zaskoczony, jak wiele w ten sposób uzyskał. Oglądał zdjęcia, dokumenty tekstowe i materiały wideo zarówno w domu na swoim laptopie, jak i na smartfonie, gdy w pracy miał trochę wolnego czasu. Nie mógł uwierzyć, że ludzie sami gromadzą dowody przeciw sobie na swoich urządzeniach elektronicznych. Osiedlowy chuligan nagrywa sceny, na których razem z kolegami zastraszają, okradają i biją bezbronnych nastolatków. Ojciec ma w pamięci swojego telefonu cały arsenał SMS-ów kierowanych do własnego syna, w których z lubością znęca się nad nim psychicznie. Matka na swoim smartfonie prowadzi kalendarz z grafiką, wedle którego zaprasza pedofilów do swojego mieszkania, aby za pieniądze zadawalali się kosztem jej kilkuletnich dzieci. Kamiński słyszał kiedyś, że dopóki nie było internetu, nie wiedzieliśmy, że na świecie jest tylu idiotów. Mógł dodać do tego stwierdzenie, że dopóki nie pojawiły się komputery i smartfony, nie wiedzieliśmy, że na świecie jest tylu złych ludzi. Teraz możemy się o tym dowiedzieć – wprawdzie za pomocą metod nielegalnych

i naruszających prywatność, ale właśnie to złudzenie prywatności powoduje, że ludzie okazują się tak otwarci i włamanie pierwszego lepszego hakera może odrzeć ich z powłoki, która pod pozorem przeciętnego człowieka skrywa wewnątrz ludzką wesz, czerpiącą radość życia i poczucie dumy z krzywdzenia innych.

Materiały uzyskane od anonimowego hakera jeszcze mocniej utwierdziły go w słuszności zaplanowanego przedsięwzięcia. Zanim odejdzie, zanim usunie ze świata wrzód, którym niewątpliwie był on sam, spróbuje trochę naprawić świat i przeciąć parę innych wrzodów.

Kamiński nie widział moralnej sprzeczności między swoim pomysłem a faktem, że pracuje w policji. Przeciwnie, uznał, że to sprzyjająca okoliczność, bo dzięki temu będzie mógł trzymać rękę na pulsie. Wiedział, że jego zamiysł nie jest zgodny z prawem, ale w ogóle mu to nie przeszkadzało. Sądził, że musi to zrobić, że będzie to słuszne i dobre, dlatego prawo nie miało tu nic do rzeczy. Poza tym zamierzał likwidować osoby, wobec których prawo okazuje się całkowicie bezradne. A może nie tyle samo prawo, ile prawo połączone z powszechnie panującym obyczajem, każącym lekceważyć przemoc wobec słabszych tak długo, jak to tylko możliwe.

Duży atut całego planu stanowiła broń skradziona przez Jureckiego. Była mała i dyskretna, a jednocześnie skuteczna. Kamiński był świetnym strzelcem, więc uznał, że uda się to zorganizować tak, aby działać szybko i nie zostawiać śladów. Zresztą biorąc pod uwagę to, co miało nastąpić w finale, niewiele ryzykował. Musiał tylko uważać, żeby nie aresztowali go zbyt szybko. Brał pod uwagę, że być może uda mu się zrealizować tylko część planu, i tak rzeczywiście się stało. Ale najważniejsze było to, że ślub Joanny i Jarosława już się odbył, Kamiński mógł zatem zwieńczyć swoje dzieło i nie czuć żalu, że został zdemaskowany.

Cała lista potencjalnych ofiar zawierała dwadzieścia pozycji. Wybrał osoby, które – na co miał materialne, choć zdobyte nielegalnie dowody – wielokrotnie i regularnie krzywdziły swoje rodziny lub innych ludzi ze swojego otoczenia i jednocześnie pozostawały całkowicie bezkarne. Skoro państwo nie jest w stanie zadziałać, on sam postara się zatrzymać kilka wielopokoleniowych lawin nieszczęścia. Przez parę tygodni dyskretnie śledził zwyczaje swoich przyszłych ofiar, korzystając z danych GPS ich smartfonów. Wynajęty wcześniej haker nie tylko przesłał mu dane historyczne zdobyte z urzędzeń, ale także udostępnił możliwość śledzenia ich przez kolejny miesiąc. W ten sposób Kamiński ustalił plan, zgodnie z którym miał zabijać swoich wybrańców w dogodnych do tego miejscach, w których pojawiali się regularnie o określonych porach lub w konkretne dni tygodnia. Gdy Joanna poinformowała go we wrześniu o planowanym terminie ślubu i wesela, postanowił, że na początku października rozpocznie realizację planu. Od początku wydawało mu się, że zaplanowanie morderstwa księdza tuż po ślubie córki jest przedsięwzięciem ryzykownym i karkołomnym, ale z jakichś przyczyn nie mógł się powstrzymać przed właśnie takim zorganizowaniem grafiku. Jak się potem okazało, był to błąd, ale wszystkiego nie da się przewidzieć. Zresztą już wcześniej musiał modyfikować zamierzenia. W czwartek zrezygnował z zabójstwa po tym, jak aresztowano Janiaka, aby dodatkowo namieszać w głowach swoim kolegom. Z kolei w piątek zamiast wytypowanej ofiary zamordował Szareckiego. Uznał, że w gruncie rzeczy prokurator idealnie wpisuje się w profil dotychczasowych wybrańców. O jego skłonnościach do seksualnego wykorzystywania podwładnych wiedzieli praktycznie wszyscy. W policyjnej bazie nie było o tym wzmianki, bo nikt nigdy nie odważył się dokonać oficjalnego zgłoszenia, ale w tym przypadku Kamiński nie potrzebował twardych dowodów. Szarecki sam się przechwalał swoimi metodami zarządzania personelem. Powszechnie znany był również jego zwyczaj

hucznego imprezowania w warszawskich nocnych klubach, dlatego wyśledzenie go w piątkowy wieczór i znalezienie dogodnej okazji do wykonania wyroku nie stanowiło dużego problemu.

Teraz, gdy Kamiński parkował swoim starym oplem na ulicy Szaserów niedaleko szpitala, wiedział już, że plan, który wcześniej i tak już mocno zmodyfikował, nie zostanie w pełni wykonany. Mimo wszystko jedenaście osób, które dotychczas ukarał, to całkiem dobry wynik. A za chwilę miał zginąć dwunasty oprawca. Dwanaście ofiar niczym dwunastu apostołów jednoznacznej winy – przemoc jest zła i zasługuje na karę. W ogóle całość zaplanował tak, by sprawa miała wydźwięk społeczny. Pistolety pozostawiane na miejscu zbrodni, skądinąd również symboliczne, bo skradzione z policyjnego magazynu, były jego znakiem rozpoznawczym i przyczyniły się do nadania sprawie rozgłosu. Widział, że w niektórych mediach zauważono już, według jakiego klucza dobierał ofiary. To również był jego sukces. Ale najważniejsza była Joanna. Koniec końców chodziło przede wszystkim o to, aby ją oswobodzić. Aby dać jej wolność, a zatem zlikwidować tych, którzy jej tę wolność zabrali.

Komisarz wszedł po schodach na drugie piętro czteropiętrowego bloku, w którym znajdowało się mieszkanie Joanny. Ponad rok wcześniej Joanna wyjeżdżała gdzieś na urlop i poprosiła go, żeby wpadł kilka razy do jej mieszkania i podlał kwiaty. Pożyczyła mu wtedy klucze. Skorzystał z okazji i dorobił dodatkowy komplet dla siebie. Nie miał w tym żadnego konkretnego celu, zrobił to na wszelki wypadek i tylko dlatego, że miał taką możliwość. Teraz okazało się, że postąpił słusznie. Miał go użyć po raz pierwszy i zarazem ostatni. Wszedł do środka. Dobrze się złożyło, że młoda para zdecydowała się spędzić noc poślubną w mieszkaniu Joanny. Gdyby wybrali lokal Jarosława, komisarz miałby trochę więcej kłopotów z dostaniem się do wnętrza. Też by sobie poradził, ale pewnie narobiłby sporo hałasu. A tak – mógł wejść bez problemu, nie zwracając na siebie uwagi.

Było już po dziesiątej, ale Jarosław i Joanna jeszcze spali. Nic dziwnego, wesele skończyło się zapewne około czwartej nad ranem. Widok, jaki zastał komisarz Kamiński, przekroczył jednak jego najgorsze obawy. Jarosław leżał na plecach, zajmując całe podwójne łóżko. Głośno chrapał. Joanna leżała na podłodze w pozycji, w jakiej śpiąją czasem małe dzieci – na brzuchu z podkulonymi nogami. Miała na sobie koszulkę nocną, ale jej gołe posiniaczone nogi wyglądały strasznie. Najgorsze jednak były plamy krwi, widoczne zarówno na prześcieradle, jak i pod łóżkiem. Kamiński nie podejrzewał, aby jego córka pozostała dziewicą do tak późnego wieku, ale nawet gdyby tak było, czerwonych śladów było zbyt wiele. Najwyraźniej pan Jarosław musiał uczcić noc poślubną specjalnymi fajerwerkami seksualnymi. W końcu była to teraz jego żona, a skoro tak, jego prawo własności zostało wzmocnione i należało je zaakcentować.

Komisarz ukucnął obok córki i lekko nią potrząsnął. Musiał spróbować kilka razy, zanim się obudziła. Przystawił palec do ust, nakazując jej, żeby była cicho. Spojrzała na niego nieprzytomnym wzrokiem, nic nie rozumiejąc. Pomógł jej wstać i sam również się podniósł. Wiedział, że nie ma teraz czasu ani miejsca na sentymenty czy czułości. Byłoby to zresztą nienaturalne w jego wykonaniu. Obrął więc typową dla siebie strategię. Opanowanie, spokój, konkretne polecenia.

– Przejdź w stronę drzwi – powiedział, a Joanna posłusznie odsunęła się w kierunku wejścia do sypialni.

Na szafce obok łóżka komisarz dostrzegł jej telefon. Wziął go do ręki i podał córce. Widział, że całkiem się już rozbudziła, ale jednocześnie patrzyła na niego otepiętym wzrokiem. Wzrokiem pozbawionym emocji. Obawiał się, że dojrzy w jej oczach protest, ale nic takiego nie dostrzegł. Ucieszyło go to i ponownie utwierdziło w przekonaniu, że postępuje słusznie.

Wyjął z kieszeni pistolet i zaczął mówić:

– Teraz powiem ci, co się stanie, jeżeli jeszcze się nie domyślasz. Powiniem cię najpierw przeprosić, ale to byłyby puste słowa, więc nie będę przeproszał. Powiem tylko, że zrozumiałem, jak bardzo zniszczyłem ci życie. To przeze mnie nie umiesz normalnie kochać i wchodzisz w relację z takimi gnojami jak ja i on. Teraz odwróć się do mnie plecami, bo nie chcę, żebyś na to patrzyła.

Joanna odwróciła się w milczeniu, a komisarz Kamiński kontynuował:

– Dobrze, że wzięliście ten ślub. Jako żona odziedziczysz połowę jego majątku, a to powinno cię ustawić do końca życia. Prawnicy jego paskudnej rodziny będą na pewno chcieli udowodnić, że byłaś ze mną w zмовie, że współuczestniczyłaś w moim planie, ale łatwo odeprzesz ich argumenty. Nie ma na to żadnych dowodów, a ty pewnie nawet teraz jeszcze nie rozumiesz, o jakim planie mówię. Zabiłem wiele osób. To ja jestem tym seryjnym zabójcą, którego od tygodnia szuka cała policja. Dla wszystkich będzie jasne, że byłem samotnym szaleńcem, psychopatą mordującym na lewo i prawo. Twój mąż jest tylko elementem całej serii. Ale tak naprawdę to nie te pieniądze, które dostaniesz, są główną częścią mojego zadośćuczynienia. Przede wszystkim uwolnię cię od dwóch ludzi, którzy, gdyby nadal żyli, wciąż zatruwaliby ci życie. Mam nadzieję, że skorzystasz z tego podarunku i nie zwiążesz się już nigdy z żadnym człowiekiem, który będzie wywoływać u ciebie lęk. Z żadnym człowiekiem, który będzie ci przypominał mnie. Jeśli nie umiesz kochać w inny sposób, pozostaniesz samotna. Są różne drogi do szczęścia. Chodzi tylko o to, żebyś samodzielnie dokonywała wyboru. I żebyś przestała się bać. A teraz weź telefon i wybierz numer sto dwanaście. Nie odwracaj się, po prostu wyjdź z tego pokoju, a gdy po drugiej stronie ktoś odbierze, powiedz, co tu się wydarzyło, i poczekaj, aż przyjadą.

Joanna – wciąż odwrócona tyłem do ojca oraz chrapiącego na łóżku Jarosława – podniosła telefon, drżącym palcem wybrała numer alarmowy i przystawiła aparat do ucha. Usłyszany przez nią sygnał zmieszał się ze stłumionymi odgłosami wystrzałów, które dobiegły zza jej pleców. Nie odwróciła się jednak i nie zobaczyła, jak komisarz Kamiński strzela do Jarosława, umieszczając jeden pocisk w jego głowie i cztery kolejne w okolicach serca, a następnie broń z ostatnim pociskiem pozostałym w magazynku wkłada sobie do ust. Głos dyspozytorki odbierającej połączenie został zagłuszony przez łoskot upadającego na podłogę ciała. Mimo to Joanna, łykając płynące po jej policzkach łzy, rzeczowo i krótko oznajmiła, że właśnie przed chwilą jej ojciec, komisarz Jan Kamiński, zastrzelił jej męża, po czym popełnił samobójstwo. Podała adres i zapewniła, że tak, jak najbardziej, będzie spokojnie czekać na przyjazd policji i pogotowia. Rozłączyła się i nie patrząc za siebie, przeszła do salonu. Usiadła na kanapie i wciąż płacząc, wydała z siebie przeciągły, głośny jęk bólu, po którym wybuchła już zupełnie niekontrolowanym lamentem.

Dopiero po kilku minutach nieco się uspokoiła, zmęczona własnym płaczem. I wtedy poczuła coś dziwnego. Zrozumiała, że oprócz głębokiego smutku, obok dojmującej rozpacz, nie odczuwa nic więcej. A przede wszystkim nie odczuwa tego, co towarzyszyło jej od zawsze, odkąd pamiętała. Permanentny ucisk pod mostkiem, delikatny, ale odczuwalny i skutecznie spływający jej oddech – nagle zniknął. W pokoju obok leżały dwa trupy, dwa ciała osób, które jednocześnie kochała i których nienawidziła, a ona, jakkolwiek absurdalnie by to zabrzmiało, po raz pierwszy w życiu poczuła, że się nie boi.

ROZDZIAŁ 31

JAN, NIEDZIELA PO POŁUDNIU

Gdy po kolejnej porcji erotycznych zbliżeń Klaudia stwierdziła, że było super, że chętnie będzie z Jankiem chodzić, jeśli on też jest zainteresowany, mogą się umawiać na randki, a może nawet czasem pobaraszkować w toalecie w trakcie pracy, co byłoby z pewnością bardzo ekscytujące, tak więc podsumowując, Klaudia jest jak najbardziej na tak, ale teraz już musi wracać do domu – Jan przyjął jej słowa z wielkim zadowoleniem. Uznał, że wygrał los na loterii. Klaudia była piękna, prostolinijna i otwarta, a jednocześnie proponowała coś, co Jan z przyjemnością akceptował, co więcej, sam wystąpiłby z podobnymi postulatami, gdyby ona tego nie uczyniła. A co do dzisiejszego dnia – mimo że patrząc teraz na Klaudię, na jej wesołą twarz i ponętne kształty schowane pod obcisłą weselną sukienką, którą z braku innej odzieży włożyła ponownie, czuł, że jego organizm znów reaguje na bodźce seksualne, to jednak był bardzo zmęczony, było to zmęczenie przyjemne jak u sportowca po udanym treningu, Jan odczuwał lekki ból przyrodzenia, był wyczerpany fizycznie i z ulgą przyjął propozycję, by na dzisiaj zakończyć igraszki. Powiedział Klaudii, że chętnie ją odprowadzi, a po drodze może wstąpią gdzieś na obiad. Klaudia uznała, że to świetny pomysł i za chwilę wychodzili już razem z bloku na Żoliborzu i kierowali się w stronę metra.

Po drodze spotkali panią Jadwigę, która wraz z córkami wchodziła właśnie do budynku, pchając przed sobą pusty jeszcze wózek inwalidzki. Gdy wymienili się kurtuazyjnym „dzień dobry”, Jan poczuł przyjemny dreszcz. Wierzył, że Maja i Marysia już wkrótce odzyskają radość życia, która przecież w ich wieku powinna być zasadniczą treścią wypełniającą im czas. Co do pani Jadwigi, miał spore obawy. Dla niej mogło być już za późno. Jan podejrzewał, że obecną sytuację odbierała nie jako koniec udreki, ale jako początek jej kolejnego etapu. Krzywdzone kobiety bardzo często uzależniają się od swoich oprawców. Jest to proces dziwny i często zupełnie niezrozumiały dla osób postronnych, które w konsekwencji nabierają błędnego przekonania, że kobiety są same sobie winne, że z własnej woli akceptują swój los i skazują się na nieludzkie traktowanie. Tymczasem – tak przynajmniej widział to Jan – był to zapewne proces całkowicie naturalny i niezależny od ludzkiej woli, tak jak naturalna i bezwzględna dla cząsteczek H₂O jest zasada, że gdy temperatura spada poniżej zera, woda zamienia się w lód. W tym przypadku odpowiednikiem mrozu był lęk. Lęk, który przybierał bardzo różne formy, ale na końcu zawsze stawał się uzależniający, bo wizja ucieczki od niego przerażała jeszcze bardziej niż on sam. Dlatego tak często zdarzało się, że nawet gdy ktoś przychodził z pomocą krzywdzonej kobiecie, ona stawała w obronie swojego kata, jasno pokazując, że to właśnie jej, a nie jemu, najbardziej zależy na przetrwaniu ich związku. Takie postawy krzywdzonych kobiet wynikać mogą z bardzo różnych powodów. Ze strachu przed samym oprawcą i potencjalną zemstą z jego strony, z obawy, że bez niego nie poradzą sobie w życiu, z lęku przed otwartym przyznaniem się do błędu, jakim było związanie się

z takim człowiekiem, z troski o dzieci, bo mimo wszystko nie powinny wychowywać się bez ojca, albo po prostu z przekonania, że tak musi być, że w gruncie rzeczy tak właśnie wygląda normalny związek dwojga ludzi, a przecież niezależnie od ponoszonych kosztów fizycznych i psychicznych życie w związku jest lepsze od życia w samotności. Jest bardzo prawdopodobne, że istnieje również wiele innych przyczyn, których Jan nie znał, bo nie był psychologiem, psychiatrą ani nikim podobnym. Jan po prostu pamiętał swoje dzieciństwo, znał swoją matkę i kilka innych podobnych jej kobiet. Ale teraz nie miało to już żadnego znaczenia. Zresztą kto wie, być może jego obawy nie były uzasadnione, być może pani Jadwiga, w przeciwieństwie do matki Jana, z czasem dojdzie do siebie i wyzwoli się mentalnie z potrzeby podporządkowania, oswoi się i dzięki temu zazna trochę życiowej bez troski? Czas pokaże, skonstatował Jan, a gdy opuszczali teren osiedla, Klaudia zapytała:

– Po co tej pani wózek inwalidzki? Jej córki wyglądają całkiem zdrowo.

– To dla jej męża. Kilka dni temu miał wylew – odparł Jan.

I pomyślał, że na zawsze pozostanie już sam ze swoją wielką tajemnicą.

Jan nie zamierzał bowiem nigdy nikomu przyznać się do tego, że z pełną premedytacją podjął próbę zamordowania pana Józefa. Starannie wszystko zaplanował. Chciał uwolnić panią Jadwigę i jej córki od oprawcy, od człowieka, który nie tylko niszczył im teraźniejsze życie, ale zadawał psychiczne rany, które wpływać będą na całą ich przyszłość. Jan w gruncie rzeczy nie zastanawiał się nad tym, czy jego postępek miał pobudki moralne, czy raczej emocjonalne. Nie wierzył w żadne obiektywne dobro ani zło, nie wierzył w Boga, nie sądził, aby istniały jakiegokolwiek niezależne od ludzi zasady postępowania. Twierdził, że wartości etyczne są zawsze kwestią umowy społecznej. Dlatego kierowały nim raczej emocje, a nie moralny imperatyw. Nie mógł znieść krzyków dochodzących z mieszkania na drugim piętrze, tego płaczu, stłumionego zawodzenia, które było przecież ciche, ale które i tak słyszał na klatce schodowej, a czasem wydawało mu się, że słyszy je także w nocy w swoim mieszkaniu. Przypominał sobie wtedy własne dzieciństwo. Niewykluczone, że pan Józef stał się w ten sposób przypadkową ofiarą zemsty Jana na jego własnym ojcu – zemsty niedokonanej we właściwym czasie ze względu na przedwczesne samounicestwienie tegoż ojca. Zemsty opóźnionej i przekierowanej na inny cel, który w pewnym momencie pojawił się na horyzoncie niczym echo odległego i z pozoru zapomnianego cierpienia.

W trakcie realizacji planu Jan zauważył, że źródłem satysfakcji była dla niego nie tylko wizja celu, do którego zmierzał, ale również samo bieżące działanie, konsekwentne wykonywanie kolejnych ruchów przybliżających go do wielkiego finału. Skutecznie nadał swojemu życiu bieg. Nie sens, bo życie człowieka nie ma żadnego sensu. Albo inaczej: sensem życia może być tylko nadawanie mu jakiegoś biegu. Inny sens nie istnieje.

Jan nie poświęcał jednak wiele uwagi rozważaniom na temat pobudek swych działań. Uważał bowiem, że w tego typu sprawach zwykle ulegamy złudzeniom. Wydaje nam się, iż kierujemy się takim czy innym imperatywem, a później uświadamiamy sobie, że przyczyna naszych działań leżała zupełnie gdzie indziej. Na przykład żyjemy w przekonaniu, że realizujemy wielką i szczytną ideę, a potem okazuje się, że idea ta była tylko pretekstem do dania upustu naszym emocjom takim jak frustracja, lęk albo pożądanie. Zdaniem Jana w ogólnym rozrachunku nie miało to istotnego znaczenia. Twierdził, że ludzie za dużo uwagi poświęcają intencjom, słowom, pobudkom, interpretacjom, a przecież na końcu liczą się tylko fakty, zdarzenia, czyny. Tylko one stają się realnym elementem zewnętrznego świata. A fakty były takie, że Jan podjął próbę zamordowania pana Józefa i wykonał w tym celu szereg konkretnych czynności.

Swoją zbrodnię zaplanował z rozmysłem i dużym wyprzedzeniem. Kilka miesięcy wcześniej zaprzyjaźnił się z panem Józefem i zainicjował wtorkowe piwne spotkania na ławce pod blokiem. Wiedział, że musi być cierpliwy. Ławkowe pogaduszki miały stać się tak naturalnym elementem osiedlowego życia, żeby nikt nie skojarzył ich z zaplanowanym przez Jana nagłym pogorszeniem stanu zdrowia pana Józefa. Jan wiedział, że w darknetcie – ukrytej części internetu – można kupić wiele rzeczy niedostępnych w legalnym obrocie. W masie różnych ofert trafił na opis pewnej substancji chemicznej, której nazwy nawet nie chciał pamiętać, bo istotne dla niego było wyłącznie jej działanie. Miała ona bowiem tę zaletę, że skutki wprowadzenia jej do organizmu nie pojawiały się natychmiast. Po spożyciu przez delikwenta stopniowo uszkadzała niektóre tkanki i naczynia krwionośne. Działała powoli i tymczasem była metabolizowana, dzięki czemu, gdy po kilkunastu godzinach pechowy konsument dostawał udaru, w jego krwi praktycznie nie było już śladu po substancji, która go do tego stanu doprowadziła. Jan założył, że organizm pana Józefa jest na tyle zniszczony, że nie przetrwa on rozległego wylewu. Złożył zamówienie na wybrany specyfik, zapłacił, używając kryptowaluty, i czekał na sygnał o możliwości odebrania towaru. Pomysł z toaletą na stacji benzynowej – zainspirowany sceną z *Ojca chrzestnego*, w której restauracyjna ubikacja stała się miejscem ukrycia broni palnej – Jan uznał za bardzo dobry. Przed ostatnią z wtorkowych nasiadówek wyspał do piwa pana Józefa tę tajemniczą substancję, a następnie wcisnął kapsel z powrotem – przy ponownym otwieraniu nie wydał on tak głośnego syknięcia, jak powinien, ale zgodnie z przewidywaniami Jana pan Józef nie zwrócił na to uwagi. Oczywiście w trakcie realizacji planu mogły się pojawić nieoczekiwane trudności. Pan Józef mógł na przykład wyczuć, że piwo ma nieco inny smak, choć sprzedawca zapewniał, że substancja nie jest wyczuwalna. Mógł w trakcie konsumpcji poczęstować piwem jakąś postronną osobę, która przypadkiem przyłączyłaby się do rozmowy. Substancja mogła zadziałać zbyt szybko – przecież zawsze zależy to od konkretnego organizmu. Ktoś mógł skojarzyć nagle pogorszenie zdrowia pana Józefa ze spożytym wcześniej piwem, i mogło się to stać, zanim śmieciarze opróżnili następnego dnia rano pojemnik ze szkłem. Wreszcie, po ewentualnym zgonie pana Józefa, nadgorliwy lekarz, policjant albo prokurator mógł nabrać jakichś wątpliwości, w wyniku czego zlecono by sekcję zwłok, podczas której mimo wszystko badania toksykologiczne mogły wykryć śladowe ilości tej dziwnej substancji. To wszystko mogło się wydarzyć, ale się nie wydarzyło.

Na szczęście nie zrealizował się także cel Jana. Pan Józef przeżył. Wprawdzie jego zdrowie doznało permanentnego uszczerbku, co niewątpliwie obciążało sumienie Jana. On jednak nie robił sobie z tego powodu żadnych wyrzutów. Przeciwnie, uznał, że uzyskany rezultat jest optymalny. Pan Józef przestał być zagrożeniem dla swojej rodziny, a Jan nie stał się mordercą. Teraz, gdy było już po wszystkim, wiedział, że nie czułby się komfortowo ze świadomością, że zabił człowieka. Mimo że uważał się za osobę racjonalną, najwyraźniej nie potrafił uwolnić się w pełni od naleciałości kulturowych i cywilizacyjnych. Jak się okazuje, tkwią one w nas znacznie głębiej, niż sądzimy. Na szczęście wszystko skończyło się dobrze – wilk syty i owca cała. Nie musiało się tak skończyć, ale się skończyło, i Jan nie zamierzał więcej do tego wracać. Zamierzał się cieszyć osiągniętym efektem. Wszakże sportowca, który przyjeżdża na igrzyska i poprzez korzystny zbieg okoliczności zdobywa złoty medal, nikt nie rozlicza z tego, w jakiej był formie i czy dobrze się przygotował. Wszyscy wiwatują na cześć jego zwycięstwa.

Teraz, gdy zbliżali się do stacji metra, Jan, słuchając wywodów opowiadającej o czymś Klaudii – trzeba mu w tym miejscu oddać sprawiedliwość, że miał dobrze wypracowaną podzielność uwagi – pomyślał jednocześnie, że fakty faktami, ale interpretacje też jednak są ważne. W końcu nie żyjemy w świecie rzeczowym, ale opowiedzianym. W tym, jak odbierają nas inni, w tym, jak jesteśmy

postrzegani, wszystko, co robimy, i wszystko, co wokół nas się wydarza, jest kwestią interpretacji. Ktoś mógł zatem powiedzieć, że Jan popełnił poważne przestępstwo. Zniszczył zdrowie człowieka, podejmując próbę jego zabójstwa. Ale Jan miał do zaistniałych faktów zupełnie inny komentarz. Uważał, że odwalił kawał dobrej roboty, wyręczając państwowe instytucje, takie jak policja czy opieka społeczna. Pan Józef poniósł zasłużoną karę i nie będzie już przyczyną cierpień dla swoich najbliższych.

Powyższa interpretacja faktów mogłaby wielu osobom wydać się kontrowersyjna, gdyby kiedykolwiek ujrzała światło dzienne. Jan wiedział jednak, że nikomu nie może tej historii opowiedzieć. Wiedział również, że nigdy nie zrobi czegoś podobnego po raz drugi.

To była podstawowa różnica między Janem a komisarzem Kamińskim.

Jan uważał, że we wszystkim warto mieć umiar. W pracy, w zabawie, w spożywaniu alkoholu – i również w zmienianiu świata na swoją modłę. Można coś zrobić raz i będzie to w porządku, ale jeśli uczynimy z tego treść naszego życia, zacznie się to obracać przeciwko nam i utraci swą słuszność. Staniemy się fanatykami, otrzemy się o szaleństwo.

Dlatego Jan mimo świadomości, że stał się autorem zbrodni doskonałej, wcale nie miał ochoty kontynuować swojej działalności, nie ciągnęło go do uczynienia z zabijania rodzinnych oprawców celu swej ziemskiej egzystencji. Dokonał cichego zamachu na pana Józefa i widząc efekt swych poczynań, uznał, że ukończył dzieło. Zamknął pewien rozdział, a teraz, wsiadając z Klaudią do wagonu metra jadącego w kierunku Kabat, zamierzał otworzyć nowy – z Klaudią w roli głównej.

Tymczasem komisarz Kamiński przesadził. Nie miał umiaru i przekroczył rozsądną granicę.

Być może właśnie dlatego Jan zdecydował się zademonstrować komisarza, przesyłając policji wykonane przez siebie nagrania.

W sprawę Kamińskiego Jan wplątał się przypadkowo i nieświadomie. Od ponad roku dorabiał sobie do urzędniczej pensji, wykonując różne zlecenia informatyczne wiążące się zwykle z koniecznością włamania do jakiegoś systemu lub urzędu. Krótko mówiąc, był domorosłym hakerem o całkiem niezłych umiejętnościach.

Na początku lipca przyjął zlecenie od anonimowego użytkownika darknetu. Otrzymał dane kilkudziesięciu osób i miał zdobyć informacje z ich prywatnych oraz służbowych komputerów i telefonów. Zleceniodawca powiedział tylko, że chodzi mu o zdobycie dowodów na to, że osoby te mają na sumieniu różne mało chwalebne przewinienia, za które nigdy nie poniosły odpowiedzialności.

Janowi to wystarczyło, nie miał w zwyczaju wnikać w głębokie motywacje zleceniodawców, ale nie chciał też przykładać ręki do czegoś, co uznałby za niesłuszne, dlatego oczekiwał przynajmniej ogólnego zarysowania celu, któremu miała służyć jego praca.

Wykonanie zadania zajęło mu sporo czasu, ale pobieżna analiza tego, co zdobył, przekonała go, że faktycznie okradzeni przez niego z prywatności delikwenci byli osobnikami nie najlepszej kondyty. Wysłał zleceniodawcy wszystko, co zdobył – zdjęcia, filmy, e-maile, SMS-y, a nawet zapisane na smartfonach dane GPS, dzięki którym łatwo można było odtworzyć trasy, jakimi osoby te przemieszczały się regularnie o określonych porach dnia i nocy. Co więcej, przez kolejny miesiąc Jan umożliwił zleceniodawcy dostęp do danych śledzących na bieżąco inwigilowane osoby poprzez namierzanie ich urządzeń. Po tym okresie zlecenie się zakończyło, Jan zainkasował pozostałą do zapłaty część wynagrodzenia i wykasował wszelkie ślady swej aktywności z zainfekowanych telefonów i komputerów.

Jan szybko zapomniał o tej sprawie, zwłaszcza że tymczasem zrealizował kilka innych zleceń.

Dopiero w czwartek, gdy przeczytał kolejny artykuł o seryjnym mordercy w Warszawie, coś go tknęło. Opis ofiar skojarzył mu się z tym, co widział w zdobytych materiałach. Wrócił do artykułów o morderstwach z poprzednich dni i gdy wczytał się w szczegóły, również doszedł do wniosku, że zabitymi są osoby, które w lipcu stały się ofiarami jego inwigilacji.

Jan w sieci z zasady nie ufał nikomu, więc w lipcu, tak na wszelki wypadek, do przesłanych zleceniodawcy plików dokleił własny program szpiegujący. W czwartkowy wieczór, gdy po włamaniu na serwer szpitala dowiedział się, co się stało z panem Józefem, zajął się sprawą swoich podejrzeń wobec lipcowego zleceniodawcy. Z satysfakcją stwierdził, że program działał nieprzerwanie od połowy lipca. Przesłuchał nagrania z ostatnich dni, które program ze smartfona podsłuchiwanej osoby przesyłał regularnie do tak zwanej chmury, gdy tylko znalazł się w zasięgu jakiejś publicznej sieci wi-fi. Dzięki temu nagrania szybko znikaly z pamięci urządzenia, a ich transfer nie obciążał sieci komórkowej. Gdy Jan wysłuchał zapisu policyjnej narady, wiedział już, że właściciel telefonu, czyli jego zleceniodawca, ma coś wspólnego z morderstwami. Jego wypowiedzi łatwo było wyodrębnić, bo były najbardziej wyrażne i najgłośniejsze. Skoro smartfon był obok niego – w kieszeni lub na stole przed nim, jego głos wyróżniał się na nagraniu. Kobieta prowadząca spotkanie nazwała go komisarzem Kamińskim. Jana zastanowiło, że takie samo nazwisko nosiła Joanna, ale przecież było to jedno z najpopularniejszych polskich nazwisk. Jan wrócił do medialnych opisów miejsc zbrodni i porównał je z zapisami GPS z telefonu komisarza, które jego program szpiegujący również gromadził. Wtedy wiedział już, że komisarz Kamiński jest zabójcą.

Nie wiedział jednak, co robić, bo sam nieświadomie stał się pomocnikiem mordercy. Mimo że w sumie rozumiał i popierał motywację Kamińskiego, nie czuł się dobrze z tym, że jest w to zamieszany. Może dlatego że nie odbywało się to na jego zasadach i pod jego kontrolą, a może z jakichś innych przyczyn.

Tak czy inaczej, sprawa rozwiązała się sama w sobotę. Podczas ślubu rozpoznał księdza Jędrzeja, u którego w lipcu znalazł obrzydliwe pedofilskie zdjęcia i nagrania. Poza tym program szpiegujący, z którego rejestrami w chmurze Jan połączył się w trakcie mszy poprzez swój smartfon, potwierdziły, że komisarz Kamiński jest obecny na ślubnej ceremonii.

Jan nie wiedział oczywiście, co się stanie, ale przeczucie kazało mu zachować czujność. Gdy wszyscy goście wyszli z kościoła i po tradycyjnym złożeniu życzeń młodej parze skierowali się w stronę oddalanej o kilkaset metrów sali weselnej, Jan także udał się w tamtą stronę, obserwując jednak czujnie przebieg wydarzeń. Zauważył, że mężczyzna, który dotąd nieodmiennie stał blisko młodej pary, co wskazywało, że jest kimś bardzo bliskim – prawdopodobnie ojcem jednego z nowożeńców – w połowie drogi do weselnej restauracji przystanął, udając, że sprawdza coś w telefonie, po czym dyskretnie zboczył z drogi, chowając się za jednym z mijanych budynków. Jan już wówczas domyślił się, że to ten mężczyzna jest komisarzem Kamińskim, ojcem Joanny. Doszedł do sali weselnej, gdzie zauważył Klaudię, która pomachała mu na przywitanie. Odpowiedział jej, ale po chwili wykonał ten sam manewr co Kamiński. Wyjął smartfon, pozorując otrzymanie jakiejś wiadomości, i wycofał się po cichu, po czym szybkim krokiem ruszył w drogę powrotną. Przed kościołem zobaczył, że boczne drzwi są uchylone, wślizgnął się więc przez nie do środka i idąc tak, by kroki nie były słyszalne, schował się za filarem. Na drugim końcu świątyni zobaczył komisarza Kamińskiego siedzącego na ławce przy konfesjonale.

Dalej wydarzenia potoczyły się bardzo szybko. Gdy Jan zorientował się, co się dzieje, wyjął smartfon, odblokował go, włączył tryb kamery i zaczął nagrywać. Scena była oddalona, ale twarz

mężczyzny z pewnością po powiększeniu obrazu mogła zostać zidentyfikowana. Jan czuł, że ręka zaczyna mu się trząść, gdy nagrywał kolejne strzały. Chwilę potem wyłączył nagrywanie i na palcach skierował się do bocznego wyjścia. W ostatnim momencie puściły mu chyba nerwy, bo wyszedłszy na zewnątrz, zatrzasnął drzwi. Dopiero wtedy uświadomił sobie, że hałas mógł być słyszany przez zabójcę, który właśnie zamordował księdza. Rzucił się do ucieczki, bo nic innego mu nie pozostało. Wybiegł za ogrodzenie okalające teren kościoła, przebiegł na drugą stronę ulicy, minął blok mieszkalny i skręcił w prawo. Wtedy zatrzymał się na moment i spojrzął w kierunku kościoła. Wydawało mu się, że drzwi są nadal zamknięte. Widocznie morderca nie zdążył jeszcze dotrzeć do bocznej nawy. Jan wiedział, że jest już bezpieczny, więc ruszył w dalszą drogę spokojniejszym krokiem. Gdyby dalej biegł, mógłby przecież zwrócić na siebie czyjąś uwagę.

Podczas wesela potwierdziło się, że Kamiński był nie tylko zabójcą poszukiwanym przez policję całego kraju oraz komisarzem tejeż policji współprowadzącym dochodzenie we własnej sprawie, ale również ojcem Joanny. Tuż przed tym, jak z Klaudią opuścili uroczystość, odbyli z nim intrygującą rozmowę, w trakcie której Jan upewnił się, obserwując reakcję mężczyzny, że ten go nie poznał, nie zauważył zatem jego obecności w kościele. Co więcej, jego spokój sugerował, że komisarz mógł nawet nie usłyszeć dźwięku zamykanych drzwi albo go zlekceważyć. Po weselu Jan zdecydował, że prześle nagranie policji, co uczynił w nocy, gdy Klaudia już zasnęła. Oczywiście zrobił to anonimowo, a przed wysyłką na tyle, na ile potrafił, przerobił plik filmowy tak, żeby ustalenie urzędnika użytego do jego nagrania było w praktyce niemożliwe. Nie chodziło przecież o to, żeby film stał się dowodem w sądzie, miał on nakierować policję na właściwy trop, bo Jan wiedział, że dotychczas błądzili po omacku.

Może wydać się zaskakujące, że zachował się w taki sposób. Rozumiał przecież pobudki Kamińskiego, wiedział, że wobec takich ludzi jak ojciec Jana, pan Józef czy ofiary Kamińskiego prawo i społeczny obyczaj są całkowicie bezradne. Janowi z pewnością nie było żal żadnej z ofiar zabójcy, gdyby go zapytać, co o nich sądzi, odparłby zapewne, że ludzie ci ponieśli słuszną karę dokładnie tak, jak pan Józef. Mimo to nie mógł zaakceptować skali przedsięwzięcia realizowanego przez komisarza. Przy takim rozmachu łatwo stracić panowanie nad sytuacją i wszystko może się wymknąć spod kontroli, a dalekosiężne skutki społeczne mogą okazać się odwrotne od zamierzonych. Dlatego Jan uznał, że trzeba to zatrzymać. Nie miał wątpliwości, co zrobić z filmem, który nagrał w kościele. Skoro komisarz Kamiński popełnił błąd, dał się złapać i nagrać, będzie musiał ponieść konsekwencje. Podjął ryzykowną grę i powinien się spodziewać, że w pewnym momencie ryzyko to się zmaterializuje.

Gdy w to niedzielne słoneczne popołudnie razem z Klaudią wysiadał na stacji metra Centrum, Jan pomyślał przez chwilę, że być może na jego stosunek do komisarza mógł wpłynąć fakt, że był on ojcem Joanny, która przecież tak srodze go zawiodła. Odpowiedział sobie jednak, że już w piątek, gdy zaprosiła go na ślub i wesele, zrozumiał, że ona nie była niczemu winna. To on padł ofiarą własnych imaginacji. Wydawało mu się, że Joanna odwzajemnia jego uczucie, tylko z jakichś przyczyn obawia się do tego przyznać albo świadomie toczy jakąś grę. A ona w nic nie grała. To Jan ubzdurał sobie nie wiadomo co. A miał przecież tuż obok taką fajną Klaudię. Ich drogi zeszyły się właśnie w trakcie wesela Joanny, więc Jan w ostatecznym rozrachunku był jej wdzięczny. Poczul żal, że tuż po weselu miała przeżyć rodzinny dramat związany z aresztowaniem jej ojca. Nie zaglądał jeszcze do internetu ani nie włączał telewizji, nie wiedział więc, że jej dramat w rzeczywistości przybrał znacznie większe rozmiary.

O tym, co wydarzyło się rano w mieszkaniu Joanny, Jan miał się dowiedzieć później. Ale nawet gdyby wiedział już teraz, nie myślałby o tym i nie zastanawiał się, co o tym sądzić. Bo tajemnice są być może ważne, ale ważniejsza od nich jest nasza zwyczajna ludzka egzystencja. Jan pomyślał, że nasze

sekrety stanowią dla nas problem tylko wtedy, gdy je rozpamiętujemy. Gdy nie możemy przestać o nich myśleć. Tymczasem należą one do przeszłości. Starają się wprowadzić do naszej świadomości i często wyzwolenie się z ich wpływu stanowi nie lada trudność. Ale chyba warto starać się oswozić, bo nasze realne życie to tylko teraźniejszość. I przyszłość, która wkrótce stanie się teraźniejszością.

Gdy razem z Klaudią zasiadali przy stoliku w jednej ze średniowiecznych restauracji, pomyślał jeszcze, że gdyby jednak miał opowiedzieć komuś historię ostatniego tygodnia, mógłby ją podsumować interesującą konkluzją. Skoro w tym samym czasie niezależnie od siebie dwie osoby – on i komisarz Kamiński – podjęły podobnego rodzaju aktywność, używając wprowadzić innych metod i działając na różną skalę, ale mimo wszystko dążąc do osiągnięcia takiego samego celu, to być może jest wokół nas wielu innych ludzi, również skrywających w swoim wnętrzu niezgodę na bezkarność sprawców codziennej przemocy. A jeśli faktycznie tak jest, wypływa stąd ważny wniosek. W umysłach wielu z nas rodzi się nowa opowieść. Opowieść o tym fragmencie rzeczywistości, o którym dotychczas milczeliśmy albo opowiadaliśmy sobie, że on nie istnieje. Gdy wreszcie zbierzemy się na odwagę, by opowiedzieć sobie o nim na nowo i w sposób wyczerpujący, ludzie wyrządzający krzywdę utracą pewność siebie. Być może nawet ogarnie ich lęk. Nie dlatego, że robią coś niemoralnego. Nie istnieje wszakże dobro ani zło. Nie dlatego również, że spotkać może ich kara ze strony organów państwowych. Te jeszcze długo pozostawać będą bezczynne albo bezradne. Ale jeśli nie potrafisz znaleźć w swoim życiu przyjemności i satysfakcji bez dręczenia innych ludzi, bez poniżania ich i wyrządzania im krzywdy, Jan powiada Ci: stań przed ścianą zbudowaną z twardego kamienia i zacznij uderzać w nią swoją głową. Czyń tak do chwili, aż wybijesz sobie z niej skłonność do wszelkiej przemocy. W przeciwnym razie może się okazać, że w momencie, w którym w ogóle nie będziesz się tego spodziewać, spotkasz na swojej drodze niepozornie wyglądającą osobę, a może to być mężczyzna albo kobieta, w młodym, średnim lub zaawansowanym wieku, o dowolnej profesji i pochodzeniu, która to osoba nagle zakończy twój triumfalny marsz przez życie. Niezależnie od tego, czy będzie to spokojny urzędnik, komisarz policji czy ktokolwiek inny, nie zawaha się, tak jak i ty nie zastanawiasz się nad swym postępowaniem, krzywdząc innych na mocy prawa, które sam sobie przyznajesz w oparciu o swoją siłę, pozycję społeczną lub ugruntowany obyczaj. Świat się zmienia, i te zmiany nie są złe ani dobre. One po prostu zachodzą. To, że krzywdzenie innych było tolerowane i uzasadniane przez lata, dekady, wieki, to, że wpisało się w tradycję, weszło w nasze nawyki i uzyskało kulturowe lub religijne podstawy, nie oznacza, że tak będzie zawsze. Szkoda tylko, że aby to zmienić, nie wystarczy uprzejmie przekonywać, wyjaśniać i edukować. Ci, którzy są dumni ze swej siły i żywią się lękiem swoich ofiar, podatni będą tylko na takie argumenty, które dotrą do nich w zrozumiałym dla nich języku. Dlatego potrzebny jest wstrząs i radykalne działanie, które przeniesie ciężar lęku i bezradności z ofiar na sprawców.

To działanie Jan pozostawiał już jednak innym. Sam – po cichu i bardzo dyskretnie – dołożył swoją małą cegiełkę do przyszłej rewolucji w ludzkich umysłach, która być może nastąpi, a może w ogóle jej nie będzie. Teraz jednak, czując w ustach przyjemny smak gorącego posiłku, odsunął od siebie pokusę toczenia dalszych rozmyślań. Zdawał sobie sprawę, że jego tajemnice pozostaną zapewne w jakiejś części jego pamięci, a może nawet zostaną upamiętnione na kartach tej skromnej książki, ale rozumiał także, że jedyną rzeczywistością, która faktycznie się wydarza i ma obecnie dla niego jakiegokolwiek znaczenie, jest stolik w restauracji, ciągnący się ser na pizzy oraz uśmiech Klaudii, podnoszącej do ust szklankę z piwem i patrzącej Janowi prosto w oczy.

EPILOG

ŁUKASZ, NIEDZIELA WIECZOREM

Łukasz Jurecki wyłączył telewizor. Na jednym z kanałów informacyjnych obejrzał właśnie reportaż dotyczący seryjnego zabójcy – komisarza Jana Kamińskiego, który ostatecznie własnym samobójstwem zwiędził swą morderczą misję.

Jureckiego dręczył nieustanny fizyczny ból. Choroba była już w końcowym stadium. Ale mimo to Jurecki nie był smutny. Zadowolony też z pewnością nie był, bo co to za frajda – umierać i cierpieć. Czuł jednak satysfakcję, że przynajmniej na sam koniec coś mu się w życiu powiodło. Być może w ogólnym rozrachunku nie będzie to miało żadnego znaczenia, ale w sumie co kogo obchodzi ogólny rozrachunek? W ogólnym rozrachunku wszystko jest błahe i nieistotne.

Jurecki pomyślał, że to, co zobaczył w telewizji, było jego swoistym triumfem. Uważał się wszakże za chrzestnego ojca całej operacji Kamińskiego. Wprawdzie część dziennikarzy i ekspertów zachowywała profesjonalne oburzenie i wzdargę dla zbrodniarza, przed którym przez z górą tydzień drżała cała stolica, ale w tonie głosu, w spojrzeniach i powściągliwych słowach części osób, które wypowiadały swoje opinie na temat tej sprawy, dostrzegł ukryty podziw i aprobatę. Jurecki pomyślał, że dobro i zło to bardzo dziwne pojęcia. Od dzieciństwa wychowujemy się w przekonaniu, że pewne rzeczy po prostu są dobre, a inne – zawsze złe i godne potępienia. Tymczasem on był przekonany, że gdyby morderstwa Jana Kamińskiego opisane zostały kiedyś w jakiejś książce, wielu czytelników w trakcie lektury kibicowałoby zabójcy, a nie jego ofiarom. Wielu czytelników odczuwałoby satysfakcję, wyobrażając sobie, jak niepozorny mężczyzna w okularach bez słowa podchodzi do delikwenta i oddaje celny strzał prosto w głowę. Co więcej, niektórym osobom od razu przyszłoby na myśl, że znają osobiście realnie istniejących ludzi, którzy zasługiwaliby na takie potraktowanie. Czy świadczyłyby to o tym, że owi czytelnicy są złymi i zwyrodniałymi ludźmi pielęgnującymi w sobie mordercze instynkty? Czy może byłoby przesłanką za stwierdzeniem, że nasz świat wcale nie jest czarno-biały? Być może jest on znacznie bardziej szary, niż nam się wydaje, a może przeciwnie – bywa czarno-biały, ale kolory, które widzimy w praktyce, są odwrócone w stosunku do tego, co mówi teoria. A może to wszystko jest jeszcze bardziej skomplikowane i wszelkie barwy i odcienie, czerń, biel i szarość, błędą wobec dojmującego poczucia krzywdy i bezsilności, tracą swoje znaczenie w sytuacji, gdy ci, co powinni kochać i otaczać opieką, dręczą i wykorzystują, a ci, którzy powinni pomagać i nieść ratunek, zasłaniają się wymówkami, teoriami i ogólnym społecznym przyzwoleniem?

Otwierając szufladę swojego biurka, Jurecki poczuł krótkie ukłucie żalu. Wiedział, że nigdy takiej hipotetycznej książki nie napisze ani nie przeczyta. Jego czas się skończył. Szybko jednak odgonił nieprzyjemną emocję. Żal i smutek nie zmieniają przecież rzeczywistości. Wyjął z szuflady ostatni pistolet, który nie trafił jeszcze z powrotem do policji. Czas go zwrócić.

Naładował broń, odbezpieczył i włożył ją do kieszeni spodni. Sięgnął po telefon, wybrał numer alarmowy i spokojnym głosem oznajmił, że usłyszał strzał z broni palnej. Podał adres i swoje dane osobowe. Na koniec powiedział coś, co wydało mu się bardzo zabawne:

– Obawiam się, że to mogło być samobójstwo.

Od razu się rozłączył i zaczął się śmiać, ale wesołość błyskawicznie przeistoczyła się w przeraźliwie bolesny kaszel. Jurecki dopiero po pewnym czasie zdołał go opanować. Wycierał chusteczką pot z czoła i ruszył przed siebie. Wyszedł przed dom. Było chłodno, a on nie miał na sobie kurtki. Przeszył go dreszcz. Nagle pomyślał, że musi się pospieszyć, bo przez swoją fizyczną słabość może zemdleć, zanim wykona to, co zaplanował. Podeszedł do furki i uchylił ją, aby policjanci mogli bez problemu wkroczyć na posesję. Następnie usiadł na ławce przed domem. Pomyślał, że z samobójstwem, które w jego przypadku było formą eutanazji, jest podobnie jak z zabójstwami Kamińskiego. To, co teoretycznie złe, w określonych okolicznościach staje się jedynym ratunkiem, upragnionym wyzwoleniem. Życie w teorii jest najwyższą wartością, w praktyce – gdy wypełnione jest nieustannym bólem – staje się wyłącznie udawką. Ale tak jak ludzie, którzy nigdy nie byli skrzywdzeni przez kogoś bliskiego, przez kogoś, komu ufali, nigdy nie rozumieją, co czuje ofiara przemocy, tak też teoretycy moralni – nawet jeśli wyłożą na stół dziesiątki niepodważalnych racji – staną bezradni wobec brutalnej siły niszczącej ich organizm choroby, jeśli tylko taka przykra okoliczność stanie się ich udziałem. I wtedy dopiero będą skłonni przyznać, że mylili się w swych kategorijskich osądach. Wtedy i tylko wtedy.

Jurecki usłyszał dochodzący z oddali dźwięk policyjnego radiowozu jadącego na sygnale. A więc musi się to stać już teraz, za moment. Na ułamek sekundy spojrział jeszcze w górę. W ciemności nocy za gęstwiną starych drzew rosnących na jego działce dostrzegł bladą poświatę ulicznej latarni. Niedzielna noc. Koniec dnia, koniec tygodnia, koniec życia. Szybkim ruchem wyjął z kieszeni pistolet, przyłożył lufę do skroni i pociągnął za spust.

Warszawa, 2019–2021

SPIS TREŚCI:

Okładka

Karta tytułowa

Prolog

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

Rozdział 10

Rozdział 11

Rozdział 12

Rozdział 13

Rozdział 14

Rozdział 15

Rozdział 16

Rozdział 17

Rozdział 18

Rozdział 19

Rozdział 20

Rozdział 21

Rozdział 22

Rozdział 23

Rozdział 24

Rozdział 25

Rozdział 26

Rozdział 27

Rozdział 28

Rozdział 29

Rozdział 30

Rozdział 31

Epilog

Karta redakcyjna

Zabójca znika w mroku
ISBN: 978-83-8219-830-0

© Piotr Krynicki i Wydawnictwo Novae Res 2022

Wszelkie prawa zastrzeżone. Kopiowanie, reprodukcja lub odczyt jakiegokolwiek fragmentu tej książki w środkach masowego przekazu wymaga pisemnej zgody wydawnictwa Novae Res.

Redakcja: Marzena Kwietniewska-Talarczyk

Korekta: Marta Martynowicz

Okładka: Izabela Surdykowska-Jurek



Wydawnictwo Novae Res należy do grupy wydawniczej Zacztyani.

Zacztyani sp. z o.o. sp. k.

ul. Świętojańska 9/4, 81-368 Gdynia

tel.: 58 716 2519, e-mail: sekretariat@novaeres.pl

<http://novaeres.pl>

Publikacja dostępna jest w księgarni internetowej zacztyani.pl.

Na zlecenie Woblink

woblink

woblink.com

plik przygotowała Katarzyna Rek